KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 2/64 - 3/65 1953



• «La Culture» • Revue mensuelle •

James BURNHAM:
POLITYKA WYZWOLENIA

St. SWIANIEWICZ
WSCHÓD I ZACHÓD

Józef MACKIEWICZ
PRZYJACIEL FLOR

SPIS RZECZY :

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Février - Mars 1953

INSTYTUT  LITERACKI

Zamknięcie ankiety
"KULTURY"
pt. :
Nasze życie na emigracji

W pierwszych dniach stycznia została zamknięta ankieta „Nasze Życie na Emigracji". W sumie wpłynęło 535 odpowiedzi. Większość uczestników nie ograniczyła się do suchego wypełnienia kwestionariusza lecz — zgodnie z naszym apelem — dołączyła nieraz bardzo szczegółowe omówienia poszczególnych zagadnień.

Odpowiedzi nadeszły z następujących 27 krajów (podajemy kolejno według ilości otrzymanych z danego kraju kwestionariuszy) : Wielka Brytania, Argentyna, U.S.A., Kanada, Niemcy, Francja, Australia, Brazylia, Szwecja, Afryka Południowa, Nowa Zelandia, Belgia, Hiszpania, Maroko, Afryka Wschodnia, Szwajcaria, Włochy, Kongo, Kolumbia, Liban, Północna Rodezja, Meksyk, Guatemala, Venezuela, Sudan, Tanganyika i Uruguay.

Obszerne omówienie Ankiety i jej analizę zamieścimy w następnym k w i e t n i o w y m numerze „Kultury". Analiza Ankiety pod kątem socjologicznym wymaga bardzo dużego czasu i dziś nie jesteśmy jeszcze w stanie sprecyzować terminu ogłoszenia rezultatów badań. Nie jest zresztą wykluczone, że opracowanie socjologiczne Ankiety ukaże się w wydaniu książkowym.

REDAKTOR

Bieżący numer „Kultury" jest numerem podwójnym (luty-marzec 1953).

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD. 24. rue Stéphenson. Paris (18e)

Polityka wyzwolenia

Polityka wyzwalania uznaje prawo samostanowienia a tym samym prawo do niepodległości wszystkich narodów Imperium Sowieckiego, nie wyłączając narodów, położonych wewnątrz przedwojennych granic tego imperium. Skoro wyzwolenie prowadzi praktycznie do rozbicia obecnego Imperium Sowieckiego na kilka tuzinów całkowicie niezależnych, suwerennych i rywalizujących z sobą państw, będzie to miało przynajmniej ten skutek, że usunie wreszcie nieznośne zagrożenie, jakie stanowi podporządkowanie całej środkowej Eurazji jednemu zaczepnemu aparatowi politycznemu. Nawet taka super-bałkanizacja byłaby więc w każdym razie lepsza od obecnego stanu rzeczy, ale daleka byłaby od ideału. Uniemożliwiłaby bowiem skuteczną organizację ekonomiczną Środkowej i Wschodniej Europy. Utrzymywałaby ten rejon w stanie trwałej nierównowagi, a milion małostkowych rywalizacji i sporów w sposób niemal nieunikniony groziłby wojną lub czymś niewiele różniącym się od stanu wojennego. Najprawdopodobniej, niepodległość świeżo wyzwolonych narodów nie trwałaby długo.

Tych konsekwencji można uniknąć przez dobrowolne zjednoczenie, w takim czy innym stopniu, w tej czy innej formie, Europy Środkowej i Wschodniej. Federacja Wschodnio-Europejska, która stanowiłaby niewątpliwie część sfederowanej Europy, byłaby nie tylko do pogodzenia z koncepcją wyzwolenia, ale stanowi wręcz niezbędny jej warunek. Wyzwolenie, niepodległość, federacja — oto trzy ogniwa jednego łańcucha politycznego.

W artykule, który już zacytowałem, Węgier Franciszek Honti słusznie zauważa :

„Zasadniczym warunkiem naszego prawdziwego i trwałego wyzwolenia... jest niezbędna i stała jedność naszych narodów. Odosobnieni, stanowimy mozaikę państw i narodów, zdaną na łaskę każdego zaborcy ; zjednoczeni, stanowimy zwarty blok 150-ciu milionów ludzi, z wielką przyszło-

ścią ekonomiczną i poważnym potencjałem militarnym, zdolny oprzeć się wszelkim zakusom zaborczym zarówno ze strony Rosji jak i ze strony Niemiec. Zamiast być źródłem nieustannych trosk całego świata, okręg nasz stałby się czynnikiem politycznej stabilizacji. Współdziałając... możemy znacznie podnieść poziom życia naszej ludności. Niemcy i Rosja również miałyby z tego korzyści, albowiem niewola i nieszczęście sąsiadów nie są konieczne dla dobrobytu i szczęścia żadnego narodu. Zjednoczenie naszych krajów zapewniałoby pokój nie tylko nam, ale i naszym sąsiadom...'' *)

Nie byłoby ani możliwe ani właściwe, gdyby rząd Stanów Zjednoczonych decydował, jakie ludy i narody powinny wejść do Federacji Wschodnio-Europejskiej, jak ona powinna być wewnętrznie zorganizowana i jaki powinien być jej stosunek do Europy Zachodniej. Ale popierać zasadę federacji i dopomagać w jej realizacji, to jeden z głównych elementów polityki wyzwalania. Tak samo jak propaganda, organizacja, ruchy podziemne i wszystkie inne działania z zakresu walki politycznej powinny rozwijać się j a k g d y b y wyzwolenie było pewne, tak samo muszą one z góry założyć, że narody wyzwolone będą sfederowane. Popierając federację, Stany Zjednoczone nie powinny cofać się w razie potrzeby przed zwalczaniem zawiści i ambicji niektórych Wschodnio-Europejczyków czy idiosynkrazji niemieckich lub rosyjskich szowinistów mogących marzyć o utrzymaniu systemu państw buforowych.



Polityka wyzwalania musi spotkać się z problemem specjalnym, który jest delikatny, trudny i z którym Amerykanie są nie obyci. Problem ten, o którym już wspomniałem, nazywany jest często ,,sowieckim problemem narodowościowym''. Przyjrzyjmy się jego genezie.

Przedwojenny Związek Sowiecki nie stanowił jednego narodu, lecz system narodów, w którym Rosja zajmowała pozycję dominującą i wobec tego miała do reszty stosunek imperialistyczny. Równocześnie jednak naród rosyjski sam był uciskany przez reżim komunistyczny. Chociaż Rosjanie stanowią największą grupę narodowościową w Związku Sowieckim, nikt nie przeczy, że stanowią mniejszość całej ludności. Brak dokładnych danych, ale na ogólną liczbę ok. 200 milionów ludności jest 90 milionów Rosjan.

Pozostałe 110 milionów dzielą się na wielką ilość narodów i grup etnicznych. Do najważniejszych należą : Ukraińcy, ok. 35 do 40 milionów; tureckie grupy muzułmańskie liczące razem ok. 25 milionów; 10 milionów Białorusinów, ok. 10 milionów różnych nie-rosyjskich grup kozackich, więcej niż trzy miliony Gruzinów, również ok. 3 miliony ludności w Azerbejdżanie.

*) *Ibid.*, str. 5. Przyjmując cyfrę 150 mil., p. Honti zakłada, że Ukraina i Białoruś weszłyby do federacji wschodnio-europejskiej.

Większość tych nie-rosyjskich narodów podbita była przez Rosję (Moskwę) w czasach stosunkowo niedawnych i nigdy nie była całkowicie spacyfikowana. Uległy one temu samemu światowemu wybuchowi poczucia narodowego, który obserwujemy od 150 lat i który ostatnio przyniósł niepodległość Indiom, Indonezji, Irlandii, Birmie i Filipinom, powołując do życia nawet tak niespodziewane państwa jak Izrael i Pakistan.

Pod koniec pierwszej Wojny Światowej największe narody nie-rosyjskie ogłosiły swą niepodległość i walczyły o jej utrzymanie, dopóki, podbite przez Czerwoną Armię, nie znalazły się na powrót pod władzą komunistycznej tym razem Moskwy. Trzy kraje bałtyckie, również zaliczone przez Moskwę do formalnych republik sowieckich, zachowały niepodległość do roku 1940.

W r. 1941, gdy Reichswehra dokonała inwazji Związku Sowieckiego, narody nie-rosyjskie ponownie usiłowały skorzystać z zamętu wojennego, by oderwać się od Moskwy. Żołnierze nie-rosyjskiego pochodzenia poddawali się setkami tysięcy, dopóki zachowanie się hitlerowców, podyktowane koncepcją, że wszyscy Wschodnio-Europejczycy są podludźmi, nie uświadomiło większości z nich a z nimi tych Rosjan, którzy poddali się w nadziei uchronienia się przed komunizmem — że Hitler nie przynosi im wolności.

Większość Amerykanów i zachodnich Europejczyków używa określenia ,,Rosjanin'' bezkrytycznie w stosunku do wszystkich mieszkańców Związku Sowieckiego. Wewnątrz Związku Sowieckiego ,,Rosjaninem'' jest tylko Rosjanin etniczny i nazwy tej nie stosuje się do Gruzinów, Czeczeńców, Ukraińców, Kazaków, Uzbeków lub któregokolwiek innego mieszkańca Rosji. Największe z nie-rosyjskich narodów nadały nazwy ,,republikom'' ,,Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich''. Nie istnieje, rzecz jasna, żaden ,,język sowiecki'' : każdy z tych narodów ma swoją własną literaturę, własny język, strój i własne tradycje.

Doceniając potencjalną energię polityczną tych nie-rosyjskich narodów, Kreml kieruje się wobec nich polityką bardzo ostrożną, mieszając okresy terroru i brutalnej rusyfikacji z interludiami trzeźwo pomyślanych koncesji i pochlebstw. Nie raz ale wiele razy cała elita tych nie-rosyjskich narodów ulegała czystce. Kampanie przeciwko ,,reakcyjnemu szowinizmowi'' Ukraińców, Gruzinów, Ormian etc. należą do zjawisk normalnych.

Na drugim fortepianie leży inna partytura : tu Moskwa pozuje jako protektor kultury narodów nie-rosyjskich. Nie rezygnując z istoty władzy, pozostawia się mniejszym narodom nieco szychu. Szczególnie uderzające było utworzenie ,,ministerstw spraw zagranicznych'' Ukrainy i Białorusi oraz upór Rosji — ukoronowany powodzeniem w Jałcie — że oba te kraje powinny mieć przedstawicieli w ONZ. Większość komentatorów tłumaczyła to pragnieniem Rosji, by rozporządzać na Zgromadzeniu większą ilością głosów. Nie wykluczam, że to był jeden

z ubocznych motywów — choć Moskwa zawsze zdawała sobie sprawę, że kilka głosów mniej czy więcej nie ma żadnego znaczenia. Głównym motywem była niewątpliwie chęć otwarcia klapy bezpieczeństwa dla nacjonalizmu ukraińskiego i białoruskiego.

Z punktu widzenia programu wyzwolenia sowiecka ,,kwestia narodowościowa'' sprowadza się do pytania, czy koncepcja wyzwolenia, niepodległości i dobrowolnej federacji odnosi się tylko do narodów podbitych po r. 1939 (czyli ,,satelitów''), czy też zarazem do narodów, które przed wojną należały do Związku Sowieckiego? Sprawa ta stanowi przedmiot zaciętego sporu między emigrantami. Większość rosyjskich związków emigranckich twierdzi, że Rosjanie i nie-Rosjanie są narówni uciskani przez komunizm i że wyzwolenie powinno oznaczać uwolnienie wszystkich mieszkańców Rosji Sowieckiej, wziętych jako całość, od tyranii komunistycznej. Program kładący nacisk na samostanowienie i na ewent. niepodległość narodów nie-rosyjskich uchodzi w ich oczach za ,,separatyzm'', uważany przez naród rosyjski za próbę ,,rozczłonkowania ich kraju'' oraz, że głoszenie tego programu skupiło by Rosjan przy komunistach jako jedynych obrońcach integralności ojczyzny.

Niemal wszystkie grupy nie-rosyjskie, nie wyłączając przedstawicieli krajów świeżo podbitych, odrzucają te argumenty rosyjskie. Podkreślają one, że nie-rosyjskie narody sowieckie są podwójnie uciskane, raz przez tyranię komunistyczną, a następnie przez rosyjski imperializm, który datuje się na długo przed rosyjską rewolucją i który odtąd trwa nieprzerwanie. Wielu twierdzi nawet, że komunizm jest po prostu tylko ostatnią formą rosyjskiego imperializmu. Wyzwolenie musi oznaczać dla narodów nie-rosyjskich pełne prawo samostanowienia, a więc także prawo do niepodległości i do samodzielnego decydowania o formach, jakie powinny w przyszłości przybrać ich stosunki z Rosją.

Większość nie-Rosjan uważa za oczywiste, że takie narody jak Ukraińcy, Białorusini i Gruzini będą szukali związku raczej z Zachodem niż z Rosją. Głoszą oni, że narody nie-rosyjskie mogą być zachęcone do skutecznego oporu jedynie przez zupełną pewność, że uzyskają wolność narodową i społeczną; dodają oni, że bolesne doświadczenia długiej historii odebrały masom ochotę do prostej zamiany jednej formy panowania rosyjskiego na drugą. Sądzą wreszcie, że taka niedwuznaczna perspektywa wyzwolenia wcale nie jest niezgodna z wolą i interesami narodu rosyjskiego, który nacierpiawszy się do syta pod butem swojej własnej imperialistycznej klasy rządzącej, może być rad, że z imperialistycznego opresora państwo rosyjskie stanie się dobrym sąsiadem.

Krańcowe poglądy w łonie emigracji rosyjskiej zmierzają ku nowo-rosyjskiemu (nie-komunistycznemu) imperializmowi, a krańcowe poglądy drugiej strony ku nieprzejednanemu stanowisku anty-rosyjskiemu. Unikać należy niewątpliwie obu kra-

cowości i Amerykanie nie mają najmniejszego powodu planować całkowitej politycznej rekonstrucji terytorium sowieckiego po załamaniu się reżimu sowieckiego — byłoby to nie tylko bezużyteczne ale wręcz absurdalne. Z drugiej jednak strony nie można tego kluczowego problemu pozostawić zupełnie bez odpowiedzi. Dotyczy on codziennej praktyki walki politycznej a równocześnie szerszej akcji przygotowania przyszłości.

Poddając się logice polityki wyzwalania, musimy rozumieć jej cel jako odnoszący się nie tylko do krajów ujarzmionych po wojnie, ale do wszystkich narodów Związku Sowieckiego, zarówno nie-rosyjskich, jak i rosyjskiego. Tylko taka uniwersalna wykładnia, narzucana zarówno przez okoliczności jak i przez sprawiedliwość, wyzwoli odśrodkowe siły wszystkich ludów sowieckiego imperium, stanowiące potęgę, która w dogodnych warunkach może wstrząsnąć strukturą mocarstwową Rosji. Byłoby rzeczą śmieszną interpretować walkę z komunizmem jako walkę o utrzymanie Rosyjskiego Imperium. Jeżeli Rosjanie, którzy pragną uchodzić za anty-komunistów, nie chcą rozszerzyć wolności na nie-Rosjan, to należy się zapytać, po jakiej stronie się znajdą, gdy nadejdzie dzień wielkiej rozprawy.

Być może, emigranci mają rację, gdy twierdzą, że większość Ukraińców, Gruzinów, Turkmenów i innych uważa siebie za młodszych braci Rosjan i pragnie stanowić nadal część integralną państwa rosyjskiego, oczyszczonego z komunizmu. Jeśli tak jest, tym lepiej : ale zobaczmy, czy tak jest rzeczywiście. Może też być, że rację mają emigranci nie-rosyjscy, gdy sądzą, że ich rodacy mają dość Rosjan i pragną powierzyć swą przyszłość polityczną innym związkom, np. Federacji Wschodnio-Europejskiej, Zjednoczonej Europie, Federacji Muzułmańskiej i może jeszcze innym kombinacjom i odmianom. Polityka wyzwalania zapewnia im jedynie swobodę wyboru. Nawet wybór teoretycznie niemądry, jeżeli tylko będzie zgodny z nastrojami narodów, których wolę wyrazi, lepiej się może przyczynić do utrwalenia pokoju i równowagi w tych burzliwych rejonach niż decyzja narzucona przez zdobywcę.



Wielokrotnie powtarzałem, że zasadniczym elementem polityki wyzwolenia jest z w i ą z a n i e s i ę z o k r e ś l o n y m c e l e m. Jest rzeczą wskazaną, by określoność i niewzruszoność celu została połączona z wielką elastycznością w metodach dążenia do celu. Historia, to zręczność. Nie możemy wiedzieć z całą pewnością, dzięki czemu i jak szybko jarzmo sowieckie może być zrzucone. Czy jest rzeczą konieczną, by wszystkie istniejące rządy strefy rosyjskiej zostały ostatecznie obalone, czy też mogą powstać rozłamy w duchu ,,titoizmu'', gdy istniejące rządy, choćby tylko w charakterze paliatywu, uwolnią się od nadzoru sowieckiego?

Nie powinniśmy się śpieszyć z przedwczesną odpowiedzią na takie pytania, lecz powinniśmy być zawsze gotowi poddać swą odpowiedź rewizji, gdy okoliczności tego będą wymagały. Co możemy postanowić z góry to to, że uczynimy w swoim zakresie wszystko, by wzmocnić wszelkie prądy zbliżające nas do celu wyzwolenia, osłabiające komunizm i przyśpieszające rozkład sowieckiego systemu państwowego.

Podkreśliłem doniosłość wszechstronnej walki politycznej w dążeniu do celu. Czy jednak możemy na walce politycznej poprzestać ? Czy możemy dojść do celu lub przynajmniej dostatecznie zbliżyć się do niego bez strzelania i bez powszechnej wojny atomowej ?

Chociaż tylko wariat lub kłamca mógłby odpowiedzieć na to pytanie bez zastrzeżeń, pewne częściowe prawdy są przecież dostrzegalne. Po pierwsze, nie obejdzie się bez strzelania, jak nie obeszło się bez niego dotąd, skoro strzelać się nie przestaje. Kto ostrzega przed ,,prowokowaniem'' Sowietów zapomina, że w Grecji, Persji, na Malajach, na Filipinach, w Birmie, w Indiach, w Berlinie, w Indochinach — i na Korei — były w szeregach anty-sowieckich setki tysięcy ofiar. Liczby te staną się siedmiocyfrowe, jeżeli dodamy — jak należy — ofiary czystek i represji wewnątrz sowieckiego imperium.

Jakąkolwiek prowadzilibyśmy politykę, nie unikniemy pomocniczych akcji militarnych wszelkiego rodzaju. Niektóre dadzą się porównać z takimi czy innymi akcjami, jakie już miały miejsce. Możemy się spotkać z nowymi kategoriami : np. gdyby Albańczycy, wspomagani przez emigrantów i pomoc materialną z zewnątrz, wyłamali się z orbity sowieckiej; gdyby nacjonalistycznym oddziałom chińskim z Formozy pozwolono lądować na kontynencie; gdyby titoistyczny rząd polski poprosił o uznanie i opiekę; lub gdyby — w późniejszym lecz wcale nie wykluczonym stadium — naród czechosłowacki, Niemcy Wschodnie lub Bułgaria powstały przeciw swym komunistycznym panom i domagały się od narodów Zachodu, by zapobiegły interwencji Armii Czerwonej.

Następnie, możemy wywnioskować z natury komunizmu i z przeglądu historii sowieckiej, że Sowiety naprawdę nigdy nie zostały sprowokowane. Jeśli Moskwa zechce powszechnej wojny, powszechna wojna wybuchnie. Nie siła, ale słabość postawy wroga może przyśpieszyć jej wybuch. Moskwa nie była gotowa do powszechnej wojny i w chwili, gdy to piszę (w drugiej połowie 1952 r.) nie ma żadnych danych, że będzie do niej gotowa w przyszłości. Zdecydowane akcje, przedsięwzięte od r. 1947, nie wywołały powszechnej wojny, chociaż niektóre z nich, jak np. w Grecji, na Korei lub w Turcji, miały same w sobie niewątpliwie prowokacyjny charakter.

Po trzecie, polityka wyzwalania okaże się o wiele skuteczniejszym sposobem odstraszenia Rosji od powszechnej wojny, niżby nim kiedykolwiek mogła być polityka hamowania. Polityka wyzwalania, jeżeli w ogóle odniesie jakiś sukces, sięga poza

front sowiecki i przecina sowieckie linie komunikacyjne. Równocześnie mobilizuje ona siły, które z sowieckiego punktu widzenia są najbardziej rozkładowymi elementami wewnętrznymi. Strategicznie, trudno znaleźć coś, co by Sowietom dawało większy oddech.

Po czwarte, musimy sobie uświadomić, że z taką czy inną polityką, powszechna wojna, chociaż wcale nie nieunikniona, zawsze jest prawdopodobna. Stawka jest zbyt duża — bo jest nią cały świat — by przypuszczać, że którakolwiek ze stron pogodzi się z klęską bez totalnego wysiłku uniknięcia jej. Stany Zjednoczone wraz ze wszystkimi sojusznikami, jakich znajdą, muszą więc przygotować się do powszechnej wojny. Ta konieczność nie ma ściślejszego związku z polityką wyzwalania. Stany Zjednoczone przygotowywały się do powszechnej wojny nawet gdy prowadziły politykę hamowania i z wyjątkiem jawnie kapitulacyjnej polityki, każda polityka, jaką tylko sobie można wyobrazić, zmuszałaby je do tego samego.

Polityka hamowania i polityka koncesji mają jedną wspólną wadę. Cokolwiek można by powiedzieć w ich obronie w okresie pokoju lub pokoju połowicznego, w chwili wybuchu powszechnej wojny trzeba by je porzucić. Temu chyba nikt nie zechce przeczyć. Gdy się zacznie wojna, koncesje tracą wszelki sens, a polityka hamowania prowadziłaby do klęski. Innymi słowy, cała podstawowa struktura polityczna musiałaby ulec odwróceniu. Tego nie można zrobić ani szybko ani bez strat. Nie tylko w Ameryce, ale w całym świecie polityka przedwojenna musi wytworzyć nałogi myślowe, wzory postępowania i kompleksy uczuciowe, połączone z pewną określoną oceną sytuacji światowej, natury przeciwnika i środków zaradczych. Z chwilą wybuchu powszechnej wojny oczekiwano by od każdego, by się nagle całkowicie przestawił i zmienił cały schemat swych przekonań i zasad działania.

Przed tym szokiem chroni nas polityka wyzwalania, która zapewnia jedną i tę samą podstawę polityczną na czas pokoju, ograniczonej (zimnej) wojny i wojny powszechnej. Wybuch powszechnej wojny nie naruszyłby w żadnym szczególe substancji tej polityki, zmieniłby tylko jej tempo i pewne szczegóły wykonania. Znaczy to, że wszystkie osiągnięcia polityki wyzwalania zachowują swoją ważność i nie dewaluują się wraz ze zmianą międzynarodowej pogody. Byliśmy zwolennikami wolności ludów i narodów imperium sowieckiego, jesteśmy nimi i pozostaniemy nimi. Praktycznie, dążymy do celu, jakim jest wyzwolenie, przy pomocy środków dostosowanych do danych okoliczności. W czasie pokoju i pokoju połowicznego zaprzeczamy trwałości tyranii sowieckiej. W czasie rozwiniętej wojny ciosy nasze nie mają na celu zdobycia terytoriów, lecz uwolnienie ludzi i narodów.

Byłoby zbrodnią, gdyby polityka wyzwalania była tak prowadzona, by wywoływać przedwczesne lokalne powstania, które pociągałyby za sobą tylko krwawe represje i stratę najbardziej

czynnych przywódców oporu. Równocześnie jednak musimy sobie postawić pytanie : co się stanie, jeżeli w jednym z podbitych narodów, w nie-rosyjskim narodzie sowieckim albo nawet w samej Rosji rozpocznie się wielkie masowe powstanie ? Lub co stanie się, gdy jeden z komunistycznych rządów, poparty przez większość narodu, wypowie się przeciwko Moskwie ? I w obu wypadkach, co zrobimy, gdy rozlegnie się wówczas wołanie o pomoc wolnego świata ? Jakakolwiek byłaby polityka oficjalna, czy Stany Zjednoczone i ich sojusznicy będą się przyglądały bezczynnie, jak Armia Czerwona i bojówki MGB wymordowują dostateczną ilość milionów, by wytępić niebezpieczeństwo grożące nie tylko ze strony tych, którzy się odważyli wystąpić jawnie, lecz także ze strony wszystkich, którym mogłaby się wolność przyśnić w przyszłości ? Czyż bezczynność w takich warunkach nie byłaby niezaprzeczalnym dowodem, że zwycięstwo światowe komunistów jest nie uniknione ?

Interwencja nawet w takich okolicznościach nie musiałaby jednak koniecznie oznaczać powszechnej wojny. Interwencja w Grecji i na Korei nie pociągnęła za sobą wojny powszechnej i nie ma żadnych danych, by przypuszczać, że wywołają ją jutrzejsze działania chińskie na kontynencie. Istnieją różne formy interwencji i różne odpowiedzi — nie wyłączając, oczywiście, odwrotu. Z punktu widzenia Moskwy, masowa rewolta w części jej imperium, mogąca rozszerzyć się jak ogień w czasie posuchy, nie może być uważana za najlepszy moment wywołania wojny powszechnej. W samej rzeczy, wcale nie jest pewne czy Rosja kiedykolwiek wywołałaby powszechną i nie ograniczoną wojnę. Zdecydowałaby się na to tylko gdyby była pewna zwycięstwa. Fakt, że powstrzymywała się od tego dotychczas, dowodzi, że w razie wojny obawiała się raczej stracić niż miała nadzieję zysku.

◆

Wśród intelektualistów panuje moda, by się boczyć na ,,krucjaty''. Krucjaty, mówią, są równie niebezpieczne jak daremne. Budzą one fanatyzm, w który wpędzają się obie strony i który prowadzi do upierania się przy bezwarunkowej kapitulacji przeciwnika. Z konfliktu robi się ,,święta wojna''. Namiętności krzyżowców uniemożliwiają wszelką negocjację i rozsądny kompromis. Zdecydować się na politykę wyzwalania, to według ostrzegających nas krytyków iść na krucjatę. Tego winniśmy rzekomo za wszelką cenę unikać, a natomiast winniśmy — po ,,troskliwym i starannym określeniu naszego interesu narodowego'' ,,pogodzić się z ważnością i dopuszczalnością realiów politycznych'', by ,,poszukać punktu najwyższej równowagi'' *).

Nie mogę powiedzieć, bym nie miał zrozumienia dla tej nieufności wobec krucjat, zwłaszcza gdy obserwuję współczesny nałóg przeistaczania wszystkiego, od kampanii wyborczej do

*) George F. Kennan, *American Diplomacy 1900-50*, str. 19 i 53.

walki z alkoholizmem, w namiętną krucjatę przeciwko temu czy owemu. Krucjatą nie może być byle co. Krucjata, to coś szczególnego i rzadkiego. W normalnych czasach i gdy chodzi o normalne sprawy, należy pozwolić na to, by duch krucjat drzemał. Ale nie mogę się oprzeć uczuciu, że jest jakieś filisterstwo w nieprzyzwoitej obawie, by krucjatą nie stała się walka z nikczemnością komunistycznego despotyzmu i o wolność 800 milionów ujarzmionych istot ludzkich. Czy lęk ten nie jest wyrazem braku zaufania do samych siebie i braku wiary w słuszność naszej własnej sprawy? Czyż to nie zabawne, że wiele osób, które dziś ostrzegają przed niebezpieczeństwami krucjaty przeciwko komunizmowi, jeszcze kilka lat temu najgłośniej domagało się krucjaty przeciwko hitleryzmowi?

Kampania wyzwoleńcza, przeprowadzona w właściwy sposób, będzie pod wieloma względami podobna do krucjaty i bez tych podobieństw skazana będzie na fiasko. Zauważmy jednak, że wcale nie mamy wyboru, czy przyjąć czy odrzucić ideę krucjaty. Od czasu do czasu powstają warunki historyczne, w których jedynym wyjściem jest właśnie krucjata i które sprawiają, że wszelka łagodniejsza forma walki traci wszelki sens. Wypadek taki zachodzi, gdy okoliczności zderzają z sobą dwie koncepcje życia, dwa poglądy na naturę i przeznaczenie człowieka, w samej istocie z sobą sprzeczne.

Krytykować pojmowanie walki z komunizmem jako krucjaty, to wierzyć, że przeciwieństwo między ideałem komunistycznym a naszym nie jest zasadnicze. Jeżeli nie jest, to oczywiście idea krucjaty jest lekkomyślna, niemoralna i naprawdę fanatyczna. W tym wypadku powinniśmy obniżać temperaturę konfliktu o ile się to tylko da, utrzymywać go w granicach rozsądnych i być w każdej chwili gotowymi do negocjacji, kompromisu i rozejmu.

Co do istoty sprawy, przywódcy komunistyczni nigdy nie mieli najmniejszych wątpliwości, bo wiedzieli, że od tego, co nazywają „światem burżuazyjnym" dzieli ich nieprzebyta przepaść. Przekonanie to wyrażają czasami powiedzeniem, że zwycięstwo komunizmu położy kres prehistorii i otworzy okres historyczny. Niemniej dobitnie świadczy o tym ich przekonaniu stanowcze twierdzenie, że przejście od „społeczności burżuazyjnej" do komunizmu możliwe jest tylko w drodze totalnej rewolucji, a nigdy w drodze stopniowej ewolucji. Impreza komunistyczna zamierza zastąpić społeczeństwo, Boga i człowieka przez zupełnie nowy system społeczeństwa, przez nowy rodzaj człowieka, z nową „naturą" i przez nowych bogów materialnej i historycznej Konieczności. Komuniści zdają sobie sprawę, że ich propozycja nie znosi kompromisu i negocjacji. Jak miałby wyglądać kompromis? Nie zawiera się kompromisu z narodzinami czy śmiercią. Istnieje kilka pytań, na które trzeba odpowiadać wyraźnie tak lub nie.

Postawa komunistów zmusza nas do rozstrzygnięcia kwestii, bolesnej dla wrażliwego ucha liberalnego, czy rzeczywiście

wierzymy, że nasz ideał życiowy jest lepszy od tego, który oni nam proponują. Czy gotowi jesteśmy oświadczyć, że cywilizacja zachodnia jest wyższa — wyższa obiektywnie — od sowieckiego totalizmu? Czy jako Amerykanie ogłaszamy, że wolność polityczna i rząd parlamentarny są lepsze od politycznej tyranii i wszechwładności tajnej policji, lepsze dla wszystkich ludzi, dla Polaków, Chińczyków i Rosjan tak samo jak dla Francuzów, Anglików i Amerykanów? Przodkowie nasi nie mieli wątpliwości, że ich ideał polityczny jest uniwersalny i nie wahali się mówić i działać zgodnie ze swymi przekonaniami. Deklaracja Niepodległości nie zamykała swej prawdy w granicach amerykańskich wód terytorialnych. Jeżeli nie myślimy, że ideał nasz jest lepszy od ideału Kremla, to po co się oddzielamy? Poprośmy o przyjęcie na łono Sfederowanych Socjalistycznych Republik Sowieckich. Możemy być pewni, że zostaniemy ciepło przyjęci.



Amerykanie mają skłonność mierzyć powagę sowieckiego zagrożenia stopniem prawdopodobieństwa, że zaczną spadać bomby. Europejczycy dodają do tego w wyobraźni czołgi Armii Czerwonej i działa posuwające się po nizinach północnej Europy. Jeżeli bomb ani czołgów nie widać, niebezpieczeństwo nie może być zbyt groźne i nie ma powodu do alarmu.

W ciągu lat, jakie dzielą nas od r. 1945, nigdy nie wierzyłem, że otwarta wojna grozi bezpośrednio. Byłem przekonany, że można podejmować zamierzone na wielką skalę działania anty-sowieckie, nie wyłączając działań ofensywnych i uważanych powszechnie za ,,prowokacyjne'', nie ryzykując wcale wojny powszechnej. Gdy cofam się myślą w ten okres, nie mogę sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł dziś przypuszczać, że wojna powszechna wybuchłaby, gdyby np. blokada berlińska została przełamana nie mostem powietrznym ale konwojem lądowym, gdyby chińskim wojskom nacjonalistycznym umożliwiono działania w południowych Chinach, gdyby Anglicy siłą zabezpieczyli swe prawa do rafinerii w Abadanie, gdyby partyzanci armii greckiej posunęli się na terytorium Bułgarii lub Albanii lub gdyby bombowce latały na północ od rzeki Yalu. Przywódcy zachodni grzeszyli nadmierną ostrożnością właśnie dlatego, że nie rozumieją natury komunizmu.

Przyznając, że współczesna historia jest za mało ustabilizowana, by możliwe było przewidywanie odległej przyszłości, nie przestaję wierzyć, że Moskwa samowolnie nie wywoła w następnym okresie powszechnej wojny. Lecz jakkolwiek by było, należy sobie przede wszystkim uświadomić, że niebezpieczeństwo, w jakim znajdują się Stany Zjednoczone (i wszystkie inne niezależne kraje) nie polega wyłącznie ani nawet w pierwszym rzędzie na prawdopodobieństwie czy terminie powszechnej wojny.

Niebezpieczeństwo to można określić jednym zdaniem. Jeżeli komunistom uda się skonsolidować, co *już* zdobyli, osta-

teczne ich zwycięstwo jest pewne. Groźne jest nie tylko to, co komuniści jeszcze mogą zrobić, ale to, co już zrobili. Wcale nie potrzebujemy zastanawiać się nad sowieckimi „intencjami". Stoimy wobec prostego a straszliwego faktu, że jeżeli tak pójdzie dalej, jeżeli na razie tylko będą się stabilizowali, to już przegraliśmy. Oto dlaczego polityka hamowania Rosji, nawet w stu procentach wykonana, jest formułą sowieckiego zwycięstwa.

Tezy te są tak krańcowe, że trzeźwy czytelnik mógłby, zanim je przyjmie, ulec pokusie wzmożonej czujności. Niech jednak poświęci wieczór na studium atlasu, mapy świata (a najlepiej globusu) i dobrego podręcznika geografii, a przekona się, że studium to tylko podmuruje moją retorykę. Obejdzie się przy tym doskonale bez wyższego kursu geopolityki. W beznamiętnych wykresach i statystykach, w oczywistej wymowie map znajdziemy przekonywujący dowód, że Imperium Sowieckie, jeżeli tylko skonsoliduje się w swoich obecnych granicach, musi opanować cały świat. A studium geograficzne nie uwzględni wcale dynamiki, jakiej komunizmowi dostarcza światowy ruch rewolucyjny. Lecz nawet bez tego, obecna baza terytorialna Sowietów, jeżeli z powodzeniem zostanie poddana całkowicie monolitowi zaborczego reżimu, zupełnie wystarczy, by im zapewnić ostateczny wynik.

Oznacza to ni mniej ni więcej jak tylko, że wyzwolenie jest jedyną formą obrony przed światowym zwycięstwem sowieckim. Amerykanie, Francuzi, Niemcy, Hindusi i Japończycy nie powinni sobie wyobrażać, że wyzwolenie jest miłosierdziem, darem, jaki mogą łaskawie przyznać ujarzmionym Polakom, Chińczykom i Rosjanom. Gra idzie o naszą własną głowę. Jakaś forma podważenia sowieckiego systemu mocarstwowego, podważenia, które praktycznie byłoby równoznaczne z procesem wyzwolenia, — oto warunek minimalny naszej własnej dalszej egzystencji.

Przywódcy komunistyczni wiedzą, na czym stoją. Wiedzą dobrze, że mogą wygrać, jeżeli na razie ograniczą się do utrzymania i rozwinięcia tego, co mają, a wiedzą również, że przegrają, gdy rozpętana zostanie przeciw nim szeroko zakrojona kampania wyzwalania. Obecna ich taktyka polega na odwodzeniu świata zewnętrznego od polityki wyzwalania przy pomocy walki politycznej i psychologicznego terroru, z równoczesnym niszczeniem tego, co można by nazwać przesłankami wyzwolenia. Przez czystki, doktrynalne szkolenie młodzieży, rusyfikację, systematyczne wygładzanie, fałszowanie kultury i historii, zsyłki masowe do obozów pracy niewolniczej i masową wymianę ludności, uprawiają świadome i systematyczne ludobójstwo. Celem tego ludobójczego programu jest wymazanie z dziejów różnych narodów i grup etnicznych i rozpuszczenie ich w sowieckim monolicie. W wypadku niektórych mniejszych narodów proces ten został już zakończony, a na całej przestrzeni Imperium jest w toku. Kreml słusznie opiera się na oczywistym

założeniu, że gdy narody przestaną istnieć, nie będą więcej mogły walczyć o wolność.

Równocześnie komuniści starają się zburzyć podstawę niezależnej egzystencji wszystkich innych grup, które mogłyby ewentualnie posłużyć kampanii wyzwalania. Obozy pracy przymusowej stają się zasadniczą instytucją gospodarczą i przyczyniają się do rozproszkowania klasy robotniczej. Kolektyw rolny uznany został za niedoskonałe narzędzie rozkładu warstwy chłopskiej. Komuniści dążą więc do przemiany kolektywów rolnych w gigantyczne fabryki rolnicze, obsługiwane przez całe miasta sproletaryzowanych robotników, wyprutych z wszelkiego stosunku do ziemi. Celem jest zorganizowana społeczność totalistyczna, zaludniona niezróżniczkowanym Rosyjsko-Sowieckim Człowiekiem-Masą. Gdy ten cel zostanie osiągnięty, choćby tylko w przybliżeniu, zniknie samo pojęcie wyzwolenia i wolności.

Taka więc jest miara naszego niebezpieczeństwa i jego grozy. Jesteśmy zgubieni, jeżeli nasz przeciwnik zachowa choćby tylko to co ma. Pozostało nam już niewiele czasu, gdy jeszcze możemy coś przeciwko niemu podjąć. Amerykanie nie długo już będą się mogli pocieszać rozpaczliwą nadzieją, że zawsze jeszcze można się uciec do bomb. Gdy będziemy zwlekać z ofensywą polityczną, może być za późno na bomby.

James BURNHAM

(Przełożył *Jan Ulatowski*)

Drukujemy powyżej fragmenty nowej książki Jamesa Burnhama „Containment or Liberation", która w najbliższym czasie ukaże się w Stanach Zjednoczonych nakładem John Day Co. New York. Jesteśmy dumni, że prawie jednocześnie z oryginałem książka ta ukaże się w języku polskim jako III Tom Biblioteki „Kultury" i będzie do nabycia w cenie 600 frs. już w końcu lutego rb. Niewątpliwie nasi czytelnicy będą chcieli się zapoznać z tą najsensacyjniejszą książką ostatniego okresu, świadczącą o zachodzącej zmianie w polityce Stanów Zjednoczonych. Czytelnicy są proszeni o wcześniejsze zamawianie książki bezpośrednio w redakcji „Kultury" lub w przedstawicielstwach. Zapewni to im otrzymanie książki przed wyczerpaniem nakładu a nam ułatwi pracę.

Wschód i Zachód w rozwoju gospodarczym

I. Uniwersytet Wileński był jedną z najdalej na wschód wysuniętych placówek kultury zachodniej, był perłą łacińskiej cywilizacji, ulokowaną w terenie gdzie Wschód splatał się z Zachodem. Dlatego też problem przeanalizowania różnic między Wschodem a Zachodem dręczył nas więcej, niż jakąkolwiek inną placówkę myśli polskiej. W pamięci mamy wszyscy głębokie dzieła naszego wielkiego rektora — Mariana Zdziechowskiego, o którym tutaj mówił nam przed dwoma laty prof. Kościałkowski. Prawie wszyscy historycy i wszyscy humaniści, którzy wykładali na naszej Wszechnicy zajmowali się tym problemem. Pytanie, które ich przede wszystkim dręczyło, dotyczyło różnicy pomiędzy duchową a psychiczną istotą Wschodu i Zachodu. W tym wykładzie mam zająć się dziedziną bardziej poziomą, lecz niemniej bardzo istotną, mianowicie, dziedziną tendencji rozwoju gospodarczego.

II. Tezą zasadniczą, którą chciałbym rozwinąć, jest twierdzenie, że cechą charakterystyczną Zachodu w trakcie nowoczesnej historii jest, że inicjatywa prywatna stanowi tam czynnik postępu gospodarczego, a właściwością Wschodu, że system własności prywatnej środków produkcji wiąże się tam z tendencjami do stagnacji w życiu gospodarczym, a nawet z objawami regresji.

Wysuwając te twierdzenie, poruszam znowu stary spór, który w końcu zeszłego stulecia toczył się w Rosji pomiędzy marksistami a tak zwanymi ,,narodnikami''. Marx uznawał i sławił twórczą rolę przedsiębiorcy kapitalistycznego. Manifest Komunistyczny ogłoszony w 1840 r. przez Marxa i Engelsa zapowiadał zbliżanie się nowej ery socjalistycznej, lecz jednocześnie wyrażał podziw dla tych potężnych sił dynamicz-

---

*) Odczyt wygłoszony na uroczystości otwarcia roku akademickiego Społeczności Uniwersytetu Stefana Batorego w Londynie w dniu 25 października 1952.

nych, które w erze kapitalistycznej rozpętała inicjatywa prywatna. Narodnicy natomiast twierdzili, że teza Marxa była słuszna w stosunku do Zachodu europejskiego i rozwijających się gwałtownie krajów Nowego Świata ; nie była jednak słuszna w stosunku do Wschodu Europy i Azji. Wysuwali oni doktrynę głoszącą, że etapy rozwoju gospodarczego Wschodu muszą być inne niż Zachodu. Sądzę, że w ciągu tych lat, które upłynęły od czasu, gdy ów spór się rozpalił, dzieje gospodarcze potwierdziły raczej tezę ,,narodników'', niż marksistów.

III. Na wstępie tych rozważań kilka uwag muszę zrobić o narzędziach myślowych, którymi mam zamiar posługiwać się. Termin ,,rozwój gospodarczy'' — biorąc rzecz najbardziej ogólnie — zawiera w sobie myśl o przemianach w kształtowaniu się bogactwa danego społeczeństwa. Nasuwa to od razu pytanie o wskaźnikach, przy których pomocy te przemiany możemy mierzyć. Ekonomiści i statystycy w trakcie swoich badań posługują się różnymi wskaźnikami : przeciętny dochód narodowy na głowę ludności, przeciętny dochód narodowy na jednostkę pracującą, przeciętna wydajność na godzinę, stopa inwestycji w stosunku do dochodu narodowego itp. Żaden z tych wskaźników nie jest idealny. Lecz na to nie ma rady. Znalezienie ścisłej miary w dziedzinie zjawisk społecznych jest o wiele trudniejsze, niż w dziedzinie zjawisk fizycznych, gdzie zresztą również ani metr, ani kilogram, ani termometr nie dają nam wskaźników idealnych.

W trakcie dalszych rozważań mam zamiar przeważnie posługiwać się dwoma wskaźnikami : dochodem narodowym na głowę ludności (względnie na głowę ludności pracującej) oraz — stopą inwestycji. Obydwa te wskaźniki mają swoje wady i zalety, których nie możemy tutaj omawiać. Chciałbym jedynie podkreślić, rzecz skądinąd oczywistą, że dochód na głowę ludności nie może być traktowany jako wskaźnik poziomu dobrobytu chociaż na dłuższą metę te dwie wielkości muszą okazywać pozytywną korrelację. Dobrobyt zależy nie tylko od absolutnego poziomu dochodu narodowego, lecz również od tego, jak jest dzielony pomiędzy konsumpcję, inwestycje i wydatki militarne ; oraz od tego jak jest dzielony pomiędzy różne grupy społeczne. Gdy mówimy o stopie inwestycji pamiętać również należy, że oszczędności społeczeństwa mogą być inwestowane w różny sposób : w stałe urządzenia produkcyjne, w stoki, tj. zapasy, w kredyty zagraniczne, itp. Przy rozważaniu przemian w potencjale gospodarczym społeczeństw największe znaczenie mają oczywiście inwestycje w stałe urządzenia produkcyjne : maszyny, narzędzia, środki transportu, budynki, itp.

ROZWÓJ DOCHODU NARODOWEGO

IV. Faktem znanym w nowoczesnej historii gospodarczej jest niezmiernie szybki wzrost dochodu narodowego i bogactwa we wszystkich typowych krajach Zachodu. Rozwój ten idzie

nieprzerwanym prawie trendem, jedynie z bardzo małymi wahaniami, aż do załamania się w 1929 r., z którego zrodziła się wielka depresja początku lat trzydziestych. Od czasu tej depresji wytwarzają się dwa typy trendów. Jeden charakteryzuje te kraje, które potrafiły szybko przełamać chorobę Wielkiej Depresji i szybko wyszły znowu na szlak gwałtownego rozwoju swoich sił wytwórczych ; drugi — te kraje Zachodu, które jak dotychczas, nie potrafiły zupełnie wygrzebać się ze skutków tej choroby.

Pierwsza grupa to przede wszystkim Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, anglosaskie dominia brytyjskie i kraje skandynawskie. Są to kraje, które przyjęły w początkach lat trzydziestych system waluty manipulowanej i nad których polityką gospodarczą zapanowały w latach późniejszych koncepcje ekonomii keynes'owskiej. Dla przykładu podaję tutaj kilka cyfr ewolucji dochodu narodowego na głowę ludności w Stanach Zjednoczonych i Anglii przeliczonych na specjalne jednostki obliczeniowe przez znanego statystyka Colina Clarka.

Stany Zjednoczone			*Wielka Brytania*		
lata	dochód nar. w miliard.	jedn. obl. na głowę ludn. pracuj. w ciągu roku	lata	dochód nar. w miliard.	jedn. obl. na głowę ludn. pracuj. w ciągu roku
1869-78	9.95	789	1860-69	7.4	707
1904-13	46.3	1386	1904-10	16.32	1001
1929	89.5	1904	1928	23.22	1244
1937	93.4	2000	1937	27.78	1381
			1944	35.82	1531
1947	153.0	2566	1947	30.69	1363

Do tej grupy zaliczyć również należy Niemcy. Co prawda Niemcy Schachta i Hitlera nie przyjęły systemu waluty manipulowanej, lecz pod względem przewodnich koncepcji w ich polityce zatrudnienia były niewątpliwie krajem keynes'owskim, jeszcze przedtem niż Keynes swoje rewolucyjne koncepcje sformułował. Polityka Schachta była prawdopodobnie w pewnym stopniu natchnieniem Keynes'a. W ciągu czterech lat po dojściu Hitlera do władzy, Niemcy niemal podwoiły swój dochód narodowy z 16.26 miliardów jednostek obliczeniowych w 1932 r. do 31.4 — w 1927. W 1938 r. przychodzi włączenie Austrii i dochód narodowy Niemiec skacze do 35.2 miliardów jednostek obliczeniowych, a w 1944 r., gdy Niemcy eksploatowali prawie całą Europę i korzystali z milionów niewolniczych rąk roboczych, — wynosił 47.9 mil. jedn. oblicz. Dla ilustracji tego tempa rozpętania sił wytwórczych, które się dokonało pod rządami Hitlera podaje, że poprzednie podwojenie dochodu narodowego Niemiec dokonało się pomiędzy początkiem lat osiemdziesiątych

zeszłego stulecia, kiedy cyfra ta zbliżała się do 10 mil. jedn. oblicz., a 1928 kiedy wyniosła 20.65 mil. jedn. oblicz., czyli że wymagało około pół stulecia.

Druga grupa krajów zachodnich — to te, których siły dynamiczne załamały się w wielkiej depresji lat trzydziestych i które, jak dotychczas, tych sił nie potrafiły odzyskać. To są kraje łacińskie. Francja przede wszystkim, której całkowity dochód narodowy spadł z 14.49 mil. jedn. oblicz. w 1928 do 11.48 mil. jedn. oblicz. w 1934 i podniósł się jedynie do 11.91 w 1938, a w r. 1947 był 8 proc. niższy niż w 1938. Dalej Włochy, Hiszpania i — może to niejednego zdziwi — również Szwajcaria. Nie oznacza to, że te kraje upadają; jest tam również ruch naprzód, tylko że w tym ruchu zostają one daleko w tyle za anglosasami i skandynawami. Jeżeli dziś Anglicy i skandynawowie wykazują tak duże opory przeciwko integrowaniu się gospodarczemu z Europą Zachodnią, nie jest rzeczą wykluczoną, że działa tutaj pewna świadoma czy nieświadoma obawa przed tymi objawami upadku sił twórczych na polu gospodarczym, które zarysowują się w krajach łacińskich. Pomimo jednak tego słabnięcia żywotności gospodarczej tej właśnie części Europy, która nas wszystkich czaruje urokiem wielkiej kultury łacińskiej, Zachód jako całość, jest wciąż polem postępu opartego o inicjatywę prywatną, jakkolwiek regulowanego przez globalne plany publiczne.

Zupełnie inny charakter trendu zaczyna wyłaniać się, gdy zwrócimy się do Europy Środkowo-Wschodniej i Rosji przedrewolucyjnej. Mówię, że „zaczyna wyłaniać się", bo bardzo trudno interpolować tutaj jakąś ciągłą krzywą rozwoju. Brak bowiem niezbędnych danych statystycznych, szczególnie jeżeli chodzi o wiek XIX. Jakieś mniej więcej uzasadnione obliczenia obejmujące całość poszczególnych krajów zjawiają się dopiero w przede dniu pierwszej wojny światowej. Lecz to, co z tych urywanych cyfr wynika, daje nam obraz stagnacji, a nawet w szeregu wypadków — regresji. Według obliczeń Colin Clarka w całym szeregu kluczowych krajów Europy Środkowo-Wschodniej dochód narodowy na głowę ludności był niższy w przede dniu drugiej wojny światowej, niż w przede dniu pierwszej wojny.

w jedn. oblicz. na głowę ludn. pracującej

Kraj	1913	1938
Węgry	427	408
Polska	661	508
Rumunia	400	318
Jugosławia	398	312

W Czechosłowacji dochód narodowy wykazał dużą dynamikę w pierwszej dekadzie po zdobyciu niepodległości. W drugiej dekadzie nie potrafiono jednak go podźwignąć z depresji lat trzydziestych na przedkryzysowy poziom. Pod tym względem cze-

chosłowacki trend rozwojowy zbliża się do francuskiego i włoskiego.

lata	jednostki oblicz. na głowę ludn. prac.
1913	577
1925	622
1929	727
1937	528

W stosunku do Rosji o rozwoju procesów automatycznych możemy mówić tylko jeżeli chodzi o okres przedrewolucyjny. Rozwój ten był niewspółmierny w stosunku do potencjału rosyjskiego. Według Prof. Prokopowicza dochód narodowy 50 gubernii europejskiej Rosji wzrósł z 8.193 mil. rubli w 1820 r. do 11.339 mil. rubli w 1913. Według obliczeń podanych przez Mołotowa podczas dyskusji nad pierwszym planem pięcioletnim przeciętna stopa rocznego wzrostu dochodu narodowego w ostatniej dekadzie przed pierwszą wojną była 2,6%. Wygląda to dość poważnie. Traci jednak w dużym stopniu na znaczeniu, jeżeli weźmiemy pod uwagę bardzo wysoką stopę przyrostu naturalnego w Rosji. Ekonomiści ,,narodnikow'' Danielson i Woroncow twierdzili, że wzrost dochodu związany z rozwojem przemysłu fabrycznego był w dużym stopniu niwelowany przez straty wynikające z zaniku przemysłu ludowego. Zdaniem ,,narodnikow'' rozwój przemysłu Rosji carskiej był niedostateczny aby pochłonąć przyrost naturalny, nie mówiąc już o zasadniczym nadmiarze rąk roboczych na wsi.

Twierdzenie o tendencji do zastoju gospodarczego w krajach Azji Środkowej i Południowej jest ogólnie znane. Najbardziej interesująca pod tym względem musiałaby być analiza trendów rozwojowych w Chinach w stosunku do czasów przed pierwszą wojną światową. Niestety brak danych statystycznych uniemożliwia taką analizę. Sprawozdanie Komisji Ekonomicznej dla Azji i Dalekiego Wschodu utworzonej przez Organizacją Narodów Zjednoczonych stwierdza spadek dochodu narodowego w Chinach o 9% pomiędzy 1936 a 1946 r. W pewnym stopniu może to być tłumaczone jako skutek zamieszek wewnętrznych, lecz z równym powodzeniem zamieszki wewnętrzne mogą być interpretowane jako skutek spadkowej tendencji gospodarki narodowej. W tym samym okresie w Phillipinach nastąpił spadek produktu narodowego (brutto) o 14%.

Nieco łatwiej jest jeżeli chodzi o daty dotyczące Indyj, gdyż administracja brytyjska organizowała tam szereg poważnych studiów. Dotyczyły one jednak przeważnie poszczególnych problemów i poszczególnych prowincji i trudno jest bardzo wyprowadzić na ich podstawie przeciętne dla całego terenu. Colin Clark na zasadzie różnych opracowań dochodzi do wniosku, że przed pierwszą wojną światową był w Indiach pewien, nieznaczny zresztą, trend wzrostu dochodu narod. na głowę ludności, lecz

w okresie pomiędzy wojnami utrzymywał się on ciągle, na tym samym poziomie 231 jedn. oblicz., co wynosiło mniej niż połowę polskiego wskaźnika, mniej więcej jedną piątą angielskiego, oraz mniej niż 1/8 wskaźnika Stanów Zjednoczonych w tym samym czasie. Sprawozdanie Komisji Ekon. dla Azji utworzonej przez Organizacje Narodów Zjedn. stwierdza zdecydowanie spadek dochodu narodowego w Indiach po 1931. Znany historyk gospodarczy Indii, Prof. Mukerjee twierdzi, że w XVII wieku poziom płac realnych był w Indiach więcej niż dwukrotnie wyższy od poziomu w 1938 r.

Ogłoszone w 1950 r. Sprawozdanie Komitetu Doradczego Do Spraw Colombo Planu — tzn. planu rozwoju gospodarczego Południowo-Wschodniej Azji przyjętego przez Brytyjską Wspólnotę Narodów — wysuwa przypuszczenie, że w ciągu ostatniej dekady w Południowej i Południowo-Wschodniej Azji nastąpił spadek produktu na głowę ludności, chociaż brak danych statystycznych uniemożliwia ścisłe obliczenia stopnia tego spadku. Sprawozdanie stwierdza jednak z całą stanowczością istnienie tendencji regresywnych w zakresie produkcji rolniczej. W Indiach na przykład przed 1939 r. była tendencja spadkowa przeciętnej wydajności na akr ziemi uprawnej. W okresie 1914 — 1919 przestrzeń uprawna pod ryżem wzrosła z 66 do 69 mil. akrów., wówczas gdy średnia roczna produkcja spadła z 27 do 25 mil. ton.

PODŁOŻE TENDENCJI DO STAGNACJI

V. Stoimy więc, wobec pytania co powoduje, że te same siły gospodarki indywidualistycznej, które na Zachodzie spowodowały taki wielki rozwój, na Wschodzie prowadzą do stagnacji? Nie mając pretensji do wyczerpania tematu, chciałbym jedynie zwrócić uwagę na dwa elementy, które wydają mi się podstawowe. Pierwszy to jest przeludnienie agrarne. Drugi — to kumulacyjny charakter postępu gospodarczego.

Przeludnienie agrarne jest chorobą struktury gospodarczej polegającą na tym, że wieś zatrudnia większą ilość rąk roboczych, niż to jest potrzebne dla bieżącej produkcji przy istniejącym poziomie techniki rolnej. Nadmierne ręce robocze są często przeszkodą dla racjonalnego zorganizowania produkcji rolniczej. I dlatego często mówimy, że jedną z cech przeludnienia agrarnego jest, iż produkcyjność krańcowa pracy w rolnictwie jest negatywna. Choroba ta dotyka znaczną część Europy Środkowej. Jedynie Łotwa, Estonia i Czechy były od niej wolne. Węgry, Rumunia, centralna i wschodnia Polska oraz wszystkie kraje bałkańskie w większym lub mniejszym stopniu cierpią na tę dolegliwość. Niezmiernie silnie była przeludniona przedrewolucyjna Rosja europejska — i to stanowiło główną cechę tego podłoża społecznego, z którego wyrosła rewolucja rosyjska. Przeludnione są również Chiny, Indie i prawie cała

południowo-wschodnia Azja. Przeludnienie agrarne tamuje postęp gospodarczy przez to, że zabija procesy akumulacyjne na wsi. Przeludniona wieś zjada tę część produktu, która by w innych warunkach została zużyta na podniesienie uzbrojenia kapitałowego gospodarstw rolnych. Przeludnienie rolnicze tamuje również proces przejścia od gospodarki naturalnej do rynkowej. Zubożały i pół-głodny włościanin nie może tworzyć rynku niezbędnego dla rozwoju miast i przemysłu. Przeludnienie agrarne jest najważniejszym czynnikiem kształtowania dziejów wielkiej połaci świata od granic Czech i Węgier aż do brzegów Pacyfiku.

Drugim czynnikiem, na który chciałbym zwrócić uwagę przy tej próbie wytłumaczenia owych tendencji do stagnacji, jest kumulacyjność postępu gospodarczego. Mam tu na myśli fakt, że warunki dla automatycznego postępu wytwarzają się przede wszystkim w tych krajach, które są już na pewnym poziomie rozwoju gospodarczego. Prywatna inicjatywy ma większe pole do popisu w tych krajach, gdzie istnieje już rozwinięty rynek, dobra służba informacyjna, aparat kredytowy i handlowy, dogodne środki komunikacyjne itp. Są to wszystko elementy, które przyczyniają się do obniżania kosztów produkcji, a jednocześnie stwarzają możliwości wyboru różnych kierunków działania. Jest to elementarna prawda życiowa, że łatwiej jest oszczędzać i powiększać swoje bogactwa temu, kto już pewnym bogactwem dysponuje, niż wkraczać na tę drogę nędzarzowi, który nic nie posiada. Dlatego też, jeżeli chcemy jakiś kraj pchnąć na drogę postępu przy zachowaniu podstawowych warunków gospodarki indywidualistycznej, trzeba mu stworzyć przede wszystkim bazę, z której na ten szlak postępu mógłby wystartować. Powtarzam tu w bardzo uproszczonej formie myśli, które w pierwszej połowie zeszłego stulecia stały się podstawą koncepcji polityki protekcyjnej Fryderyka List'a. W naszych czasach te same myśli stały się źródłem koncepcji międzynarodowej pomocy dla krajów gospodarczo niedorozwiniętych w dziele rozbudowy ich aparatu wytwórczego.

KONSEKWENCJE W ZAKRESIE POLITYKI GOSPODARCZEJ

VI. Pytanie drugie dotyczy konsekwencji politycznych wynikających z faktu, że w krajach Wschodu siły automatyzmu gospodarczego powodują stagnację. Jeżeli inicjatywa prywatna nie jest w stanie wytworzyć pędu do postępu gospodarczego, w takim razie wkroczyć musi inicjatywa publiczna. Słyszeliśmy w Polsce Niepodległej dużo narzekań na etatyzm. Etatyzm nie był wytworem niczyjej złej woli, lecz był koniecznością. W wielu wypadkach Koncern Banku Gospodarstwa Krajowego musiał podejmować odpowiedzialność dlatego, aby ratować zakłady produkcyjne od upadku.

Stwierdzenie tego faktu, że automatyzm gospodarczy rodzi na Wschodzie tendencje do stagnacji pozwala również rzucić nieco odmienne światło na ten wielki kataklizm dziejowy, którym się stała rewolucja rosyjska. Nasze pokolenie zbyt silnie odczuwa i przeżywa wypadki związane z tą rewolucją, aby było w stanie wydać jakiś sąd syntetyczny. Nie jest jednak wykluczone, że przyszły historyk gospodarczy będzie rozważał rewolucję rosyjską jako wielki wstrząs, który przełamał automatyczne siły depresji gospodarczej i spowodował, że czynniki publiczne wzięły w swoje ręce inicjatywę rozwoju sił wytwórczych.

SYSTEMY TOTALNE I ROZWÓJ GOSPODARCZY

VII. W wyniku tych rozumowań dochodzimy do konkluzji, która brzmi tragicznie. W naszych czasach systemy totalne wykazują w pewnych sytuacjach większe zdolności w zakresie rozwoju sił wytwórczych i pomnażania dochodu narodowego, niż ustroje liberalne. Przed chwilą podawałem cyfry dotyczące wzrostu dochodu narodowego Niemiec pod rządami Hitlera. Znaczny rozwój sił produkcyjnych Rosji w okresie ,,pięciolatek'' nie ulega wątpliwości. Możemy się spierać o to, czy wzrost dochodu narodowego Związku Sowieckiego wynosił w ciągu dziesięciolecia 1928-1938 — 320%, jak wykazują oficjalne indeksy, czy też 54% jak wykazują obliczenia tak bezwzględnego krytyka sowieckich metod statystycznych, jakim jest Collin Clark, czy też 87%, jak obliczył amerykański profesor Wyler. Sam jednak fakt wzrostu nie ulega dyskusji.

Systemy totalne podnoszą produkcję i rozbudowują aparat wytwórczy z dwóch powodów. Po pierwsze przez to, że wciągają do produkcji niezatrudnione rezerwy sił wytwórczych. Cechą systemu kapitalistycznego jest istnienie znacznych niezatrudnionych rezerw rąk roboczych i urządzeń wytwórczych. Fluktuacja w stanie tych rezerw jest treścią falujących ruchów koniunktury gospodarczej. Systemy totalne mobilizują te rezerwy.

Po drugie systemy totalne przyczyniają się do rozbudowy potencjału wytwórczego przez to, że wywierają nacisk na konsumpcję, aby podnieść stopę inwestycji. Na Zachodzie procesy oszczędnościowe noszą charakter automatyczny ; rola państwa polega przede wszystkim na umiejętnym regulowaniu procesów przeistaczania się oszczędności w inwestycje. Wielka Brytania inwestuje w latach powojennych przeciętnie około 20% dochodu narodowego, Szwecja inwestowała w 1947 — 17%, Norwegia — 25%.

Zupełnie inny obraz widzimy, gdy zwrócimy się na Wschód. Stopy oszczędzania i inwestycji w stosunku do dochodu narodowego są tam bardzo niskie (oprócz Japonii w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat przed wojną). W Indiach pomiędzy 1910 — 1938 przeważała tendencja spadającej sumy rocznych inwestycji. Sprawozdanie Komisji Ekonomicznej dla Azji i Dalekiego

Wschodu stwierdza istnienie nawet tendencji dekumulacyjnych w niektórych latach ubiegłego dwudziestolecia, szczególnie gdy chodzi o teren Chin.

Znaczenie rosyjskiej polityki „pięciolatek" polega właśnie na tym, że podniosła ona znacznie procent dochodu narodowego, który zostaje zaoszczędzony i skapitalizowany. Collin Clark obliczył, że Rosja podniosła rozmiary czystych inwestycji na głowę ludności z 19 jednostek oblicz. w 1928 r. do 65 — w 1938. Łagry i praca przymusowa są to jedne z aspektów wielkiej polityki inwestycyjnej, która przez mobilizację wszystkich rezerw wytwórczych i nacisk na konsumpcję wyprowadza Rosję z impasu stagnacji na szlaki gwałtownego rozwoju sił wytwórczych. Jednym z najważniejszych elementów światowej sytuacji gospodarczej jest dzisiaj fakt, że Rosja Sowiecka ustaliła metodę rozbudowy gospodarczej, która stać się może wzorem dla gospodarczo zacofanych i przeludnionych krajów Azji. Metoda ta automatycznie prowadzi do zastosowania pracy przymusowej. Jest to totalistyczna metoda uprzemysławiania krajów zacofanych. Dziś na te same szlaki wkraczają Chiny. Jutro pójść mogą również inne narody azjatyckie. Widmo odrodzenia niewolnictwa na skalę, jakiej historia ludzkości nie znała, zawisło nad Azją.

Metoda sowiecka przynosi postęp gospodarczy, lecz niszczy walory moralne i kulturalne naszej cywilizacji. W życiu narodów, tak samo jak i w życiu poszczególnych jednostek, bogactwo może błogosławieństwem bożym, lecz może być również dziełem szatana.

ALTERNATYWA DEMOKRATYCZNA

VIII. Pytanie powstaje, czy jest dla krajów Wschodu alternatywna metoda rozwoju w stosunku do tej, której przykład dała Rosja. Alternatywną drogą, jest kooperacja z Zachodem na wielką skalę. Nie mam tutaj na myśli lokaty kapitałów na prywatno- gospodarczych kalkulacjach opartej. Na Wschodzie nie ma w tej chwili warunków dla takiej lokaty, z wyjątkiem przemysłu naftowego. Mam natomiast na myśli pomoc Zachodu dla Wschodu na bardzo wielką skalę. Pomoc taka polegać by musiała na przekazaniu znacznej części oszczędności powstających na Zachodzie na cele wschodnich inwestycji produkcyjnych. Pod względem metody realizacji musiało by to odpowiadać Planowi Marshall'a powojennej pomocy dla Europy.

Pierwsza wzmianka możliwości takiej pomocy została dokonana w ogłoszeniu tzw. Punktu Czwartego Prez. Trumana, o którym już wzmiankowałem. Pierwszym wielkim przedsięwzięciem w tym zakresie jest tzw. Colombo Plan zmierzający do podniesienia gospodarczego południowo-wschodniej Azji. Jest on przede wszystkim objawem kooperacji gospodarczej w ramach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Jego główne zna-

czenie polega jednak na tym, że zatrzymuje on procesy regresji; skala jednak jego jest zbyt mała aby zrodzić jakiś istotny postęp gospodarczy. W 1951 r. ogłoszone zostało sprawozdanie komisji ekspertów powołanej przez Organ. Nar. Zjedn. dla zbadania sprawy podniesienia krajów gospodarczo zacofanych. Wśród szeregu zaleceń wysuniętych przez Komisje jest projekt przekazywania około 2% dochodu narodowego krajów przodujących na ten cel.

Wszystko to są jednak zalecenia nie odpowiadające kolosalnej skali zagadnienia. Nowa epoka w dziejach ludzkości przyjdzie naprawdę tylko wówczas, gdy Zachód zdecyduje się na mobilizację swoich zasobów na cele inwestycji wschodnich tak samo jak obecnie mobilizuje je na cele zbrojeniowe. Trzy pytania wysuwają się, gdy mówimy o możliwości takiego rozwiązania: 1) czy są w społeczeństwach zachodnich objawy zrozumienia dla takiego programu, 2) jak się to wiąże z problemem rosyjskim, 3) czy społeczeństwa Zachodu potrafią zdobyć się na postawę moralną, niezbędną dla realizacji takiego programu.

Jeżeli chodzi o pierwsze pytanie, odpowiedź brzmi raczej optymistycznie. W Stanach Zjednoczonych narasta grunt do przyjęcia tego rodzaju programu. Świadczą o tym liczne studia na ten temat organizowane przez Departament Stanu, ONZ., Międzynarodowy Bank dla Rekonstrukcyj i różne prywatne ugrupowania. Przy Prez. Trumanie funkcjonowało specjalne ciało doradcze dla tych problemów, na którego czele stoi Nelson Rockfeller, i które ogłasza również swoje sprawozdania. W Wielkiej Brytanii najwięcej zrozumienia dla tych problemów okazuje grupa Bevana, chociaż przedstawiciele tej grupy zdradzają zupełny brak wyczucia kwestii rosyjskiej, tak ściśle ze wszystkim co się dzieje na wschodzie związanej.

Przechodzę teraz do drugiego pytania, do możliwej roli Rosji. Jest rzeczą oczywistą, że Rosja dzisiejsza nie jest zainteresowana w kooperacji Zachodu w ożywieniu gospodarczym Wschodu. Szeroka skala pomocy inwestycyjnej osłabiłaby w krajach azjatyckich sugestie rosyjskiego modelu uprzemysłowienia, którego istotą jest ogromny nacisk śruby oszczędzania wewnętrznego na stopę życiową ludności. Pomoc inwestycyjna dla Wschodu mogłaby więc stać się czynnikiem osłabiającym wpływy rosyjskie. Dlatego więc, aby Rosję do takiej kooperacji skłonić, potrzebne są bardzo wymowne argumenty. Na Zachodzie wydają się coraz bardziej wyklarowywać dwa podstawowe punkty programu wschodniego: 1) mobilizacja zbrojeń dla zmuszenia Rosji w sposób możliwie bezkrwawy do kooperacji; 2) mobilizacja rezerw wytwórczych dla podniesienia gospodarczego Wschodu. Mogą to być dwa ogniwa tej samej koncepcji politycznej. Niestety, ci na Zachodzie, którzy widzą konieczność pierwszego punktu, rzadko umieją spojrzeć w dal dość daleko, aby dojrzeć całą wagę punktu drugiego. Ci znowuż, którzy potrzebę pomocy dla Wschodu rozumieją, nie

mają odwagi uświadomić sobie, że wstępem do tego musi być radykalne załatwienie problemu rosyjskiego. Słabością Zachodu w stosunku do Wschodu jest to, że nie umie on myśleć kategoriami dialektycznymi.

IX. Na trzecie pytanie w sprawie sił moralnych Zachodu nie jestem w stanie na tym miejscu odpowiedzieć. Wykraczałaby ona daleko poza dziedzinę, która jest obiektem badań ekonomisty.

W związku z tym pytaniem chcę tylko jeden fragment odpowiedzi z lekka poruszyć. Dlatego, aby narastające na Zachodzie oszczędności mogły być stale równoważone przez odpowiedni rozwój inwestycji, potrzebne są wielkie publiczne cele nieskomercjalizowane. Cele takie mogą być różne: zbrojenia, nawadnianie pustyń afrykańskich, budowanie instalacji dla wykorzystania nowych źródeł energii lub nakarmienie i przyodzianie nędzarzy w ogromnych skupiskach Azji. Wybór tych, celów nie jest problemem ekonomicznym. Zależy on od tych ideałów i tej postawy światopoglądowej, która będzie przeważała wśród różnych narodów. Nigdy w historii ludzkości waga problemów moralnych nie była tak istotna dla określenia kierunku procesów gospodarczych, jak to jest dzisiaj. Świat dzisiejszy potrzebuje głębokiej religijnej postawy. Potrzebuje poczucia tego miejsca, które człowiek błądzący po tej planecie, zajmować winien w ogólnej hierarchii wszechświata. Tylko w tym poczuciu rozwiązane być mogą tragiczne problemy współczesności.

Stanisław SWIANIEWICZ

Zachód i komunizm

1. MIĘDZY WOJNAMI ŚWIATOWYMI

Opanowanie władzy przez komunistów w Rosji w 1917-20 postawiło Zachód w obliczu trudnego i drażliwego zagadnienia. Politycznie zagadnienie komunizmu nie budziło większych dyskusyj. Dla Aliantów sam akt współpracy bolszewików z Niemcami wystarczał, by popierać białe ruchy, Rzesza zaś kierowała się wręcz odwrotnymi motywami. Zakończenie wojny i zawarcie pokoju w dużym stopniu zjednoczyło Zachód w negacji wobec komunizmu i nawet prosowieckie tendencje Berlina (Rapallo) miały charakter taktyczny, gdyż Niemcy bały się skomunizowania swego kraju niemniej od ich wczorajszych zwycięzców.

Negatywizm Zachodu nie wypływał jednak z przekonania konieczności obrony zagrożonej cywilizacji zachodniej. W niechęci do komunizmu przeważały momenty bezpieczeństwa : obawiano się wywrotowego charakteru partii i jaczejek komunistycznych, nie zaś samej idei. W konsekwencji zagadnieniem komunizmu zajmowała się przede wszystkim policja, ministerstwa spraw zagranicznych, częstokroć zmieniające doń swój stosunek zależnie od układu sił politycznych w parlamentach i rządach, oraz sztaby wojenne. Te ostatnie, mając w pamięci niedawne

*) Temat stosunku Zachodu do komunizmu nawet zamknięty w ramach 1917-1952 zahacza o wszystkie prawie zagadnienia socjalne i kulturalne tego okresu. Również i liczba źródeł, poświęconych temu problemowi, jest olbrzymia. W samej tylko Anglii w latach 1917-42 ukazało się około 5.000 książek o Sowietach, nie licząc dużej ilości artykułów i specjalnych periodyków sowietoznawczych. Nie inaczej było w Niemczech, Francji, Stanach Zjednoczonych, itd. Od okresu 1941-43 materiały o Rosji pomnożyły się ogromnie i pobieżne nawet omówienie tematu wymagało by dużego tomu. Ograniczając się do artykułu, autor, siłą rzeczy, zmuszony jest do krótkiego scharakteryzowania zagadnienia na podstawie kilku wybranych fragmentów.

dzieje wojny polsko-sowieckiej 1919-20 roku, utrzymywały liczne kadry białych rosyjskich armii na wypadek ponownego podjęcia przez Moskwę zaczepnych działań przeciwko Zachodowi. Walczyła również z komunizmem na wpół ślepa reakcja ,,żubrów'' różnych odmian, ras i poziomów kulturalnych. Oto jak odpowiadał Winston Churchill na prosowieckie artykuły H. G. Wells'a na łamach ,,Sunday Express'' w 1920 r. : Jakie mamy natychmiastowe lekarstwo? Niechaj bolszewicy odrzucą komunizm, paraliżujący wysiłki ludzkie i wysuszający źródła inicjatywy i bogactw. Odrodzenie nastąpi natychmiast. Lecz bolszewicy przestaliby w tym wypadku być sobą. Jeśli tego nie uczynią, nic nie uratuje miast i miasteczek Rosji oraz ekonomicznej i kulturalnej struktury kraju. Zanim, za zagrabione złoto zostanie nabyta za granicą jedna lokomotywa, dwie inne już się zużyją w kraju, a złota wkrótce zabraknie. Wystarczy go zaledwie na odzienie i wyekwipowanie armii i w niedalekim czasie będziemy świadkami kompletnego rozkładu wszelkich form życia w Rosji za wyjątkiem wsi...

Wspaniały ,,kawaler z siarki'' nie wychodził w swych wypowiedziach poza poziom demagogii i mocnej frazeologii. Jego powiedzonka w rodzaju ,,bloody baboons'', jak nazywał bolszewików, były wyrazem ,,tężyzny'' ówczesnych mężów stanu. Natomiast zachodnia elita umysłowa i artystyczna, oraz szerokie koła intelektualistów ustosunkowały się do komunizmu z pobłażliwością, często z sympatią lub z rezygnacją. Było to po części wytłumaczalne. Już pierwsze relacje podróżników do Rosji, takich jak A. Oleariusz (był w Moskwie w 1633 i 1636 r.), Baron A. Meyerberg (1661), S. Herberstein (1517 i 1526) itd., aż do A. Custine'a (1839) dawały odpychający obraz tego kraju dla człowieka Zachodu. Rosja nie cieszyła się popularnością i w dobie przełomu 19 i 20 wieków, gdy granica kulturalna między nią a Zachodem już się zacierała ; wizja tego kraju łączyła się z despotyzmem caratu, Sybirem, prześladowaniem podbijanych narodów, żydowskimi pogromami, zaś w polityce zagranicznej — z dążeniem do zajęcia Konstantynopola, znalezieniem wyjść na ciepłe morza, panslawizmem, itd. Tak więc zmiana reżimu w Rosji budziła nadzieje na demokratyzację stosunków w kraju oraz zanik imperialistycznych dążeń i sympatie pod adresem rewolucji nie raziły prawie nikogo.

UPADEK ZACHODU

Suche analizowanie lub uleganie wszystkiemu, co jest obce, lecz porywa wyobraźnię, bądź wreszcie demagogia antykomunistyczna, cechowały podejście Zachodu do komunizmu w latach porewolucyjnych. To stanowisko nie mogło ani zbudzić świata do walki z ,,twierdzą rewolucji światowej'', ani zdecydowanie odgrodzić go od przenikania rozkładowych idej. Zmęczenie powo-

jenne odegrało w tym pewną rolę, lecz powodem istotnym było utracenie wiary w porywający płomień własnych prawd cywilizacyjnych.

W okresie zjawienia się na horyzoncie widma rewolucji światowej Zachód przeżywał głęboki kryzys. Sceptycyzm wobec wszystkiego co humanistyczne łączył ze ślepą wiarą we wszystko, co jest ulepszeniem technicznym. Idee i ideały straciły siłę atrakcyjną i wydawały się jednakowo szare jak koty w nocy. ,,Der Untergang des Abendlandes'' O. Spenglera stał się ewangelią powojennego pokolenia. Zachód — pisał filozof niemiecki — po złotym okresie kultury wszedł w okres cywilizacji i tym samym w okres wojen, rewolucyj, wielkich technicznych wynalazków, skupiania życia w miastach, w dobę zapanowania ateizmu, utylitaryzmu, naturalizmu oraz dominowania maszyny, czyli w okres upadania.

Lecz skostnienie i upadek życia duchowego Zachodu nie objęły całości. Pozostały jednostki, grupy, może nawet całe warstwy, pełne świeżości duchowej i te bardzo często przyciągała rewolucja *). Salonowy komunista reprezentował arystokrację duchową nowych czasów, zaś walka z nim uchodziła za oznakę braku kultury. Starsze pokolenie zrównoważonych intelektualistów nie dopatrywało się w ideologii płynącej z Moskwy źródeł niebezpiecznych wstrząsów. Umysłowość człowieka zachodu z jego opanowaną wyobraźnią i niechęcią do syntez zwężała horyzont i prowadziła do patrzenia na dobę przełomu przez szkiełka ,,trzeźwego umiaru'' i ,,zimnej racji''. Nawet najwybitniejsi przedstawiciele nauki, odkrywcy tajemnic wszechświata i wewnętrznej budowy atomu nie wychodzili poza wąskie naukowouchwytne ramy, ulegając tej samej radykalno-nihilistycznej negacji lub wręcz sympatiom prokomunistycznym. F. Joliot-Curie, Pontecorvo, Fuchs, Alan Dunn May, itp. wyrośli na tej duchowej glebie.

W jednym szeregu z naukami ścisłymi szła humanistyka, lekceważąca rusycystykę i badanie Sowietów. Rozwijająca się na Zachodzie nauka historii cywilizacyj zupełnie prawie pominęła obszar Rosji. P. Milukow, rosyjski historyk cywilizacji, polityk i pisarz, opracował raczej encyklopedię faktów i wydarzeń z dziedziny rosyjskiej kultury ; O. Spengler analizował tylko Rosję, starając się przeprowadzić analogię z Zachodem ; Pitirim Sorokin nie wydostał się z powijaków patriotyzmu rosyjskiego, zaś Arnold J. Toynbee w odniesieniu do Rosji nie wy-

*) Przeoranie umysłowości zachodniej przez popularne na Zachodzie pisma Tołstoja, Turgieniewa, a przede wszystkim Dostojewskiego, jeszcze przed rewolucją przyciągały uwagę ku Rosji. Po 1917 r. nastroje rewolucyjne wzmagały się dzięki przekładom literatury sowieckiej. Były one bardzo liczne. I tak w Polsce w latach 1917-34 ukazało się 136 przekładów autorów sowieckich, zaś w Niemczech do 1933 r. — 266 przekładów. Oddziaływała również komunistyczna propaganda polityczna.

ciągnął tych wniosków, jakie narzuca cała jego teoria rozwoju i upadku wszystkich cywilizacji : widzi on w Sowietach dalszy ciąg Moskwy bizantyńskiej tylko w innych formach.

Historiografia kroczyła śladami historii cywilizacji. Rosyjscy historycy uważają słusznie Rosję za historyczną całość — zachwianą chwilowo przez wybuch rewolucyjnego wulkanu, co jest już uproszczeniem. Na Zachodzie przeważa tendencja podobna do eurazyjskiej — szukania analogii i podłoża w dziejach Azji i Eurazji, lub ,,białorosyjska'' z odchyleniami ku prosowietyzmowi. Najwybitniejszym przedstawicielem przesadnego identyfikowania dawnej i nowej Rosji jest Jan Kucharzewski, lepiej znany zagranicą niż w Polsce z licznych recenzyj jego prac.

Koncepcję carsko -sowieckiej Rosji umacniały na Zachodzie fale ,,wozwraszczeństwa'' wśród białej emigracji. Głośne były powroty ,,na ojczyzny łono'' grafa Aleksego Tołstoja, który w powieściach historycznych przerzuca ,,przymierza arkę'' między dawnymi a nowymi laty ; generała A. Ignatjewa, wskrzesiciela niektórych tradycyjnych form carskiej armii w armii czerwonej ; profesora N. Ustriałowa, widzącego w NEP'ie odwrót od bolszewizmu, i wielu innych. Istniał i kierunek odwrotny ,,wozwraszczeństwa'' : wracali z Moskwy zagraniczni komuniści, nie znajdujący tam wymarzonego ideału : Panait Istrati, autor głośnych rewelacyj o sowieckiej rzeczywistości ; A. Ciliga ; późniejszy — I. Silone ; głośne były ,,Retour de l'URSS'' A. Gide'a, przeżycia A. Koestlera i innych.

Jeszcze większy chaos wprowadzały obserwacje powierzchownych zmian zachodzących w Rosji. Już od samego początku nieomal, od 1921 r., nastąpił taktyczny odpływ fali rewolucyjnej w postaci Nowej Ekonomicznej Polityki (NEP), przywracającej wolny handel i częściowo prywatną inicjatywę w przemyśle. Lecz po 1928 r. okres ten utonął we krwi pierwszej pięciolatki i kolektywizacji, a nowe złudzenia zajęły miejsce wczorajszych : fala rewolucyjna zaczęła cofać się w całym świecie i Trzecia Międzynarodówka dogorywała na oczach. Światowe kongresy Kominternu, od 1919 r. odbywane corocznie w Moskwie, po 1922 roku stają się coraz rzadsze. Następny odbył się po dwuletniej przerwie, (1924 r), potem po 4 latach (1928 r.), i ,,ostatni'' po 7 latach (1935). Tajemniczy ,,Sanhedryn'' rewolucji, pod wpływem rewelacyj F. Borkenau, M. Eastman'a i innych nabierał cech rosyjsko-komunistycznego Secret Service, kierowanego przez specjalistów wywiadu i dywersji. A. Ciliga, pracownik Kominternu i komunista bałkański, wyrwawszy się z Sowietów w 1935 r., pisał o fikcyjnym charakterze Międzynarodówki. W całokształcie życia sowieckiego — podkreślał on — Komintern to ,,malenkoje zahudałoje uczreżdienie tretjewo razriada... Eto prosto inostrannaja sekcja agit propa C. K.'' (,,Komintern to malutki, zabiedzony urząd trzeciego stopnia... jest to po prostu wydział zagraniczny propagandy Centralnego Komitetu'').

Święciło triumfy pseudo-naukowe podejście w duchu statystyczno-indeksowym i niemiecko-przyczynkowym. Biura studiów nad Sowietami rywalizowały między sobą w drobiazgowej ocenie pracy poszczególnych gałęzi przemysłu sowieckiego na podstawie i tak nieścisłych statystyk sowieckich. Wszystkie zagadnienia sowieckie opracowywano według gotowych europejskich schematów lub białorosyjskich, już nieaktualnych, poglądów.

Dzieła wodzów sowieckich, Lenina i innych, otwarcie dyskutujących zagadnienie rewolucji światowej, traktowano ze sceptycyzmem, jak straszne bajki dla dzieci, obserwując zgoła odmienny kierunek ewolucji w Sowietach. Z czasem, pod wpływem trockistów i byłych komunistów, powszechnie przyjęła się teza, iż każdy zlikwidowany lub wcześniej zmarły wódz komunizmu był dobry, ideowy, ludzki — natomiast wszyscy późniejsi, zwłaszcza Stalin, są ostatnimi łotrami a przede wszystkim ludźmi miernymi, którzy zdobyli i utrzymują wysoką pozycję tylko dzięki partyjnym konszachtom i machiavelizmowi. Świat przyjął poglądy Trockiego, iż Stalin jest degeneratem fizycznym, „kinto" (po gruzińsku — odpowiednik lwowskiego „batiara"), oraz zakulisowym graczem partyjnym bezwzględnie likwidującym swych wrogów. Obraz usypiający ale fałszywy.

Wskazywanie na wrzący kocioł zagadnień socjalnych i rewolucyjno-wyzwoleńczych w całym świecie, ostrzeganie przed dokonywującą się mobilizacją „bazy rewolucji światowej" traktowano za nieszkodliwe majaczenia. Ośrodki walki z komunizmem na Zachodzie spadły do poziomu sekciarskich towarzystw dobroczynnych, a ich wydawnictwa do poziomu broszur ludowych ; odczyty antykomunistyczne nudziły patosem. W Polsce Instytut Naukowego Badania Komunizmu nie doznawał żadnej pomocy ze strony świata nauki i przekształcał się powoli w przebudówkę wydziału bezpieczeństwa. Jak dalece cały Zachód popadł w śpiączkę zadowolenia widać na nieudanym przykładzie dążenia Polski do odbudowy właściwej hierarchii zagadnień światowych. Idea wyzwolenia uciemiężonych ludów Rosji, będąca najwłaściwszą odpowiedzią na sowiecką doktrynę wojny poziomej (klasowej) nie znalazła oddźwięku na Zachodzie, a nawet w samej Polsce nie zdobyła szerszych sympatii.

W międzyczasie Spengler zrewidował swój pesymizm co do przyszłości Europy w książce „Der Mensch un die Technik". Pojawiły się liczne objawy odrodzenia myśli katolickiej, zaś świat anglosaski przez usta Dawson'a, Sorokina a przede wszystkim Toynbee głosił zasady specyficznej wartości zachodnio-chrześcijańskiego społeczeństwa o przeznaczeniach odmiennych od innych zaginionych lub przeznaczonych na zagładę społeczeństw. Pod wpływem tych i innych czynników Zachód wyzwalał się z fatalnej wizji grożącej od wschodu nawały i wkraczał w Wielką Ułudę powrotu do normalnych czasów. Mąciły ten spokój jedynie wewnętrzno-europejskie chmury hitleryzmu. Lecz

i to wydawało się złem posiadającym swe dobre strony, gdyż stanowiło przeciwwagę ewentualnym niespodziankom od strony rosyjskiej Eurazji.

NIEMCY A KOMUNIZM

Dojście hitlerowców do władzy w Niemczech wbiło się ostrym klinem w całokształt stosunków sowiecko-zachodnich. Hitleryzm wyrósł m.in. na strachu przed komunizmem i opanowawszy władzę pochłonął niemiecki komunizm do tego stopnia, że nadzieje Moskwy w okresie 1941-45 na pomoc ze strony 4.983.341 sympatyków komunizmu (którzy 13 marca 1932 r. głosowali na Thaelmanna, komunistycznego kandydata na stanowisko prezydenta) zawiodły prawie bez reszty.

Załamanie komunizmu w Niemczech prawem ukrytej logiki przyczyniło się w głównej mierze do likwidacji i samego hitleryzmu : niemiecki reżim uśpiony łatwym sukcesem zgniecenia własnego komunizmu przestał doceniać jego niebezpieczeństwo w całym świecie. Zainteresowania i studia nad Sowietami i komunizmem straciły w Niemczech dawny poziom i polot. Berliński ,,Antikomintern'' zajmował się omal wyłącznie propagandą antysemityzmu i hitleryzmu. Rządy niemieckie zaczęły więcej interesować się dywersją wśród mniejszości narodowych w Polsce czy Czechosłowacji, niżeli wśród nierosyjskich ludów Rosji. Traktowanie Sowietów jako potencjalnej pustki kulturalnej i politycznej prowokowały marzenia o łatwych sukcesach militarnych i zbudowaniu tam odpowiednika brytyjskich Indii. W tej sytuacji utrzymanie dobrych stosunków z Francją i Anglią wydawało się mniej potrzebne, a głębokie wyplanowanie polityki w odniesieniu do Sowietów — mniej ważne.

Klęska komunizmu w Niemczech uśpiła jednak i cały Zachód. Sprytna sowiecka polityka ściszania swej ekspansji światowej (ułatwiająca uprzemysłowienie Rosji przy technicznej pomocy Zachodu) dodatkowo wpływała na zmniejszenie uwagi. Uwypuklając i potęgując wewnątrz-europejskie spory doprowadziła do powstania dwóch bloków : państw Osi i demokracyj, zmierzających do wojny i wysuwających Sowiety na tertium gaudens. I tak niedocenienie komunizmu i jego ambicji podboju świata stało się największym błędem Zachodu w przełomowym okresie 1933-39.

Jakże inaczej wyglądałby dzisiejszy świat, gdyby nie popełniono tego błędu. W żadnym wypadku w rozgrywaniu swych sporów państwa zachodnie oraz Niemcy nie starałyby się uzyskać Sowiety jako partnera w przyszłym konflikcie zbrojnym, i nawet gdyby doszło do wojny 1939 roku — polityka niemiecka, świadoma niebezpieczeństwa i możliwości komunizmu, nie popełniłaby zasadniczych błędów, przekreślających zwycięstwo nad Sowietami. Gdyby jednak Niemcy, mimo mądrej polityki na wschodzie, poniosły klęskę, wówczas zaczęłaby działać trzecia

klapa bezpieczeństwa — docenianie przez Zachód groźby sowieckiej. Fatalne ustępstwa Teheranu i Jałty, pośpieszna demobilizacja po wojnie, oraz wiele zbrodniczych głupstw w rodzaju wydawania gwałtem w ręce NKWD tysięcy uciekinierów z Sowietów, błagających o prawo azylu u przedstawicieli mocarstw demokratycznych, byłyby niemożliwe i w konsekwencji uniknęło by się przyczyn obecnej „zimnej wojny".

ELITA ROSYJSKA ORAZ BIAŁA EMIGRACJA

Obok elementów i żywiołów sprzyjających zapanowaniu komunizmu istniał w Rosji czynnik zdecydowanie im się przeciwstawiający. Była to inteligencja, a zwłaszcza elita rosyjska, zachodnio-europejska w swym charakterze kulturalnym i w swych ideałach. Jej istnieniu i pracy zawdzięczał Zachód powstanie własnej enklawy cywilizacyjnej na olbrzymich obszarach rosyjskiej Eurazji. W tym świetle zalew tej enklawy przez komunizm nabiera szczególnej wymowy dla Zachodu, a mianowicie staje się potęgującym się w natężeniu groźnym memento dla całego społeczeństwa zachodnio-europejskiego. Bezkarne i nie pomszczone zniszczenie *części* jakiejkolwiek wielkiej cywilizacji przez wrogie społeczeństwo jest ostrzeżeniem przed jej całkowitym z czasem pochłonięciem.

◆

Dla uwypuklenia wymowy uniwersalnego znaczenia upadku „białej Rosji" spróbujmy scharakteryzować podobieństwa i różnice, zachodzące między rosyjską a zachodnią elitą na tle problemów rewolucji.

Elita rosyjska analizowana zwłaszcza od strony swych ujemnych cech jest ultra-europejska. Odnosi się wrażenie, że przejęła od Zachodu przede wszystkim jego wady i rozwinęła je do drugiej potęgi. W pamiętniku księcia S. Wołkonskiego czytamy : „...rzucając wzrokiem na nasze pokolenie podziwiam jego bezpłodność. Byli to ludzie niepotrzebni. Ich myśli tryskały jak żywa woda, lecz padały na piaski i w nich znikały ; ich uczucia były niezrozumiałe dla otoczenia, często śmieszyły ; ich talenty nie miały praktycznych wartości".

Nawet najbardziej oświecone jednostki cechował zanik woli, pasywność, kwietyzm. Ks. Wołkonskij opisuje atmosferę regularnych sołowiewowskich posiedzeń, podkreślając jak smacznie jedzono, mądrze mówiono, uważnie wysłuchiwano poważne odczyty, lecz nie dawało to żadnych praktycznych wyników. (Kniaź S. Wołkonskij „Moi wospominania", Miednyj Wsadnik, Monachium 1923). Nie wyrastały ponad ten poziom i sfery rządzące, ministrowie i otoczenie ostatniego cara. W chwili abdykacji wszyscy go opuścili. Płakał kamerdyner i kilku wzruszonych, lecz bezradnych dworaków, lecz w otoczeniu nie znalazł się nikt, zdolny ubudzić w carze gasnącą wolę walki. („Czaso-

woj" Nr 321, 1952). Marny sceptycyzm i pokryjome potępianie rzeczywistości rosyjskiej nurtowało dusze nawet tak żelaznych postaci reżimu carskiego, jak Pobiedonoscew czy Stołypin, lub tak utalentowanych ministrów jak hr. Witte. W ciszy gabinetów i salonów, w tajemnicy przed służbą, w języku francuskim uprawiano jałową krytykę systemu, drwiono z cerkwi, kpiono z cara, czasami nawet szukano kontaktów z... światem rewolucyjnym, fatalistycznie czekając na katastrofę własnego świata. Walczyła z narastającą rewolucją machina policyjna i zaślepiony tłum nacjonalistów, skupiających się w związkach typu Konfraterni Michała Archanioła i Narodu Rosyjskiego.

◈

Po rewolucji i wojnie domowej ponad milionowa masa rosyjskiego uchodźctwa politycznego rozproszyła się po całym świecie. W każdym wielkim ośrodku Europy Zachodniej i Ameryki osiadło po kilka lub kilkanaście tysięcy białych Rosjan ; w Paryżu skupiła się około 100.000-a kolonia. Emigracja dotarła do szczytów życia duchowego Zachodu : w okresie 1920-40 ponad 500 rosyjskich uczonych napisało i wydrukowało około 15.000 prac naukowych ; w tymże czasie staraniem emigracji wyszło z druku około 10.000 tytułów książek beletrystycznych i politycznych ; ukazywało się około 200 czasopism. Dzieła Dostojewskiego, Tołstoja, Turgeniewa pojawiły się we wszystkich językach zachodnich w wielokrotnych wydaniach. Lecz mimo wszystko biała emigracja nie potrafiła zaszczepić nowego ładunku dynamicznej myśli, zdolnej zmobilizować Zachód do akcji antykomunistycznej i zwiększyła tylko liczbę inteligencji i elity zachodniej bez oddziaływania na jej treść i charakter. Różniła się od zachodniej elity jedynie ,,mądrością po szkodzie". Zachód nie uświadomił sobie w pełni pokrewieństwa kulturalnego a tym samym banalności emigracji, natomiast dla białych Rosjan bezpośrednie zetknięcie się z wyidealizowanym Zachodem dało w rezultacie wiele zawodów i rozczarowań. Zachód wydał się im dalszym ciągiem tej samej, psującej się ,,od głowy", petersburskiej Rosji, chwiejnym, niezdolnym do powzięcia śmiałych decyzji nawet we własnym egoistycznym interesie. Autor rosyjski, F. Stiepun (,,Sowremionnyje Zapiski", tom XVII 1923) pisał : ,,Lubiąc Europę, my, rosyjscy Europejczycy, widocznie lubieliśmy ją tylko jako piękny widok w naszym oknie Piotrowym. Straciliśmy ojczyste okno spod naszych łokci, utraciliśmy i czar widoku... Nasz pobyt w Europie okaże się być może nie pobytem w kochanej Europie, ale pobytem w pustce Toricellego".

Nie potrafiła emigracja rosyjska wypełnić i swego zadania politycznego : nie umiała odtworzyć bardziej jednolitego i obiektywnego obrazu przemian w Rosji, który mógłby wpłynąć na politykę mocarstw w odniesieniu do Sowietów. Lekceważyła zachodzące w Rosji przemiany i ślepo wierzyła w dynamizm i nie

zniszczalność rosyjskiej antyrewolucyjnej tradycji. Patriotyzm, broniący dobrego imienia ojczyzny, obracał się w ten sposób przeciwko dążeniom emigracji — obudzania na Zachodzie trwogi i aktywnej reakcji. Natomiast jej dorobek i urok cywilizacyjny pociągały wszechstronnie i trwale. W bilansie opinia zachodnia zaczęła spoglądać na Sowiety nie poprzez pryzmat emigracyjnej negacji komunizmu, lecz poprzez cudowne okulary wielkiej rosyjskiej literatury, sztuki, baletu, nauki, dzielnie przez tę emigrację propagowanej. Popularność Rosji, i czerwonej i białej, rosła, zaś idea walki z komunizmem malała i zanikała.

W ogólnym obrazie rosyjskiej emigracji nie brak było ośrodków czy też jednostek ogromnie aktywnych i zasłużonych w walce z komunizmem i w dziedzinie uświadamiania Zachodu. Najczęściej były to ugrupowania, reprezentujące opozycję w stosunku do większości, toczące walkę z restauratorskimi ideałami ogółu, jak np. socjal-demokraci (mieńszewicy), socjal-rewolucjoniści i inni. Poważną rolę w zachodnim ruchu robotniczym odegrały, czynne dotychczas, wydawnictwa socjal-demokratów, na czele z *Socjalisticzeskim Wiestnikom*, jak i prace poszczególnych działaczy tych grup. Wystarczy wspomnieć tylko książki Davida Dallina ,,The Real Soviet Russia'' (Yale University Press, 1944), oraz opracowaną wspólnie B. Nikołajewskim ,,Forced Labour in Soviet Russia'' (tamże, 1947). (Ta ostatnia praca jest w istocie rozbudową polskiej książki A. Mory i P. Zwierniaka ,,Sprawiedliwość Sowiecka'', Rzym, 1945). Niewątpliwie wśród olbrzymiej masy konserwatywnej emigracji nie brakło doskonałych pozycji, wyliczanie których zabrałoby kilka stron tekstu. Znajdzie je czytelnik, jeśli chodzi o wcześniejsze wydawnictwa, w bibliografii książek o Sowietach pt. ,,Books on Soviet Russia, 1917-42'', ułożonej przez Ph. Griersona (Methuen and Co., London, 1943).

Lecz bylibyśmy jednostronni, gdybyśmy nie podkreślili, że przy wszystkich swych błędach emigracja rosyjska była aż nadto wszecheuropejska i w złym i dobrym tego słowa znaczeniu. Jej doświadczenia, płynące z cierpień zadanych przez rewolucję, nie zostały na Zachodzie ocenione, oraz jej niektóre wartości polityczne — niewyzyskane dzięki ślepocie i egoizmowi zachodnich rządów, pozostawiających sojusznika rosyjskiego w wojnie 1914-18, reprezentowanego przez tę emigrację, na dnie nędzy, rzucając ją w objęcia rozpaczy i ideologicznych zboczeń.

PODSUMOWANIE

Reasumując, świat Zachodu tylko na samym początku i to w niewielkim stopniu, zdawał sobie sprawę z ogromu idących od Wschodu wydarzeń. Czasy późniejsze zatarły te perspektywy, zaś dynamizm hitleryzmu jeszcze bardziej odwrócił uwagę od Moskwy. Co prawda, lata 1933-37 odrodziły zainteresowania

Rosją w związku z antykomunistyczną propagandą Berlina i czystkami, oraz pokazowymi procesami w Sowietach, lecz przeważyła je neutralna i bezbarwna postawa intelektualizmu zachodniego. Jednocześnie niektóre odłamy myśli zachodniej w obawie przed Niemcami i kierowane hasłami obrony demokracji skłaniały się ku zbliżeniu z Moskwą, czasami za cenę najwyższych ustępstw. Tendencje te wspierane były namiętnie przez lewicowe partie polityczne, łączące się we frontach ludowych z komunistami. Wybitni intelektualiści lewicowi rzucili na szalę swe autorytety naukowe lub artystyczne. W 1935 r. np. ukazała się praca słynnych badaczy ruchu robotniczego Anglii, małżonków Sydney i Beatrice Webb'ów — ,,Soviet Communism : A New Civilization''. Freda Utley, ex-komunistka angielska, w pamiętniku swym ,,Lost Illusion'' (poprzedzonym słowem wstępnym Bertranda Russell'a, London, 1949) pisała, że tacy autorzy, jak małżonkowie Webb, sprawili niewypowiedzianą krzywdę prądom liberalnym i postępowym zachodniej Europy. Ani hitlerowcy, ani komuniści, nie mogliby uczynić więcej w kierunku podminowania demokracji. Książka Webb'ów popiera komunizm rosyjski powagą dwóch najlepiej znanych liberalnych socjologów Zachodu. Webb'owie, współzałożyciele Fabian Society, przyczynili się do tego, że piekło sowieckie jest uznawane i respektowane w Ameryce i Anglii. Ich fabiański płaszcz utulił całą ohydę, głód, nędzę i barbarzyńskie metody Sowietów. Oni i im podobni ułatwili Stalinowi prowadzenie swej polityki bez żadnych hamulców.

W apologii komunizmu Webb'owie wzięli za dobrą monetę oficjalne źródła sowieckie. W wysiłku swym zrobili jeszcze jeden krok dalej, gdyż tłumaczyli przed Zachodem czystki, sądy pokazowe, obozy pracy, przemawiając do ,,zdrowego rozumu'' i popierając łagodzącymi okolicznościami. Książka ich zjednała Sowietom, w najbardziej dla nich krytycznym okresie zbliżania się wojny 1939 roku, miliony sympatyków oraz zachwiała przekonaniami wielu wrogów komunizmu.

Fala prosowieckich wydawnictw, zalewająca świat anglosaski, wkrótce potem, a zwłaszcza w latach 1941-45, została zainaugurowana przez encyklopedyczną pracę tych słynnych przyjaciół Bernarda Shaw'a.



Bilans doby 1917-45 nie wypłynął jak Deus ex machina. Nie zbudowały go penetracje agentów komunistycznych, ani sztuczki dyplomacji sowieckiej. Jak w większości wielkich klęsk wszystkich cywilizacji — źródło choroby kryło się we wnętrzu ponoszących klęskę społeczeństw. Komunizm sowiecki i jego ekspansja tylko odsłoniła i wyzyskała upadek dynamiczności zachodniej cywilizacji.

Od zbyt dałeko posuniętej klęski uratowały Zachód : fałsz doktryny komunistycznej i sowiecki antyhumanizm. Zdobycze Moskwy są jednak olbrzymie zarówno w Azji jak i w Europie. I one zmuszają do przypomnienia starej jak świat zasady, iż wiara, nawet fałszywa, jest lepsza od braku wiary, iż idea, nawet zabójcza, jest bardziej zdobywcza od bezpłciowych, na zimno wykoncypowanych, programów.

2. PO DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

W okresie 1943-46 Zachód dobił do szczytów zdrady własnych interesów politycznych i zapomnienia o swych obowiązkach moralnych. Są to lata Teheranu, Jałty, Potsdamu, gdy uleganie podszeptom inspiracji sowieckiej graniczyło nieomal z samobójstwem politycznym. Wypowiedzi o Rosji w owym czasie najwybitniejszych mężów stanu i dowódców wojskowych Zachodu wydają się obecnie niewiarygodnymi wprost objawami zamroczeń i braku orientacji w sytuacji międzynarodowej. W Ameryce propagowano przez krótki czas ideę podziału świata między dwie ,,bratnie demokracje'' — amerykańską i sowiecką ; w Londynie za wszelką cenę starano się zjednać Moskwę ; Francja wpuściła NKWD na prawach de facto eksterytorialności dla likwidacji nowego uchodźctwa z Sowietów. Temu wszystkiemu patronował świat nauki i kultury, uniwersytety, wydawnictwa.

W Ameryce P. Sorokin w 1944 r. odgrzewa przebrzmiałe poglądy Aleksego de Tocqueville (1805-59), francuskiego historyka i męża stanu, który pisał o identycznych liniach rozwojowych Rosji i Nowego Świata. W książce ,,Russia and the United States'' (E. P. Dutton, New York, 1944) podkreśla Sorokin demokratyczność, wolę współpracy i religijność ludu Rosji. Harmonia zasadniczych ideałów Rosji i Stanów Zjednoczonych zapewnia — zdaniem autora — trwały pokój, oraz winna zdobyć cały świat dla wzniosłej idei zbliżenia narodów.

Wybitny historyk cywilizacji R. Grousset w swej książce ,,Bilan de l'Histoire'' (Paris, Plon 1946), pomija Polskę nie dlatego, iż z perspektywy 7 tysięcy lat dziejów cywilizacji stanowi ona tylko mały fragment, ale dlatego, że nie może pogodzić jej istnienia i walki o byt z apologią wszystkiego co sowieckie. Wielbi więc Piotra Wielkiego i Katarzynę, i w takim samym duchu analizuje sowiecki okres Rosji. Pisze z zachwytem o ,,wolności i rozwoju narodów'' pod rządami Moskwy po upadku caratu. Rosja przeobraża się w dyktaturę inżynierów, budujących demokrację równości ekonomicznej, czego najlepszym dowodem są statystyki sowieckie. Chcąc pogodzić bezbożnictwo i materializm historyczny z komunizmem jako religią — pisze — że nie jest konieczne, by wiara była teistyczna. Buddyzm, na przykład, stanowiąc jedną z religii uniwersalnych, był ateis-

tyczny w swym zarodku. Wiara może być równie dobrze materialistyczna i czysto ludzka i wśród wielkich religii świata komunizm rosyjski posiada swą mistykę zbiorową, i jak kalifat muzułmański u swego zarania lub papiestwo rzymskie — swą własną moralność. Dzięki dogmatom marksistowskim klęski Rosji nad jeziorami mazurskimi (w pierwszej wojnie światowej) przeistoczyły się w zwycięstwa 1944 roku. Urzeczony Dostojewskim Grousset przytacza jego zdanie o Rosji : Czy wiecie jaki naród został wybrany przez Boga i jest jedynie powołany do odrodzenia świata i wybawienia go w imię nowego Boga? Jest to naród rosyjski. Szczytem myślenia tego francuskiego intelektualisty jest pokój za wszelką cenę nawet za cenę kapitulacji przed nowym dynamicznym czynnikiem, któremu na imię Pax Sovietica.

Bernard Pares, angielski autorytet w dziedzinie historii Rosji, uzupełnia swą bardzo popularną ,,A History of Russia'' (Jonathan Cape, London, 1947) wypowiedziami pełnymi zachwytów nad sukcesami i wytrwałością stalinowskiego reżimu. Książka jego upiększała frontowe półki i wystawy sowieckich księgarń w świecie anglosaskim i jego dominiach *).



Lata 1945-47 i następne są jednocześnie okresem naradzania się reakcji na klęski polityczne, płynące z nieokiełznanej ekspansji i żywotności komunizmu. Rozpęd i zasięg tej reakcji jest nadal powierzchowny, gdyż podyktowany został obawą warstw posiadających przed utraceniem dotychczasowej racji bytu. Na wielu obszarach Azji, jak na przykład w krajach arabskich, warstwy te słabo politycznie uświadomione — nie odczuwają nawet i tego strachu i gotowe są paktować z komunistami przy najmniejszej okazji wyzyskania sytuacji dla walki z ,,imperialistami zachodnimi''. Po dawnemu w walce z komunizmem cały jej ciężar spoczywa na aparatach państwowych : kosztem olbrzymich wysiłków dyplomacja zachodnia doprowadziła do szeregu porozumień międzynarodowych, zorganizowano kosztowną i mało-skuteczną propagandę, z dużym opóźnieniem zaczęto odbudowywać siły zbrojne, których szeregi wypełniane są pacyfistycznie nastrojoną młodzieżą. Próby remilitaryzacji duchowej są nadal nieudolne i nieszczere, zaś ostra świadomość niewystarczalności dotychczasowych wysiłków — uniemożliwia odrodzenie wiary we własne siły.

Społeczeństwa Zachodu z ich tradycją humanistyczną wyczuwają jasno, iż w walce z dynamiczną ideą nie wystarczają

*) Popularne wydawnictwo angielskie ,,Penguin Books'' z dużym opóźnieniem, bo w 1949 r., uraczyło masę swych czytelników, wydając opracowany starannie tomik propagandy komunistycznej ,,The Case for Communism'', pióra komunistycznego członka Izby Gmin, Williama Gallacher'a.

polityczne i wojskowe przygotowania, gdyż zwycięstwo materialne odsłoni tylko duchową klęskę, jak w wypadku podboju Chin przez Mandżurów, którzy szybko pochłonięci zostali przez zwyciężonych. Historia notuje wiele przykładów klęski strony wyposażonej w najlepszą broń i wysoko cywilizowanej, lecz duchowo bezsilnej, jak np. w dobie najazdu Mongołów na Europę i Środkowy Wschód. Oto jak ówczesny pisarz arabski opisuje klęskę wspaniałego kalifatu, poniesioną pod Bagdadem w 13 wieku :

,,...spotkały się nasze siły pod Nahr Bashir... i z szeregów naszych (arabskich) wpierw wyjedzie do walki wręcz rycerz w pełnym wspaniałym rynsztunku, na arabskim rumaku. I on i jego rumak będą jak jeden wielki głaz. Wówczas z mongolskich szeregów wystąpi jeździec na koniku wielkości osła, zbrojny w dzidę jak wrzeciono, ani też odziany w piękne szaty, nie mający pancerza, tak iż wszyscy, co go ujrzą, powitają go głośnym śmiechem. Lecz zanim dzień upłynął, oni byli zwycięzcami, oni zadali nam wielką klęskę, otwierającą Bramę Złego i spadło na nas to wszystko, co spadło na nas..."

Nasza doba nie wnosi większych zmian w tym obrazie. Bomba atomowa, tuż po jej wypróbowaniu w Japonii, mogła przełamać impas międzynarodowy, lecz w krótkim czasie spełniła funkcję toynbee'owskiego *challenge*, prowokującego nieoczekiwany *response*. Nieprzyjaciel nie tylko uzyskał tajemnicę tej broni, ale i zbudował dla siebie dodatkową tarczę obrońcy pokoju i cywilizacji, zagrożonych wojną atomową. Po stronie tej ,,pokojowej" akcji opowiedział się zastęp wybitnych fizyków atomowych Zachodu od A.D. May'a poczynając a na ostatnim przewodniczącym Kongresu Pokoju w Wiedniu — Joliot-Curie, kończąc. Budząc najwyższe obawy i tym samym redukując szanse wojny otwartej — bomba atomowa staje się czynnikiem coraz mniej groźnym dla Sowietów i coraz bardziej kłopotliwym dla Zachodu, gdyż Moskwa jest mistrzem w osiąganiu wojennych celów bez uciekania się do akcji militarnej a Zachód może przeciwstawić się ekspansji Sowietów przede wszystkim w wojnie otwartej, ujawniającej jego przewagę techniczną. To ostatnie twierdzenie nie jest jednak aksjomatem, gdyż skuteczne użycie techniki uzależnione jest od woli walki. Społeczeństwa zachodnie psychicznie nastawione są przeciw wojnie i wspaniała broń w rękach ich żołnierza staje się częściowo martwym ciężarem. Według amerykańskich źródeł — w czasie drugiej wojny światowej żołnierze amerykańskich wojsk lądowych od 12-25 % rzeczywiście walczyli, reszta zaś maskowała tylko swój udział. W wojnie koreańskiej liczba żołnierzy walczących wzrosła do 50 %, dzięki różnym zmianom w taktyce polowej. Zapewne nie jest lepszy od amerykańskiego żołnierz włoski czy francuski. Jednocześnie według obserwacji angielskiego generała Martel'a, dopuszczonego przez sowieckie dowództwo na linię frontu w czasie ostatniej wojny — żołnierz sowiecki w 75 % brał

czynny udział w walce. (B. Davidson ,,Why Half Our Soldiers Fail to Shoot?'', *Collier's*, November 8, 1952). Należy dodać, iż żołnierz amerykański i w ogóle zachodni jest kosztowny i według stwierdzenia generała J. van Fleet'a ,,...you can train, feed an pay sixteen Korean soldiers for the price of one American''. (Reuter, New York, November 22, 1952).

Zwykłe karabiny w rękach bitnych żołnierzy są niemniej skuteczne od najnowszej broni, obsługiwanej przez żołnierzy mniej chętnych i mniej zdolnych do walki. Dynamiczna i chociażby umiarkowanie zaczepna polityka Zachodu w tych warunkach jest ryzykowna i trudna. O tym wiedzą Sowiety i tym można tłumaczyć ich bezwzględność żądań i agresywność, maskowaną nawoływaniem do pokoju i oskarżaniem strony przeciwnej o akcję, zmierzającą do sprowokowania konfliktu światowego.

BYLI KOMUNIŚCI

Czasy obecne charakteryzuje zjawienie się licznych ośrodków byłych komunistów, którzy w dużej mierze wpłynęli na przekształcenie opinii na Zachodzie w duchu antykomunistycznym. Z ogólnego punktu widzenia jest to zjawisko niepokojące. Żadna armia nie zawdzięczała swych zwycięstw pomocy dezerterów z obozu nieprzyjacielskiego, ani nie wysuwała ich na czołowe stanowiska w swym dowództwie. Z drugiej strony wybitna rola, jaką byli komuniści odgrywają w walce z komunizmem, świadczy o bezbronności i bezradności społeczeństw zachodnich. Świadomi są tego faktu niektórzy z eks-komunistów twierdząc, że ostateczny bój z nawałą duchową ze Wschodu zostanie stoczony między komunistami i byłymi komunistami.

Byłych komunistów na ogół charakteryzuje brak właściwego zrozumienia niebezpieczeństwa komunistycznego. Obraz Sowietów, wyrastający z większości prac i wspomnień dawnych adeptów Wielkiej Czwórki (Marxa-Engelsa-Lenina-Stalina) jest płytki i często wulgarny. W procesie zatracania wiary w ideologię komunistyczną przechodzą oni kilka etapów. Po ślepym oddaniu się nowej religii — pod wpływem różnych czynników zaczynają powątpiewać i chwiać się. Potem namiętnie przyglądają się otaczającej ich rzeczywistości partyjnej. Poznają kulisy pracy partyjnej, obserwują wodzów od strony ich zawodowości rewolucyjnej i zbiurokratyzowania, prywaty, krętactwa, analizują przewrotną a-moralną politykę Kremla i upadek życia w Sowietach, by wreszcie zdecydowanie odrzucić swą wiarę. Dawne uniesienie zastępuje pustka w duszy, a miejsce biletu partyjnego — wykuta na pamięć powieść kryminalna o rozkładzie, fałszach, zbrodniach i zdradach podziemia komunistycznego i wielkiej polityki kremlińskiej. Razem z wielką wiarą w nieuniknione zwycięstwo komunizmu w świecie gubią i ten za-

sadniczy moment dawnej ideologii. Wielkie staje się małym i mizernym, groźne — chińskim smokiem z papieru, niesionym przed oddziałami dla zastraszenia barbarzyńskich nieprzyjaciół.

Całe prawie nasze obecne podejście do Sowietów i komunizmu na Zachodzie podlane jest sosem takiego właśnie rodzaju. Mamy dziś setki wspomnień i opisów byłych sympatyków i aktywnych komunistów, wyrażających swój demokratyczny neofityzm denuncjowaniem fałszów i przestępstw ich dawnego kościoła. Jest to bardzo cenne, gdyż hamuje w dużym stopniu dopływ nowych wyznawców w szeregi komunistyczne i podważa nimb Sowietów w masach inteligencji, jednocześnie jednak usypia czujność i wytwarza lekceważenie nieprzyjaciela. Na wielu obszarach Azji nie tylko nie trafiają one do przekonania czytelników, lecz skierowują ich wyobraźnię w kierunku wyszukiwania takich samych ,,komunistycznych'' wad, fałszów i zbrodni w polityce mocarstw, posiadających obecnie lub dawniej wpływy w Azji.

Na Zachodzie z kolei doświadczenia z niemieckimi obozami śmierci i komorami gazowymi tłumaczą opinii, iż rzeczywistość sowiecka jest zjawiskiem powszechnym w życiu ludzkości, wracającej obecnie jak gdyby w antyczne czasy panowania niewolnictwa i totalizmu Sparty. Również i sceptycyzm współczesnego człowieka umniejsza wymowę podawanych faktów, zaś ich jaskrawość wydaje się propagandową demagogią. To ostatnie zjawisko jest dość powszechne. Stephen Spender pisał, iż fanatyczna propaganda przeciwko Sowietom, prowadzona przez kontrrewolucjonistów, więcej w sumie pomogła bolszewikom niż zaszkodziła, gdyż wytworzyła gęstą mgłę zastrzeżeń, w której to atmosferze człowiek niezależny myślowo nie mógł przyjąć tego, co mówiono przeciw Rosji. (The God that Failed, Six Studies in Communism, Gr. Britain, January 1950, str. 244).

W stale rozrastającym się obozie byłych komunistów, titoistów, trockistów, a przede wszystkim większości sowieckich dipisów, tających w duszach wspomnienia młodzieńczych uniesień wiary zniszczonej przez ,,złego Stalina'', wyróżnić należy kilka grup i niezależnych jednostek, nie dających się objąć powyższą kategorią, gdyż w istocie otarły się one powierzchownie o komunizm i nigdy w pełni nie ulegały urokowi nowej wiary. Czołowymi ich przedstawicielami są : A. Gide, James Burnham, Arthur Koestler, Sperber i wielu innych. Miejsca zajętego w ich mózgach i duszach przez dorobek cywilizacji zachodniej nie mógł wytrawić prymitywizm doktryny komunistycznej. I tym się tłumaczy wysoka wartość ich obecnej pracy i pełnia wizji grożącego niebezpieczeństwa. Zjawisko to szczególnie ostro występuje u Jamesa Burnham'a w książce ,,The Struggle for the World'' (Day & Co., New York, 1947), proroczej i w warunkach amerykańskich — przełomowej. (W przekładzie polskim ukazała się na łamach ,,Kultury'', numery 9/26-5/31).

W szeregu różnych błędów popełnianych przez Zachód w analizie rzeczywistości sowieckiej — dwa szczególnie ważne wybijają się na pierwsze miejsce. Są to : a) wiara w „dobry lud rosyjski" w przeciwstawieniu do okrutnych przewódców i partii ; b) wiara w samorzutny zgon bolszewizmu. W obu kryje się cząsteczka prawdy lub nawet — sub specie aeternitatis — cała prawda, lecz z perspektywy lat 1917-52 były to wierutne fałsze. Mogą one pozostać złudnymi nadziejami jeszcze przez długi czas i kiedyś wcielić się w życie w sposób i w okolicznościach, odbiegających od wszelkich przewidywań.

ELITA I MASY

W okresach dużego zdynamizowania elity, partii czy nawet biurokracji — przepaść, dzieląca je od masy, jest z reguły głębsza, ale równolegle i wysiłek oraz ofiarność mas w pracy nad realizacją ideałów elity — o wiele większe. Można by powiedzieć, że napięcie powstające pomiędzy masą a elitą jest odwrotnie proporcjonalne do potęgi elity, kierującej twardą ręką ruchami mas. I jeśli opór mas zanika zarówno elita jak i całe społeczeństwo przechodzi w stadium apatii.

Obosieczność tych zasad jest nieunikniona. Piotr Wielki wyludnił częściowo Rosję, zniszczył wiele pięknych instytucji i tradycji moskiewskich z patriarchatem na czele, lecz bilans jego pracy dla najbliższych pokoleń okazał się dodatni. Rewolucja przemysłowa w Anglii zrodziła zdegenerowany proletariat slums'ów, ale równocześnie i potęgę imperium brytyjskiego. I odwrotnie, w obecnych ustrojach demokratycznych obok dużych wolności osobistych i dobrobytu mas występują oznaki politycznego bezwładu i egoistycznego rozproszkowania społeczeństwa.

W latach 1941-43 na obszarach Rosji Sowieckiej można było zaobserwować wiele momentów rozpadu systemu sowieckiego. Szybkie tempo marszu, narzucone przez elitę komunistyczną nie mogło nie wywołać wewnętrznego napięcia, które w okresie błyskawicznego natarcia armii niemieckich zachwiało fundamentami sowieckiego państwa. Mimo to wartość bojowa materiału ludzkiego armii sowieckiej była wyższa od zachodnich, z wyjątkiem niemieckiej. Przemysł wojenny Sowietów w zasadzie pokrywał główne potrzeby wojska. „Lend and Lease" był traktowany przez Kreml częściowo, jako jeden z drenów soków życiowych jutrzejszego rywala i metoda oszczędzania własnych sił. Polityka sowiecka celowo podkreślała własne braki, co w obserwowanej nędzy sowieckiego życia i w rozgardiaszu wojennym z łatwością było brane za dobrą monetę.

I tak liczenie Zachodu na rozdźwięki między elitą a masami w Sowietach jest w rzeczywistości niebezpiecznym hazardem.

SAMORZUTNY UPADEK KOMUNIZMU

Już w czasie wojny z Polską w 1920 roku Kreml skutecznie apelował do patriotyzmu rosyjskiego, wycofując się jak gdyby z zasad internacjonalizmu. Do bram Kremla zapukał słynny generał A. Brusiłow i tysiące białych oficerów *). Ogłoszony niebawem NEP (1921-28) uważany był przez większość za niedyskusyjny objaw odpływu fali rewolucyjnej. Bunt marynarzy czerwonych w Kronsztadzie przeciwko czerwonej władzy od 28 stycznia do 18 marca 1921 r. porównywano z początkami Termidoru, który w 1794 r. zlikwidował dyktaturę jakobińską.

Traktowanie Sowietów jako Rosji i zapominanie o komunizmie i światowym charakterze tego zagadnienia stale występowało przy każdym zagrożeniu Moskwy z zewnątrz, szczególnie w czasie japońskiej inwazji Mandżurii w 1931-32 r. i późniejszych konfliktów granicznych na tym terenie.

Druga wojna światowa sprowokowała histeryczny wybuch wiary w odrodzenie narodowej Rosji. Przywrócenie patriarchatu, podyktowane względami taktycznymi, pseudo-likwidacja Kominternu, wprowadzenie dawnych oznak w armii, itp. spełniły wszelkie nadzieje pokładane w nich przez Kreml : podwoiły ustępstwa wobec Sowietów ze strony Zachodu.



Wiara w samorzutny zanik komunizmu rodzi się przede wszystkim z książkowego porównywania tekstów marksistowskich z rzeczywistością sowiecką. Wykrywając rozbieżność między ideałami komunizmu a praktyką stalinowską — badacze starają się wykazać zdradę zasad markso-leninizmu przez czerwony Kreml i tym samym odchodzenie Sowietów od prawdziwego komunizmu. Zapominają jednak o zasadniczym momencie *rozbieżności teorii od praktyki*, występującej we wszystkich zjawiskach socjo-politycznych i kulturalnych, religijnych i gospodarczych od najdawniejszych czasów. Od pierworodnego grzechu rozbieżności między treścią świętych ksiąg markso-leninizmu a życiem codziennym nie jest wolny i komunizm rosyjski i rozbieżność ta z czasem będzie się zwiększała, mniej lub więcej niepostrzeżenie dla samych komunistów i bez większego znaczenia dla zewnętrznego świata. Na razie jednak Sowiety są o całe niebo bardziej komunistyczne, niżeli świat zachodni jest chrześcijański.

---

*) A. Brusiłow (1853-1926) ; w 1917 r. był naczelnym wodzem armii rosyjskiej. Po przyjęciu służby u czerwonych został prezesem Specjalnej Rady przy Naczelnym Dowództwie armii czerwonych. W 1920 r. wydał odezwę do byłych oficerów rosyjskich nawołując do obrony Rosji przed zaborczymi planami Polski.

„NIEPOZNAWALNOŚĆ ROSJI"

Poeta Tiutczew (1803-73) pisał :

Umom Rosii nie poniat,
Arszinom obszczim nie izmierit,
W niej osobiennaja stat,
W Rosiju można tolko wierit. *)

Dostojewski w 1861 r. wyraźnie podkreślał, że : „Jeśli tylko istnieje kraj nieznany, niezbadany, od wszystkich innych — najbardziej niepojęty i niezrozumiały, to tym krajem jest, bezsprzecznie, Rosja dla swych zachodnich sąsiadów... W różnych okresach sąsiedzi, spragnieni wiedzy zużyli wiele wysiłków dla poznania nas i naszego bytu. Zgromadzono wiele materiałów, liczb, faktów, przeprowadzono badania, lecz przeróżne wysiłki i próby wywnioskowania czegoś, co byłoby podstawowe, rzeczowe, sensowne o Rosjaninie, czegoś co byłoby syntetycznie dokładne... zawsze spotykało się z niepowodzeniem, rozbijało się o jakąś fatalną, jak gdyby przez kogoś i dla jakichś celów tworzoną przeszkodę".

„Kagda dieło dochodit do Rosji — pisze dalej — kakoje to nieobyknowiennoje tupoumje napadajet na tiech samych ludiej, kotoryje wydumali poroch i sosczitali skolko zwiozd na niebie, czto daże uwieriliś, nakoniec, czto mogut ich i chwatat s nieba". („Jak tylko sprawa zahacza o Rosję — pisze Dostojewski — jakaś dziwna tępota opanowuje tych samych ludzi, którzy wynaleźli proch i obliczyli, ile jest gwiazd na niebie, aż wreszcie uwierzyli, iż mogą je ściągnąć z nieba". (F. M. Dostojewskij, „Dniewnik pisatiela", Berlin, 1922, str. 1-2).

Jeśli trudno było odgadnąć Rosję z okresu carskiego, to po rewolucji i odcięciu jej od zewnętrznego świata wszystko co zachodziło i zachodzi w tym kraju stało się podwójnie trudne do odszyfrowania.

Anglicy, którzy zdawać by się mogło winni posiadać wielkie stosunkowo doświadczenie w sprawach rosyjskich, otwarcie przyznają się do ignorancji na tym polu. We wstępnym artykule tygodnika „The Economist" z 12 marca 1949 czytamy : „Jest prostą prawdą, że nikt poza Moskwą nie wie, co jakiś fakt oznacza, ani też nie jest w stanie czynić cokolwiek więcej jak tylko zgadywać znaczenie faktu tak długo, aż stopniowo uzyska dowody... I gdy tylko zacznie się wyciągać wnioski z masy dociekań — oznacza to tylko, iż jeden domysł wydaje się lepszy od drugiego i że ktoś gdzieś twierdzi, że jego ocena jest właści-

*) Umysłem Rosji nie objąć,
Nie zmierzyć wspólną miarą
Ona jest sama sobą —
W Rosję można tylko wierzyć.

wa. I tak, jeśli się zada otwarte pytanie mocarstwom zachodnim : który z tych wszystkich raportów jest w rzeczywistości prawdziwy, pozostaje im jedna *uczciwa* odpowiedź — *nie wiemy*. I z całą pewnością bezpieczniej jest oprzeć politykę zachodnią na tej wyznanej *ignorancji* aniżeli na ocenach, których wartości nie można skontrolować".

Zagadka Rosji nie jest jednak nie do rozwiązania a trudność w znalezieniu klucza polega na odmiennej od zachodniej treści cywilizacji rosyjskiej. Subtelny analityk cywilizacji O. Spengler rozwijał myśl niepoznawalności obcej kultury. Istnieją podstawowe symbole — pisał — i istnieje mnogość tych symboli... Jedna dusza wsłuchuje się w świat w tonacji A dur, inna F mol, bądź przyjmuje go w duchu Euklidesowym, to znowu kontrapunktowym, jeszcze inna — magicznym. Od czystej analitycznej przestrzeni i nirwany aż do najbardziej materialnej rzeczywistości ateńskiej, istnieje seria pierwotnych symboli i każdy z nich może stać się punktem wyjścia dla odrębnego, zamkniętego w sobie, świata. W ten sposób powstają różne kultury, jako zamknięte organizmy historyczne. I każdy taki organizm jest w zasadzie niepoznawalny dla innego ; kluczem poznania innej cywilizacji jest przynależność do niej.

◆

Jakkolwiek sprawa poznania Rosji jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi dla Zachodu — to jednak każda pełna i głęboka analiza polityki sowieckiej i przebiegających w Rosji procesów jest przyjmowana z lekceważeniem i podejrzliwością. We wspomnieniach pewnego ,,dipisa", żyjącego we Francji, znajdujemy prymitywne w formie odzwierciedlenie nastawienia Zachodu do obiektywnej prawdy o Sowietach. Opowiadał on na fermie francuskiej o życiu i nędzy kołchoźnika sowieckiego i spotkał się z niedowierzaniem i wrogością słuchaczy. W obawie przed wydaniem go w ręce agentów sowieckich zaczął wychwalać stosunki sowieckie i w ten sposób zatarł złe wrażenie pierwszych wypowiedzi i pozyskał przyjaźń otoczenia.

Mówiąc na Zachodzie o Rosji nie można wychodzić poza uznane pojęcia i należy stosować tylko te, które trafiają do apercepcji historycznej i konstrukcji zachodniej umysłowości. Biały emigrant rosyjski pozornie tylko jest lepszym źródłem wiedzy o Rosji. Jego duchowa treść odbija przede wszystkim końcową fazę europejskiego okresu Rosji i reprezentuje świat już martwy. Informacje jego o Rosji są tak samo niekompletne, jak informacje chrześcijan na Bliskim Wschodzie o pochłaniającym ich świecie Islamu, na który patrzą przez pryzmat przeszłości, nienawiści i chęci utrzymania wpływów.

ISTOTA PROBLEMU

Różnice między cywilizacją zachodnią a cywilizacją Rosji przez cały czas historii utrudniały współżycie obu światów. Wprawdzie w okresie przedrewolucyjnym istniał między nimi pomost w postaci zeuropeizowanej inteligencji rosyjskiej, jednak po jej zniszczeniu przez rewolucję, to ostatnie ogniwo znikło. Przepaść między światami, coraz bardziej obcymi i odległymi, pogłębia się stale ; zaś wzajemne uzależnienie wzrasta. Na Zachodzie problemy i próby ich rozwiązania związane z Rosją i komunizmem, mnożą się, bibliografie prac o Rosji są coraz obszerniejsze, lecz *zrozumienie* istoty zagadnień i zdolności ich powiązania w logiczną całość pozostaje na dawnym, przedwojennym poziomie.

Można by powiedzieć, że jedynym krokiem Zachodu naprzód we właściwej ocenie Sowietów jest narastające, *instynktowne* wyczucie niebezpieczeństwa idącego ze Wschodu i zagrożenia bytu nie tylko państw ale i całych społeczeństw zachodnich.



Organiczną skłonność do popełniania błędów w dużej mierze potęguje dynamiczność Sowietów. Niezrozumiałe i zaskakujące Zachód posunięcia sowieckie, z jednej strony wywołuja konsternację i dużą stratę czasu na wzajemne konsultacje, z drugiej zaś strony, jako planowo przygotowane chwyty, wpędzają Zachód w sytuację zmuszającą do dalszego bronienia się przy pomocy połowicznych rozwiązań.

W dynamiczności sowieckiej i pasywności zachodniej kryje się również odpowiedź, dlaczego błędy sowieckie, wynikające z małej znajomości Zachodu, nie wiele przynoszą szkód Moskwie.

Reasumując, błędy polityki zachodniej wobec Rosji stały się zjawiskiem stałym i naturalnym i trwać będą tak długo, jak długo *dynamizm zachodniej cywilizacji nie zacznie górować nad sowieckim komunizmem.* Jest to *conditio sine qua non,* który obowiązywać będzie Zachód i w przyszłości, nawet po ewentualnej trzeciej wojnie światowej, niezależnie od jej wyników militarnych i politycznych.

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

Apokalipsa Christophera Dawsona

Zazwyczaj, gdy mówi się: apokalipsa, myśli się o Objawieniu św. Jana. W rzeczywistości to słowo (pochodzące od greckiego „apokalyptein" — objawiać) oznacza rozległą, złożoną, dziwokształtną literaturę. Pleniła się ona bogato w judaizmie i w pierwszych stuleciach oświeconych wiarą chrześcijańską. Klasyczny jej pomnik stanowi „Testament dwunastu patriarchów"; przejmująco brzmią w nim tęsknoty mesjaniczne i zwiastuje się świat moralny Ewangelii.

Źródłem literatury apokaliptycznej jest niespełnione proroctwo, zawiedzione oczekiwanie. Ciemno widzi ona otaczającą rzeczywistość ; całą nadzieję, całą wiarę pokłada w przyszłości ziemskiej i zaziemskiej. Można powiedzieć, że literatura apokaliptyczna jest bliźniaczą siostrą literatury nihilistycznej. Obie rodzą się z zaprzeczenia ale literatura apokaliptyczna ma czynny stosunek do tego czemu zaprzecza, literatura nihilistyczna — bierny. Pierwsza usiłuje przezwyciężyć układ rzeczy, który nie zadowala pragnień i tęsknot, druga, złorzecząc, masochistycznie mu ulega. Pierwsza widzi świat jakby w perspektywie mikrobów rozkładu, druga otwiera dalekie widnokręgi, podrywa wolę i uskrzydla wyobraźnię.

Literatura nihilistyczna zajmuje dużo miejsca w naszej epoce (wystarczy wspomnieć Sartre'a i Moravię). Byłoby dziwne, gdyby nie wydała ona także literatury przeciwstawnej. Jest to przecież epoka par excellence apokaliptyczna. Wschodzi nad nią groza dająca się porównać tylko z grozą, którą wywoływało średniowieczne „millenium", czekanie na nieuchronny koniec świata. Dziś to uczucie drąży nieporównanie większe masy ludzkie, ma zasięg globalny: widziana z międzyplanetarnej czy metafizycznej odległości, nasza ziemia kurczy się i rozkurcza spazmatycznie jak serce w uścisku trwogi, może promieniuje mgławym poblaskiem, jaki pokrywa oczy przelęknionego człowieka lub zwierzęcia. Historycznie rzecz biorąc, obecny układ świata jest jakby gigantycznym powiększeniem sytuacji, z której zrodziła się żydowska literatura apo-

kaliptyczna. W tej literaturze świadomość narodowa czy plemienna dawała odpór narastającej, chłonącej wszystko potędze hellenistycznej. Dzisiaj w grze są siły i świadomości nieporównanie większe. Stąd inne proporcje literatury apokaliptycznej.

Godne przyjrzenia się i rozważenia dzieło tego typu przedstawia książka Christophera Dawsona *Understanding Europe*. Jest to apokalipsa bardzo nowoczesna. Buduje ona swój wywód nie z rozżarzonych, wzdętych wizyj, z trudno czytelnych i sprzecznie tłumaczących się symbolów ale z precyzyjnych rozpoznań i ustaleń intelektualnych. Opiera się na rozległej wiedzy historycznej. Dawson jest z zawodu historykiem, co prawda historykiem szczególnego obrządku: ma przygotowanie socjologiczne, unika dłubań archiwalnych, szuka wielkich syntez. Jest to jeszcze historyk niezwykły przez połączenie bezstronności naukowej z żarliwością wyznawcy, historyk o wielkim talencie pisarskim i potrzebie bezpośredniego oddziaływania na czytelnika.

Ostatnia jego książka nosi te wszystkie znamiona, w pewnym sensie stanowi sumę dotychczasowych badań i przemyśleń. Usiłuje ująć Europę i kulturę europejską w najszerszej perspektywie geograficznej i najgłębszej perspektywie historycznej. Ma zachwycającą potoczystość, zawodzi jednak pod względem kompozycyjnym.

Niniejszy szkic jest próbą nowego, jaśniejszego uporządkowania wybranych faktów i wniosków zawartych w pracy Dawsona a także ich krytycznej oceny.

ŹRÓDŁA APOKALIPSY

Apokaliptyczne widzenie Dawsona ma dwa źródła: liberalizm i katolicyzm. Jest on, z decyzji powziętej w dojrzałym wieku, katolikiem, z osobistej skłonności, z urobienia, angielskim liberałem (byli wśród nich ludzie głęboko i czynnie wierzący jak wielki Gladstone). Daje to razem stop szczególny i szlachetny.

Można by powiedzieć, że katolicyzm jest apokaliptyczny w swojej istocie, bo nie zadowala się życiem ziemskim, uważa je za odskocznię do życia pozaziemskiego. Ale na podstawie Dawsona waży on jako siła czynna, przetwarzająca rzeczywistość, siła tworząca kulturę.

W inny sposób na apokaliptyczne widzenie wpłynął wewnętrzny, organiczny liberalizm. *Understanding Europe* jest świadectwem rozczarowania. Liberalny wiek XIX widział w zmianie, w szybkim rozszerzaniu się wiedzy i zdobyczy technicznych dobro absolutne, triumfalny pochód światła, postęp nie znający wahań i nie mający kresu. Dziewiętnastowiecznym liberałom wydawało się, że jest to proces na wskroś demokratyczny, że urzeczywistnia się w nim powszechna równość, po-

mnaża się miara wolności dla wszystkich. To racjonalistyczne wieszczbiarstwo Comte'a, Johna Stuarta Milla, Spencera zawiodło oczekiwania. Nie spełnił się świat doskonały. Więcej: skutki zaprzeczyły siłom sprawczym. Na przekór nim drzewo życia rozbujałe jak nigdy przedtem zrodziło owoce wypełnione piołunową goryczą. Jej smak nie schodzi z warg Dawsona, gdy mówi o dzisiejszym świecie.

Jego apokaliptyczność ma jeszcze jedno źródło, choć jest ono zapewne najsłabsze, najmniej ważne, mianowicie subiektywizm narodowy. Dawson nie jest nacjonalistą — jak zobaczymy później jest przekonanym antynacjonalistą — ale w jego książce prawie mimowoli dochodzi do głosu świadomość zagrożenia imperium brytyjskiego. W tym ujęciu ta książka kojarzy się z głośną w trzecim dziesiątku lat bieżącego wieku książką Oswalda Spenglera *Der Untergang des Abendlandes*, w której znalazł ujście nastrój poklęskowy Niemiec po pierwszej wojnie światowej.

Ale tego podobieństwa nie należy rozumieć zbyt dosłownie: nie byłoby ono zbyt zaszczytne ani zbyt zachęcające. Spengler był dziennikarzem o wykształceniu matematycznym i przyrodniczym, Dawson jest humanistą w najpełniejszym, najlepszym tego słowa znaczeniu. Spengler był pesymistą i nie miał chyba żadnych czuć religijnych, Dawson jest człowiekiem głęboko wierzącym, dynamicznym optymistą. Spengler stał się prorokiem, na przekór przysłowiu wysłuchanym w swojej ojczyźnie, przepowiedział nowego Cezara i kojarząc socjalizm z nacjonalizmem, prostował mu ścieżki nawoływaniem: „Macht, Macht, mehr Macht!'' Dawson chciałby także być prorokiem nowego świata, przeciwstawiającego się dzisiejszemu układowi rzeczy. Nowego świata — jakiego?

Nim odpowiemy na to pytanie, przyjrzyjmy się ciemnej stronie jego apokalipsy.

BUNT PRZECIW EUROPIE

Taki tytuł nosi jedenasty rozdział książki Dawsona. Jest on zgubiony wśród rozdziałów historycznych i geograficznych, nie gra pełnym brzmieniem. A zawiera rozpoznanie zasadnicze, uderzające w wielu szczegółach swoją oczywistością.

Z Europą zdarzyła się rzecz nieznana w całej historii — runięcie z cokołu, błyskawiczna jak w hazardowej grze utrata wszystkiego. W ciągu niespełna pięćdziesięciu lat, właściwie za życia jednego pokolenia, świat europejski stracił przodownictwo kulturalne, przewagę polityczną i gospodarczą, ugruntowaną przez stulecia i dotąd bezsporną. W latach 1914 — 1950 przestała istnieć europejska społeczność narodów, po r. 1945 uległa rozbiciu nawet europejska społeczność państw: Europa poniosła największą klęskę, gdy oderwano od niej dwanaście narodów. Przepołowiona, okaleczała znajduje się ona w stanie większego

rozprzężenia niż u końca wojny trzydziestoletniej. Jest wewnętrznie rozbrojona, słabsza, niż była kiedykolwiek w ciągu dziesięciu wieków. Przestała być warsztatem świata, ośrodkiem skupiającym handel i finanse. Nie może się sama wyżywić ani sama obronić. Jest mniejszością zależną od innych. Wyraża to stosunek głosów Organizacji Zjednoczonych Narodów: 8 na 59 (Ameryka 22, Azja 16). Europa nie przewodzi już światu ale sama należy do dwu orbit pozaeuropejskich i zależy od dwóch centrów siły, które znajdują się poza nią. Utraciła poczucie bezpieczeństwa, żyje w stanie nieustannego zagrożenia. Spadła do roli, jaką w XIX wieku odgrywał — kocioł bałkański.

Temu wszystkiemu towarzyszy upadek prestiżu kulturalnego. "Do niedawna kultura zachodnia zajmowała wyjątkowe stanowisko: nie była jedną z wielu kultur, stała się kulturą w sensie absolutnym, pierwszą — poza hellenizmem — kulturą światową. W tym charakterze kultury powszechnej jest ona teraz atakowana wszędzie, na wszystkich terenach ekspansji. Azja i Afryka podnoszą otwartą rewoltę. Ameryka, która jest jej wielką odroślą, uważa się za coś innego i lepszego.

Gorsze jest, że ta gwałtowna odmiana losu sięgnęła w głąb świadomości europejskiej. Podważyła wiarę we własne tradycje i wartości, zachwiała zaufanie do siebie. Można by powiedzieć: wywołała w Europie masowy kompleks upośledzenia.

Niebywałą okolicznośc stanowi to, że bodźce zawiązujące ten masowy kompleks upośledzenia idą nie tylko z zewnątrz ale i z wewnątrz. Bunt przeciw Europie bierze początek w niej samej, atak przeciw niej posługuje się bronią argumentów „made in Europe". „W bardzo znacznej mierze Europa jest największym wrogiem siebie samej" (temu duchowi zaprzeczenia i buntu Albert Camus poświęcił niedawno całą książkę *L'homme revolté*).

Takiej sytuacji nie było w żadnym okresie historii. Dawson stwierdza — a można w tym zaufać jego wspaniałej wiedzy — że nie było ideologii anty-hellenistycznej ani anty-rzymskiej. Przeciwnie dochowywano wierności starym tradycjom kulturalnym całe wieki po załamaniu się porządku politycznego; zresztą przeniesienie lojalności z kultury antycznej na kulturę chrześcijańską odbyło się w tym samym śródziemnomorskim kręgu kulturalnym.

Rebelia wewnątrz Europy skierowana przeciwko duchowi europejskiemu wyprzedziła zmierzch polityczny i utratę przewagi gospodarczej. Przygotowała je, bo dostarczyła wrogom broni i amunicji. Zachwianie wiary w Europę pozbawiło ją samą siły przebojowej i siły oporu w stosunkach wewnętrznych. „Wydaje się — to zdanie ma tryb warunkowy ale tonację wyraźnie apokaliptyczną — że Europa może stracić nie tylko swoje dawne stanowisko i przewagę posiadaną w świecie ale nawet swoją autonomię; może jest jej pisane, aby ją pochłonęły rojące się miliony świata wschodniego". „Jest to sprawą życia i śmierci

dla każdej części wspólnoty europejskiej i dla każdego obywatela Europy".

Jakie są przyczyny straszliwego upadku i śmiertelnego zagrożenia? Odpowiadając na to pytanie, Dawson kładzie w ciągu książki nacisk na rozmaite sprawy ale szuka przyczyny pierwszej. Zobaczmy wprzód tę przyczynę leżącą u korzeni a później przyczyny od niej pochodne czy stanowiące tylko jej rozmaite postaci.

ROZWÓD KULTURY Z RELIGIĄ

,,Nowoczesny bunt przeciwko Europie jest nieuniknionym skutkiem utraty wspólnych celów duchowych i wspólnego systemu wartości moralnych, które wywodziły się z tradycji chrześcijańskiej" — tak brzmi zasadnicza diagnoza Dawsona. Opiera się ona na religijnym pojęciu kultury, rozwiniętym wcześniej w kilku książkach z pogranicza historii, socjologii i tego co Znaniecki świeżo nazwał ,,cultural sciences": *Progress and Religion* (1929), *Enquiries into Religion and Culture* (1934), *Religion and Culture* (1948), *Religion and the Rise of Western Culture* (1950).

Dawson bynajmniej nie przeocza materialnych składników kultury, podkreśla ich ważność przeciw idealistom, ale przeciw skrajnie materialistycznemu, naturalistycznemu pojęciu kultury dowodzi, że więzią łączącą te składniki jest zawsze treść duchowa. Każda kultura ma podstawy religijne. ,,Wyraża ona w instytucjach społecznych i twórczości kulturalnej wiarę lub wizję rzeczywistości, która jej zapewnia duchową jedność". Wszystkie wielkie, żywotne, twórcze kultury świata były związane z wielkimi religiami. We wszystkich słabnięcie religijnych, duchowych i moralnych podwalin powodowało chwianie się i rozprzęganie całej budowy.

Kultura zachodnia zawdzięcza swoje powstanie i swoje zdobycze impulsowi religijnemu, cała lub niemal cała jej zawartość wewnętrzna wywodzi się z chrześcijaństwa (Dawson zobrazował to we wspaniałej książce *The Making of Europe, An Introduction to the History of European Unity*, 1946). Europa nie jest odrębną jednostką geograficzną ale półwyspem wychodzącym z eurazjatyckiej masy lądowej. Nie jest też tworem politycznym. Jest formacją kulturalną, a więc u początku — religijną. ,,Jest to kontynent stworzony przez człowieka, dzieło historyczne, wynalazek Greków". Grecy stworzyli zachodnią ideę człowieka i koncepcję kultury humanistycznej. Chrześcijaństwo — jedyny czynnik nie zachodni w kulturze zachodniej — przeszczepiło do świata rzymsko-hellenistycznego odwieczną tradycję sakralną, z rozmaitych składników ukształtowało nową całość. Młode jeszcze, miało dość siły, aby przeżyć upadek cesarstwa, ocalić wyższą kulturę, ,,stać się schronieniem zwyciężonych ludów".

Przez chrześcijaństwo i jako chrześcijaństwo Europa uświadomiła sobie swoje istnienie, stała się społecznością ludów złączonych wspólnymi wartościami moralnymi i wspólnymi celami. W epoce Karola Wielkiego chrześcijaństwo stanowiło jedność obejmującą wszystkie dziedziny życia jednostkowego i zbiorowego. Całe średniowiecze było rozszerzaniem i dopełnianiem sakralnej monarchii karolińskiej, wytworzyło coś co Dawson trafnie nazywa ,,teokratycznym internacjonalizmem''. Na rozstępie między XI i XV wiekiem Europa z niewielkiego ziarna rozrosła się w ośrodek kultury, który dorównał bogactwem i siłą starożytnym kulturom wschodnim a przewyższył je energią twórczą.

W XV wieku Odrodzenie rozbiło teokratyczną jedność Europy ale zastąpiło tę jedność uniwersalną kulturą świecką. Humanizm zajął miejsce kościoła katolickiego jako łącznik i twórca wartości duchowych. Katolik Dawson uważa go za syntezę chrześcijaństwa i antyku, jest pełen podziwu dla jego dokonań kulturalnych. W dwu następnych stuleciach, mimo rozdzierających napięć i krwawych wojen religijnych, sztuka i nauka była jedna i wspólna, skłócony świat europejski tworzył ,,rzeczpospolitą literacką'', która przekraczała polityczne granice i podziały, była rzeczywistą wspólnotą.

Dopiero wiek XVIII i Oświecenie zaczęły namiętną, ślepą choć niby racjonalistyczną krytykę religijnych założeń kultury. Przekreśliły wieczne prawdy chrześcijańskie, odrzuciły moralne wartości humanizmu, zaprzeczyły historycznym osiągnięciom kultury europejskiej (n.b. to może tłumaczy dlaczego w Polsce komunistycznej Oświecenie jest uprzywilejowaną i apoteozowaną epoką historii). Nastąpił rozwód między kulturą i religią, zaczęty zresztą już przez Lutra. Powstała kultura autonomiczna, niezależna od tradycji religijnych.

Wtedy to otwarła się nad Europą puszka Pandory i spadły na nią plagi, które ją osaczają ze wszystkich stron, nękają i pędzą do zagłady. Są to przede wszystkim trzy bestie apokaliptyczne: rewolucjonizm, nacjonalizm, etatyzm.

BESTIA REWOLUCYJNA

Jest to dla Dawsona hydra dwugłowa: jedną z tych głów stanowi francuska rewolucja polityczna, drugą angielska rewolucja przemysłowa. Ich dziedzictwo jest złem podwójnym. Rozsadza Europę od wewnątrz i wzbudza przeciw niej niszczycielskie siły na zewnątrz. W stwierdzeniu, że rewolucyjny komunizm jest dzieckiem i dziełem kultury europejskiej wraca motyw natrętny, prześladowczy książki Dawsona: Europa przeciw Europie.

W rewolucji francuskiej doszło do głosu oświecenie, prąd głęboko anty-chrześcijański, anty-europejski i anty-kulturalny. Dość niespodzianie Kleist wydaje się Dawsonowi ostateczną konsekwencją postawy rewolucyjnej, wyzwoleniem sił irracjonal-

nych, spętanych przez chrześcijaństwo, symbolem „negatywnej ekstazy zniszczenia, mistycyzmu śmierci".

Rewolucja przemysłowa pomnożyła materialne bogactwo, pobudziła przyrost naturalny, ale osłabiła spoistość i żywotność kultury europejskiej, obniżając wartość wewnętrzną jednostki i cenę człowieka jako siły roboczej. W dalszym następstwie zrodziła ostre napięcia klasowe, stworzyła nieznane dotąd linie podziału, nowe internacjonalizmy kapitału i pracy. Jak później ideologia rasowa, było to cofnięcie się do epoki przedchrześcijańskiej. Cechą charakterystyczną kultury zachodniej jest bowiem odpowiedzialność jednostkowa i duch wysiłku moralnego. Ideologia klasowa (jak i rasowa) zastępuje odpowiedzialność indywidualną odpowiedzialnością masy, na miejsce wysiłku moralnego stawia konieczność historyczną.

Napięcia stworzone przez te dwa ruchy rewolucyjne skupiły się w dwu narodach: Niemczech i Rosji. Niemcy są generatorem idei rewolucyjnych, Rosja stanowi teren ich przerzutu, wzrostu i mobilizacji dla ostatecznego zniszczenia kultury zachodniej.

Rewolucjonizm rosyjski nazywa Dawson „odwróconą religią"; miał on też pierwotnie charakter religijny i kulturalny, nie polityczny i społeczny. Przetrwało to nawet w doktrynie marksowsko - leninowsko - stalinowskiej, w której materializm i ateizm są dogmatami religijnymi. Nauka Marksa pociągała w Rosji od początku swoją dogmatycznością, fatalizmem zmian jakoby nieuchronnych, mesjanizmem upatrującym w proletariacie klasę wybraną. Weszła ona w miejsce swoiście rosyjskiej postawy nihilistycznej, przekreślającej wszystkie tradycje i więzi kulturalne, dążącej, jak mówi Berdiajew, do całkowitej „nagości człowieka". Pierwszy marksista rosyjski, Tkaczew, ożenił Bakunina z Marksem, nihilizm z materializmem historycznym.

To, co się stało w Rosji, w państwie eurazjatyckim, kraju pogranicznym, noszącym w sobie dziedzictwo wschodnie, tatarskie, i od czasów Piotra Wielkiego forsownie, mechanicznie upodobnianym do Zachodu — narasta teraz w Azji i Afryce. Narastająca siła rewolucyjna zwraca się przeciw Europie.

BESTIA NACJONALISTYCZNA

Dawson jest również zdecydowanym wrogiem nacjonalizmu. Wywodzi go z rewolucji francuskiej i epoki napoleońskiej. To Napoleon sprowokował nacjonalizm europejski, rozpętał w nim siłę jeszcze gorszą od rewolucji (jest to prawda w odniesieniu do Niemców, narodziny nacjonalizmu w Anglii trzeba cofnąć do epoki Tudorów). Często, jak u Fichtego, rewolucjonizm i nacjonalizm chodzą w jednym zaprzęgu. Razem lub osobno, nacjonalizm jako dążność rewolucyjna czy zachowaw-

cza, działa odśrodkowo, rozsadza wspólnotę europejską, pędzi ją ku przepaści. Kilka razy w ciągu książki nawraca zdanie Grillparzera : ,,Droga kultury nowoczesnej wiedzie od uczuć ludzkich przez nacjonalizm do bestialstwa''. Bismarck i Hitler ogniem, mieczem i krwią zakreślili tę linię.

Potępiając nacjonalizm Dawson wysoko stawia narodowość. Uważa poczucie narodowe za cechę znamienną kultury zachodniej. Jest to bowiem kultura wieloraka, zróżnicowana jak żadna inna, posiadająca silnie rozwinięty zmysł odrębności osobowej, składająca się z niezliczonych odmian narodowych i regionalnych, umożliwiająca współistnienie miniaturowych tworów jak Holandia, Belgia, Dania obok wielkich mocarstw. Stanowi ona przeciwieństwo wschodnich kultur anonimowych, masowych, monolitycznych, w których granice kultury, narodu i państwa pokrywają się ze sobą. Azjatycki monolit kulturalny nie europejska wielorakość kulturalna jest ideałem, do którego zmierza dzisiaj Rosja sowiecka.

Potępiając nacjonalizm Dawson występuje także przeciw abstrakcyjnemu internacjonalizmowi, ,,kosmopolityzmowi bez korzeni''. Święte Przymierze przeoczało narodowość, takie instytucje współczesne, jak Liga Narodów i UNO przeoczają istnienie wspólnot wyższego rzędu, związków organicznych, kultur, przede wszystkim kultury zachodniej, ,,najbardziej rozwiniętej formy społeczeństwa, jaką ludzkość do tej pory wydała''. Z jeszcze większą stanowczością i z tych samych powodów odrzuca Dawson ,,system bloków międzykontynentalnych'', wprowadzonych w życie po ostatniej wojnie. Skutki tego systemu nie dały na siebie czekać: granica między dwoma blokami stała się granicą między nieprzejednanie wrogimi obozami, światami duchowymi, które wszystko dzieli, a nic nie łączy.

Nacjonalizm stworzony w Europie przerzucił się poza Europę, zbudził ślepe, groźne energie. Są one tym groźniejsze, że nacjonalizm pozaeuropejski nie odwołuje się do odrębności językowych, narodowych, państwowych ale nakłada się na wielkie autarchie kulturalne i sprzęga się z ruchem rewolucyjnym. Chiny są prastarą kulturą monolityczną poruszoną przez nacjonalizm i rewolucjonizm, dwie moce wrogie Zachodowi.

BESTIA ETATYSTYCZNA

Dawson jest również przekonanym antyetatystą: bałwochwalczy kult państwa to trzecia bestia jego apokalipsy. Ma ona wzdęty, łysy, pomarszczony łeb Hegla.

,,Za plecami współczesnego demagoga i dyktatora stoi widmo jakiegoś zapomnianego metafizyka'' — mówi Dawson, wskazując w Heglu uderzający przykład tej prawdy. Największy z zachodnich Niemców nawrócony na pruskość i filozof prusjanizmu jest on przez swoją ,,Filozofię prawa'' w prostej linii

ojcem Marksa i faszysty Gentilego (Dawson broni go szlachetnie, choć nie zupełnie przekonywująco, przed zarzutem ojcostwa nazizmu). To Hegel dał metafizyczne podstawy nowoczesnemu ubóstwieniu państwa i wyniesieniu go ponad wszystkie wartości. Uważał je za istotniejsze, ważniejsze od jednostki, gdyż jednostka dopiero w obrębie państwa nabiera realności, dzięki państwu staje się jakością moralną. Państwo dla Hegla stanowi najwyższy stopień rozwoju społecznego, postać wyższą niż społeczeństwo, bo społeczeństwo to wytwór czynników naturalnych, państwo to wytwór czynników ideowych, żyjący, historyczny, moralny organizm, nie instrument na usługach zbiorowości. Obywatele dla państwa, nie państwo dla obywateli — taki był praktyczny wniosek tego bałwochwalstwa. Wyrażało się ono u Hegla z najwyższym patosem: ,,das Irdisch-Goettliche'', objawienie i wcielenie boskości na ziemi, ,,marsz Boga w świecie'', ,,rzeczywistość idei moralnej''.

Jest to pogląd przeciwny kulturze, na wskroś anty - zachodni. Na Zachodzie wszystkie typowe, istotne, trwałe osiągnięcia przekraczają granice państwa, rodzą się ze wspólnoty i współpracy. Stoi za nią chrześcijaństwo, które nie prowadzi swego rodowodu z państwa. Przeciwnie dało państwu ideały i wartości.

Reformacja rozbiła ponadpaństwową, religijną jedność Europy. I za to Hegel wynosił ją pod niebiosa. Zastąpił jedność duchową, kulturalną jednością państwową. Rzeczywistą religią była dla niego religia państwa, ,,kult złotego cielca na pustyni materializmu''.

Tę pseudoreligię wywiódł Hegel z trzech państw absolutnego stempla: fryderykowskich Prus, swojej przybranej ojczyzny, z Rosji Piotra Wielkiego i Austrii józefińskiej (wobec niej stanowisko Dawsona jest niejednolite i często sprzeczne). We współczesności tę pseudoreligię państwa doprowadziły do obłędnej skrajności totalizm hitlerowski i totalizm lenino - stalinowski, dwie ,,techniki samobójcze'' (może należało by powiedzieć: dwie techniki bezlitośnie, precyzyjnie zabijające osobowość człowieka).

Imperium Lenina i Stalina łączy w sobie stary, głębinowy, organiczny autokratyzm, wschodnie tradycje państwa centralistycznego, policyjnego, opartego na biurokracji i drylu wojskowym z zachodnimi tradycjami rewolucyjnymi. Jest to twór eurazjatycki, który zespala dwa światy: północnych lasów i wschodnich stepów, Moskwę i Tartarię, w nowe społeczeństwo technokratyczne, kierowane przez nowych ludzi ku nowym celom. Rosja przez długi czas wahała się między Zachodem i Wschodem. W Rosji sowieckiej przeważyło ciążenie do Wschodu przez uprzemysłowienie Azji środkowej według wzorów zachodnich i sojusz z Chinami, największym wschodnim zbiornikiem energii ludzkiej. Dzisiejsza Rosja przypomina państwo Mongołów w XIII wieku: ma te same granice, podobną pozycję strategiczną, podobny potencjał niszczycielski. Stanowi śmiertelne za-

grożenie Europy i Zachodu, wszystkiego co europejskie i zachodnie.

Sowiety przedstawiają przypadek skrajny ale nie odosobniony. Państwo pojęte jako cel sam w sobie, poruszane egoizmem narodowym lub napędem rewolucyjnym (czy jednym i drugim, jak w Chinach Mao-Tse) staje się wszędzie mechanizmem zabijającym wartości duchowe, miażdżącym jednostkę, ugniatającym społeczeństwo na powolną masę, molochem nienasyconym w eksploatacji i zaborach, zmierzającym do tego, aby przemienić świat ludzki w gigantyczny kopiec terminów.

Proroczo przewidział to Hoelderlin — zrazu przyjaciel i towarzysz myśli Hegla — gdy pisał: ,,Wszędzie gdzie człowiek stara się uczynić państwo niebem, zmienia je w piekło''.

MASZYNA PRZECIW CZŁOWIEKOWI

Te trzy bestie apokaliptyczne jadą na maszynach, które stworzył człowiek, ściślej ,,Homo europeus'', czy ,,Homo occidentalis''. Podobnie jak Bernanos, choć nie w tak namiętny i skrajny sposób, powstaje Dawson przeciw wzrastającej przewadze techniki, przeciw jej niszczącemu wpływowi na życie współczesne. Często wraca u niego lejtmotyw narzędzi, które wymykają się z rąk, mocy uderzających w tego, który rozpętał je lub stworzył.

Ciągle też przewija się lejtmotyw niewspółmierności między rozwojem technicznym a życiem duchowym. Technika kieruje całą energię ludzką na zewnątrz, skupia ją na środkach, lekceważy cele, którym środki winny służyć. Powoduje w ten sposób zachwianie równowagi między doświadczeniem wewnętrznym i doświadczeniem zewnętrznym. Zwiększenie władztwa ludzkiego nad przyrodą, zyski materialne pociągają za sobą wyczerpanie rezerw duchowych, kruchość i niestałość form życia kulturalnego. ,,Żadna kultura nie może się utrzymać wyłącznie dzięki technice przez siebie stworzonej''. ,,Nigdy nie będzie maszyny do tworzenia wartości moralnych''.

Miejsce kultury humanistycznej, zrównoważonej i harmonijnej, zajmuje dziś w coraz większym stopniu ,,zwrócona na zewnątrz kultura hedonistyczna'' i ,,materialistyczna pseudokultura, która jest rzeczywistym opium dla ludu, ponieważ jest to jednocześnie lekarstwo, narkotyk i trucizna''. Pędowi w tym kierunku towarzyszy wzrost i skupienie siły, jak w schyłkowym imperium rzymskim. (Spengler zestawiał okres po pierwszej wojnie ze wschodzącym imperium starożytnego Rzymu, ze świtem cezaryzmu). Jest to ,,paralela posępna'', powiada Dawson, ale nie wyprowadza z niej pesymistycznego wniosku: przekwitające imperium stało się przecież kolebką chrześcijaństwa.

Tymczasem jednak technika jest siłą zwróconą przeciw prawdziwej kulturze i wolnemu człowiekowi. Jak długo stanowiła ona monopol ludów, które stworzyły instytucje, mające

na widoku jednostkę, szanujące osobowość ludzką — technika i wolność demokratyczna były sprzymierzeńcami. Wiek XIX śpiewał z upojeniem hymny na cześć tego przymierza. Gdy później zdobycze techniczne rozszerzyły się na ludy wychowane w kulturze lekceważącej lub zgoła przeoczającej jednostkę, wyszło na jaw, że twórczość techniczna nie jest bynajmniej niezbędnie złączona ze wzrostem wolności, wprost przeciwnie — ogranicza ją i zabija. Ujawniło się to w dwu krajach: Rzeszy hitlerowskiej i Rosji sowieckiej. ,,Wola mocy'', kult techniki stały się tam siłą napędową dla państwa autokratycznego, centralistycznego, imperialistycznego. Według tego wzoru ukształtowała się technokracja japońska, kształtuje się teraz technokracja chińska.

Ale i ustrój demokratyczny — zdaniem Dawsona — nie jest zdolny uniknąć tej fatalności. W zrównanym, masowym społeczeństwie jednostka przestaje kierować swoim życiem, zmienia się w bierny instrument sił zbiorowych. Technika umożliwia ,,mass-conditioning'', kierowanie jednostkami i całymi gromadami ludzkimi, jakby to były skupienia martwej materii albo maszyny. Technika zapewnia zorganizowanej sile nie tylko wpływ na warunki bytu ale ułatwia planowanie myśli, masowe wzbudzanie pożądanych odruchów, daje jej w rękę możliwość nieograniczonego nacisku psychologicznego, przez to możliwość tworzenia opinii stadnej i stadnych reakcji.

,,Mass - state'' państwo, które owładnęło środkami technicznymi, które może je pomnażać bez ograniczeń i używać bez kontroli, przestaje być państwem ludzi, staje się państwem robotów.

,,WHITE MAN'S BURDEN''

Zmechanizowane bestie apokaliptyczne Europejczyk sam rozprzestrzenił po całym globie, wraz z alkoholem i ,,kulturalnymi'' chorobami. Nazwał to przez usta Kiplinga ,,White Man's Burden (brzemieniem białego człowieka)''.

Wobec imperializmu kolonialnego Dawson zajmuje stanowisko o wiele bardziej powściągliwe niż Simone Weil czy, także już nie żyjący, personalista chrześcijański Emmanuel Mounier (n. b. następcy Mouniera są naiwnie szlachetnym echem propagandy płynącej z Moskwy, służą jej interesowi, nie interesowi ludzi kolorowych i krajów kolonialnych). Bardzo prawdomównie i bezstronnie — rzetelność jest jego główną cnotą — roztrząsa Dawson pobudki, jakie pchnęły Europejczyka poza obręb Europy i kierują nim do dzisiaj. Były to pobudki mieszane i nieraz sprzeczne: religijne i handlowe, misjonarskie i zdobywcze, idealistyczne i materialistyczne. Kolonializm brał natchnienie z wypraw krzyżowych, był ich dalszym ciągiem, jednocześnie

przeciwstawiał się ograniczeniom handlu europejskiego przez Turków.

Ta niewspółmierność pobudek charakteryzuje całą historię kolonialną. W Hiszpanii i Portugalii rządy kierowały się wyższymi motywami, w praktycznym wykonaniu rozporządzeń u ich mandatariuszy dochodziły do głosu niskie, brutalne apetyty. Dopiero Holendrzy nadali ekspansji kolonialnej charakter na wskroś i wyłącznie handlowy. Imperium brytyjskie, narastające zwolna i jakby mimo woli, często wbrew woli kraju macierzystego, było także wprzód pomyślane jako koncern handlowy, który miał zatrudnić maksimum ludzi i zdobyć maksimum zysku. Ale w stosunku do niego nastąpiła zmiana pod wpływem encyklopedystów, idealizmu wczesnej fazy rewolucyjnej, nauk liberałów, ruchu skierowanego przeciwko niewolnictwu i ruchu misjonarskiego. Wspaniałym dokumentem tej zmiany jest raport *On the Treatment of Aborigines* z r. 1837 — najwymowniejsze potępienie nadużyć kolonialnych. Zjawisko jedyne w swoim rodzaju stanowi też ,,Clapham Sect'' i jej główny przedstawiciel James Stephen. Uważał on imperium dosłownie za ciężar, który należy dźwigać w służbie ludzkości i kultury chrześcijańskiej, a nie za obszar zdobyczny i przynoszący korzyści materialne.

Ale niebawem nacjonalistyczne współzawodnictwo rozdzierające Europę przerzuciło się również za morza i oceany. Ono ponosi odpowiedzialność za neomerkantylizm, za najobrzydliwsze, najbardziej hańbiące przestępstwa białych wobec kolorowych. Na przekór tym zwyrodnieniom imperium brytyjskie przeobraziło się w twór szczególny, jedyny w swoim rodzaju. Dawson określa go jako ,,experiment in liberal imperialism'' i przytacza określenie Smutsa ,,wspólnota narodów i państw''.

Epoka powojenna zawiesiła nad tym eksperymentem znak zapytania: czy zdoła on przeżyć przesunięcie centrum kulturalnego poza granice Europy, utratę przewagi gospodarczej i kontroli rynków przez W. Brytanię? (N. b. to pytanie jest szczególnie aktualne w chwili, gdy Australia i Nowa Zelandia związały się ze Stanami Zjedn. we wspólnocie obronnej Pacyfiku bez udziału metropolii). Dawson jest zatroskany o przyszłość ,,Commonwealthu'' i to stanowi subiektywny, narodowy akcent jego apokalipsy. Ale trzeba mu przyznać słuszność, gdy twierdzi, że upadek imperium brytyjskiego nie oznaczałby końca imperializmu. Niebezpieczeństwo wyzysku kolonialnego jest trwałe i coraz większe: wiemy o tym z przykładu Polski leżącej przecież nie na peryferiach świata europejskiego ale na skraju Europy. Imperium brytyjskie jest potrzebne jako ,,element umiarkowania i zdrowia'', ale nową siłę żywotną mogą mu zapewnić demokracje zamorskie. Tylko one mogą w nim potwierdzić kulturę zachodnią jako ,,organiczne stowarzyszanie się wolnych ludów''.

Taka możliwość leży również w rękach Ameryki; stanowi ona część kultury zachodniej, nie część Europy, jest podobna do niej a inna. Te same ideały europejskiego pochodzenia, chrześcijańskiego rodowodu, które kiedyś kazały Stanom Zjednoczo-

nym odżegnywać się od Europy, skłaniają ją teraz do obrony wspólnego dziedzictwa zachodniego. Jest to jakby dramatyczne odwrócenie sloganu: ,,White Man's burden''. Między europejską macierzą — ,,macochą'', jak mówiono w Ameryce przed stu laty — i amerykanską córką nie marnotrawną nastąpiło zrównanie losu. Nie można sobie wyobrazić Europy bez Ameryki ale także przyszłość Ameryki bez Europy jest więcej niż niepewna. Obie stoją przed tym samym zagadnieniem: jak pogodzić dawne treści moralne z nowymi technikami kultury masowej. Od rozwiązania tej sprawy zależy ich los, bieg historii i przyszłość świata.

JEDNOŚCI, JEDNOŚCI...

,,Macht, Macht, Macht, mehr Macht!'' — nawoływał Spengler trzydzieści lat temu i nie był to, niestety, głos wołającego na puszczy. Przez całą książkę Dawsona przebija, streszcza ją całą wezwanie: jedności, jedności, więcej jedności, jeszcze raz jedności. Ona jest jasną stroną apokalipsy, pociechą i obietnicą. Wszystkie apokaliptyczne bestie, wszystkie rozpętane, niszczycielskie potęgi, może zwalczyć nawrót do jedności odczuwania, myślenia, oceniania świata, do jedności drogi i celów, jaka cechowała Europę w średniowieczu, w epoce odrodzenia i później aż do XVIII wieku.

Ta nowa, upragniona synteza stanowi od dawna przedmiot zainteresowań Dawsona: już w r. 1932 ogłosił książkę: *The Modern Dilemma, Problem of European Unity*. Nie jest to dla niego zagadnienie polityczne; do jedności tego rodzaju brak w Europie naturalnych warunków, które działały w Stanach Zjednoczonych — brak przede wszystkim wspólnego języka. Dawson odrzuca też geograficzną i rasową zasadę jedności. Widzi ją w chwiejnej, trudnej równowadze między odśrodkowymi dążeniami narodowymi i tradycjami wspólnej, łączącej kultury. Jej symbol stanowi podwójna lojalność, podwójne obywatelstwo: narodowe i europejskie, zdobyte i praktykowane przez Erazma, Leibnitza i Goethego; można by dodać: przez Mickiewicza i Chopina.

Utraciwszy dotychczas posiadane stanowisko polityczne i gospodarcze, Europa musi zachować duchowe podstawy, na których oparła się nasza kultura i bez których Europa przestałaby być Europą, przestałaby po prostu istnieć. Jej upadek byłby katastrofą większą, niż upadek imperium rzymskiego, wstrząsnąłby całym globem jak kataklizm kosmiczny. Kryzys europejski jest kryzysem światowym, dotyczącym całego świata, obejmującym cały świat. W Europie tylko ujawił się najwcześniej i przybrał najostrzejszą formę. Europa też — mimo gospodarczego i politycznego upadku — ma największe doświadczenie, największą wiedzę, jak ten gigantyczny kryzys przezwyciężyć.

Dawson mówi o niej ciągle jako o „żywej społeczności ludów", „wolnej wspólnocie", „związku duchowym". Jest ona według niego „czymś więcej niż sumą narodów i państw kontynentu europejskiego i czymś więcej niż poddziałem nowoczesnej zbiorowości międzynarodowej". Jest ona wyższą jednością moralną opartą na chrześcijaństwie, kulturą najbardziej złożoną, najbardziej twórczą, najbardziej ekspansywną, jaką znają dzieje człowieka.

Zasadnicze i jedyne w swoim rodzaju cechy tej kultury stanowią: rozmaitość i wzajemna współzależność członów składowych. Przypominają one miasta-państwa starożytnej Grecji, miasta-państwa renesansowej Italii. Stąd żywotny problem Europy, całej kultury zachodniej, stanowi stosunek części do całości. W tej chwili część, każda z osobna, jest wszystkim, całość jest lekceważona i zapomniana. Bez odtworzenia w częściach czucia całości i czucia całością ich życie jest śmiertelnie zagrożone.

Dawson jest przeciwnikiem „power politics", polityki równowagi sił, którą wywodzi z renesansu. Jest także wrogiem przewagi jednego narodu i państwa nad innymi, wielkich nad małymi. Właśnie małe twory są typowe dla Europy, ich wartość kulturalna jest często niewspółmierna z ich materialną siłą (np. w Polsce, o której jest doskonale poinformowany, Dawson widzi „eksperyment federalnego konstytucjonalizmu", który mógł zmienić bieg dziejów). Od małych państw zależy los kultury europejskiej i dla nich jest on ważniejszy, niż dla wielkich.

„Europa jest wspólnotą narodów i może przetrwać tylko jako wspólnota". Rysuje się ona Dawsonowi jako „European Commonwealth of Nations" na podobieństwo „British Commonwealth of Nations" — jako twór narosły organicznie, związany więzią duchową a nie wynik mechanicznego podboju czy mechanicznego podziału. Określa tę „rzeczpospolitą europejską" bliżej: „jedna społeczność złożona z różnorodnych narodów i państw, związana siecią wspólnych praw i wzajemnych zobowiązań, oparta na jednym duchowym obywatelstwie, na jednej kulturze moralnej i umysłowej".

To wyobrażenie Europy stanowi zadośćuczynienie za złej pamięci Carra, teoretyka i propagatora podziału świata na „strefy wpływów". Jest to także przezwyciężenie insularyzmu, wyspiarskiego odosobnienia Anglii. W myśli historyków (obok Dawsona u Toynbee'ego, autora monumentalnej książki *A Study of History*), nie w myśli polityków przebiła się na powierzchnię świadomość, że W. Brytania nie może istnieć bez zaplecza europejskiego, że upadek kultury zachodniej oznaczałby kres dzieła imperialnego.

WYCHOWANIE DO KULTURY

Kulturę można uratować przez wychowanie do niej, wychowanie w jej duchu i jej wartościach. Jest ono niczym innym

jak inicjacją w świat kultury, przedłużaniem tego świata, przekazywaniem jego zawartości z pokolenia w pokolenie.

Ten warunek spełniał przez wieki klasyczny system nauczania. Oparty na dwu literaturach, greckiej i łacińskiej, na jednej skali wartości, jednym systemie pojęć, przekraczał on granice narodowe i polityczne, tworzył ,,zachodnią rzeczpospolitą literacką'', której każdy wykształcony człowiek był pełnoprawnym obywatelem. Tego warunku nie spełnia nowoczesny system wychowawczy. Kładzie on bowiem nacisk nie na elementy wspólne ludziom wykształconym, ale na różnice narodowe, zwłaszcza w nauce literatury i historii, jakby to były ,,samowystarczalne, zamknięte całości a nie części większej jedni'', włącza do nauczania całą aktualną wiedzę, stawia na pierwszym miejscu cele praktyczne i specjalizację zawodową.

Jeśli się pragnie ocalić Europę i uratować kulturę zachodnią, trzeba przebudować cały system wychowania i nauczania. Dawson dopuszcza — nie bez żalu — możliwość, że system klasyczny się przeżył, ale uparcie powtarza, że wychowanie do kultury nie może się obejść bez czynnika spajającego. Trzeba w nim wychodzić nie od różnic narodowych ale od wspólnoty kulturalnej. Trzeba patrzeć na kulturę zachodnią jako na całość, uwzględniać nie tylko tradycję antyczną ale i chrześcijańską, ujmować obie z taką samą bezstronnością, z takim samym szacunkiem, z jakim dawni humaniści traktowali kulturę starożytną. ,,Ta wspólność duchowa, czy ta psychologiczna ciągłość jest rzeczywistością podstawową i ostateczną; leży ona u podłoża oddzielnych wysiłków podejmowanych przez społeczeństwa zachodnie i umożliwia wychowanie w duchu zachodnim''.

Należy w nim kłaść główny akcent na religię, bo ona stanowiła pierwotną, przez wieki jedyną podstawę jedności. Należy łącznie traktować historię polityczną i religijną, bo w przeszłości wspólnota chrześcijańska nie była ,,pobożnym ideałem, ale faktem prawnym''; w Anglii mówiono: ,,Christianity is the law of the land''. Wierzenia chrześcijańskie i chrześcijańskie miary życia oddziaływały na duszę Europejczyka przez 1.200 lat, zwłaszcza od V do XIX wieku naszej ery. Kształtowały odczuwanie świata i myślenie o nim. Rzeźbiły profil kultury. Przeniknęły do jej najgłębszego rdzenia. Stały się jej żywą plazmą.

Historia tego dynamicznego procesu nie historia współzawodnictwa, starć i walk, jest wychowaniem do kultury.

,,SOCIAL REGENERATION'' CZY ,,SOCIAL REGIMENTATION''

Stoi ona dzisiaj przed nieuniknioną alternatywą: musi wybierać między odrodzeniem a skoszarowaniem. Jeśli się nie odrodzi, nie odzyska spoistości, nie odbuduje jedności dążeń, nie pogłębi samowiedzy, ktoś inny zamieni świat jej wiekowego

władania w koszary, w których nie ma miejsca na człowieczeństwo, na wolność i osobistą godność człowieka.

Ratunek naszej kultury przed tym losem leży nie tylko w uzbrojeniu; przeciwstawiając się państwu totalistycznemu musiała ona w samoobronie przyjąć wojnę totalną, ale przyjąć totalistyczny sposób myślenia i życia byłoby samobójstwem. Dla Zachodu zagadnienie leży w przywróceniu równowagi między wysiłkiem zewnętrznym i wewnętrznym. ,,Jeśli nie potrafimy — mówi Dawson i w tych słowach brzmi ton apokaliptyczny — odtworzyć związku między życiem społeczeństwa a życiem ducha, kultura będzie zniszczona przez siły, które umiała stworzyć a nie ma dość mądrości, aby nimi władać''. ,,Istniejący kryzys naszej kultury można rozwiązać jedynie przez proces radykalnego przekształcenia i duchowego przeistoczenia''.

Jest to możliwe, bo głębsze pokłady świadomości zbiorowej nie uległy zatracie, są tylko przesłonięte przez czynność praktyczną, całkowicie skierowaną na zewnątrz. Do tej pory kultura zachodnia była pochłonięta ekspansją materialną. Teraz — jeśli chce przezwyciężyć kryzys — musi się zdobyć na skupienie do wewnątrz, musi odzyskać jedność i siłę. Nie jest to problem polityczny ani gospodarczy, istota rzeczy leży w tym ,,jak zachować duchowe dziedzictwo Europy i jak odbudować wspólny cel kultury'', ,,jak podtrzymać trwanie dynamicznego wysiłku''.

Kultura zachodnia zawdzięcza swoje największe dokonania impulsowi religijnemu. Działa on ciągle świadomie i nieświadomie, łączy się podziemnie z pierwotnym, żywym źródłem. ,,Ani w nauce, ani nigdzie indziej w świecie nowoczesnym nie widać siły, zdolnej do spełnienia zadań, które dotąd spełniała religia, jako zasada jedności kulturalnej i twórczyni moralnych wartości''. ,,W miarę jak kultura staje się świecka, traci powszechnie zrozumiały język dla wyrażania najgłębszych potrzeb''. ,,Kultura całkiem zeświecczona jest nieludzka w absolutnym sensie słowa — wroga życiu ludzkiemu i niemożliwa do pogodzenia z samą naturą człowieka''.

Końcowy rozdział pracy Dawsona nosi tytuł: Ostateczna sekularyzacja czy nawrót do kultury chrześcijańskiej? Odpowiedź na to zawiera stwierdzenie z innej książki Dawsona, które by mogło służyć jako zamknięcie jego apokalipsy: ,,Społeczeństwo, które zatraciło swoją religię, wcześniej czy później staje się społeczeństwem, które zaprzepaści swoją kulturę''.

ZASTRZEŻENIA I SOLIDARNOŚCI

Ta apokalipsa, oparta na imponującej wiedzy, bogactwie faktów, precyzji widzenia, ujmująca prawością i bezstronnością, narzucająca szacunek dla siły przekonania — ma jednak słabe punkty.

Poprzednio Dawson mocno podkreślał znaczenie czynników materialnych w kulturze, w jej składzie, w jej wzroście, w jej

przemianach. Ostatnia książka pozostawia pod wrażeniem, że teraz nie docenia on zagadnień społecznych i gospodarczych, że upraszcza problemy polityczne. Przykład takiego uproszczenia stanowi ujęcie sprawy Niemiec. Dawson stwierdza, że Europa jest bez nich nie do pomyślenia, że podział na ,,strefy wpływów'' nie powiódł się, bo nie liczył się z Niemcami. Nadzieje zjednoczenia europejskiego buduje na rozróżnieniu trzech Germanii: zachodnio-południowej, której symbolem jest Weimar a najwyższym wytworem Goethe, austriackiej, której symbolem jest Wiedeń i pruskiej, której symbolem jest Poczdam. W tej triadzie Prusy są elementem obcym, Frantz, przeciwnik Bismarcka, utrzymywał kiedyś, że Niemcy są federalistami — te dwa fakty każą Dawsonowi wierzyć w naturalną przynależność Niemiec do Europy. Nie dostrzega obciążeń narosłych przez stulecia zaborczości niemieckiej, zapór wzniesionych przez potworności obozów koncentracyjnych i komór gazowych.

Ten rozczarowany liberał jest ciągle mimo wszystko — liberałem. Dochodzi to do głosu w jego głębokiej niechęci do planowania życia zbiorowego. Podstawy świata są zachwiane, powiada Dawson, i nie ocalimy go planując jego nadbudowę; gdzie indziej posuwa się do demagogicznego utożsamienia planizmu z państwem totalitarnym. Zapomina, że ,,laissez-faire''yzm, dogmat liberalny, głoszący: ,,rób co chcesz i pozwól innym robić co chcą'', jest źródłem bezładu, marnotrawstwa i krzywdy, prowadzi nieuchronie do rozluźnienia wszelkich więzi. W średniowieczu kościół był czynnikiem porządku, prowadził swoistą ,,gospodarkę planową'' choćby przez instytucję zakonów. Jeśli kultura — jak Dawson przekonywająco wywodził przy innych okazjach — jest tworem złożonym, duchowo-materialnym, można ją ocalić działając na ducha i na materię, wychodząc jednocześnie od środka, od człowieka i od otaczającego życia. Mickiewicz rozumiał to już sto lat temu. Bertrand Russell w książce *Freedom and Organisation* (1934) dowiódł ponad wątpliwość, że dzisiejszy świat może uratować wolność przez celową organizację.

U Dawsona, niewątpliwego demokraty, zdarzają się akcenty antydemokratyczne, zgoła reakcyjne. Żałuje kultury arystokratycznej, ,,międzynarodowej kultury towarzyskiej'', zapominając, że często miała ona mało wspólnego z chrześcijaństwem. Przerażony widokiem klęski poniesionej przez pierwsze społeczeństwo, które wprowadziło powszechne nauczanie, powstaje przeciw ,,shallow flood of universal literacy''. Żal mu czasów, w których ,,wykształcenie było przywilejem nielicznych, a nie przymusową rutyną stosowaną do wszystkich''. A przecież ta rzekoma rutyna jest największą nadzieją ocalenia kultury zachodniej — przez akt zbiorowej świadomości.

Często rozmijają się u Dawsona rozpoznania i tęsknoty, to co stwierdza jako historyk kultury i to czego pragnie jako człowiek wierzący. Zapatrzony w średniowiecze, które jest jego du-

chową ojczyzną, nie dostrzega w nim cieni, zapomina że nie ma d niego powrotu. Chwilami jakby nie dostrzega, że stanowisk Kościoła jest dziś inne, niż było wtedy. Zdobył on olbrzymie tere ny wpływu i pozyskał olbrzymie masy ludzkie, ale w Europi utracił wyłączność. W wiekach średnich rzeczywiście pokrywa sam całą orbitę kultury, przenikał wszystkie dziedziny i wszy stkie plany życia. Dziś dzieli to z innymi kościołami i wyznania mi, oddał pewne zakresy działania innym instytucjom.

Mówiąc o religii, Dawson ma na myśli ciągle religię insty tucjonalną. Tymczasem we współczesnym życiu wielką rolę odgry wa religijność wewnętrzna, to co James nazywał ,,doświadcze niem religijnym'', to co można by nazwać religią bezpostaciową of Bernadette'' ; wszyscy oni umarli poza kościołem, a nikt (tak Jej symbol stanowią Péguy, Simone Weil, Werfel, autor ,,Song że w kościele katolickim) nie ma wątpliwości, że do niego nale żeli. Sam Dawson mimochodem zauważa, że można potwier dzać chrześcijańskie podstawy kultury, chrześcijańską wizję ży cia, nie potwierdzając formalnie wiary chrześcijańskiej.

Mimo zastrzeżeń, jakie książka Dawsona może wzbudzać, wywołuje ona uczucie najgłębszej solidarności. Jest to akt niezmiernej wagi, zejście do samej głębi spraw i spojrzenie z najwyższego wzniesienia. Jak każde prawdziwe dzieło apokaliptyczne i ta współczesna apokalipsa mobilizuje świadomość, wolę i wyobraźnię. Rzuca je na szale starcia, które dzieli dzisiejszy świat, stawiając człowieka przeciw temu co nieludzkie, kulturę przeciw temu co jej śmiertelnie wrogie, rozumną, odpowiedzialną wolność przeciw obłędnemu systemowi niewoli.

Tymon TERLECKI

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta ,,KULTURY'')

KRYZYS FILOZOFII MAŁYCH LUDZI

Przez małych ludzi rozumiem inteligentów o przeciętnym wykształceniu w odróżnieniu od kilku czy kilkunastu tysięcy, współcześnie żyjących, ludzi wybitnych. Poglądy małych ludzi decydują o wyrazie naszej cywilizacji o jej rozkwicie lub upadku, a ich niepokój jest niepokojem epoki.

Pod koniec XIX wieku mali ludzie mieli przed sobą dwa gotowe poglądy, które stanowić mogły fundament życiowej filozofii. Pierwszy to był pogląd religijny — drugi liberalny. Cechą dziewiętnastowiecznego poglądu liberalnego była jego harmonijność. Pogląd ten interpretował przed-einsteinowski wszechświat i po-darwinowską biologię w sposób logiczny, zwarty i zrozumiały.

Gdy przed niemal 25 laty przeczytałem po raz pierwszy ,,Weltraetsel'' Ernesta Haeckla miałem wówczas poczucie, że książka ta jak słup milowy dzielić będzie moje życie na dwa okresy. Świat, wszechświat, człowiek — wszystko to stało się nagle czytelne, zrozumiałe i osadzone twardo w logicznym systemie opartym o naukowe badanie. Wprawdzie i w haecklowskim wszechświecie istniało kilka zagadek — lecz klucz do szarady bytu był już odkryty. Jeżeli zna się system i większość znaków, całkowite odczytanie szyfru jest tylko sprawą czasu.

Przed kilku miesiącami na jakiejś wyprzedaży książek, za półtora szylinga kupiłem angielskie wydanie książki Haeckla pt. ,,The Riddle of the Universe''. Książka jest tłumaczeniem z niemieckiego oryginału z r. 1899 a wydana została w Anglii w r. 1929.

Przeczytawszy po 25 latach po raz drugi książkę Haeckla przeżyłem jakby powtórnie młodzieńczy dramat ,,utraconego raju''. Tym razem raju ,,liberalnego''. Kiedyś, kiedy Haekla czytałem po raz pierwszy, miałem absolutną pewność, że idę

właściwą drogą. Owa droga kryć mogła wiele niebezpieczeństw, ale nie mogło być wątpliwości, że to jest droga właściwa. Innymi słowy, w owej epoce jeżeli inteligent tracił wiarę, wzamian, zyskiwał harmonijny logiczny pogląd, który w pewnym sensie i w pewnej mierze wiarę zastępował. Dziś, jeżeli ktoś traci wiarę nie zyskuje wzamian niczego, nie zyskuje żadnego harmonijnego poglądu filozoficznego i nikt nie wskaże mu właściwej drogi.

W mojej opinii upadek materializmu na Zachodzie zachwiał wiarę w liberalizm u małych ludzi. Jeżeli dziś Bertrand Russell powiada w swym „Outline of Philosophy", iż w świetle ostatnich odkryć fizyki pogląd materialistyczny nie jest dłużej do utrzymania, jeżeli w programach naukowych BBC biologowie dyskutują nad tym czy człowiek składa się z „duszy" i z „ciała", jeżeli do naukowo popularyzatorskiej literatury wprowadza się dziwaczne terminy jak „world-stuff" a więc pojęcie jakiejś mitycznej pra-materii kosmicznej — jeżeli fizycy i laureaci Nobla klasy Schroedingera bawią się w induską metafizykę — to wszystko w sumie, w mózgownicach przeciętnych inteligentów sprowadza się do wniosku, że laickiej filozofii dziś właściwie nie ma, że liberalny wolnomyślicielski pogląd nie ma już dziś solidnego naukowego fundamentu.

Olbrzymim odkryciom naszej epoki towarzyszy bezradność filozofii. Owa bezradność występuje tym silniej, że „filozofię" uprawiają dziś wielcy fizycy, matematycy, biologowie, astronomowie — niejednokrotnie znakomici w swej specjalności, lecz często wręcz naiwni i amatorscy w filozofowaniu. Ich wypowiedzi pogłębiają dezorientację małych ludzi.

Albert Einstein jest w dosłownym tego słowa znaczeniu twórcą epoki. Lecz jego wyznania „filozoficzne" są blade, mgliste, chaotyczne. W swej książce pt. „The world as I see it" — Einstein definiuje swój pogląd religijny w sposób następujący: „Świadomość istnienia czegoś — czego nie jesteśmy w stanie zbadać, czegoś co jest uosobieniem najgłębszej mądrości i najwspanialszego piękna, piękna, które jest nam dostępne tylko w całkiem jego elementarnych formach — oto ta świadomość i uczucie składają się na prawdziwie religijną postawę. W tym sensie, lecz wyłącznie w tym sensie — jestem głęboko religijnym człowiekiem".

Po takim wstępie okaże się jednak, że „Bóg" Einsteina ani nie nagradza ani nie karze. Nie posiada również woli jakiej my jesteśmy świadomi w nas samych (...or has a will of the type of which we are conscious in ourselves).

Natomiast w innym miejscu na temat wolnej woli Einstein pisze, że od najwcześniejszej młodości wyznawał pogląd Schopenhauera, iż „człowiek może robić to co chce, tylko nie może chcieć tego czego chce". I dodaje, że jeżeli chodzi o wolność człowieka (w sensie wolnej woli) jest zdecydowanym niedowiarkiem. Jeżeli więc „Bóg" Einsteina nie ma nawet tej niewolnej woli, którą autor „General Theory of Relativity" przypisuje

człowiekowi — to kim i czym on jest? Poetycką impresją, literacką frazą...

To wszystko może jest poezją — niewątpliwie natomiast nie jest ani religią ani filozofią.

Jakże inaczej wyglądał dziewiętnastowieczny kosmos, w którym nie było miejsca na żadne poetyckie niedomówienia. Ów wczorajszy przed-einsteinowski wszechświat był logicznym zamkniętym systemem — w którym racjonalista miał przyjemne poczucie, że jest właściwym mieszkańcem na właściwej planecie.

Dziś wszystko się zmieniło radykalnie. Uczeni tej miary co Einstein, Schroedinger, Huxley, Hole — poetyzują i komentują odkrycia w fizyce, w biologii, w astronomii, w psychologii — w sposób zdumiewająco literacki. Bezkompromisowi ateiści, którzy odważnie bronią swego stanowiska stają się nie tylko rzadkością ale i... anachronizmem. W modzie jest mętny teizm, jakieś nieartykułowane ,,bóstwo'', które w porównaniu z dojrzałymi koncepcjami Boga wielkich religii — wydaje się niedorozwiniętym kaleką.

Filozoficzna analiza i krytyka tych zagadnień przekracza zarówno zakres mych skromnych możliwości jak i ramy niniejszego szkicu. Interesuje mnie przede wszystkim jaki wpływ wywierają te przemiany na przeciętnego inteligenta — na małego człowieka jakim sam jestem.

Wydaje mi się, że należy wnioskować, że ów kryzys powoduje dwa zjawiska. Po pierwsze zwiększa atrakcyjność systemów całkowitych jak katolicyzm lub komunizm a zmniejsza atrakcyjność systemów liberalnych jak protestantyzm. Po drugie kryzys ów przejawia się wzrostem rewizjonizmu w stosunku do istotnych założeń filozofii liberalnej.

Jacques Barzun, profesor Columbia University w jednym ze swych studiów zauważa m.in. : ,,Pragmatyzm wydaje się antytezą wszystkiego co uważano za dobre i przyzwoite. Istnieje (w kołach inteligenckich Ameryki) tęsknota do wartości duchowych a nie do wartości związanych z ziemskim dobrobytem, tęsknota do kontemplacji, a nie do akcji. W najróżnorodniejszych środowiskach słyszy się wołanie o wieczne absolutne prawdy w miejsce ,,praktycznych'' prawd, które są względne''.

Powyższy cytat dziwnie nie harmonizuje z kliszą Ameryki w naszych europejskich mózgach. Ale tekst prof. Barzuna nabierze innego wyrazu gdy go skomentujemy innym cytatem.

W listopadowym numerze ,,Commentary'' (doskonały miesięcznik wydawany przez ,,The American Jewish Committee'') — Will Herberg omawiając problemy religijne w Ameryce pisze co następuje : ,,Każdy działacz protestancki z którym rozmawiałem powracał do sprawy ,,złowróżbnego'' rozrostu kościoła katolickiego w Ameryce. Jeden z owych działaczy zwrócił moją uwagę na fakt, że katolicy stanowią dziś większość (52 %) w tak klasycznie protestanckim kraju jak Holandia. W następnej ge-

neracji — oświadczył ów działacz — my protestanci będziemy mniejszością. Ameryka również stanie się katolicka".

W innym miejscu ten sam autor (którego sympatie niewątpliwie są po stronie protestantów) pisze m.in. : „Myśl katolicka jest agresywna i oparta o poczucie własnej mocy, podczas gdy myśl protestancka jest kompletnie osłabiona abstrakcjonizmem liberalizmu i humanizmu. (Autor niewątpliwie ma na myśli pragmatyzm używając określenia „humanizm", co w amerykańskiej literaturze jest powszechnie praktykowane). Religijność katolicka posiada „istotę" (substance) podczas gdy amerykański protestantyzm jest niewiele czymś więcej jak zemocjonalizowaną etyką i ewangelią służby społecznej. Krótko, protestantyzm utracił inicjatywę i został przymuszony do zajęcia pozycji obronnej i co gorsza wyrobił w sobie defensywną psychologię mniejszości".

Tyle p. Will Herberg.

To są zagadnienia o olbrzymim znaczeniu nie tylko w sferze religijnej lecz również w sferze kultury i polityki. Ameryka swą „karierę" i swój profil kulturalny w bardzo znacznym stopniu zawdzięcza protestantyzmowi. Amerykańska epopea pracy i sukcesu jest nawskroś protestanckiego ducha. Od czasów Calvina identyfikowanie „łaski Bożej" z powodzeniem w „business'ie" jest regułą wśród anglosaskiej klasy ludzi „wolnej inicjatywy handlowo-przemysłowej". I nie ulega wątpliwości, że gdyby Ameryka stała się katolicka, stałaby się inną Ameryką.

Lecz jakie są przyczyny tego nawrotu do katolicyzmu, który obserwujemy nie tylko w Stanach Zjednoczonych lecz również i w Anglii? Wydaje mi się, że protestantyzm jest i był daleko silniej związany z laicką filozofią Zachodu niż katolicyzm. Mówiąc o liberaliźmie protestantyzmu mamy między innymi na myśli jego szlachetne wysiłki zmierzające do sharmonizowania poglądu naukowego z poglądem religijnym. Ale dzięki temu kryzys filozofii laickiej wywarł niepomiernie większy wpływ na protestantyzm, ściślej na protestantów niż na katolicyzm i katolików.

Przeciętny inteligent na Zachodzie zaczyna sobie niejasno uświadamiać, że sekularyzacja naszej kultury zawiodła. Nadzieje racjonalistów XIX stulecia nie spełniły się. Nie powiodło się ani wykluczyć ani zracjonalizować „tajemnicy". Element metafizyczny oderwany od religii i wyrzucony poza nawias wolnomyślicielskiej filozofii wydobył się na powierzchnię w neurotycznych, chorobliwych formach. Współczesna literatura stwarza bogatą kolekcję tego typu manifestacji. Okazuje się więc, że element metafizyczny oderwany od religii i „wymazany" z powierzchni racjonalistycznego świata nie ginie, nie więdnie lecz powraca w innych, niższych formach. I jak każdy instynkt jeżeli jest tłumiony powraca po pewnym czasie jako wartość ze znakiem ujemnym, jako przejaw wynaturzenia. Można w pewnej mierze zaryzykować na pozór absurdalne twierdzenie, że proces sekularyzacji naszej kultury był właściwie pozorny i że

tak w sztuce jak i w innych dziedzinach naszej działalności byliśmy ,,religijni'' tylko w niewłaściwy i chory sposób.

Na tym tle wydaje się zrozumiały nawrót do całkowitych systemów jak katolicyzm, które oferują swym wyznawcom konkretne odpowiedzi na wszystkie pytania. W ramach całkowitego systemu nie istnieje pojęcie kryzysu a jego wewnętrzna harmonia nie może być zakłócona taką czy inną teorią względności.

Sądzić należy, że w najbliższych latach będzie rósł wpływ całkowitych systemów — katolicyzmu na jednym biegunie a komunizmu na drugim. Albowiem u samego dna współczesny konflikt jest konfliktem między Watykanem a Moskwą. Laicką filozofię i kulturę Zachodu można by przystosować i ,,przykroić'' do potrzeb komunizmu — doktryny katolickiej przykroić się nie da. Katolicyzm jest dziś jedyną uniwersalną zachodnią doktryną, która jest bezkompromisową antytezą komunizmu. I dlatego w krajach za ,,żelazną kurtyną'' kościół katolicki reprezentuje nie tylko Watykan, ale całą cywilizację zachodnią.



Kryzys filozofii małych ludzi nie sprowadza się jednak do wyboru pomiędzy dwoma autorytatywnymi doktrynami. Większość w świecie zachodnim nie jest ani katolicka ani komunistyczna. Inteligent zachodni jest racjonalistą i nie wydaje się rzeczą prawdopodobną, by z tej drogi zawrócił. Materialistyczny pogląd załamał się, ale przeciętny mały człowiek na Zachodzie nie zdaje sobie sprawy, że w gruncie rzeczy to jest *postęp,* krok naprzód a nie bankructwo.

W moim przekonaniu usiłowania wyjaśnienia ,,tajemnicy'' na drodze badań naukowych i dociekań rozumowych są w równej mierze cechą typowo ludzką jak typowo ludzkie jest metafizyczne poczucie ,,tajemnicy''. Teologowie, którzy w tych usiłowaniach dopatrują się ,,grzechu'' i żądają kapitulacji na rzecz dogmatu popełniają ten sam błąd co bezkompromisowi ateiści, którzy jak Bertrand Russell domagają się równie kategorycznie odrzucenia pojęcia ,,tajemnicy''. Tak jedno stanowisko jak i drugie jest anty-ludzkie, gdyż dąży do harmonii poprzez negację kardynalnego elementu natury ludzkiej. Człowiek jest fizyką i metafizyką równocześnie i nie może uciec bezkarnie przed dramatem, który jest logiczną konsekwencją kompozycji jego jestestwa.

Bynajmniej nie chodzi o to, by pogląd naukowy dostarczał dowodów czy podmurowywał takie czy inne dogmaty. Nauka będzie zawsze całkowicie odmienną drogą poznania niż religia. Idzie natomiast o to, by te dwie drogi nie wykluczały się wzajemnie, by nie dążyły do budowy dwóch odrębnych światów, dwóch rozdartych dusz w jednym człowieku. Istotne w tej sprawie jest tylko jedno zagadnienie a mianowicie pogląd na człowieka. Laicka myśl naukowa musi powszechnie przyjąć, że ,,element metafizyczny'' jest częścią składową natury ludzkiej choć interpretacje tego elementu mogą być różne. Mnie osobiście

utwierdziło w tym przekonaniu nie studium fizyki, lecz studium historii i socjologii. Do tej sprawy powrócę jeszcze w końcowym ustępie tego szkicu.

Materializm był zwartą filozofią, która przed-einsteinowski wszechświat wyjaśniała sucho, nudno ale przekonywująco. Ale doktryny filozoficzne umierają wolno. Jeszcze ciągle ludzie czytają Haeckla, biblioteki pełne są przed-einsteinowskiej literatury popularno-naukowej i filozoficznej a większość współcześnie żyjących inteligentów na Zachodzie uformowała swe poglądy na dziewiętnastowiecznej literaturze.

Jeżeli stwierdzamy, że materializm nie jest dłużej do utrzymania to trzeba jeszcze dodać, że w jego miejsce nic nie powstało. Przeciętny inteligent zastanawiając się nad wynurzeniami Einsteina czy Schroedingera dojść musi do wniosku, że nie są to poglądy ani materialisty, ani teisty czy idealisty. Są to poglądy filozoficznie nieporadne i niejasne. Jest oczywiste, że to nie jest produkt gotowy i dojrzały.

Sekularyzacja totalna naszej kultury zawiodła, bo to co określamy mianem ,,poglądu naukowego'' jest dziś chaosem. Kogoż pocieszy Russell, który sądzi, że fizycy każdej chwili mogą odkryć prawa ruchu atomu i świat wróci wówczas spokojnie do mechanistycznej koncepcji. To jest błędne rozumowanie, bo przyczyna załamania się materializmu w mojej opinii nie wywodzi się z faktu, że jak mówi obrazowo Russell ,,materia wyparowała''. Gdyby w najbliższych dziesięciu latach fizycy odkryli wszystkie prawa określające ruch atomów i gdyby istota życia została całkowicie naukowo wyjaśniona to i tak nie byłoby podstaw do rehabilitacji materializmu jako poglądu filozoficznego. O bankructwie materializmu zadecydowała bowiem nie tylko fizyka lecz według mojego przekonania w pierwszym rzędzie socjologia i psychologia.

Nie możemy być materialistami choć byśmy chcieli nimi być. Albowiem materiał dowodowy przeczy temu poglądowi. W człowieku istnieje element metafizyczny, który choćby się go traktowało za ,,kompleks nabyty'' jest niemniej faktem. Dzieje ostatniego półwiecza dostarczają wymownych dowodów, że element ten traktowany jako ,,kompleks'' niezmiernie trudno się leczy a uciskany i zepchnięty z powierzchni świadomości przybiera formy zastępcze w postaci groźnych neuroz jak kult Hitlera, Stalina, kult rasy, państwa itp. W gruncie rzeczy nie ma ucieczki przed religią — i ci co grzebią wielkie religie tworzą w ich miejsce neurotyczne parodie.

Innymi słowy historia, socjologia i psychologia zdają się nas pouczać, że człowiek nie ma wyboru pomiędzy poglądem materialistycznym a metafizycznym. Możemy tylko wybierać pomiędzy metafizyką barbarzyńców a metafizyką ludzi cywilizowanych.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Poezje

Rozmowa z Orfeuszem

Powiedział mi wczoraj Orfeusz
W knajpie Pod księżycową rzęsą :
Nikt mnie już nie oszuka,
Świat nie ma sensu,
Sens ma sztuka.

Przeszedłem próbę zaciekłą,
Przeszedłem ciemność i piekło,
Wszystko straciłem a żyję
I tylko co nocy groza
Jak szorstka pętla powroza
Ściska mi szyję.

Nie pocieszaj mnie, stary, i nie mów mi więcej,
że kiedy grałem, Tantal zapomniał o męce,
że Syzyf przestał toczyć pod górę swą skałę,
Usiadł na niej i słuchał, że Furje płakały.

Ja wiem, ludzi wzruszyłem i bogów wzruszyłem,
I dalej pójdę tędy, nad nędzą i pyłem,
Grać w ziemskiem zasłuchaniu, które mnie wypełnia,
Jak noc tę wielki księżyc, oko Diany, pełnia.

Dla świata śpiew mój prawa ciemności obala
A dla mnie śpiew jest śpiewem i muzyczna fala
Unosi mnie po morzach, których nie znam granic,
I choć w nich błądzę, mórz tych nie opuszczę za nic
I nic nie zmieni prawa rządzącego we mnie
By wiecznie tworzyć szczęście i tworzyć daremnie,
I nad przemocą bogów, nad trudami losu

Wierzyć w sens mojej sztuki i dźwięk mego głosu.
I powiem ci coś więcej. Nie zmienię mą sztuką
Nawet tego, że mnie tu Bachantki zatłuką,
Pijane dziewki trackie dzidami przebiją
I poszarpią i lirę mą rzucą do rzeki,
W głąb nicestwa, bym nie był własnością niczyją
I krążył tylko mitem po ziemi dalekiej,
Może straszył a może pokazywał drogę,
Po której iść nie warto. Ja z niej zejść nie mogę.

A więc o wszystkiem wiesz już, całą tajemnicę,
O losach, które przyjdą i mnie nie ominą,
O lirze i o mojej nad światem muzyce.
Powiedz, niech teraz podadzą mi wino,
Wino o Eurydyce.

Kazimierz WIERZYŃSKI

Rzecz o przemijaniu

1.

Pochylam pióro
nad sprawą dnia dzisiejszego.
Znaki wykrzywionych liter
kładę w linie wiersza
patrzącego w lustro
mijania.

I oto nie ma już faktów,
bowiem uciekły w czas przeszły.

Cóż jest ? Ku czemu warto
sięgnąć ręką nim odejdzie ?

Wieczność jest tylko obróconym
dzisiaj twarzą w tył.

Trwanie ma tylko sens. Bo trwasz.
Tylko nie trzeba
w lustro
ani wstecz odwracać się.
Nie dać uwikłać się w sieć spraw odeszłych.
Nie patrzeć prawdzie
w twarz.

2.

A owóż spróbuj się obrócić :
umrzesz.
Dzisiaj odbiegnie w bok
przysiądzie patrząc
w dziwie
jako je mijasz.
Wracanie skróci krok
o wszystko
co by się mogło było stać.

I nawet to — co było
odwróci się w panicznym skrócie

ujrzawszy trupią twarz
umierającej zjawy.
Stać — to jest umrzeć.
Być — to brać.

3.

Więc weź na ręce dzień i noc
dopóki oddech ma na ustach
zanim ciepło
na przewodnikach żył
napięte do granic życia
dopóki starczy smutku
i uśmiechu
aby zapomnieć
skąd i dokąd
iść
i że jest kres
wszystkiemu
gdzieś
i pustka.

4.

A na odartym dniu
z ubrania
na dniu bez butów i krawata
gdy się dotykasz bosą stopą ziemi
patrz
czy nie znajdziesz czegoś
czemu warto
zadumać się
w prostocie czuć
i złożoności myśleń
ażeby ciszy ócz
nie strwożyć
a ustom uśmiech dać
najpogodniejszych
mijań
i dłonie
na dzisiejszym dniu
położyć.

5.

Nie wiem czy ja
ani też wiem czy ty
potrafisz
tu
gdzie trwasz

w domu bez drzwi i okien
zatrzymać się
na dłużej
niżli życie

ani mi wiedzieć dalej co
za przedostatnią bramą.
I stąd to w liryce mej
mgła

przez którą patrzeć w dal
jako przez woal możesz
tylko za krawędź ulic
i załamanie nieba.

Ale mi modlić się o słowo o tym
o powszedniego chleba
dar.

6.

Na pustce
której twarz bez rysów i bez oczu
jak czarna plama na czerwonym
tle zachodu
zobaczysz
może więcej
niż się zda
błogosławionym pokornego serca :
zobaczysz w śmierć
pokorniejące dłonie jutra
czerwony zygzak kwiatów
na tle nocy
zobaczysz dzień
któremu nie masz nazwy.
Tylko nie zapatrz się
w niespotykane piękno jutrzni
albowiem umrzesz :
dnia
bluźnierca.

7.

A dzień jest jasny
jak warkocze dziewcząt
rozplecione o świcie.
Jako poranek który z winnych
gron
przynosi ustom pierwszy zachwyt pijaństw.
Jak pęd i skok.
Jak śmiech.

Dlatego tylko dziś powitaj
dziś i jutro —
i nie troszcz się o noc
która cudniejsze jeszcze usta ma
i większą moc.

8.

Kiedy już miną dzień i noc
zostanie jutro.
Tu zamyślenie nieś jak snop
zerwanych kwiatów z łąk
i traw pachnących wiosną.
Bo czemu nie ma być
raz jeszcze wszystko tak
jak na tych łąkach rosło ?
Zobaczysz — jak naprzeciw stanie
tak rozebrana z szat
kusząca pustka —
że oddasz jej
co masz :
a masz nie wiele :
usta.

9.

Z tego co było
weźmiesz
tylko
tyle
ile
zostanie
w dłoniach.
Lecz — czymże dłoń ?

Czy wiesz
jaki jest ciężar
dni
odeszłych ?
Co w oczach pozostawił czas ?
Co wie
o kołysaniach swych
dmuchawca puch
zapadłszy ? W pyle ?

Więc ileż w dniu
dzisiejszym
wczoraj ?
Ile ?

10.

Zarzuć na oczu
niespokojną czujność
opaskę
dobrych rąk.

Niepokojących prawd pochyłość
zwiedzie w dolinę domu
poniżej której
Styx
przelewa wód swych
srebrną
tkliwość.
I może kiedy wszystko będzie prostsze
zobaczysz
czemu
strof
rozkwitających
radość
idzie naprzeciw dniom
i nocom
wbród
i w gąszcz —
i czemu wbrew przemianom
i odejściom w zachód
śpiewam
idący ponad życiem
wieczysty
wschód.

Józef BUJNOWSKI

Przyjaciel Flor

I

Miasteczko było bardzo małe, położone na równinie. Z mgł
oddalenia widniała wieża jedynego kościoła katolickiego. Prz
zbliżaniu można było rozeznać dwie cerkwie prawosławne i kwa
dratowy kadłub synagogi, ustawiony prawie na skraju, od któ
rego zaczynała się już płaszczyzna śniegów. Poza tym były je
szcze w miasteczku trzy pomniejsze bóżnice, szpital, szkoła i z
dwa budynki urzędowe, w których urzędowały kolejno te wła
dze, które na zmianę brały je w posiadanie. W rowach przydro
nych, w skutek niespodziewanej odwilży w środku stycznia 191
roku, stała woda, która w pierwszych dniach lutego zamarz
w lód ; po lodzie ślizgały się dzieci powracające ze szkoły, w któ
rej uczyły się nie wiadomo czego i z jakich podręczników. Trudn
powiedzieć dlaczego właściwie, ale już z perspektywy, miastec
ko i wszystkie jego sprawy, robiły wrażenie rzeczy zadawni
nych, zastałych.

Jedynym, zdawało się, przedmiotem ruchomym w tym pe
zażu, były chmury, które ciągnęły jedna za drugą, różniąc s
między sobą nie kolorytem, bo wszystkie były szare, ale odci
niem, miejscami jaśniejszym, miejscami ciemniejszym. Wiat
w tych stronach wieją prawie zawsze. Ciągle też posuwają prze
sobą chmury na niebie, a na ziemi źdźbło słomy, kawałek luźn
go papieru, kosmyk włosów wystający spod chusty babskiej, je
nym słowem co niebądź lekkiego, nie ważącego nic zgoła w ż
ciu ludzkim. Regularnie dwa razy na dobę, a po raz pierws
o świcie, miasteczko odzywało się głosami z wysokich topol
„Kra-kraa !...'' Przed zachodem, te same stada wron wraca
skądciś, najczęściej pod wiatr, wysoko na tle szarych chmu
W dzień świąteczny prócz krakania wron słychać było dzwo
kościoła i dwóch cerkwi.

Wzdłuż szosy stały baraki, po opuszczonych składach z
prowiantowania jakiejś armii. Śnieg wokół baraków był gęśc
zdeptany niż gdzie indziej.

W tej chwili, tzn. na dwie godziny przed zmierzchem, miasteczko przechodziło z rąk do rąk bez boju. Dowódcy zatrzymali konny oddział na wietrze w polu, porozumieli się z dowódcami poprzedniej władzy i szwadron czarnych huzarów, wyjeżdżał z ulicy, podążając do przeciwległego horyzontu.

Przybyli czekali, przeważnie wsparci o przedni łęk siodła, aby wyprostować plecy.

— Wolno palić ! — zawołał nie głośno dowódca.

Leszek trącił strzemieniem sąsiada :

— Kostek, daj tytoniu zapalić.

— Swego.

— Nie mam, no.

Kostek skręcił cygaretkę i zasłoniwszy oburącz zapalniczkę, zapalał sam, nie odpowiadając. Leszek udał, że nie przejął się odmową, pochylił się na kark koński, ręką zmacał zluźniony popręg i zlazł na ziemię, aby go podciągnąć ; mogło się zdawać, że pochłonięty jest tą czynnością.

Huzarzy wyjeżdżali wciąż, dwójkami, stępa, bez śpiewu ; wyciągnęli się w sznur, wyrzucający końskimi łbami. Stawali się coraz mniejsi, zupełnie malutcy, prawie niewidoczni, aż znikli w przestrzeni na północny zachód. Wtedy oddział drgnął, skrzypnął siodłami i ruszył w główną ulicę.

— Ze śpiewem !

Nikt się nie kwapił z usłuchaniem komendy. Tylko hacele podków chrupały zmarznięty śnieg i gdzieniegdzie brzęknął munsztuk.

— No, chłopcy !

Wreszcie któryś na przedzie zaintonował naderwanym głosem sprośną piosenkę. Trochę ludzi zebrało się wzdłuż chodników, by popatrzyć na wjeżdżających. Jakiś starzec płakał z rozrzewnienia, kiwając kapeluszem. Obok stał człowiek, który patrzył z nienawiścią spod naciśniętego kaszkietu. Kobiety rozchodziły się powoli, dosłyszawszy sprośne słowa. Pieśń zamarła sama, mniej więcej pośrodku placu rynkowego.

Miasteczko nie odznaczało się żadną specjalną właściwością, ani słynęło z jakiejkolwiek tradycji. Nie miało nawet własnej rzeki, o której można by coś powiedzieć. Wyróżniało się chyba tym tylko od masy podobnych miasteczek, że w odległości dwudziestu kilometrów na wschód, leżała słynna, największa w kraju Puszcza. Miała ona nazwę głośną, ale w miasteczku mówiono o niej wprost tylko : puszcza.



Tejże nocy, na rogu ulic Szpitalnej i Cerkiewnej, wiatr targał afiszem wędrownego cyrku, dawno już zresztą nieaktualnym. Miasteczko spało i słychać było jedynie stąpanie dwóch ludzi po chodniku. Latarnie rzucały światło skąpe i były tak rzadko rozstawione, że ludzie ci szli prawie zawsze w mroku. Towarzyszył im cichutki brzęk ostróg. Doszedłszy do rogu, Kostek zerwał machinalnie odstający kawał afiszu i opuścił na chodnik.

Wiatr uniósł go nieco i przesunął na jezdnię, gdzie utkn w śnieżnej koleinie. Leszek rozejrzał się niezdecydowanie i złością poruszył całym ciałym pod szynelem. Było mu zimn kłuło w piersiach i czuł jak wszy łażą po skórze. — Wachmistr zaraz po kolacji wyznaczył ich do nocnego patrolu, który mi pilnować, by nikt z mieszkańców nie chodził po mieście międ godziną 11 wieczorem i 5 rano. Stereotypowa instrukcja m wiła o zatrzymaniu i odprowadzeniu każdego spotkanego cywi na odwach. W wypadku nie usłuchania trzykrotnego okrzyk należało strzelać.

Bez słowa zawrócili w ulicę Szpitalną. Byli prawie rówieśn kami. Leszek wstąpił na ochotnika mając lat 18, Kostek 2 Wszy nie dawały spokoju potęgując nerwowość. Z niewysp nia noc wydawała się nie mieć końca. W okienku, na piętr szpitala paliło się światło. Spojrzeli obydwaj w górę i przesz milcząc, podzwaniając ostrogami. W bramie przystanęli, z palili i poszli dalej. Leszek, zaciskając w zębach papieros myślał o tym jak to zrzuci kiedyś z siebie szynel, mundur, bi liznę i paznokciami będzie drapał skórę chociażby do krw Myślał o niej jak o wrogu, z nienawiścią.

— Ot, herbaty by teraz, — powiedział do Kostka. — G rącej.

Kostek poprawił karabin na ramieniu. Nikt nie szedł u cami. Nikt, ani pies nawet. Wszyscy spali. Wrócili na pl rynkowy. Pachniało śniegiem i zimnym murem kamienic.

— Ty, — mruknął Kostek.

— Co?

— Ja tu widziałem piekarnię. Czujesz dym?

— Nie.

— Wszystko jedno. Pod ranek włamiemy się do Żyd niech, ścierwo, daje ciepłe obwarzanki.

— Daleko do rana.

Stali długo milcząc. Później znowu szli.

— A jak nie da, — zreflektował Leszek.

— Czego? Nie da, czego? Kto?

— No piekarz ten, co mówiłeś.

— A w łeb?!

Potem obaj ziewnęli jak na komendę. Obeszli cerkiew i wr cili na dawne miejsce.

Żaden z nich nie miał zegarka. Stanęli, przytupując z chł du nogami. Godziny wlokły się...

— Godziny wloką się jak wszy — powiedział głośno L szek.

— Jak brzemienne wszy.

— Uhum.

Była jeszcze ta sama długa noc, gdy na placu dojrzeli cz ną sylwetkę człowieka.

— Stój! — krzyknął Leszek, nienaturalnie zaciekłym g sem, który załamał mu się w dziecinny prawie dyszkant.

Człowiek szedł dalej wolnym krokiem. — Stój! — powtórzył i jeszcze raz: Stój!! — Tamten nie zatrzymał się. Leszek szybko, jakby się bał przeoczyć okazję, zerwał karabin, chciał wycelować, ale z pośpiechu nie zdążył dobrze i palnął. Echo odskoczyło od cerkwi do przeciwległych kamieniczek, odbiło się raz jeszcze krótko i potoczyło po zamarłych ulicach. Huk zadzwonił w uszach. Postać zatrzymała się raptownie, machając z przerażenia rękami. Gdzieś zaszczekał pies.

— Daj spokój — wycedził Kostek nagle zmieszany, ale szedł z tyłu za Leszkiem w kierunku człowieka. — Na placu stał stary Żyd, trzęsąc się. W ręku trzymał książkę.

— Ja głuchy, panowie... — Nie mógł wymówić nic więcej. Kula musiała mu gwiznąć tuż koło głowy. Poczuł ją zapewne bardziej niż usłyszał huk strzału. W tej chwili z mroku wyłoniły się jeszcze dwie postacie.

— On głuchy, — powiedział jeden drżącym głosem.

— Dokąd wy?!

— Do bóżnicy, już wpół do szóstej... — Ktoś w ciemności dzwonił zębami.

Leszek zawahał się niezdecydowany.

— Niech idą, — machnął ręką Kostek. — Daj spokój. Chodź. Wstąpił na chodnik i zaczął dobijać się do piekarni.

Było w niej ciepło i pachniało świeżym chlebem. Siedli przy stoliku mrużąc oczy, bo światło po długim mroku oślepiało. Leszka nagle odszedł apetyt.

— Ledwo nie zabiliśmy człowieka, — pochwalił się Kostek.

Piekarz nic nie odpowiedział, ścierając ladę. Stara Żydówka postawiła talerz ze świeżym pieczywem.

— Po co panowie chcieli jego zabić?

— A po co on potrzebny? — odparł zuchowato Kostek.

— Nu, każdy chce żyć.

— Nie ma u was herbaty? — spytał Leszek.

— Ja przepraszam pana, ale nie ma.

— Każdy musi umrzeć, — plótł Kostek, pełnymi ustami zapychając bułkę. — Co to za różnica! Kilka lat wcześniej czy później... kajuk! I do ziemi!

Piekarz zatrzymał rękę ze ścierką na ladzie: — To właśnie o tę różnicę, o tę troszkę się rozchodzi.

— Troszkę! — powtórzył Kostek. — To żeby choć pożyć; a to w takim z.... miasteczku! Jak to, tu!

Nastało senne milczenie, jakie zdarza się zwyczajnie przed świtem, po nieprzespanej nocy.

— A ja bym pożył i w takim miasteczku... — niespodziewanie Leszek wypowiedział głośno myśl, która mogła mu przyjść do głowy pod wpływem ciepła piekarni. Musiał być naprawdę chory.

— Ty? — zdziwił się Kostek.

— No.

Tamten wzruszył ramionami. Leszek ażeby ukryć przed to-

warzyszem raptowne rozklejenie jakie go opanowało, pochylił głowę, położył lewą nogę na prawym kolanie i wydzierał z ostrogi jakiś pręcik, który się w nią wplątał w nieznany sposób.

II

— Co, tyfus ?
— Nie wiem, — odparł Leszek.
— Pewnie coś złapał na dziwce !

Leszek ani zaprzeczył, ani się uśmiechnął, ani nie starał nawet przybrać dziarskiej postawy. Wachmistrz spojrzał nań uważnie i uznał, że istotnie jest chory. Nie było szpitala polowego, a ponieważ wszystko wokoło podlegało rekwizycji, więc i miejski szpital obowiązany był leczyć żołnierzy.

Leszek poszedł najpierw do taborów, zabrał stamtąd swoją cywilną walizeczkę z osobistymi drobiazgami, następnie udał się do szpitala miejskiego. Broń kazano mu również zabrać ze sobą, gdyż oddział miał wkrótce ruszać dalej.

Z Kostkiem jeździli strzemię w strzemię od czterech miesięcy, ale rozstał się z nim obojętnie. Był późny ranek. Wrony już dawno odkrakały swoją jutrznię i panowała cisza. Pod nogami skrzypiał śnieg. Ulicą przejechały pojedyńcze sanie, a w nich chłop, usadowiony tyłem do wiatru, z podniesionym kołnierzem kożucha. Po niebie ciągnęły chmury.

Szpital mieścił się w piętrowym, murowanym budynku, malowanym ongiś na kolor różowy, obecnie wypłowiały ; przy tym tynk w wielu miejscach już się obłupał. Wchodziło się przez furtkę w ślepej, drewnianej bramie od ulicy. Uchwyt dzwonka na długim drucie był oderwany i wypadało kołatać. Leszek postukał nogą, bo obydwie ręce miał zajęte, trzymając w jednej walizeczkę, w drugiej karabin. Po krótkiej chwili otworzyła młoda dziewczyna, a spod jej nóg wyskoczył na ulicę ryży kot.

— Ach Boże ! Kić-kić-kić !... Czego ? — spytała przelotnie.
— Chory. Do szpitala.
— Kić-kić... No, chodź tu ! — Dziewczyna przekroczyła próg, wyciągając ręce. Kot nie uciekał dalej ; wyprostował ogon i ocierał się o róg bramy. Wzięła go na ramiona. — Proszę wchodzić, czego stoi — powiedziała do Leszka bezosobowo.

W małej salce, z oknami wychodzącymi na ulicę stało osiem drewnianych łóżek, z których tylko kilka było zajętych. Leszek nie przyglądał się nikomu. Ledwo się wyciągnął w pościeli, zasnął i spał do następnego ranka.

Nazajutrz stał nad jego łóżkiem człowiek średniego wzrostu i średnich lat, w szynelu służącym mu za chałat szpitalny. Krótkie włosy odrastały na głowie widocznie uprzednio golonej. W ten sposób odsłonięta czaszka zdradzała kształt prawie jajowaty ; siedziały w niej oczy nieco skośne i na tyle zmrużone, iż niepodobna było rozeznać ich barwy. Wpatrywał się w Leszka z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Był krępy, czysto wygolony na twarzy ; koszulę miał rozchełstaną na szyi.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry. — Leszek uniósł się na łokciu i rozejrzał po sali. Leżał w kącie przy ścianie zewnętrznej, opodal okna. Łóżko obok było puste. Na dalszym, w tym samym rzędzie, wystawała spod koca ruda szczecina czyjejś głowy. Naprzeciw siedział wsparty o poduszki młodzieniec robiący wrażenie zdrowego. Następnie widniało oblicze ludzkie, podobne raczej do martwej czaszki obciągniętej skórą ; w oczodołach szklił się wyraz przypominający oczy zaszczutego psa. Leszek opadł na słomianą poduszkę, podłożył ręce pod głowę i patrzył w sufit. W rogu, nawprost, widniały ślady starych zacieków wilgotnych, które wyschły, formując plamy o fantastycznych kształtach.

— Ranny ? — dopytywał człowiek w szynelu.

— Nie...

W tej chwili weszła duża, piersiasta blondynka w fartuchu pielęgniarki. ,,Flor, — zwróciła się do stojącego. — Możebyś pomógł przenieść jego do operacyjnego na oględziny. Nie ciężki pewnie''.

— Sam mogę chodzić — odparł Leszek.

— On sam pójdzie — zawtórował dobrodusznie Flor.

Leszek wrócił po półgodzinnych oględzinach. Lekarz nie był pewien, czy ma zapalenie płuc. ,,Zobaczy się'' — powiedział. Skonstatował poza tym ogólne wyczerpanie i ciało od pasa w dół pokryte czyrakami. Kazał mu się wykąpać, a ubranie oddać do odwszalni. Lekarz mówił mało i niechętnie. Leszek nie miał też ochoty o nic go więcej rozpytywać.

Łóżko Flora stało w drugim końcu sali. Był on jedynym, który chodził po całym szpitalu. Młodzieniec robiący wrażenie zdrowego, okazał się też żołnierzem, tylko z innego niż Leszek oddziału ; nazywał się Marek. Cierpiał na bardzo zaawansowaną chorobę weneryczną. Flor objaśnił ją terminem lekarskim, przysiadłszy się do Leszka na krawędź łóżka.

— A ot, tamten, — ciągnął dalej, wskazując palcem na czaszkę obciągniętą skórą — umiera. Jego starzy nie chcą zapłacić za operację.

Oczy w czaszce umierającego poruszyły się z niemym wyrazem.

— Czemu ? — spytał Leszek.

Flor spojrzał nań bystro, jakby oceniając stopień inteligencji i odparł obojętnie :

— Żałują pieniędzy. A tu — wskazał na drzwi do drugiego pokoju, gdzie stały tylko dwa łóżka — huzar z kulą w brzuchu. A ten ryży, to Lodzio, Żydek. Wiesz już teraz jakich masz kolegów, he ?

Leszek uśmiechnął się.

— No to i zdrowiej. — Wstał i poczłapał do siebie.

Wysoka, piersiasta blondynka przyszła pod wieczór rozdając termometry chorym. Nazywano ją Heleną, albo wprost : Helą. Była nie tylko postawna, ale też dobrze zbudowana. Tro-

chę może w biodrach szersza niż potrzeba, bo potężne uda rys wały się wyraźnie pod spódnicą, która przez to wydawała s zbyt wąska. Oczy miała, stosownie do cery, błękitne, jasn zazwyczaj wesołe. Ale właśnie w tych oczach, wbrew porzą kowi rzeczy, tliło się mimo wesołości zewnętrznej, coś zimn go, coś nie tylko obcego, ale nawet jakby nie kobiecego. Mo na by powiedzieć, że w ogóle coś takiego, co pomiędzy mę czyzną i kobietą może tworzyć zupełnie nieuchwytną zapor Kiedyś Flor, gdy zgadało się na ten temat, zrobił słuszną uw gę : „No, a jak chcecie, żeby ona na chorych patrzała ? W słabi, a ona silna".

Sam jednak, chociaż wodził za nią wzrokiem spode łba jak długo kręciła się po sali, wyraźnie unikał patrzenia j w oczy. Ona też, gdy mówiła do niego, to najczęściej albo obra cała nieco twarz bokiem, albo po prostu patrzyła mimo.

Helena, ominąwszy umierającego, podeszła do Marka i po dając termometr, powiedziała krótko :

— Proszę.

Ten wyciągnął rękę, raptem złapał ją za przegub i pociągn ku sobie. Z zaskoczenia pochyliła się całym ciałem, ale oparł szybko.

— No, no. Ty ! Nie pozwalaj sobie za dużo.

Marek puścił ją natychmiast odepchnięty słowami jak pię ścią. Dla pokrycia własnej konfuzji, zaczerwieniony z lekka, za czął szorstko :

— Co mnie termometr ! Jeść dają jak psom, a ona termo metr wsada. Wsadź sobie wiesz gdzie !

— Ach, jaki cham, — zawyrokowała Helena. — Boże, dla czego to każdy żołnierz musi być koniecznie chamem. Jeść niec tobie wojsko daje. Czemu nie przysyłają ? Zajęli miasto, łask wielka. Niech z kuchni i przysyłają.

— Tylko bez łaski ! Szpital, powiedziano nam, ma karmi

— Szpital ! Żeby nie ja to i tego całego szpitala dawno j by nie było. Burmistrza zmieniają co trzy dni, co chwila now władza zajmuje miasteczko, żadnego porządku, żadnego nic Dobrze jeszcze, że ze starego zwyczaju kapie na szpital ja z nosa. Co wystaram się, to jest. Kto chce hrabiego udawa niech choruje u siebie w pałacu.

Tak się rzecz miała istotnie. Nikt też z właściwych mies kańców miasteczka tu chorować nie przychodził w ostatni czasach. Bywali tylko czasem chłopi z okolicznych wsi, albo ro bitkowie, uczepieni tych łóżek właśnie z przypadku. Władz m nicypalnych tak dobrze jak nie było. Miasteczko przechodzi z rąk do innych rąk tej części Europy, raz z bojem, raz na m cy polubownych układów. Ciągłe zmiany stwarzały chaos. B dżet był zawsze prowizoryczny, a że notorycznie znajdowała s w nim jeszcze pozycja na utrzymanie szpitala, znikoma zreszt wydawało się rezultatem tylko jakiejś przedawnionej trady i osobistych starań Heleny. Zarząd szpitala też nie egzystowa Ordynujący lekarz stronił od wszelkich spraw administr

cyjnych, ograniczając swe urzędowanie do porad, czasem zabiegów chirurgicznych, za które zresztą żądał od nielicznych pacjentów specjalnej zapłaty. Czy dzielił ją z Heleną, nie było nikomu wiadome. W każdym razie nie widywano go nigdy poza godzinami przyjęć, ani też nie słyszano, żeby kiedykolwiek, we dnie, czy w nocy zachodził do niej na górę, gdzie miała pokój na pierwszym piętrze, właśnie nad tą salką chorych.

Pierwotne nazwisko tego lekarza brzmiało: Mikołaj Dawydow, ale ostatnio nazywał się różnie. Był on wojskowym lekarzem rosyjskiej armii carskiej, zmobilizowanym w roku 1914. Pracował tu w czasie, gdy w szpitalu urządzono wojskowy lazaret przyfrontowy. Później zachorował sam i nie zdążył się ewakuować przed wkroczeniem Niemców. Gdy wyzdrowiał, ci tolerowali go jako lekarza, tym bardziej, że w międzyczasie zmarł na tyfus stary doktor naczelny. Później zbiegiem okoliczności pozostał w miasteczku jedynym lekarzem. Za czasów niemieckich pisał się : ,,Davidoff''. Gdy wkroczyli bolszewicy, powrócił do : ,,Dawydow'', o rzekomo lewicowych przekonaniach. Przy Polakach przezwał się : ,,Dawidowski'', wymawiając słowa fatalnym akcentem, ale wówczas takich było dużo. Krótki czas przy Litwinach podpisywał się : ,,Dawidauskas''. Jedynie gdy raz wkroczyły jakieś oddziały narodowo-białoruskie, a później na odmianę ukraińskie, to w obydwuch wypadkach utrzymał nazwisko : ,,Dawidenko''.

Czasem plotkowano na jego temat. Zastanawiało, że gdy opuszczał szpital przez furtkę w drewnianej bramie, nikt nie wiedział dokąd się udaje, co robi, z kim przestaje w ciągu tych wszystkich godzin, aż do następnej wizyty. Nie słychać też było, żeby miał prywatną klientelę. Ktoś kiedyś puścił pogłoskę, że było jego zwyczajem, przy każdej kolejnej zmianie władzy, spotykać ją soczystym splunięciem, ale w taki sposób, by tego nikt nie dostrzegał. Plotce tej zaprzeczyła Helena :

— Co za głupstwa rozpowiadają. Jeżeli tego nikt nie dostrzegł, to jak można mówić, co on robi, a czego on nie robi !

Flor przytaknął ruchem głowy.

Z dawnego personelu, poza Helą, kiedyś starszą pielęgniarką i felczerką zarazem, a teraz niepodzielnym dyrektorem, pozostała tylko młodsza pielęgniarka, Anastazja, która mieszkała w jednym z nią pokoju, na piętrze. Poza tym posługacz i dozorca kamieniczki w jednej osobie, oraz jego żona kucharka ; ci mieszkali w oficynie od podwórza.

Anastazja była młodsza od Heli. Choć też blondynka, miała włosy ciemniejsze, oczy szare, duże i rzęsy długie. Piersi drobne, ale zawsze wysoko podciągnięte stanikiem, o niepokojąco wysterczających sutkach. Stale też włóczył się za nią ryży kot, lśniący i nażarty nie wiadomo czym, bo myszy w szpitalu nie było. Na ogół nie lubiano dlaczegoś tego kota, może po prostu dlatego, iż podejrzewano Anastazję, że okarmia go z racji przeznaczonych dla chorych. Ona, podobnie jak jej kot, wydawała się, w przeciwieństwie do Heleny, miękka jakaś, po-

datna, jednocześnie bardzo kobieca i roztargniona. Nade wszystko jednak cechowała ją nierówność charakteru. Często bywał oprryskliwa, zdenerwowana i bez widocznego powodu trzaskająca drzwiami.

O Florze mawiała zazwyczaj : ,,Ten, z puszczy...''

Flor ze swej strony traktował ją spokojnie, ale bez zbytniego respektu. Łatwo było odgadnąć, że Flor dawno już był wyleczony, a nawet zupełnie zdrowy i pozostaje w szpitalu, być może nie mając po co i dokąd udać się, za cichym porozumieniem, na statucie na wpół rekonwalescenta, na wpół człowieka niezbędnego.

Pewnego razu, Anastazja postawiła na krześle przed Leszkiem podwieczorek, składający się z kubka kawy z łyżeczką mleka kondensowanego i kawałka chleba posmarowanego marmeladą. Następnie, jakby w roztargnieniu zapominając o jego obecności, ruchem naturalnym uniosła fartuch, spódnicę i odsłaniając nogę wysoko nad kolanem, poprawiła pończochę. Leszek poczerwieniał i oczy mu się zaszkliły. Ona spuściła spódnicę, dopiero zauważyła wyraz jego twarzy, zarumieniła się z lekka, uśmiechnęła i poszła. Leszek powiódł za nią wzrokiem...

Flor nie widział poprzedniego ruchu Anastazji, gdyż była obrócona doń plecami, dostrzegł jedynie wyraz oczu Leszka, a później jego rozmarzony wzrok. Zbliżył się i pogroził dobrodusznie palcem :

— Ty uważaj... — Ale zaraz dodał już głosem poważnym : — Do Naści lepiej nie przystawiaj się.

— Dlaczego ? !

— Taaak... Nie trzeba.

— A cóż to, regulamin ? — zażartował Leszek.

— Nie, nie regulamin — odparł Flor bez uśmiechu. — Ja tobie powiem kiedyś jedną rzecz...

— Co takiego ? !

— Kiedyś. Później, później...

Leszek chciał jeszcze nastawać, ale właśnie w tej chwili, niespodziewanie rozpłakał się Lodzio.

III

— Czemu ciebie nazywają : ,,z puszczy ?'' — spytał Leszek Flora.

— Długo by opowiadać... Ech.

Z ulicy sączył się przez szyby poranek. Odbicie śniegu kładło na pokój jednostajny refleks białawego światła. W pokoju stał mętny zaduch lekarstw, chorych ciał, niewietrzonej pościeli i swąd ropy. Za oknem, z martwej zazwyczaj jezdni, dochodził daleki odgłos pojedyńczego dzwoneczka u duhy. Czaszka obciągnięta skórą drgnęła czegoś na słomianej poduszce. Dzwoneczek dzwonił. Cichutko jeszcze, ale coraz wyraźniej. Flor też jakby nadsłuchiwał, choć siedział nieporuszony i patrzył w zło-

żone na kolanach ręce. Dzwoneczek się zbliżał. W przyległym pokoju gwałtownie poruszył się huzar. W ostatnich dniach pogorszyło się mu znacznie. A dzwoneczek dzwonił płaczliwie, monotonnie, do wtóru końskiego biegu.

— Ech, — powtórzył westchnienie Flor. — Ten czeka i ten czeka. Każdy umiera z nadzieją.

Dzwoneczek był już tuż, pod oknami wysokiego parteru. Nagle zamilkł, natomiast doszedł zachrypły od mrozu głos : „Tprrr...” Wtedy Flor wstał i wyjrzał oknem.

— Ot i nowina... — przeciągnął. A potem zwrócił się do „czaszki” : — Józiuk, Twoi przyjechali.

W tej chwili huzar ciężko opadł na łóżko. Widocznie musiał też wyglądać oknem. Z zewnątrz dochodziły głosy męskie : to przyjezdny chłop rozmawiał ze stróżem. Później zgrzytnęły zardzewiałe zawiasy wrót. Koń zastukał drobno kopytami, wciągając sanie ; boleśnie zapiszczały płozy na pozbawionych śniegu kamieniach wjazdowej bramy.

Chłop, trzymając lejce w jednym ręku, podpierał sanie z boku, stróż podparł potężnie z tyłu. Baba, która zlazła z rozwalin, wzięła do ręki węzełek i szła za dozorcą. W ten sposób przepchali na drugą stronę domu, na podwórze szpitalne. Łączyło się ono bezpośrednio z małym ogródkiem, w którym rosły wiśnie i hałasowały wróble. Dalej, na tle śniegu, czerniał drewniany płot, całkiem ze starości kłoniący się do upadku, ale podtrzymany przez gruby pień topoli. Za nim widniała bezładna perspektywa podobnych ogródków, sadzików, podwórek, pocięta innymi takimi płotami, splątana w gałęziach niskorosłych jabłoni, sznurach od bielizny, wśród mnogich składzików, chlewów, sągów drzewa opałowego i jednego gołębnika. Stróż puścił tył sani i zawrócił, aby zamknąć wrota. Przyjezdny zdjął rękawice, odpiął lejce, rozpuścił podpinkę na podsiedziołku, jednym pociągnięciem rozwiązał supoń u chomąta i począł się mocować z użwą, przytrzymującą duhę u hołobli. Zesztywniała na mrozie, surowa skóra nie poddawała się zgrabiałym palcom. Chłop naciskał, aż mu palce zbielały.

— Ach, ty... Żeby ciebie... — mruczał pod wąsem, zaciskając zęby. Zsunął ją wreszcie, zdjął duhę z dzwoneczkiem, położył na siedzenie rozwalin, wyprowadził ostrożnie konia z opadłych na ziemię hołobli, ustawił pyskiem do siana na przodzie sań i nakrył derą. Żona w ciągu tego czasu stała nieruchomo, owinięta w chustę, trzymając oburącz węzełek na wysokości brzucha. W saniach pozostała duża poduszka. Stróż wrócił i zapytał:

— Zabierać będziecie swego ?

Baba za całą odpowiedź westchnęła tylko. Chłop poprawił jeszcze derę, aby nie spadła z konia, schował lejce na same dno sań pod siano i powiedział :

— No, można iść.

— Nie ukradnie tu kto ? — zwróciła się kobieta do stróża.

Ten obrzucił przelotnym spojrzeniem zawartość sań, miarkując, czy dostanie jakiego gościńca za swe trudy i wzruszył ramionami :

— Kto będzie kraść.

Dopiero wtedy poszli do syna. Za nimi, koń żuł siano głośno i smakowicie.

Po świeżym powietrzu zimowej drogi, zaduch szpitalnego pokoju nieprzyjemnie uderzył w nozdrza. Chłop charknął głośno, ale się powstrzymał, obejrzał się, a nie dostrzegając nigdzie kubła, ani spluwaczki, powrócił do drzwi, splunął i roztarł podeszwą buta. Kobieta zbliżyła się do łóżka, patrząc na syna bez wyrazu. Wtedy to po raz pierwszy usłyszał Leszek jego głos, cichy jak zamierające echo :

— Mama...

Ona bez uśmiechu pokiwała głową: — No cóż, Józiuczek, przyjdzie się zabrać ciebie do chaty. Nie ma na operację pieniędzy. Stary przysiadł się w nogach i patrzał na syna w zamyśleniu.

— Doktór był dzisiaj ? — spytał.

— Dopiero co przyszedł — odparł Flor. — Jest u siebie.

Chłop wstał ociężale, niechętnie i poszedł do doktora targować się. Targi trwały długi czas. Rodzice to razem, to pojedyńczo, szli do doktora, wracali, wzdychali. Syn leżał nieruchomo i czekał na wyrok.

— Nie ma co, trzeba zabierać, — powiedziała w końcu matka.

Właśnie w tej chwili wszedł doktór, nie patrząc na nikogo przemierzył pokój i udał się do drugiego, w którym leżał huzar. Gdy powracał stamtąd, chłop podrapał się w głowę :

— To jaka będzie ostateczna cena, panie doktór ?

— Już powiedziałem. Wstyd wam, rodzicom, targować się o życie rodzonego syna. Nagle przystanął przed Leszkiem. — Skąd ta broń ?

— Kazali zabrać ze sobą.

— Z bronią do szpitala ?... — Wzruszył ramionami. — Też nowe obyczaje ! — I wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Nastała chwila ciszy.

— Jedziem — powiedział chłop.

Flor wstał ze swego łóżka, na którym siedział. — Ech, ludzie... Duszy u was za kopiejkę i to za jedną.

— A skąd ich wziąć, kopiejek tych ? — płaczliwie odparła matka.

— Przecie on umrze zaraz. A operacja lekka. Wodę jemu wypuścić z boku i wszystkich nas przeżyje.

— Każdemu śmierć sądzona — westchnęła kobieta.

— Ja tobie powiem, Aleksander, — zwrócił się Flor po imieniu do chłopa... Ty interesu swojego nie widzisz. On w drodze umrze. A chować trzeba będzie. Popa sprowadzać. Deski na trumnę. Ty wiesz, jak to jest ? Ostawcie lepiej tu, tu za darmo,

na rachunek miasta zakopią jak psa. A jak sam będziesz umierać, to tobie te pieniądze coś zaoszczędził, zamiast obrazka do ręki włożą.

— Co tam! Takie gadanie...

— Józiuk — Flor podszedł do chłopca. — Ty ręce złóż i pociesz mamę, umieraj zaraz. Po co tobie jeździć. Do puszczy, do domu wiorst będzie...

Marek z sąsiedniego łóżka nie wytrzymał i zarechotał zdrowym śmiechem, ukazując wszystkie zęby.

Nagle weszła Hela. — No, jeżeli zabieracie, to już! Nie ma co. Żeby duchu tu waszego nie było. Tu nie kiermasz.

Matka zaczęła rozwiązywać z rezygnacją węzełek, w którym przywiozła ubranie syna. Hela stała wysoka, postawna i nawet poprzez biały, luźny kitel szpitalny, zdawało się, że wyzierały jej silne uda. Marek patrzył na nią żarłocznie. Obok w łóżku, czaszka umierającego zwróciła ku niej błagalne spojrzenie zapadłych oczodołów. Ale ona nie patrzała więcej na nikogo; zawróciła i wyszła. Flor, który jak zawsze w jej obecności, przycichł, gdy tylko drzwi się zamknęły, podszedł nagle do chłopa i powiedział jedno słowo:

— Aleksander.

Cisza.

— Sam nie wiem... — zawahał się tamten, ale spuścił wzrok, odwrócił się do ściany, zakasał kożuch i z jakiegoś schowka wyjął związaną chusteczkę. Rozsupłał ją niezgrabnie, odliczył trzy złote monety i wręczył Florowi:

— Na, zanieś dla doktora — powiedział bezdźwięcznie. Resztę zawinął uważnie i schował. — Pójdę konia napoić — zwrócił się do żony.

Po upływie dziesięciu minut w pokoju zrobił się niezwyczajny ruch. Naścia stając na palcach otwierała zasuwki podwójnych drzwi. W powietrzu drgały zabawnie jej uniesione w górę, zdeptane obcasy. Zjawił się stróż z noszami; przy pomocy Flora ułożono na nie chorego. Hela doglądała bez słowa, ale oczy jej pojaśniały i w pewnym momencie mrugnęły porozumiewawczo, wesoło do Naści.

Po operacji Józiuk spał spokojnie. Nie słuchał już i nie słyszał, jak przez kamienie bramy przeszorowały płozy chłopskich sań, jak później oddalał się pojedyńczy dzwoneczek u duhy, zacichał w ulicy, aż ucichł zupełnie.

Flor przysiadł się znowu na łóżko Leszka.

— Jak jemu rozcieli bok — opowiadał — to pół wiadra wody wyleli.

— Ty skąd ich znasz, tych ludzi?

— Znaaam... — odparł niechętnie, machnąwszy ręką.

— Z dalekiej wsi oni?

— Nie... Spod puszczy.

Dzień mijał normalnie. Z sąsiedniego pokoju dochodz ciężki, świszczący oddech huzara. W pokoju pociemniało. Flo podniósł głowę :

— Śnieg zaczął padać — powiedział.

— Taak, śnieg. Zima.

— Zima, bracie.

Leszek zamierzał właściwie zagadnąć Flora o co innego mianowicie o to, o czym ten kiedyś wspomniał na temat Naśc i obiecał wyjaśnić jakąś tajemnicę, — czy też żartował wtedy Nie chciało się mu jednak zdradzać własnych myśli.

Z łóżka wstał Marek i człapiąc butami, szeroko rozstawia jąc nogi od napuchłych jąder, podmignął wesoło :

— Trzeba pójść do wychodka, sobie po.....

— Idź, idź, — mruknął Flor, wciąż patrząc w okno.

IV

Od świeżo wypadłego śniegu zrobiło się czyściej, jaśnie w miasteczku, ale szare chmury, popychane wiatrem, szły jak dawniej wysoko, nie zaczepiając ani o wystającą ponad inne, wieżę kościoła, ani o niższe kopuły cerkiew ; szły nawet bardzo wysoko od ziemi, jakby wstydziły się z nią wszelkiej łączności. Mijały długimi szeregami, podążając dokądś, niezmiernie widocznie daleko, tak, że od patrzenia na nie robiło się tęskno i chciało by się też lecieć i lecieć nie wiadomo gdzie, dalej, dalej i dalej.

Leszek wstał po raz pierwszy z łóżka i cały ranek strawił przed oknem na obserwacji chmur. Czy się doziębił w ten sposób, czy był to wysiłek w jego chorobie jeszcze zbyt duży, dość, że około obiadu poczuł się gorzej, a gorączka wróciła. Do wieczora się wzmogła i w nocy zbudził się od piekącego bólu w piersi. Nie mógł zasnąć. Przewracał się na łóżku, skrzypiał słomianym siennikiem. Przy drzwiach, jak zwykle paliła się mętna lampka. Jak zwykle też pojękiwał przez sen i ciężko dyszał huzar w drugim pokoju. Leszek ułożył się na wznak z rękami pod głowę, patrzył w zanikający w mroku sufit i starał się myśleć o czym bądź z czasów swego dzieciństwa...

Wprost nad jego głową, z pokoju Heleny dochodziły jakieś szmery : przyciszona rozmowa, przyciszony śmiech, ktoś bosymi nogami przebiegł po podłodze ; gorączkowa, głośniejsza sprzeczka ; a teraz wyraźnie ktoś upadł na łóżko... Marek wstał i powlókł się do kubła, który wstawiano na noc.

— Nie śpisz ? — spytał go Leszek.

Tamten nie odpowiedział. Po chwili stuknął blaszaną pokrywą, wracał. Ze względu na swoją chorobę musiał częściej od innych spacerować do kubła. Siadając z powrotem na łóżku, odezwał się :

— Słyszysz ?

— Uhum.

— Puszczają się, k.... — mruknął niewesoło, prawie ze smutkiem.

Leszek nie od wczoraj zauważył, że Marek leci na Helenę. — Z kim tam, one? — spytał byle coś odpowiedzieć.

Siennik skrzypnął pod Markiem. — Cholera ich wie — burknął naciągając koc. — Pewnie ktoś z naszych — i nakrył się.

Lodzio przez sen zaczął pochlipywać.

— Kopnij tam jego, k....syna — doszedł jeszcze głos Marka spod koca.

Het, na nieznanym zegarze miejskim zaczęły bić godziny, ale wiatr odwrócił dźwięki i Leszek nie doliczył się uderzeń. — ,,To dziwne, pomyślał wtedy, z Kostkiem całą noc chodziliśmy na patrolu i nigdzie żadnego zegara nie było słychać. Może naprawili w międzyczasie..." Z kubła pociągnęło ostrym, kwaśnym, przykrym odorem. Odwrócił się do ściany, ale znowu huzar jęczał teraz głośniej i Lodzio wciąż pochlipywał przez sen.

Lodzio był to młody Żyd, który w bezrobocie wojenne zapisał się dla kawałka chleba na roboty ziemne i zabrnął aż w te strony. Wybuch zapomnianej miny kontuzjował go poważnie, ale bez większego uszczerbku dla ciała. Natomiast skutkiem kontuzji utracił częściowo pamięć. Pamiętał, że pochodzi z miasta Łodzi, ale zapomniał swego imienia i nazwiska, kompletnie zapomniał rodziców. W szpitalu zwolna przychodził do siebie, uprzytamniał wiele rzeczy z przeszłości, ale pamięć o rodzicach zdawało się przepadła na zawsze. Wskutek tego płakał. Widocznie zachował świadomość, że ich kiedyś kochał i to musiało podrażniać jakieś nerwy w zwojach mózgowych.

Nazywano go powszechnie : Lodzio, żartobliwie przekręcając nazwę miasta, z którego pochodził. W godzinach nudy szpitalnej stanowił często przedmiot rozrywki. Pytano go :

— Lodzio, jak twoje imię?

— Nie pamiętam.

— A jak twemu ojcu na imię?

— Nie pamię... Ja proszę mnie zostawić.

— To ja tobie powiem : Ty jesteś Lodzio, twój ojciec nazywa się Lodzio i twoja matka nazywa się Lodzia. Ot, jak.

Wtedy Żydek płakał.

Później wydobrzał na tyle, iż pozwolono mu wychodzić ze szpitala. Nawiązał stosunki z kilkoma współwyznawcami w miasteczku i najczęściej wracał z jakimś drobnym podarkiem, jakąś małą paczuszką wiktuałów. Flor miał zwyczaj je przeglądać : macał palcami, a potem oddawał z udaną pogardą i oświadczał :

— To nie jest żaden geszeft. Z ciebie żaden geszeftsman.

Lodzio się denerwował. Wołano więc do niego tak :

— Lodzio!

— Co?

— Ani twój ojciec nie był nigdy geszeftsman, ani ty ni jesteś żaden geszeftsman i nigdy nie będziesz geszeftsman.

Wtedy Lodzio znowu płakał.

Raz odwiedził Lodzia piekarz z rynku, ten sam, do którego zachodzili pierwszej nocy na patrolu. Przyglądał się jakiś czas Leszkowi, aż go poznał. Nie zdejmując czapki, kiwnął głową. — Następnego piątku wieczorem przyszedł znowu, przyniósł dla Lodzia chleba, a Leszkowi wręczył kręgiel, pachnący świeżym ciastem. Później przysiadł się doń konfidencjonalnie na łóżko i zaczął szeptem :

— Żeby panowie mogli nie dokuczać temu Żydkowi. U niego pomieszało się, pan wie, ale on nie jest meszugene. To jest tylko nerwowe. On wyleczy się, ale jemu trzeba dać na tę część mózgu spokój. Pan rozumie? Bo jak jemu te klepkę ciągle drażnić, to on nie wyleczy się nigdy. Pan mnie rozumie?

Leszek milcząc kiwnął głową. Po wyjściu piekarza, pół kręgla oddał Florowi, ale mu nie przekazał prośby starego Żyda. Już w szkole zaczął poznawać tę prawdę, której całą dobitność ukazało mu wojsko : że ujmowanie się za słabszymi jest samookreśleniem siebie jako słabego. Trzeba być zawsze takim jak wszyscy. Flor zjadł kręgiel głośno mlaszcząc i odezwał się :

— Lodzio. To nie jest geszeft. Z ciebie żaden geszeftsman.

Lodzio się rozpłakał, a wszyscy się roześmiali.

Zdarzyło się, że akurat owego wieczoru przyszedł po raz pierwszy odwiedzić Leszka, Kostek. Siadł na krześle, stuknąwszy o podłogę końcem pochwy od szabli. — Za dwa dni — oznajmił — oddział wyrusza w pochód. A ty co, ciągle chory? — spojrzał na Leszka z nieukrywanym lekceważeniem i ziewnął. — Kto tam jęczy w drugim pokoju?

— To huzar. Z tych co byli tu przed nami.

— Acha. — I zaczął opowiadać nowiny, plotki ze szwadronu. Leszek słuchał o tym jakie nowe siodła przyszły, jak przekuwano konie na ostro ze względu na spodziewaną gołoledź, dlaczego wachmistrz wpadł w złość, kto poszedł do aresztu, jakie były ćwiczenia, kto komu dał w mordę, jak chodzili do odwszalni.. wszystko to, wszystko było jakby nie jego, dalekie raptem, pozawczorajsze. Raczej przez grzeczność okazał zainteresowanie, pytając kto jeździ teraz na jego gniadym koniu i wysłuchawszy odpowiedzi, zapomniał zaraz. Kostek musiał wyczuć tę obojętność, bo po chwili przysiadł się do Marka, choć ten był z innego szwadronu. Mówili ze sobą o dziwkach, a później wszyscy śmieli się właśnie z Lodzia. Na tę ogólną wesołość weszła Naścia, niosąc na tacy kolację. Zamknęła za sobą drzwi nogą i powiedziała od progu :

— Dalibyście jemu wreszcie spokój, temu Lodziowi.

Marek, żeby popisać się przed gościem swym jurnym dowcipem, odparł :

— Najpierw ty nam „daj"...

Naścia tego dnia miała oczy podkrążone ; od samego rana była czegoś zdenerwowana i wyjątkowo opryskliwa. Mówiła głośno i wtrącała się do każdej rzeczy. Teraz zmilczała przez chwilę i raptem, stawiając przed Leszkiem kubek z leżącą powierzchu kromką chleba, odpowiedziała najniespodziewaniej :

— Ot temu, to bym dała... Ale nie tobie.

Leszek, trawiony gorączką, nie zmiarkował w pierwszej chwili dwuznacznika i spytał :

— Co byś dała ? — Powiedział to z tak szczerą naiwnością w głosie, że ogólny wybuch śmiechu zarechotał na sali. Kostek i Marek śmieli się z otwartymi ustami. Flor, siedząc na swojej pryczy, cicho, jakby z zażenowaniem. Nawet Józiuk, który po operacji z każdym dniem przychodził do sił, pokazał zęby. Nawet Lodzio się odwrócił i ucieszony, że to nie z niego, chichotał, nie będąc pewny o co chodzi. Leszek poczerwieniał, chciał zrehabilitować się jakimś tłustym kawałem, ale w tej chwili dostrzegł spojrzenie Naści. Była jak on, zaczerwieniona, ale nie zmieszana, jej szare oczy, trochę zwężone w uśmiechu, wyrażały zarazem pobłażliwą wyrozumiałość, współczucie, a jednocześnie jakby zdecydowaną solidarność z Leszkiem wobec tych wszystkich obecnych ; może też poczucie winy, że go naraziła na pośmiewisko. I Leszek, wbrew zamiarowi, zmilczał. Naścia odwróciła się i obrzuciła wszystkich suchym, pogardliwym wzrokiem.

Akurat w progu stanęła Helena.

— Co tu się dzieje ? !

Śmiech jeszcze trwał. Marek zaczął po swojemu wykładać Heli przyczynę wesołości. Ta uśmiechnęła się z przymusem, a później ze źle hamowaną złością, powiedziała szorstko :

— Naścia ! Ty po trzy kubki roznosisz przez pół godziny, a reszta stygnie w kuchni !

— Nie mam dziesięciu rąk, — odparła tamta hardo i podciągnęła piersi wyzywająco do góry.

Flor wstał w tej chwili, by jej pomóc. Marek i Kostek jeszcze się śmieli.

— No, dosyć już będzie tego ! — Hela ruszyła przez salę do przeciwległych drzwi. — Jak wam nie wstyd rżeć jak konie, kiedy tu człowiek... — Weszła do drugiego pokoju, w którym leżał huzar. Pobyła tam jednak krótko i wróciła. Odchrząknęła.

— Umarł — powiedziała równym głosem.

Nastała raptowna cisza. Trwała kilkanaście sekund, potem przerwał ją Kostek : wstał, rzucił niedopałek papierosa, przydeptał butem, niedbale pożegnał się z Leszkiem i wyszedł dzwoniąc ostrogami.

V

Rano, do kawy ze skondensowanym mlekiem, dawano chleb, pachnący pleśnią. Dwie kromki cienko krojone i pomazane ledwo dostrzegalną warstwą masła. Teraz Naścia kładła przed

Leszkiem obydwa kawałki złączone, masłem do środka ; z zewnątrz nie było można spostrzec, że smarowała je grubo na pół palca. Leszek udał, że nie zauważył zmiany. Tym bardziej, że Naścia nie przejawiała jej poza tym w swym zachowaniu. Była jak dawniej nierówna, tylko że częściej niż przedtem wpadała w wesołość.

Wielka zmiana nastąpiła dopiero szóstego dnia po śmierci huzara. Wydawało się, że nastąpiła gwałtownie, jedyny tylko stróż zauważył ją już zawczasu, prawie o całą dobę wcześniej. Wyszedłszy mianowicie z izby, usłyszał jak wrona na sąsiedniej topoli karknęła jakoś szczególnie krótko i urywanie. Pociągnął nosem. Od poczerniałej kory drzew szedł zapach, prawie nieuchwytny ; laik poczytałby go po prostu za „zapach dnia", bo przecie mniej lub więcej, a każdy dzień rozpoczyna się innym zapachem. Stróż jednak powtórnie wciągnął powietrze w nozdrza i domyślił się. Na łodygach ostów, rosnących za budynkiem łaźni, wieszały się szczygły. Z trzeciego podwórza, należącego do proboszcza cerkwi św. Mikołaja, gdzie zawsze tkwiły wysokie sągi drzewa opałowego, dochodził głos sikorki. Teraz nie mogło być już najmniejszej wątpliwości : był to szczebiot szczególny. Stróż ruszył z wiadrami do studni po wodę dla kuchni i myślał o tym, o czym się dowiedział. Nie miał jednak czasu z nikim się tą wiadomością podzielić.

A nazajutrz stała się rzecz taka : chmury zniknęły ; przez niemyte okna szpitalne wdarły się do sali promienie słoneczne i zrobiło się jasno, jasno. Jedna ze słonecznych plam, przecięta krzyżami ram okiennych, padła na podłogę, opodal drzwi. Zaraz też ułożył się na niej ryży kot Naści. Flor wstał wcześniej niż zazwyczaj, narzucił na ramiona bury szynel i wyszedł bez słowa. A gdy wrócił po krótkiej chwili, powiedział tylko :

— Ech !...

Nie czekając na stróża, sam wyniósł kubeł, a później pootwierał górne lufty okien. Przez nie przedostał się do pokoju przaśny zapach topniejącego śniegu. Do południa zaczęły spadać sople lodowe z dachu i rozbijały się na chodniku z szklanym trzaskiem.

W miasteczku tego dnia było cicho. Oddział wyruszył już przedtem w pochód. Pozostała tylko kancelaria i tabor. Flor ubrał się, poszedł na miasto i wrócił dopiero pod wieczór. Przyniósł pieczoną kurę na zimno i troszkę miodu w słoiku. Rozstawił wiktuały na krześle przed Leszkiem, sam usiadł jak zwykle w nogach łóżka.

— Podjemy sobie.

Jedli milcząc. Leszek chciał już kilkakrotnie wypowiedzieć zdanie zawczasu przygotowane, mianowicie : „No, co wiosna ! ?", ale za każdym razem miał usta wypchane jedzeniem i żałował straty czasu na próżną uwagę. Z drugiej strony wstydził się swej żarłoczności, nie mógł jej jednak pohamować. Dopiero teraz zdał sobie sprawę jak bardzo wygłodzony jest jego cały organizm, żywiony jednostajną strawą polowej, a później

szpitalnej kuchni. Poruszył więc kilkakrotnie palcami u nóg pod kocem, ale nie powiedział nic. Nagle Flor, obgryzając w palcach nogę kury, odjął ją od ust, spojrzał w błękitne niebo za oknem i jakby dopowiadał zaczęte uprzednio zdanie :

— Ech, puszcza... — Z prawego kącika warg spływała mu kropla tłuszczu na podbródek.

Leszek przełknął i przemógł się : — Ty ją znasz dobrze ?

Flor wytarł brodę wierzchem dłoni. — Znam... Jak to powiedzieć... Dobrze ? Puszczy dobrze znać nie można. Oho, puszcza ! Żebyś zobaczył...

Gdy skończyli kurę, Flor przyniósł kawę z kuchni, wyjął chleb, pociął nożem na cienkie kromki i zaczął smarować miodem. — Jedz na zdrowie. Tobie młodemu miód dobrze zrobi. — A później zaczął mówić bezładnie :

— Widzisz, puszcza, ona... Ech, życie było, życie ! Widzisz... nas w piętnastym roku wydzielili z różnych pułków w mały oddział, żeby zostać na tyłach niemieckich, gdy cała armia odstąpiła...

— Partyzantka ? — przerwał Leszek.

— Nie ! Regularny oddział, jak się patrzy, zapięty na wszystkie guziki. Naturalnie chłopcy z biegiem czasu zdarli się, dyscyplina się rozluźniła, ale i tak za dużo jej jeszcze zostało, tej dyscypliny. Dużo ona ludzi nagubiła, dyscyplina ta. Ot ten, co umarł, huzar... — Wskazał trzymanym chlebem na otwarte drzwi drugiego pokoju, a później okręcił chleb w palcach, żeby miód nie pociekł. — Ty swoją matkę ojca, szanujesz, kochasz ? — Nie czekając odpowiedzi ciągnął : — No, ma się rozumieć ja od ciebie jestem starszy lat piętnaście, może więcej. Mnie nie wypada, jak to powiadają, ciebie młodego do grzechu namawiać. Ale za co ich szanować ? Od weź chociażby tych — zrobił dyskretny ruch głową w kierunku łóżka Józiuka — szanuj takich rosomaków... Lodzio, on płacze po swoich, że ich w głowie zgubił, a może jego ojciec w tej chwili burdel w tamtym mieście trzyma, młode Żydówki po rublu za noc sprzedaje, skąd ty wiesz. Wychodzi, że trzeba by wszystkich ludzi na całym świecie szanować, bo każdy ma swoje dzieci. To samo dotyczy starszych wiekiem, czy rangą. A na tym przecie dyscyplina polega i na tym się opiera : zetkniesz obcasy i wybałuszysz oczy jak bałwan jaki. Koł w płocie ma więcej wyrazu niż żołnierz stojący na baczność !...

Mimo, iż Flor mówił bardzo bezładnie, Leszek słuchał go nie przerywając.

— My w puszczy żyliśmy jak w raju. Zwierzyny, zwierzyny... A w rezerwacie jelęnie, daniele, sarny... Mięsa, że przez całe życie tyle nie widziałeś. A jak zaczęliśmy wymieniać mięso i skóry, to chłopi nam okoliczni i mąki i kaszy i nawet cukru przywozili. Niemcy, którzy stali w pobliżu, znali nas już. Z początku szły obławy, postrzelaliśmy troszkę, później oni widzą, że nie dadzą nam rady, znów przycichli. Huzarzy sobie, a my sobie. Ale cóż kiedy dyscyplina jednych na drugich

szczuje. Nie dali żyć. W ten sposób i mnie na początku osien nastego stuknęli pod łopatkę, ledwo płuca nie przebili. A pó niej podebrali nieprzytomnego z puszczy i przywieźli do teg lazaretu. Tak i zostałem. Dokąd ja pójdę?... — Oblizał pal z miodu. — Ot widzisz, jak było. Później przyszła zawierucha Huzarzy stali jakiś czas, później odstąpili, później znowu prz szli na zmianę i tak w kółko. Sam wiesz. Ale ten co tu leża to też stuknięty był jeszcze w puszczy. Zaraz po mnie. Ciężk bardzo. Nie mogli go ruszyć ze szpitala. Robili jedną, drug operację. Mieli zabrać do ich ojczyzny. Wciąż mieli zabra a widzisz, nie zabrali. Zapomnieli. On czekał i czekał. Pamię tasz, jak po Józiuka starzy przyjechali? Otóż ten huzar zaw sze, jak tylko usłyszy bywało, że ktoś jedzie ulicą, myślał, ż to może po niego. A tymczasem ostatni poszli sobie, jak w przyszliście. Zapomnieli. Naród akuratny, a jednakże widzisz jeden człowiek mało liczy się nawet dla akuratnych. A ni byłoby tej dyscypliny, człowiek by żył. Tak, tak... — zamyśl się. — Puszcza, puszcza... Gdzie tam! Poznać ją całą! Wie ku ludzkiego za krótko.

— Zielona? — spytał Leszek.

— Zielooona... tak. — Ocknął się z zamyślenia. — Do brze mówisz, że zielona. — Wstał ociężale, przeciągnął się. — A gdzie to Marek? — spytał, spojrzawszy na jego puste łóżko

— Chyba na górę poszedł, do Heli. Przystawia się.

Flor machnął ręką lekceważąco i ziewnął.

— Naturalnie, że w jego stanie... — zaczął Leszek.

— Nie tylko dlatego, a w ogóle. Nie da rady.

— A co ona, taka cnotliwa?

— Nie... Nie cnotliwa... — odparł niechętnie.

Lodzio ubierał się właśnie, żeby wyjść na miasto. Flo zauważył jego krzątaninę i kiwnął nań palcem. Poszli razem na drugi koniec pokoju, gdzie przy łóżku stała szafka Flora przerobiona ze starej, amunicyjnej skrzyni. Otworzył ją z klu czyka, wydobył parę żółtych butów z długimi cholewami, ja kie nosiła kawaleria niemiecka. Z przyzwolenia Heleny za brał je sobie po śmierci huzara.

Lodzio już ubrany, przysiadł bokiem na łóżku Józiuka Obaj przyglądali się bez słowa jak Flor, dłutkiem, ostrożnie by nie uszkodzić obcasów, odrywał przybite do nich na głucho gwiazdkowe, bezdźwięczne ostrogi. W monotonii dnia była t jedyna czynność, która odbywała się w tym pokoju i Józiuk skupił na niej całą swą uwagę. Flor rzucił oderwane ostrogi wydobył worek, zawinął weń buty, wręczył je Lodziowi. Wi docznie dla jakiejś przyczyny nie chciał ich sam sprzedawać Wreszcie uderzył go po ramieniu:

— Ja wiem, ty Lodzio, jesteś dobry geszeftsman! Dla cie bie dziesięć procent.

Lodzio kiwnął poważnie głową i wyszedł z workiem po pachą. Józiuk przewrócił się na drugi bok. Flor usiadł na swoim

łóżku, podniósł z podłogi jedną ostrogę i w zamyśleniu, końcem ostrej gwiazdki dłubał sobie w brudnych paznokciach u rąk.

VI

Od tego dnia wypadki zaczęły się toczyć szybko.

Dawno, już bardzo dawno miasteczko nie pamiętało tak wczesnej wiosny. Słońce świeciło. Śnieg na jezdni zrobił się żółty od roztopionego nawozu końskiego, potem bury, następnie prawie czarny, a bokami, w rynsztokach płynęła woda, bulgocąc i kręcąc się, niosła puste pudełko od zapałek, podrzucając nim tak szybko, że nie poznać po wirujących znakàch, który z monopoli państwowych je produkował. — Na stokach zaczęła wyłazić ziemia. Płoty obeschły pierwsze.

W czwartek, 27 lutego było już tak ciepło, że w południe można było siedzieć w ogródku na ławce. Spod muru wyłaziła zielona trawka. Na gałązkach bzu pojawiły się zgrubienia, zapowiadające pączki. Niebo było wciąż koloru jasno-błękitnego, a gdy Leszek zwrócił na to uwagę, Flor jakąś obcą sobie, prawie dziecinną intonacją w głosie, porównał jego kolor do oczu Heleny.

Teraz ciągle mówił o puszczy. Razu pewnego, gdy siedzieli z Leszkiem owinięci w szynele na ławeczce, nieoczekiwanie przyszła Naścia. Na fartuch szpitalny narzuciła ciepłą chustkę i siadła obok Leszka, robiąc szydełkiem i przysłuchując się opowiadaniom.

Flor skręcił cygaretkę i zaczął ślinić bibułkę ; później zapalił i patrząc kędyś ponad sady, ciągnął jak w transie : — Idziesz sobie trybem leśnym, zupełnie jak korytarzem. Drzewa wysoookie, cień. Dzięcioł kuje. Postoisz, słyszysz jak drzazeczki cicho spadają.

— A są dzikie kaczki, gęsi ? — spytał Leszek.

— Kto, kaczki ? ! Ha, na błotach, przy rzece, a zwłaszcza wiosną, to jak żaby ! Kwa-kwa-kwa... Ze wszystkich stron. Gęsi jak ciągną jesienią, to my z ukrycia, bywało z karabinu maszynowego puścimy serię — drugą, po nich, po gęsiach ! Zawsze, a któraś spadnie. Potem na rożen. Tłuszcz cieeeknie... W ziemlance ciepło ; palce sobie oblizujesz z tłuszczu, ogień się pali. A spojrzysz w otwór ziemlanki : noc wokoło, cieeemno. Wyciągniesz sobie nogi wygodnie na podesłanym mchu ; mech grzybami pachnie. Życie.

Naścia nie podnosząc głowy z nad robótki, wtrąciła :

— Ale w nocy chyba straszno tak siedzieć w lesie.

Flor wypuścił strugę dymu przez nos. — Mówisz, Naścia, nie znając się na rzeczy. Cóż może być bezpieczniejszego dla człowieka jak las. A już zwłaszcza w nocy, po ciemku. Na polu może straszno, to owszem, przyznaję. Idziesz i nie wiesz, czy ktoś ciebie spod krzaku jakiego czy rowu nie obserwuje. Ale jak dopadłeś tylko lasu, to jak igła w sianie. Nikt ciebie nie

widzi. Schowany jesteś. Sam jesteś, a czy słyszałaś, żeby czło wiek sam sobie co złego zrobił? Bezpiecznie. A ty mówisz: ,,straszno" ! Głupstwa gadasz i tyle.

Niespodziewanie Naścia odłożyła robótkę, wtykając ostroż nie szydełko w kłębuszek, aby nie wypadło i wyciągnąwszy ra mię objęła nim za szyję Leszka.

— Wszystko jedno, a my byśmy się bali, nawet razem nie? — szepnęła.

,,Co ją raptem natchnęło do uczynienia tego ruchu? Skąd jej się to raptem wzięło?" — Tyle zdążył pomyśleć Leszek i siedział z jej ręką na szyi, śmiesznie sztywno, niezgrabnie ja koś, z zakłopotanym uśmiechem na twarzy.

— Naścia, ty zwracaj uwagę — powiedział Flor. — Bo jak Hela zobaczy...

— A cóż to ona mnie !... Zabroni ? !

— Zabroni — nie — zabroni, a wreszcie może i zabroni

Naścia zdjęła rękę i wpadła w złość:

— Już ty tylko swego nosa nie suń, gdzie nie twoja rzecz Stary plotkarz.

— Ja nie plotkuję, Naścia — odpowiedział spokojnie. — Ja tylko tak sobie mówię. Tylko tobie mówię.

— Zaczął teraz o tej puszczy gadać w kółko, to i wracaj skąd przyszedłeś. Nikt ciebie tu nie trzyma. Zdrów jesteś. — Podjęła robotę z kolan i zaczęła szybko robić drutami. — Wiosna, to więc idź. Kiedy tam tak pięknie.

Leszek wtrącił: — Pewnie, że pięknie.

— W błocie siedzieć! — mruknęła Naścia.

— Może i trzyma... — Flor, patrzał w ziemię przed sobą

Leszek nie rozumiał, o co im właściwie chodzi i dlaczego się kłócą.

— Jak ona trzyma, to leź na swoją Helkę, ja tobie nie przeszkadzam.

— O czym tu gadać. Sama wiesz.

— Co ja wiem, to nie twoja rzecz ! ! — krzyknęła w pasji — Ale jeżeli ty choć słowo... — urwała raptownie. Od bramy wewnętrznej zbliżał się powolnym krokiem Józiuk. Wszyscy spojrzeli w jego stronę i przyglądali mu się w milczeniu, które nastało.

Po odbytej operacji zdrowie powracało doń z jakąś nie samowitą wprost szybkością. Prawie każdego następnego dnia wyglądał coraz lepiej. Policzki pod skórą wypełniły się i znikł dawny wygląd nagiej, ludzkiej czaszki. Dopiero teraz można było rozpoznać, że był to chłopak wcale nie tak młody, jak si wydawało poprzednio, a już dorosły, w każdym razie licząc ponad dwadzieścia lat. Operacja nie była ciężka, ale fenome nalne tempo rekonwalescencji wzbudzało podziw nawet w dok torze. Przychodził codziennie i przystając przed jego łóżkiem patrzył ciekawie. Z wyrazu oczu poznać było, że nie człowie go interesuje i może nawet nie tyle kliniczna strona fenome

nu, ile po prostu sprawia mu instynktowną przyjemność obserwowanie własnej kreacji. Czasem uśmiechał się nawet do leżącego, jak zwykł uśmiechać się ogrodnik na widok nadspodziewanie szybko rosnącego kwiatu w doniczce.

— Dobry człowiek — powiedział o nim kiedyś Józiuk, gdy lekarz wyszedł.

A Flor w odpowiedzi: — Cóż chcesz. Raz ciebie zrobił ojciec, a drugi raz doktór.

— To nie doktór, to wiosna — zauważył Marek, którego nawiedzały również chwile rozmarzenia.

— Poetą się robisz, co? — wtrącił Leszek.

— I doktór i wiosna. Też dobra para — przytaknął pojednawczo Flor. A na drugi dzień przyniósł gałązkę wierzby pokrytą świeżymi baziami, wsadził w słoik z wodą i powiedział do Józiuka: — Masz, to od twojej... matki.

Teraz Józiuk zbliżał się do siedzących na ławce z pewnym wahaniem, jak człowiek, który boi się przeszkodzić innym swoją obecnością. Flor na jego widok zmrużył oczy, a kąciki ust drżały mu z lekka, w znak, że ma przygotowany dowcip i ociąga się tylko z jego wypowiedzeniem.

— Ty, Józiuk... — zaczął wreszcie. — Ja wiem, gdzie twój stary zakopał „obrez"; w drewutni, koło studni, nie wiesz? Jutro pójdziemy z tobą, wykopiemy i na... jelenie!

Józiuk uśmiechnął się blado. Widać było, że na nogach trzyma się jeszcze bardzo słabo.

Z okna pierwszego piętra, nie zauważona przez nikogo, patrzyła na nich Helena. Obserwowała w ten sposób już od dłuższego czasu. Potem odeszła od okna, nie śpiesząc się przemierzyła pokój i krokiem dziwnie ociężałym, zaczęła wolno schodzić w dół po drewnianych schodach.

W niedzielę 2 marca, na tych samych schodach rozegrała się następująca scena:

Hela, wystrojona jak do kościoła, zatrzymała spotkanego przypadkowo Flora, zawahała się chwilę i wreszcie spytała odwracając twarz:

— Do cerkwi dziś nie idziesz? Flor był prawosławny.

— Nie, — odparł wymijająco. — Co ja tam będę robił — ujął za klamkę od drzwi do pokoju chorych.

— Słuchaj... Ten... twój przyjaciel... — urwała.

— Ja nic nie wiem, — wzruszył ramionami i otworzył drzwi.

Wtedy Hela minęła go i wyszła na ulicę. Miała na sobie niebieski kostium, o kroju wprawdzie wyszłym już z mody, tam, hen, na zachodzie Europy, ale schludny, który leżał na niej doskonale i był wiosenny. Poza tym każdy przyznawał, iż było jej bardzo do twarzy w niebieskim kolorze. Przez lewą rękę przewieszoną miała torebkę ze sztucznej skóry, a w prawej

dłoni trzymała książkę do nabożeństwa, którą jej podarowała matka wiele lat temu, gdy Hela była jeszcze zupełnie małą dziewczynką.

VII

Mimo, iż Anastazja wydawała się w swoich słowach i odruchach zupełnie nieobliczalna i ulegająca jedynie niespodziewanym kaprysom, wykazała tym razem daleko posuniętą ostrożność. Gdy umówiła się z Leszkiem, że spotkają się poza szpitalem, uczyniła wszystko dla zachowania możliwych pozorów. Miała wyjść wcześniej i czekać nań za drugim rogiem ulicy na prawo. Stał tam dom o starej zamurowanej w głębi wnęce, gdzie można się było ukryć i obserwować przechodniów. Leszek od czasu pobytu w szpitalu, po raz pierwszy spróbował wyruszyć do miasteczka. Bardzo wychudł. Mundur wisiał na nim jak na kołku i zmuszony był mocno docisnąć pasa. Flor wywiercił w tym pasie nową dziurkę, obciągnął mundur na jego plecach i pokiwał głową z wyrazem współczucia. Chciał mu towarzyszyć na tym pierwszym spacerze, ale Leszek wymówił się pod kiepskim zresztą pretekstem, że zatęsknił za chwilą samotności. Flor udał, że go rozumie.

Drewniane chodniki na zbutwiałych podkładach, uginały się, leciutko pod stopami i to przyprawiało Leszka o zawrót głowy. Nogi stawiał ostrożnie i patrzył pod siebie. Od umówionego rogu, Naścia poprowadziła go ulicą w dół, trzymając pod rękę. Następnie skręcili pierwszym zaułkiem w lewo i zatrzymali się przed parterowym, drewnianym domem, starym, osiadłym głęboko w ziemię. Wchodziło się przez furtkę w omszałych wrotach, podobnych do wszystkich innych wrót tego miasteczka, to znaczy zbitych z nieheblowanych desek, przybierających z biegiem lat kolor szaro-zielonkawy. Za wrotami szczekał piesek z zakręconym do góry ogonkiem i stała wielka kałuża wiosennej wody ; nagie gałęzie pobliskich drzew odbijały się w niej ciemno, jak w zakopconym szkle. Kilka cegieł ułożonych w poprzek, umożliwiało przejście.

— Bobik ! — krzyknęła dziewczyna na pieska. — Poszedł won ! — Piesek nie poszedł, ale przestał szczekać i zamachał ogonkiem.

W tym domu mieszkali rodzice Naści. Wnętrze izby było ubogie. Rzucała się jedynie w oczy większa ilość obrazów świętych i wysoki stos poduszek na jednym z dwuch łóżek. Ojca nie było. Matka, kobieta jeszcze nie stara, sucha, o rysach dziwnie ostrych, w których z trudem zaledwie można by się dopatrzyć wspólnych cech z córką, przyjęła wizytę obojętnie. Pies wśliznął się ostrożnie i obwąchiwał buty Leszka bardzo starannie, jakby zamierzał dobrze je sobie zapamiętać na przyszłość.

Leszka mdliło. Nie wiedział co ma powiedzieć na przywitanie, ani jak się zachować. Złościło go to, że przestępując próg

uderzył niebacznie ciemieniem w górny uszak drzwi. Mimowoli sięgał ręką, aby wymacać guz i dlaczegoś pamiętał ze specjalną wyrazistością, że na drzwiach, bardzo jeszcze wyraźne pozostały znaki po święconej kredzie, wypisane w cześć trzech króli : K+M+B.

Gdy matka wyszła po drewka do pieca, Naścia nie objęła go rękoma za szyję, jak to miała w zwyczaju, ale wsadziła mu je w rozpięty mundur, przytuliła się i zaczęła prędko całować w usta. Ręce jej były raczej zimne i trochę wilgotne. To było wszystko. O uprawianiu innej formy miłości nie mogło być mowy w tej sytuacji. Zresztą zaraz wróciła matka. Napili się herbaty i po upływie godziny wracali do szpitala : Leszek milczący, Naścia jak gdyby zawiedziona i pochłonięta myślami. Dopiero żegnając się, przezornie o kilka domów przed szpitalem, ocknęła się :

— Już ja wiem, — powiedziała, — jak my zrobimy w przyszłości...

Leszek chciałby zapytać ją właściwie, co dziś będzie na podwieczorek, ale zaniechał w ostatniej chwili. Byłoby to już zbyt prozaiczne zakończenie ich pierwszego sam-na-sam.

Zdawało się, że nikt w szpitalu nie domyślał się ich tajemnego spotkania na mieście. Wieczorem, jak zwykle, przysiadł się Flor i snuł dalej opowiadania o puszczy. Leszek słuchał ich z coraz wzrastającym zainteresowaniem. Układał się zazwyczaj wygodnie, przymykał oczy i zdawało się mu, że pod sklepieniem powiek dostrzega zielone sklepienie lasu.

Flor opowiadał jak polował na dzika i nagle : — Ty widziałeś kiedy jak księżyc świeci, a wszystkie liście w rosie? A ziemia pachnie, ech ! — urwał. Ponieważ milczał długo, więc Leszek nie unosząc powiek, mruknął :

— No i co z tym dzikiem?

Ale Flor nie zwrócił uwagi na pytanie. Podjął jakby rozmawiał ze sobą :

— Cisza, cisza, ale to tylko się zdaje, w uszach tylko. Bo wsłuchasz się : szum, cichutki, bez wiatru, a szum.

— Od czego?

— Oddycha.

— Kto?

— Puszcza, kto ! Na wietrze to mówi się, że gada, choć ja tam nie wierzę, żeby drzewa gadały. Ale jak cisza, to fakt, że słychać jak oddycha. Bo oddychać musi każdy, i zwierz, i roślina, i komar.

— Komarów dużo?

— Jest tego brzękadła pełno. Ma się rozumieć, zależy jak gdzie i w jaką porę. Ja miałem swoją babę we wsi Pieski, to na samym południowym skraju. Sosna. To tam komarów prawie nie było wcale, sucho. — Przerwał, zamyślił się i dodał : — Nie bogaci ludzie ; biedni. Grykę sieli. Kasza...

— A ja lubię kaszę gryczaną.

— Ja wiem, lubisz. Z masłem, czy skwarkami. A spróbowałbyś postnej na co dzień! No, w tych czasach to ja przynosiłem im do chaty różnych różności.

— A co się stało z nią, z tą...

— Żyje. Nic się nie stało. Nazywali ją Luba.

— Ładna?

— Cycki jak u naszej Heli... To nie daleko od jego wsi, — wskazał ruchem głowy na łóżko Józiuka. — Kiedyś może zajdę jeszcze tam.

Leszek przeciągnął się: — Żeby to już raz być zdrowym...

— Nie śpiesz się. Wyzdrowiejesz i tak jeszcze za wcześnie. Do życia się śpieszyć to jak na własną zgubę. A w szpitalu to urlop od wszystkiego.

Marek był trochę urażony powodzeniem Leszka u Anastazji. Nie chodziło mu o nią, sam od dawna już kochał się w Heli, ale Leszka uważał za słabeusza do niczego, a siebie za zucha na schwał. Przy tym nie uszło jego uwagi, jak bardzo niechętnie patrzyła na to Hela. Zrodziło się w nim więc podejrzenie, czy aby nie jest zazdrosna i czy jej też Leszek nie wpadł czasem w oko. Wyraźnie, gdy przychodziła, zwracała większą uwagę na Leszka niż na kogoś innego, choć była w stosunku doń coraz bardziej oziębła. Ale — myślał — może tak czyniła dla zachowania pozorów, albo na złość, albo z takiej taktyki kobiecej, o której Marek nie dużo jeszcze wiedział. W każdym razie po cóż by go wyróżniała, chociażby negatywnie? A że wyróżniała to fakt. Nieraz zauważył jak obserwowała go spod opuszczonych rzęs. O Flora nie dbał wiele, sam nie zdając sobie sprawy dlaczego. Lekceważył. A Leszek, szczeniak zupełny, a jednak... — Tak myśląc nie mógł zasnąć w nocy, zresztą od ciągłego leżenia sen uciekał. Słyszał jak Leszek wstał, narzucił płaszcz, wciągnął spodnie, buty na bose nogi i wyszedł za swoją potrzebą. Mimowoli czekał, że zaraz usłyszy go idącego z powrotem, ale mijały minuty, kwadrans już chyba, więcej, może pół godziny... Nie wracał. — Zemdlał może: z niechęcią pomyślał o obowiązku pójścia mu z pomocą. Starał się zasnąć.

Minęła godzina. Leszka wciąż nie było. Wtedy straszliwe podejrzenie zaczęło przybierać kształty realne: Marek przypomniał sobie nagle, że przecie słyszał jak tego wieczoru Anastazja zapowiedziała, że idzie spać do rodziców... A więc Hela jest sama. Zerwał się, siadł na łóżku. Józiuk z prawej strony spał spokojnie. Lodzio spał i sapał przez nos. Zwykła noc w szpitalu, a za oknami cisza miasteczka, cisza grobowa. Raptownie pomiędzy tę ciszę i sapanie Lodzia, wkradł się inny odgłos: bardzo ostrożne, jakby czające się kroki na górze, a później wyraźniejsze już poskrzypywanie drewnianych schodów pod nieciężkimi widocznie stopami. Wtedy Marek spuścił nogi i zaczął gorączkowo wciągać spodnie. Ręce mu drżały. Zapiął tylko górną sprzączkę w pasie i z niezapiętym rozporkiem, w koszuli, boso, zmierzał do drzwi. — Ale ktoś jeszcze nie spał w tym po-

koju, a był nim Flor. On też usłyszał leciutkie skrzypienie schodów pod stopami i domyślił się widocznie, czyje to były stopy. Leżał jednak nieruchomy i dopiero, gdy Marek zaczął wciągać spodnie, uniósł nieznacznie głowę znad poduszki. Jeszcze kilka sekund przetrwał w tym stanie, ale gdy Marek zbliżał się do drzwi, — raptownym ruchem odrzucił koc i tak jak był, w kalesonach, wyskoczył biały w mroku i ciężki na pozór, ale cicho i zwinnie jak kot. Zastąpił drogę Markowi i szepnął głucho :

— Poczekaj.

Marek zatrzymał się w pierwszym odruchu, następnie żachnął się i chciał Flora usunąć z drogi. Ten jednak ujął go za ramię, ścisnął w palcach, zrobił z nim razem krok do drzwi i szepnął raz jeszcze poprzez zwarte zęby :

— Poczekaj. — Miał dłonie twarde i nieustępliwe. Przytrzymał Marka, potem odepchnął go lekko, otworzył drzwi, wyszedł i zamknął je za sobą z drugiej strony na klucz. Wszystko to zrobił w mgnieniu oka.

W tej samej chwili Hela, która schodziła na palcach po schodach, była już na dole, w drugim końcu korytarza, przy drzwiach prowadzących do pokoju, w którym stało kilka pustych łóżek, nie funkcjonującego obecnie, dawnego tzw. oddziału kobiecego. Musiała zapewne też nie spać tej nocy, czy coś usłyszeć, czy może od razu powzięła podejrzenie, gdy jej Naścia z wieczora oświadczyła, że idzie na noc do rodziców... Otworzyła drzwi gwałtownie z ciemnego korytarza i przekręciła kontakt tuż na ścianie. Była tam słaba żarówka, płonąca czerwonawym, migotliwym światłem miasteczkowej elektrowni, ale w tym momencie zdawała się zalewać pokój przeraźliwie rażącą jasnością. Naścia zdążyła jedynie wykrzyknąć zduszonym głosem : ,,Ach !...'' i stoczyła się instynktownie na drugą stronę łóżka. Leszek zerwał się, podciągnął spodnie i jednocześnie zawstydzony, wściekły, zmieszany, robiąc minę obrażoną, stanął na równe nogi. Pchany również bardziej odwiecznym instynktem obrony swej kobiety, niż zdając sobie sprawę z jakiegokolwiek konkretnego zamiaru, postąpił dwa kroki, zagradzając sobą przejście. Zanim jednak zdążył wydusić z siebie jedno słowo, Helena błyskawicznym uderzeniem, z całego rozmachu ręki cięła go w twarz. Uderzyła nie otwartą dłonią, ale jej ostrym kantem jak szablą, na ukos w lewo ! Leszek zachwiał się, ręką przytrzymał za poręcz łóżka i upadł na jedno kolano.

— Ty!... — krzyknęła Naścia, porywając się z twarzą wykrzywioną nienawiścią. Przestąpiła przez Leszka i zdawało się, że się rzuci z pazurami do oczu Heli, ale powstrzymał ją ich straszliwie mrożący wyraz. Twarz Heli była zupełnie biała. Wargi sine i zaciśnięte, ręka jeszcze wyciągnięta do przodu... I właśnie w tym momencie wkradł się cicho Flor.

— Daj spokój, Helenka, — szepnął — ujmując ją z tyłu za ramiona. Jego twardy, zazwyczaj gruby głos nie nadawał się do cichej pieszczotliwej perswazji, z jaką usiłował przemówić, dlatego brzmiał nieudolnie i sztucznie. — Nie trzeba, nie

trzeba... No cóż takiego... Tylko bez hałasu, cicho. — Ob
i zawrócił nią, dziwnie nagle podatną i zwiotczałą.

Leszek wstawał, trzymając się wciąż poręczy. Flor wypr wadził Helenę, ale ledwo przestąpiła próg, osłabła, usiadła n stopniu schodów, ukryła twarz w dłoniach. Pochylone plecy p częły drgać, wydała jakiś piszczący dźwięk, podobny do zrani nej kotki i zaczęła szlochać. Flor stał przed nią i ostrożnie d tykał palcami jej włosów. I oto w tej chwili stała się rzecz na mniej spodziewana: Naścia minęła Leszka, siadła na stopn obok Heli, otoczyła ją ramieniem i przytuliła swą twarz do j policzka; potem zaczęła ją gładzić po włosach, po ramieniu, p plecach, a gdy tamta wstrząsana zduszonym łkaniem nie odr wała rąk od twarzy, Naścia odchyliła pukiel jej jasnych włosó na skroni i jęła naszeptywać coś do ucha, coś, czego nikt n mógł dosłyszeć.

Poprzez otwarte drzwi padało na klatkę schodową czerwo nawe światło żarówki z pustego pokoju. Leszek usiadł na zmi tym łóżku i wciągał buty. Nikt nań nie zwracał uwagi. Właśni gdy sięgał po szynel, który spadł był na podłogę... raptown łomot wstrząsnął nastałą ciszą.

Raz, drugi mocniejszy, trzeci... Hela odjęła twarz od dłon

— Co to?! — szepnęła wylękła Naścia.

— To pewnie ten... — mruknął krzywiąc się Flor. — Je szcze jego tu brakowało. — Zwrócił się w kierunku sali chorych W tej chwili za czwartym uderzeniem czymś ciężkim, zame prysnął, klucz wyskoczył.

Bo zdarzyło się tak, że Marek, zamknięty przez Flora, st tylko chwilę jak ogłupiały, następnie wrócił do swego łóżka sięgnął po karabin i podszedł do drzwi. Przez sekundę jeszcz nadsłuchiwał. Słyszał szmery i głosy, których nie mógł zrozu mieć. Później doszedł go wyraźny, choć przytłumiony płac Heli. Ujął ręką za klamkę, spróbował: nie puszczała, drzwi był zamknięte. Wtedy ogarnęła nim wielka pasja. Z całej siły wa nął kolbą w zamek. Józiuk przebudzony siadł na łóżku z szero ko otwartymi oczami. Przerażony Lodzio nakrył głowę kołdra Zamek pękł za czwartym uderzeniem i Marek wpadł na kory tarz. Pierwsze co ujrzał była ta sama biała postać Flora idąc mu naprzeciw. Pochwycił on jedną ręką za lufę karabinu i p wiedział do Marka sucho:

— No czego awantury po nocy robić? A?

— Ja tttobie... wwwantury... ty... — wykrztusił przez zęb Marek i zarepetował karabin. Flor chciał odpowiedzieć, ale n zdążył, skupiwszy całą uwagę nie na twarzy Marka, a na jeg kciuku, który przesunął bezpiecznik. Nie miał do stracenia s kundy: pociągnął za lufę i pchnął karabinem wstecz, chciał g wykręcić, ale tamten trzymał mocno choć utracił uchwyt cyngl Flor pchnął raz naprzód, drugi wstecz, słychać było przez chwi kę krótki charkot walczących ze sobą ludzi, potem wyrwał br i uderzył kolbą w szyję z taką mocą, że Marek runął na wzn

jak worek uderzając potylicą w okuty próg gabinetu lekarskiego. Jęknął i zrobiła się cisza.

Cisza, cisza. Za oknami, na ulicach miasteczka, też nic tylko cisza.

Pierwsza szepnęła Naścia : — Jezus Maria... — A później łapiąc oddech : Ach Boże... Ach Boże...

— Ccccicho... — syknął Flor. Postał, patrząc na leżącego.

— Ach Boże... Ach Boże... — szeptała Naścia jak w pacierzu.

— No i co ? — Umierającego nie widziałaś ! A jeszcze pielęgniarka się nazywa.

Helena zbliżyła się stąpając cicho w pończochach, z chusteczką przy ustach. W mrocznym korytarzu nie było widać jej twarzy. Pochyliła się nad Markiem milcząc. Zawsze potulny w jej obecności Flor, komenderował teraz jak na polu bitwy :

— No, dalej, dziewczęta. Nie ma się czego rozmazywać. Do roboty — mówił świszczącym szeptem. Sam ujął leżącego pod ramiona i kazał Heli wziąć go za nogi. Wnieśli do pokoju ; ręce Marka zwisały, bezwładnie dotykając podłogi. Minęli jego dawne łóżko i przenieśli do drugiej sali dla ciężko chorych, gdzie umarł był huzar. Naścia prędko podesłała poduszki i pobiegła po opatrunki.

Józiuk udawał, że śpi. Lodzio leżał wciąż z głową nakrytą kocem. Flor wrócił do sieni, podjął karabin z podłogi, rozładował, obejrzał, chciał sprawdzić nazwę fabryki i datę wyrytą na zamku, ale było ciemno ; poprawił więc tylko rzemień i odstawił na dawne miejsce.

Leszek poszedł do ustępu i ciężko wymiotował. Następnie powlókł się do swego łóżka i zwalił nań jak nieżywy. Ciągle jeszcze nikt nie zwracał na niego żadnej uwagi.

VIII

Nazajutrz w słonecznym czworokącie okiennego odbicia na podłodze, wygrzewał się kot Naści i mrużył z lubością oczy. Dozorca, który o świcie przychodził z oficyny, aby napalić w piecach, zauważył ze zdziwieniem, że drzwi dawnego oddziału kobiecego są uchylone i pada stamtąd rdzawe światło żarówki. Przekręcił kontakt i drzwi zamknął.

Leszka z ociężałego snu wyrwał głos Flora : — Ech, życie...

Ocknął się. Z sąsiedniego pokoju dosłyszał ciężki, chrapliwy oddech i w pierwszej chwili wziął go za oddech huzara, zanim uprzytomnił sobie, że tamten już dawno umarł. Wtedy przypomnienie wypadków ubiegłej nocy wyrosło w jego pamięci, ogromne, straszne i zaraz opadło na piersi, przygniatając jak kamień. Odwrócił twarz, unikając wzroku Flora, ale ten też patrzył gdzie indziej. Dopiero po dłuższej chwili przysiadł się starym obyczajem na łóżko.

— No co, — powiedział, — widzisz coś narobił, co ?

Leszek nie od razu odpowiedział:

— Co to wszystko znaczy?... Ja, ja nie rozumiem... Powiedz, o co to... bo ja...

Flor pokiwał głową.

— Nie rozumiesz, to ja dobrze widzę, że nie rozumiesz. A teraz masz.

— Ale dlaczego ona?... To jest one...

— Ech, one żyją przecież ze sobą.

Leszek zamrugał powiekami. Nastało milczenie. Flor spojrzał za siebie, by sprawdzić czy tamci śpią jeszcze.

— Jakto?... — wyjąkał Leszek.

Flor nie miał ochoty odpowiadać, a w następnej chwili zajechała furmanka i zatrzymała się przed wrotami szpitala. Uniósł się tedy by wyjrzeć oknem, a później bez słowa wyszedł i zniknął w sieniach. Jak zwykle, gdy chorego przywożono do badania lekarskiego, pomagał dozorcy we wnoszeniu. Był to stary człowiek, nieprzytomny już, którego wnieśli do pokoju dla ciężko chorych i położyli na drugim łóżku obok Marka.

Lekarz przyszedł jak zawsze punktualnie i zaraz zabrał się do operowania najpierw przywiezionego starca. Stan pacjenta był beznadziejny.

Flor przyniósł wiadomość: — Bardzo stary. Żeby był młodszy może by jeszcze wyżył. A tak... nie da się nic zrobić. Głuchy jakiś Żyd.

— Co mu jest? zainteresował się Lodzio.

— Głuchy. Szedł do waszej bóżnicy dziś o świcie. Nie dosłyszał wołania i dostał kulą pod żebra. Że też starym zachciewa się jeszcze mooodlić koniecznie!

— Dlaczego to starym nie można się modlić?

— Dlatego, że stary winien być mądrzejszy od młodego.

Leszek nie wtrącał się do rozmowy tamtych.

Stary Żyd umarł nie doczekawszy południa. — Ten drobny incydent odwrócił nieco uwagę od głównego pacjenta, jakim był w tej chwili dla szpitala Marek. Flor podjął się wytłumaczyć lekarzowi przebieg wypadku: „Ktoś w nocy zamknął dla żartu drzwi z zewnątrz. A może przypadkowo. Marek chciał wyjść do ustępu, zaczął szarpać, wpadł w złość, pchnął z całej siły, zamek się poddał raptownie, a on stracił równowagę, potknął i zwalił całym ciężarem, uderzywszy głową o próg przeciwległych drzwi. Fatalny wypadek". — Lekarz słuchał opowiadania z roztargnieniem. Skonstatował pęknięcie czaszki, wstrząs mózgu i częściowy wylew krwi. Marek nie odzyskiwał przytomności a doktór nie wypytywał o żadne bliższe szczegóły. Dokonał automatycznie niezbędnych zabiegów i zdjął kitel, wieszając go na drewnianym wieszaku.

— Umrze. Czaszka wstrząśnięta jak główka maku. — Zaczął myć ręce. Śpieszył się dokądś, choć było wcześnie. Przez uchylone okno dochodził wesoły pogwar wróbli i świeże powietrze, ciągnące od wilgotnej ziemi ogrodów. — Trzeba będzie zawiadomić władze. Jego władze, wojskowe. Nie wiem, czy

one tam zechcą przeprowadzać śledztwo, czy nie. — Zaczął wkładać właśnie marynarkę, gdy Helena, która przez cały czas milczała, jakby od niechcenia zwróciła mu uwagę, czy by nie zechciał zbadać jeszcze tamtego, drugiego ułana.

— Którego?

— Leszek, czy jak go tam nazywają.

— A co mu się stało?

— Nic nie stało, tylko, — odparła nie podnosząc oczu znad instrumentów, które myła — że, czy nie czas już jego wypisać?

— Zdąży się, zdąży się jeszcze. — Wziął kapelusz. — Jutro zbadam — i zmaknął drzwi za sobą.

Wszyscy tego dnia krążyli po szpitalu na palcach. Flor, który od rana nie mógł znaleźć sobie miejsca, przysiadł się w końcu do Lodzia i trzepnął go po ramieniu z udaną jowialnością.

— Oj — syknął tamten.

— Lodzio, ty chcesz być geszeftsman, ale taki prawdziwy? — zapytał go półgłosem.

— Nu.

— Nie „nu", ale powiedz, czy chcesz?

— Nu.

Bo jeżeli chcesz, to powiesz, że ty dzisiejszej nocy wychodziłeś do sieni i tak sobie, bez zastanowienia, rozumiesz jakby tobie coś zdało się nagle... Sam nie wiesz dlaczego, zamknąłeś za sobą drzwi na klucz.

— Po co?

— Jakto po co! — Flor podniósł głos. — Nie pamiętasz po co. Ty przecie pamięć tracisz, nie? Jakby tobie jakaś czarna płachta przed oczami staje. — Flor rozczapierzył palce, trzymając je przed twarzą i pokazał jak. — No więc właśnie. A już ja o tobie nie zapomnę... — podmignął okiem. — Zrozumiałeś? Interes?

— Mogę powiedzieć — odparł niechętnie Lodzio.

Marek męczył się bardzo i zmarł o dziesiątej rano dnia następnego. Gdy przyszła agonia, Flor kucnął przed szafą jego dawnego łóżka i przeglądał rzeczy. Hela przechodząc przez pokój, spojrzała na jego zabiegi i nie zatrzymując się rzuciła:

— Trzeba będzie oddać.

— Ja wiem, ja wiem — śpiesznie przytaknął Flor nie odwracając głowy. Posegregował bieliznę i niektóre drobiazgi. Część wpakował z powrotem, a co lepsze zawinął w mały węzełek. Wszystko to robił ze zwykłą u niego metodycznością. Następnie wstał i mruknął do nikogo:

— Jemu te łachy na tamtym świecie niepotrzebne już będą. a nasz Lodzio całych kalesonów nie ma. I koszula śmierdzi, że podejść nie można. Masz, — wręczył mu węzełek. — Zanieś tam do swoich w miasteczku, niech upiorą czysto i będzie twoje.

Tak się też stało.

Pod wieczór przyszedł z kancelarii taborów starszy wac mistrz, zawiadomiony oficjalnie o śmierci jednego z ułanó Postał przed łóżkiem nieboszczyka i długi czas nie wiedzi co ma powiedzieć, ani nawet co zrobić z rękami. Być mo ta własna niezaradność na oczach wszystkich najbardziej podrażniła; poza tym zdawał sobie sprawę z wynikających k potów związanych z pogrzebem i pisaniną w kancelarii. F zdał mu raport z przebiegu zdarzenia i fatalnego wypadk Mówiąc trzymał ręce opuszczone wzdłuż ciała w postawie wpół wojskowej. Wachmistrz uważał za konieczne okazać zewnątrz przejawy złego humoru:

— Ty jeszcze u mnie odpowiesz! — pogroził straszliw Lodziowi. Żarty? Żarty! Taaak? O śmierć człowieka prz prawił! Pod sąd wojenny!!! — i zrobił krok naprzód w k runku jego łóżka.

— On bez pamięci... — wtrącił nieśmiało Flor.

— Ja jemu zadam tak, że jemu pamięć przez pięty do gł wy wskoczy!

Lodzio leżał biały jak kreda i nawet gdyby chciał zaprz czyć, nie mógłby ze strachu otworzyć ust.

— Zaraz żandarmerię przyślę, dochodzenie zrobić! — krz knął wachmistrz i podrzuciwszy podbródkiem w stronę Lodz zrobił ruch przecinania szyi wskazującym palcem.

Flor stał ze spuszczoną głową, ze wzrokiem poważnie wł tym w ziemię, co mogło oznaczać, że jakkolwiek surowe, a sprawiedliwe wydają mu się słowa wachmistrza.

— Proszę tak nie krzyczeć — odezwała się szorstko H lena, która przyszła otworzyć okno dla wywietrzenia. — T nie koszary. Tu chorzy leżą.

— Nie uczyć mnie! Co to jest, szpital czy burdel!

Hela wyszła obrażona i trzasnęła drzwiami. Wachmist uznał, że jego oburzenie odniosło efekt dostateczny i już łago niejszym tonem zwrócił się do Leszka:

— No jak tu, wam?

— Słabo karmią, — odparł ten byle coś odpowiedzieć.

— Na to jest jeden sposób: trzeba nie rozwalać się w łó ku, a wracać do szwadronu. Na froncie żarcia poddostatkiem Kiedy już będziecie zdrowi, co?

Nie czekając odpowiedzi poprawił rzemień od szabli i w szedł przytrzymując lewą ręką pochwę. Gdy kroki jego zac chły za oknami na chodniku, Flor wyjął tytoń.

— Sam nażarty jak świnia, siedzi w tyle, a innych front wysyła. Ech, jak to we wszystkich wojskach tacy sa ludzie... I po skręceniu papierosa dodał: — Nie tylko w wo skach, ale wszędzie na świecie. Nie przyśle on żadnych ża darmów. Ja wiem.

W pokoju obok leżał Marek, na wznak, z zamkniętymi prz Helę oczyma, o twarzy bielszej niż brudna poszewka podus ki. Umarły. Wszyscy czekali by go prędzej wyniesiono. Ni

przyjemnie jest chorować w sąsiedztwie z trupem. Po zwłoki miał przyjechać wojskowy wóz.

Godziny się wlokły. W Leszku wizyta wachmistrza wzbudziła zapomniane refleksje. Wiadomo czym zalatują szynele kawaleryjskie: trochę tytoniem, trochę końskim potem, skórą rzemieni, nawozem, żołnierską zupą, smarem karabinu... Może zresztą taki szynel zalatuje jednym, albo tylko dwoma z tych zapachów, a reszta nasuwa się sama przez się, przez skojarzenie? Przypomina to o konieczności powrotu do tego co już się przeżyło: te same dowcipy, te same połajanki, te same rozkazy...

— Żyć...

— Co? — spytał Flor.

— Żyć, żyć się chce...

Flor podrapał się w udo wypinając brzuch. — Ja wiem — odpowiedział.

Późnym wieczorem, z hałasem kół po kocich łbach bruku, zajechał przed szpital dwukołowy wóz lekkiego taboru, po ciało Marka. Tylko jeden Józiuk podszedł do okna.

— Dwukółkę przysłali po umarłego — powiedział wyglądając. — Cóż to, nie mogli wozu na czterech kołach.

— Może zajęte w innej sprawie — mruknął Flor ze swego kąta.

Naścia nie zjawiła się w pokoju chorych ani nazajutrz po nocnych wypadkach, ani dni następnych. Nie przychodziła też do ogródka, gdy bywało ciepło w południe. Leszek cierpiał z tego powodu na pewno mniej, niż na wspomnienie innych wypadków tamtej nocy. Był zły na siebie, że dał się uderzyć Helenie. Układał sobie w myślach innych przebieg zajścia; gdy wchodziła patrzył jej wprost w oczy z odcieniem sztucznej ironii i stanowczo więcej myślał o Helenie niż o Naści.

Naścia przyszła dopiero na trzeci dzień po wywiezieniu ciała Marka. Przyniosła bukiecik niebieskich pierwiosnków, ładnie ułożony na talerzyku z wodą.

— Ostrożnie! Naścia, wylewasz na podłogę! — zawołał za nią Flor, gdy niosła talerzyk w jednym ręku, z którego kapało. Ale ona nie zwróciła na ten okrzyk uwagi.

— Ładne? — zapytała, stawiając kwiatki na szafce Leszka.

— Uhum.

Siadła na łóżku i patrzyła mu w oczy. Leszek odwrócił głowę w bok.

Kwiatki nie pachniały. Ciągnął od nich zaledwie wyczuwalny odór wilgoci i zielska. Od Naści trochę kobiecym potem, trochę zapachami kuchni.

— No co? — zapytała szeptem. — Pewno już wiesz? Już na pewno ten... powiedział tobie, co?

— Uhum.

— No i co?

Leszek cieszył się, że przyszła, ale uważał, iż powini okazać twarz chmurną. Wzruszył tylko ramionami.

— No i co? — nastawała dziewczyna — nie przeszkac to tobie, co? — W tonie jej szeptu przebijała jakby nuta szc rego sarkazmu.

— A cóż to mnie może przeszkadzać. Ona taka sama k bieta jak ty. A co wy tam robicie razem...

— Ech ty — uśmiechnęła się z przymusem, uderzyws ręką po kołdrze, — może to ciebie więcej jeszcze podniec szczeniaka, co?

Leszek żachnął się i zmarszczył brwi. Naścia sięgnęła p przez dekolt fartucha i poprawiła sobie ramiączko od koszu Leszkowi w tym momencie przypomniały się jej piersi; zasę się jeszcze bardziej, bojąc się zdradzić ze swym uczuciem. P wolnym krokiem zbliżył się do nich Flor.

— Ot i kwiatki — powiedział. — Ale te mniejsze. Je w puszczy jedno miejsce takie, ja wiem gdzie... Choć prawd — odwrócił się do Józiuka: — Ty przecież też znasz, to od w szej wsi niedaleko ten kawałek. Wysoka sosna rośnie, a p spodem masa kwiatów na wiosnę. I skąd one się tam bior cholera ich wie, ale ogromniaste, niebieskie przeważnie, choć s i białe, a także żółte.

— To za uroczyskiem Sarni Wygon — podpowiedział J ziuk.

— Słusznie, tak, tak. Sarni Wygon. Ach, ach co kwi tów, co kwiatów wiosną! Ot tam by tobie, Naścieńka, buki cik iść związać.

— Już ja sama dość związana jestem. Starczy.

— Czym że to takim? Naścieńka, co? — z głupia frant d pytywał Flor.

Nie odpowiedziała. Dyskretnie uścisnęła nogę Leszka p przez koc, wstała i poszła bez słowa.

Lodzio, który nie wstawał od wizyty wachmistrza, leżał nie poruszony. Ciągle się strasznie bał. Ale Flor miał rację: za powiedziani żandarmi nie przyszli i nikt żadnego śledztwa ni wszczynał.

IX

Doktór Dawidowski skinąwszy od progu na Leszka, p wiedział krótko:

— Na badanie.

Leszek zwlókł się z łóżka i poczłapał do pokoju operacy nego. Doktór kazał mu się położyć na stole operacyjnym nag i badał go sumiennie.

— Gdzież jego można wypisywać! — mówił przed siebi ale wiadomo było, że mówi do Heleny, która tymczasem spr wnym ruchem wyciskała watą materię z wrzodów na cie Leszka i smarowała je następnie maścią cynkową. — Czyrak

poszły po całym ciele. Niedokrwisty, słaby. Słaby wojak. Dużo powietrza, dużo żarcia i płuca też nie byłyby zagrożone. Życie w nim nie ma chęci. Trzeba tę chęć pobudzić. Na dziewczynki by się raz wybrał, krew rozruszać, — prawił dalej, nie zwracając uwagi na Helenę. Jej profil zarysowywał się ciemno na tle okna, ładnie i surowo. Ani jeden muskuł nie drgnął w jej twarzy. Słuchała słów lekarza zdawało się z idealną obojętnością, jak się słucha nudnej lekcji, nie mogąc opuścić klasy.

— Proszę się położyć na brzuchu — powiedziała bezosobowo i zrobiła odruchowo obrotowy ruch palcami. Leszek przewrócił się posłusznie.

— Ach, — żachnął się lekarz, — gdzież on z takimi czyrakami na d.... na siodło wsiądzie ! — Podszedł do wiszącej na haku marynarki, wyjął papierosa i zapalił.

Była wciąż ta sama wiosna, to samo niebo jasno-błękitne, tylko skądciś nawiewało czasami małych obłoczków i o zmierzchu przychodził przymrozek, trwał do świtu. Rano, przez otwierane okna wchodziło powietrze ostrzejsze, a tam gdzie padał na ulicę cień od kamienic, szron utrzymywał się dłużej. Dawno już przyleciały szpaki ; zięby wywodziły swe niekunsztowne trele. Z dalekich, oblazłych ze śniegu pól dochodziły głosy skowronków.

Dozorca szedł przez podwórko, które wczoraj jeszcze wygracował do czysta, aż tu raptem wyrosła mu naprzeciw kępka trawy po samym środku. Spojrzał tylko i cyknął śliną przez zęby.

Ale dość ! Dość, dość ! Dość o tej wiośnie, o ptakach, o słońcu i młodych listeczkach. Dość o rynsztokach spływających z wyższych zaułków na kształt górskich potoków ! Dość o wilgoci, która paruje do nieba i o ziemi, która pachnie. O bieliźnie, która faluje na sznurach między pniami topoli i o emaliowanym, sinym z zewnątrz, a białym wewnątrz nocniku, z przedziurawionym dnem, wyrzuconym na szczyt śmietnika i o wronie, która tam spaceruje. Dość o puszczy, odległej o dwadzieścia z hakiem, kilometrów. Do rzeczy ! Do rzeczy zasadniczej : Czy Bóg jest ?

— Jak sobie chcesz. Ma się rozumieć wierzyć można we wszystko. Tylko, że co innego wiara, a co innego rozum. Ja wierzyć nie bronię nikomu, ale w takim razie nie suń się do mnie z rozumem. — Flor obydwie ręce założył za poręcz ławki i patrzył przed siebie. Siedzieli we czwórkę na ławce w ogródku : on, Naścia, Leszek i Józiuk.

— Co ty tam wiesz ! — odmachnęła Naścia.

— A ty nic wiesz, kiedy ja przekonałem się. Nie wiesz, prawda ? To co mnie będziesz uczyć co ja wiem, a czego nie wiem. Ja przekonałem się jak raz wtedy, gdy u mojej żony nie było palta.

— Leszek spojrzał nań pytająco.

— To znaczy ono było, — ciągnął Flor, — ale bardzo stare i zupełnie złachmanione. Byłem wtedy ogrodnikiem w Brań-

sku. My z żoną kochaliśmy się bardzo. Ja młody, ona mło Ale jakoś noga mnie powinęła się i... Jednym słowem nie dę długo opowiadał: pracy pozbyłem się, chciałem interes z bić na boku, nie udał się. I oto żona moja bez palta. A właś wiosna nastała, zupełnie podobna do tej, niezwykle wczes W kożuchu chodzić nie wypada. Jej koleżanki, znajome, c dzą mniej więcej ubrane, a ona jak żebraczka ; a kupić ma za co. Skąd, myślę, pieniędzy wziąć? Nie, żeby w ogó pieniądze, ale tylko na palto. Myślę i chodzę po zaułkach, i czynam modlić się i tak sobie kombinuje: jeżeli Bóg jest, w żadnym wypadku nie może odmówić pieniędzy na palto. Że na co innego, na sprawę jakąś złą, czy chociażby nawet d brą, ale poważną, dla mnie... to rozumiem, to mogą być róż przeszkody. Ale jaka może być przyczyna, żeby odmówił mo biednej żonie na palto? No jaka? Co jemu może zaszkodz czy innym ludziom, czy religii, czy światu, czy gwiazdom, c słońcu wreszcie, żeby moja żona miała palto? Nic, nic i z pełnie nic. Takiej przyczyny być nie może.

— A co on, miał z nieba tobie zrzucić?! To palto!

— Niepotrzebnie Naścia denerwujesz się. Nie z nieba, m wię, a żeby dał zaraz taką okazję zarobić mnie gdzieniebądź uczciwie, i tylko tyle co na palto. O reszcie ja sam pomyśl Ale tylko tyle.

— Żeby Pan Bóg chciał o każde głupstwo...

— Nie przerywaj, — wtrącił Leszek. Dziewczyna zamilk ponuro.

— Masz rację, Naścieńka, że głupstwo. Dla Boga to n wet milion milionów razy mniej niż głupstwo. Po prostu ni A ja idę ulicą i proszę Jego już trzeci dzień. Ludzi mijam, ni nie spostrzega, bo ja niby to patrzę na boki, a w cichości pr szę. Boże, mówię w swoim sumieniu, daj palto mojej koch nej żonie, no co Tobie może stać na zawadzie? Ona biedn nic mnie nie mówi, a cierpi. Nie wielka rzecz, może nie wie kie nawet cierpienie. No więc zupełny drobiazg. No to co mo jemu szkodzić? No jaka może być racja? Rozumiem, żeby mn nieszczęście jakieś spotkało, jak to się zdarza, nogę odjęło, c rękę, to jeszcze może być za jakieś grzechy moje, a nawet moi rodziców grzechy. Żeby nieszczęście, to powiadają: niezna są wyroki boskie. Dobrze, zgoda. Ale tu głupstwo: palto. Z co ją karać takim głupstwem!

— A czyż on jej odebrał to palto, czy co! — Nie wytrz mała znowu Naścia. — Nie miała jego wcale, więc...

— No nie przerywaj — wtrącił z kolei Józiuk, który ca aż się przechylił z końca ławki, żeby lepiej widzieć twarz Flor

— No i co? Dał koniec końców? — spytał Leszek.

Pauza. Naścia też spojrzała na Flora ukradkiem, nie m gąc powstrzymać ciekawości.

— Nie, nie dał.

Wszyscy westchnęli i nastało milczenie.

Wieczorem tego dnia, Naścia zarzuciła ręce na szyję Leszka, cała się do niego przywarła i szepnęła : ,,Nie słuchaj ty jego, nie zadawaj się z nim. On jakiś niezupełnie rozumny i ciebie jeszcze do złego doprowadzi''.

Leszek nic nie odpowiedział, ale było mu przyjemnie i ciepło od bliskości jej ciała.

W ciągu tych kilku dni, które nastąpiły po ostatnich oględzinach, a które zdecydowały o jego dalszym pozostawaniu w szpitalu, namiętność Naści przybrała formy wybuchowe. Przestała się z nią kryć zupełnie. Zresztą przed kim miała ją ukrywać : Flor i tak wiedział wszystko ; Lodzio nie liczył się ; Józiuk, jak tylko wydobrzał na tyle, że mógł już chodzić swobodnie, zabrany został ze szpitala przez rodziców, którzy mimo rozmiękłej drogi, przyjechali po niego furmanką. Przywieziono wprawdzie dwóch pacjentów nowych, którzy leżeli w pokoju dla ciężko chorych, ale ci nic nie widzieli. — Jeżeli zaś chodzi o Helę, to stosunki między kobietami uległy prawie zupełnemu zerwaniu. Nastąpiło to pewnej nocy, na górze, w ich pokoju, po jakiejś gwałtownej sprzeczce, która musiała wyrodzić się w awanturę, bo odgłosy jej przedostały się poprzez sufit do pokoju chorych. Ani Flor ani Leszek nie mogli zasnąć, chociaż nie zdradzali się przed sobą, że czuwają. Widocznie Naścia chciała natychmiast, pośród nocy opuścić szpital i wyjść na ulicę, co wobec zakazu chodzenia, związane było z dużym niebezpieczeństwem i Hela ledwo ją ubłagała i powstrzymała na schodach. Nastała potem cisza i wszyscy zasnęli.

Ale kolejna awantura powtórzyła się dnia następnego : powiedziały sobie wszystko, co mogą nawzajem powiedzieć kobiety w rozpaczliwej pasji. Naścia plunęła tamtej w twarz. Hela obaliła ją na kanapę i przygniotła jej brzuch swym silnym kolanem, ale Naścia ugryzła ją w rękę poniżej łokcia. — Od tego wypadku wyniosła się do rodziców, a do szpitala przychodziła jedynie na kilka godzin dziennych, z których połowę co najmniej, ostentacyjnie spędzała przy łóżku Leszka. Z Heleną mijały się nie rozmawiając.

Hela potrafiła nie dać poznać po sobie co się w niej dzieje. Pozornie była jak dawniej, może bardziej tylko sucha i małomówna. Ale pewnego dnia, a było pod wieczór — w takiej chwili, w której słońce jeszcze nie dosięgło horyzontów, ale już schowało się za dachami domów, a szpaki żegnały go na najwyższych gałązkach drzew, swym śpiewem — Naścia zamknęła się z Leszkiem w pustym budynku łaźni. Wtedy Helena wymówiła jej pracę oficjalnie i zakazała przychodzić do szpitala.

Doktór Dawidowski nawet nie zauważył jej braku. Dozorca nie mówił nic. Żona jego, kucharka, spytała tylko raz jeden. Flor patrzył w inną stronę. Tylko Leszek zdradzał wyraźnie ponury nastrój i zdawał się walczyć wewnętrznie ni to z jakąś tajemną decyzją, ni to knuł w cichości plany. Nie wstawał jednak z łóżka, bo właśnie nawiedziła go powrotna fala gorączki.

W ten sposób minęły trzy dni. Pod koniec tego trzeciego dnia mimo widocznego wysiłku, Hela nie mogła opanować cierpienia, które ją gnębiło od wewnątrz. Gdy w południe przeszła przez salę z twarzą pobladłą i ściągniętą skurczem w jakiś bardzo bolesny wyraz, Flor spojrzał na nią z niepokojem. Zmiana nastąpiła nagle, rzucała się w oczy i wtedy zrozumiał, iż rzecz cała nie ułoży się sama przez się, na co miał skrycie nadzieję.

Drzwi do kuchni prowadziły z korytarza, naprzeciw dawnego oddziału kobiecego. Było około ósmej wieczorem. Flor, nie zapalając światła, przeszedł ciemnym korytarzem na jego przeciwległy koniec, gdzie pod drzwiami kuchni widniała smuga światła. Pamiętał, że kucharka od dwóch dni cierpi na bóle w krzyżach, wywołane wiosenną wilgocią, że w przygotowaniu kawy na kolacje zastępuje ją teraz Helena, a więc musi być sama. Uczuł nieprzepartą chęć zobaczenia jej, porozmawiania z nią. Flor stąpał zazwyczaj bardzo cicho, twierdząc, że tego zwyczaju nabrał w puszczy. (Chociaż Naścia upierała się, że: ,,Jak złodziej"...) Podobnie i teraz: wszedł do kuchni bezszelestnie i stanął niespostrzeżony w pierwszej chwili u progu.

Na tacy poustawiane już były kubki, napełnione dymiącą kawą. Helena obrócona profilem do wchodzącego wsypywała właśnie do jednego z kubków zawartość małej, papierowej torebki z rodzaju tych, jakie używa się w aptekarstwie. Zmięła papierek, a usłyszawszy szelest przy drzwiach, drgnęła całym ciałem i zmięty papier wsunęła do kieszeni fartucha.

Jednocześnie chciała przydać swej twarzy wyraz obojętny, ale zakołysała się czemuś w biodrach i oparła oburącz o krawędź stołu; z twarzy jej odpłynęła wszystka krew. W nalanej do kubków kawie smutno odbijała się jedyna żarówka zwieszająca ze środka sufitu.

Flor podszedł, ujął kubek i wylał jego zawartość do zlewu. Następnie, nie wypowiadając ani jednego słowa, spłukał go kilkakrotnie wrzątkiem i nalał doń świeżej kawy z rondla. Gdy zbliżał się ponownie z pełnym do stołu, chciał widocznie coś powiedzieć, bo wargi mu drgały, ale zabrakło słów. Zwłaszcza trudno było dobrać pierwsze, bo odczuwał skurcz w gardle.

Hela stała wciąż w tej samej pozie, trzymając się stołu, oczy miała wpół przymknięte. Podobna była do skazańca, oczekującego ciosu. Na stół wskoczył kot Naści. Flor postawił kubek i spędził kota ruchem dłoni. Ten ruch musiał zwolnić skurcz w gardle, bo zdołał wykrztusić:

— Tak nie można, Hela.

Ona pochyliła głowę, ale stała ciągle w miejscu. Na białą twarz padał teraz cień. Nie chwiała się, ale można było odgadnąć, że gdy puści krawędź stołu to upadnie. Flor otoczył ją ramieniem i odprowadził na ławkę pod ścianą. Siadł obok, przytrzymując ją wciąż jednym ramieniem.

Na kredensie cykał budzik. Kawa stygła w kubkach. Flor myślał wciąż jak zacząć następne zdanie. Dopiero gdy ona pierwsza odetchnęła ciężko, odezwał się :

— Hela, ty wiesz... Ja dla ciebie...

— Wiem, wiem... — szepnęła zsiniałymi wargami, nie odrywając oczu od podłogi. Znowu wciągnęła głęboko powietrze i dodała : — Ale ty nie jesteś po mojej stronie. Ty nie możesz być. Ja wiem, Flor.

— Hela...

— Ty byś może chciał, ale nie możesz mnie pomóc. To już tak jest, tak Pan Bóg zrobił.

— Poczekaj z Bogiem... Ja tobie coś powiem. Nieszczęścia różne bywają, jedne większe, a drugie inne. Rozmaite nieszczęścia, jednym słowem... — I utknął.

— Ty z mego możesz się tylko cieszyć. Z tego, teraz.

— Ja nie cieszę się, Hela. Nie.

Raptownie odwróciła się do niego całą twarzą, patrząc mu prosto w źrenice :

— Chcesz, ja tobie wszystko zrobię... — zaczęła mówić bezładnie. — Ja z tobą pójdę zaraz... Zaraz pójdę do mego pokoju, na górę... do mego pokoju ! Chcesz ? Tylko ty... jego stąd wyprowadź... wyprowadź jego... wyprowadź, wyprowadź, wyprowadź !

— Ciszej, ciszej. — Zdjął ramię z jej pleców i wsparł na swoim kolanie. — Co z tego, że wyprowadzę. Nie będzie w szpitalu, będzie w miasteczku. Chorego na front nie wyślą. Tak, doktór ma rację. Wtedy oni cały dzień będą razem. A co do tego, co ty mówisz, na górę do twego pokoju, to nie myśl Hela. Ja nie takiej ciebie chcę. Ja chcę ciebie inną. No, a już raz u ciebie taki... charakter, no cóż...

— Ty możesz zrobić dużo...

Flor pomyślał i rozłożył ręce. Powtórzyła :

— Ty możesz zrobić dużo, jak zechcesz...

— Hela, jednego już zabiłem. Ty wiesz... A ty nie zapomnij, że ta... twoja Naścia też wie.

Helena wyprostowała się nagle, patrząc przed siebie.

— Ona nie powie — szepnęła po chwili.

— Nie powie, albo powie. Jak zechce. Jak będzie zła to powie.

— Nieumyślnie zabiłeś. Przypadkowo.

— Et, mówisz jak dziecko. Kto to będzie zważał. Żołnierza podczas wojny, oho. — Rozstawił kolana i wsparł się na nich całym ciałem. — Ale to nie o to chodzi. Ja nie boję się. Przede mną świat szeroki. Ty wiesz. Ty wiesz co mnie tu trzyma...

Nie odpowiedziała.

— No więc, o czym tu gadać — zrobił nieokreślony ruch dłońmi.

— Ale ty wiesz — szepnęła — że ja ciebie... nie mogę chcieć.

— Któż może wiedzieć lepiej ode mnie...

Nastało milczenie. Na kredensie cykał budzik. Oboje jednocześnie jakoś spojrzeli na godzinę. Helena ocknęła się z osłupienia i sięgnęła rękami do włosów, jakby je chciała poprawić po jakimś wstrząsie.

— Trzeba nieść kolację — powiedziała cicho.

Flor sięgnął ręką do bocznej kieszeni jej fartucha, wydobył stamtąd zmięty papierek małej torebki i jął go w zamyśleniu rozprostowywać palcami na kolanie. Nagle zmrużył oczy, podniósł go do twarzy i przeczytał etykietkę. A potem uśmiechnął się szeroko i pokazał Heli. Ta zrazu z zaciśniętymi ustami, przeczytała i rozchyliła wargi w zdumieniu : to była zwyczajna soda do picia.

— Jeszcze i felczerka się nazywa — mruknął Flor z robioną dobrodusznością w głosie.

Ona wstała i ujęła mocnymi rękami za tacę.

— Wystygła — zwrócił jej uwagę. — Poczekaj. Trzeba nalać nowej.

— Daj spokój ! Pocukrzona już. Szkoda cukru. Tylko ta jedna... bez.

X

— Eeech, puszcza...

Leszek otworzył oczy i zobaczył nad sobą Flora. To nie było nic nowego : stał koło łóżka i patrzał w okno. Na tle nieba, czarno rysował się dach przeciwległego domu, a łata w rynnie pobłyskiwała świeżą blachą.

— Ech, życie, życie... — westchnął jeszcze raz Flor i oto uczynił gest, którego dotychczas Leszek nigdy jeszcze u niego nie zauważył : wyciągnął ramiona do okopconego sufitu, przeciągnął się całym ciałem i w ciągu kilku sekund stał w tej patetycznej pozie, jak gdyby zapatrzony był w tę nieskończoność, która się zaczyna za każdym dachem każdego, najlichszego nawet miasteczka na globie ; spodnie osunęły mu się z lekka w pasie, krótka koszula odwinęła ku górze ukazując pożółkłą skórę brzucha i pośrodku wielki, ciemny z brudu pępek. Sekundy minęły i Flor wrócił do siebie, siadł na łóżku ociężale i milczał. — A Leszek, któremu się zdawało, że w ciągu tych kilku sekund olśniło go niezwykłe odkrycie, długo jeszcze leżał na wznak i myślał : ,,Nieskończoność zaczyna się zaraz za dachem... Nieskończoność zaczyna się właściwie wszędzie, trzeba tylko ręce do niej wyciągnąć...'' Po czym przypomniał sobie brudny pępek na brzuchu Flora i odwrócił się do ściany.

W południe, Lodzio, który powrócił z miasteczka, podszedł jakimś niezwyczajnym krokiem do Leszka. Uczynił to z tak przesadną dyskrecją, iż z daleka rzucała się w oczy. Mrugnąwszy kaprawym okiem, wręczył mu kartkę papieru.

Flor spoglądał spode łba, śledził każdy ruch Lodzia, a następnie ziewnął szeroko i głośno. Nic nie powiedział.

Była to kartka od Naści. Pierwsza tej treści:

„Ja ciebie bardzo kocham. Anastazja".

Leszek obracał ją przez jakiś czas w ręku. Następne były dłuższe. Codziennie przynosił je Lodzio. Leszek pisał odpowiedzi. Później, gdy zaczął znów chodzić, kartka bywało zawierała tylko cyfrę oznaczającą godzinę. Na ten określony czas, Leszek wciągał mundur, płaszcz i wychodził ze szpitala. Spotykali się jak uprzednio i szli do jej domu. Ojca nigdy nie bywało. Dostał pracę w tartaku, w puszczy i wyjechał z miasteczka. Z matką Naścia nie robiła dużo ceregieli, wybierała jednak zazwyczaj godzinę, gdy ta właśnie musiała wyjść; być może też umawiała się z nią uprzednio, prosiła, lub żądała, żeby wyszła, tego Leszek dokładnie nie mógł się dowiedzieć. Piesek znał go już i nie szczekał. Kałuża za furtką wyschła. Drzewa pokryły się pierwszym puchem.

Zdarzył się jednak wypadek, gdy Naścia, mimo wyznaczonej na kartce godziny, daremnie czekała na rogu drugiej przecznicy. Było to wtedy, gdy Flor zaczął jakąś kolejną opowieść o puszczy i zasłuchany Leszek, zamiast na randkę, poszedł z Florem do ogródka szpitalnego, gdzie siedli na ławce. Leszek sądził wprawdzie, iż posiedzi chwilę i zaraz pójdzie, co najwyżej się spóźni trochę, ale Flor niespodziewanie wydobył z kieszeni zatłuszczoną mapę wojskową o podziałce 1:300.000 i zaczął pokazywać. Na mapie las, zgodnie z regułą, oznaczony był kolorem zielonym. Leszek przyglądał się znakom topograficznym i zgadywał teren. Z miasteczka, w tamtym kierunku wiodła czarna, krótka linia kolei żelaznej, aktualnie nie czynnej, ze względu na zniszczenia wojenne. Na południowym zachodzie, falistymi kreskami zaznaczone były piaszczyste, leśne wzgórza, a wśród nich drobny punkcik podpisany kursywą: Pieski. Flor położył nań swój palec o pożółkłym paznokciu, obramowany czarnym brudem:

— To tu — powiedział. Tu była kiedyś moja główna kwatera, zanim dostałem się do szpitala. Splunął, przesunął wierzchem palca po ustach i dodał: — Więc teraz widzisz?

— Uhum. A te błota w lewo?

— Ooo... bracie, nie przejdziesz tędy. Tu jak morze. Żórawina rośnie, bagno. A w górę spojrzysz, zawsze orzeł wisi nad głową. Wysooooko, wysooooko!...

— No wiele może być nad ziemią?

— Ot, pytasz śmieszne rzeczy. — Flor zmrużył oczy spoglądając w niebo. — Nikt przecie nie mierzył. Dwa, trzy kilometry w górę — i uśmiechnął się. Leszek też się uśmiechnął i obydwaj poczuli się nagle weseli. Słońce i ciepło zawsze przydaje ludziom trochę szczęścia, a było właśnie i słonecznie i ciepło.

Po pewnym czasie Leszek zapytał:

— Mówiłeś, że tam pójdziesz znowu. Naprawdę, czy tak tylko sobie mówiłeś?

— Gdzie, do tego błota?

— Nie do błota, a w ogóle.

— A... W ogóle... Tak, pójdę.

Leszek zawahał się, a później tonem niezdecydowanym, odezwał się niby od niechcenia:

— I ja bym poszedł.

Flor odchrząknął i sięgnął po tytoń, co zawsze czynił, nie mając na poczekaniu przygotowanej odpowiedzi. Długo odrywał bibułkę od arkusza, dla siebie, następnie dla Leszka, wydzielał tytoń, ślinił, aż wreszcie gdy zapalili, mruknął:

— Możemy.

Leszek milcząc przyglądał się w dalszym ciągu mapie. Flor zagadnął:

— Ty byś naprawdę poszedł?

— Naprawdę, a dlaczego?

— Możemy — powtórzył. — Owszem, możemy. Tylko...

— Tylko co?

— To że związałeś się tu — potarł oko, do którego zaleciało trochę dymu tytuniowego.

— Jakto, związałem się?

— No, z tą, z tą Naścią.

Leszek przypomniał sobie niedotrzymane spotkanie i po chwili szepnął: — To żadne związanie.

— Twoja rzecz. Nie moja.

— Ale... — zaniepokoił się nagle Leszek.

— Co: ale?

— Nic, tylko chciałem powiedzieć... A szukać mnie nie będą za dezercję?

Flor wzruszył ramionami: — Niech szukają. Wielka bieda! W puszczy będziesz jak igła w stogu siana. A zresztą nie będą oni! W takim chaosie jak teraz, żeby za każdym żołnierzem uganiać się po lasach. Skąd tam!

— To pójdziemy?!

— A wiesz, że możemy pójść. Ech, ech, zielona!

— Puszcza, mówisz? — zagadnął wesoło Leszek i nagle zdało mu się, iż zrzuca z siebie brzemię krótkiej przeszłości i stawia pierwszy krok w przyszłość.

— Puszcza, bracie. Idziemy — wstał.

— Kiedy?

— Poczekaj, jutro, pojutrze... Ot tak, w tym czasie mniej więcej.

Wieczorem Flor nachylił się bez słowa pod łóżko Leszka, wydobył stamtąd jego cywilną, skórzaną walizkę i obejrzał dokładnie.

— Z takim kuferkiem — powiedział — do puszczy nie chodzą. Poza tym zwraca uwagę i zresztą niewygodna. Weźmiesz mój stary plecak. A to sprzedamy.

Następnie przywołał Lodzia i tłumaczył coś długo w drugim końcu pokoju, macając skórę i grożąc mu palcem. Leszek domyślał się, że każe mu ją sprzedać. A kto wie, być może też zabrania jednocześnie rozpowiadać o tym Naści przy spotkaniu?

Następnego dnia Lodzio wręczył Florowi pieniądze za sprzedaną walizkę. Ten przeliczył je skrzętnie i schował do kieszeni. Nie musiało być tego wiele i Leszek, podniecony planowaną wyprawą ani nie pytał, ani domagał ich się ich zwrotu. Tym bardziej, że prowiant, bieliznę i tę trochę drobiazgów, miał w plecaku nieść sam Flor, gdyż po namyśle doszedł do przekonania, iż Leszek jest zbyt jeszcze słaby. — Tym razem Lodzio poczekał aż Flor wyjdzie i dopiero oddał Leszkowi kartkę od Naści. Kartka ta zawierała następujące słowa:

,,Czemu nie przychodzisz? No czemu nie przychodzisz, kochany? A ja czekam i czekam. Anastazja''.

Leszek czytał kartkę kilka razy i zaciskał zęby, żeby uniknąć drżenia dolnej szczęki. Kartka wyrwana była z liniowanego kajetu, u rogu miała jakąś skazę fabryczną. Próbował ją wyskrobać paznokciem małego palca i zrobił dziurę w papierze. ,,Ona nigdy nie podpisuje: Naścia, zawsze: Anastazja'', myślał. — Flor wrócił.

— Pojutrze wieczorem — szepnął — pójdziemy.

— Czy Hela będzie wiedziała?

— Pst! Nikt.

Leszek nie odpisał Naści.

Z Florem omówili wyprawę w najdrobniejszych szczegółach. Te plany i przygotowania wypełniły wszystkie godziny dnia. Aż wreszcie przyszedł ostatni przed wymarszem.

Leszek ubrał się od rana, chodził po całym szpitalu nerwowym krokiem, wydawał się nagle zupełnie zdrów. Wskutek wewnętrznego podniecenia nie chciało mu się jeść. Flor też był w ciągłym ruchu. Kilkakrotnie wychodził do miasteczka, wracał, szedł na górę do Heli, przebywał tam nie długo i schodził po schodach.

— Czyś jej coś powiedział? — zagadnął ponownie Leszek.

— Nie. Nie bój się, nie bój się; wszystko w porządku.

Ale nie było w porządku. Na niebie zaczęły zbierać się coraz gęstsze obłoki. Za nimi pociągnęły chmury. Pchał je wiatr ze wschodu na zachód. Wierzchołki topoli za drewnianym parkanem drgnęły i zaczęły szumieć. Leszek nie mógł doczekać się umówionego zmierzchu. Wciągnął płaszcz. W tym momencie wrócił Lodzio, powiedział, że robi się zimno i wręczył mu kartkę.

,,Przyjdź, przyjdź koniecznie. Mój najukochańszy. Będę czekać. Twoja Anastazja''.

Leszka ścisnął w gardle, jakiś mimowolny, a jednak znany mu skurcz. Tak jeszcze nigdy nie pisała: ,,mój najukochańszy...'' Uprzytomnił sobie, że w ogóle jeszcze nigdy nikt tak do niego nie pisał i nie zwracał się dotychczas. Jeżeli ta

forma nie była mu obca, to tylko dlatego, że znał ją z książek, nie z życia. Osobiście bierze w niej po raz pierwszy udział. Siadł w płaszczu na łóżku i nagle strasznie zechciało mu się nie iść, nie iść ! Nie musieć iść... — Lodzio powiedział, że jest zimno, a tymczasem nic ma w perspektywie wieczoru ani łóżka, ani herbaty, ani swego kąta, nic, żadnego zaplecza. Jednocześnie nie mógł sobie wyobrazić, że w ostatnim momencie oświadczy Florowi, że się rozmyślił, że zostaje... Nie ! To nie możliwe ! Ale dlaczego ? Dlaczego ? !

Pokoik Naści, mój ty Boże !... Nie mógł uchwycić sensu swego postanowienia. Jaki sens ?... Zaraz, zaraz... Ot, miasteczko. Dzwony biją w tej chwili na wieczorne nabożeństwo, no i co z tego ? Nie, nie o tym chciał myśleć... Wygląda jakby sensu istotnie nie było. A trzeba iść, naturalnie, ale wiatr i zimno. Leszek skurczył się w sobie, zgarbił się. Wzrok jego mimowoli padł na drzwi, przez które ma wyjść. Nigdy jeszcze nie patrzał na nie z taką odrazą. Ba, gdyby teraz raptem przez te drzwi weszła Naścia ! Gdyby, gdyby !... Rzuciłby się jej na szyję i powiedział : ,,Naścieńka, ty też jesteś moja najukochańsza !... Wiesz ? Powiedz, powiedz co robić ?'' A ona by na pewno odpowiedziała : ,,ot głupi, zupełnie szczeniak'' — i pogładziła go po głowie i znowu wszystko byłoby dobrze : szpital, małe miasteczko, beznadziejność, zmięte łóżka, podkrążone oczy... A w perspektywie wyzdrowienie, zapach końskiego potu, ludzkiego smrodu i piosenka w zwartym szeregu :

,,Co przeżyjem to dla nas,
Za sto lat nie będzie nas...''

Co robić, co robić ?... Nagle drgnął : drzwi się otwarły i wszedł Flor. Kiwnął nań palcem. Leszek wstał i zbliżył się.

— No, już czas — szepnął Flor. — Idź.

Leszek ze zdumienia aż usta otworzył : — A ty ?...

— Widzisz... Tak nie wychodzi, jak chciałem. To by zwróciło za dużo uwagi. Ty idź sam, a ja jutro. Żeby tego, rozumiesz... — zmrużył oko. Leszek nic nie rozumiał. To wszystko jedno. Ja przyniosę rzeczy. Ty wyjdziesz zaraz i kierujesz się na stację. Ona zniszczona, tam nie ma żywego ducha. A później szynami, szynami, nasypem znaczy kolejowym, prooosto ! Jak strzelił ! W jedną noc zajdziesz. Jak będziesz podchodził do puszczy... Zobaczysz, czaaarna taka, tylko świerki w niebo sterczą — uśmiechnął się, ale Leszek tym razem się nie uśmiechnął. Weźmiesz w lewo. Będzie taki młyn... A zresztą wszystko jedno, po co, niepotrzebnie : zajdziesz do pierwszej chaty i zapytasz o wieś : Muchanowo, Mu-cha-no-wo. A tam : gdzie mieszka, spytasz, no ten Józiuk nasz, nazwisko pamiętasz ?

— Uhum.

— Zaczekasz u nich. A ja na jutro już będę. No !

— Ale, dlaczego...

— Już, już ! Bo Hela, słyszę, idzie.

Leszek poddał się bezwolnie jego dłoni, która go stanowczo wypchała za drzwi. Przekroczył bramę. Poczuł wiatr. Poprawił czapkę i chciał się odwrócić, ale w tej chwili furtka zatrzasnęła się za nim. Miał ze sobą tylko karabin. Nikt nie szedł ulicą, zapadał zmrok. Latarni jeszcze nie zapalono. Pachniało zimnym, wietrznym wieczorem.

I poszedł.

XI

Wojna na całym Bożym świecie. Długo, zazwyczaj bardzo długo walczy zima i wypiera wiosnę z raz już zdobytych przez nią pozycji. Teren przechodzi z rąk do rąk. Wiosna okupuje kraj, ustanawia swe prządki, obwieści obowiązujące prawa. Jej urzędowe rozporządzenia pisane są przez kwiaty na mchu, szum skrzydeł przelotnych ptaków, przez młode listki, puch wierzb, nocne wołania dzikich gęsi. Śnieg kurczy się jak gąbka, zdycha, leży wreszcie trupem, brudno się rozkłada i przestaje istnieć. Tymczasem skowronki robią propagandę od świtu do zmierzchu i choć starzy ludzie, podobnie jak stare wrony i stare wróble na każdym dachu, ostrzegają przed nią, większość rzeczy ulega jej całkowicie. Na obłysiałe wzgórze wychodzi oracz, a za smugą pługu czarny szereg gawronów w poszukiwaniu pędraków. W południe jest ciepło, koń odpoczywa, człowiek skręca machorkę w kawałek zimowej gazety i siny dymek ciągnie do sinego nieba.

Ale za puszczą, na wschodzie leżą hen kraje, siódme rzeki i jeziora, wszystkie jeszcze pod lodem. To ostatnie rezerwy zimy. Gdy wiosna je ruszy, zima rzuca wiatr. Walka odbywa się zrazu w powietrzu. Ciężkie bombowce chmur, ładowane śniegiem i gradem ciągną na spotkanie południa. Płyną i płyną, zasłaniają słońce, pędzą precz agitatorów wiosennych z nieba, opanowując sieć informacyjną, i wtedy wszystkie druty na wszystkich szosach huczą i gwiżdżą jednostajną wieścią : huuuu... zima wraca !

Zdarza się, że gęsty deszcz przechodzi raptownie w śnieg, pokrywa pierwiosnki, mnie głupią trawę, ugina swym ciężarem młode pędy, mści się na każdym kto nieopatrznie dał wiarę propagandzie wiosny.

Leszek był tylko jednym z wielu, który tej propagandy padł ofiarą, ale zdawało się tego wieczoru, że lodowaty wiatr specjalnie miał go na oku. Widocznie śledził go już, gdy szedł zaułkami miasteczka, bo zabiegał mu drogę, zaczepiał raz z przodu, raz z tyłu, ale to były tylko igraszki. Naprawdę zaś przyczaił się za ostatnim budynkiem stacyjnym przy rampie towarowej i gdy tylko Leszek minął ten budynek i wyszedł na wysoki w tym miejscu nasyp kolejowy, rzucił się nań znienacka wprost w oczy, w nos, usta, za kołnierz, targać począł połami szynela, chwytać za czapkę. Leszek w pierwszej chwili odwrócił się ple-

cami, jak to czynią ludzie, którzy sądzą, że w życiu można wymigać się pierwszym lepszym gestem ; przystanął, później zapiął się dokładniej, nastawił kołnierz i nacisnął czapkę. Gdy spróbował znowu iść, wiatr uderzył go po raz drugi z całego rozmachu, oblepił twarz i zagwizdał w uszach. Wtedy Leszek pochylił się, jakby był zgarbionym starcem i powlókł się, zaciskając zęby w nadziei, że przełamie wroga, albo go chociaż zniechęci w końcu swoim uporem. Nie znał go. Nie znał wiatru na wysokiej płaszczyźnie w taką noc, gdy zima walczy z wiosną. Ludzie przyzwyczajeni do nienawiści innych ludzi, zapominają często, jak wielka może być nienawiść wiatru, który dmie w oczy. Nic nie jest w stanie zmusić go do sfolgowania, ani podziw dla męstwa, ani litość. Czy słyszał kto kiedy, żeby wiatr litował się nad pojedyńczym liściem zerwanym z drzewa ? Takiego wypadku nie było jeszcze w przeciągu miliardów lat. A czymże był Leszek w przestrzeni tego czasu, by się ponad liść wynosić ? Kto dał mu to prawo ? Biblia ? Niechże go teraz osłania w tę czarną noc marcową !

Z rozlewiska wody po obu stronach toru kolejowego ciągnęło wonią mułu, mokrych traw i nadgniłego tataraku. Nie można było zejść w dół, a na górze panował wiatr. Leszek odwrócił się tyłem jeszcze ze dwa razy, odetchnął trochę. Noc spowiła miasteczko, nie było nic widać. Szedł więc dalej, ciągle pochylony ku przodowi, zupełnie tak jakby istniał jakiś szczególnie ważny cel, do którego dążył. Gdy noc stała się czarna jak atrament, miał wrażenie, że na świecie istnieje tylko on i wiatr. Nie mógł też myśleć, podobnie jak nie mógłby mówić albo śpiewać ; nie tylko bowiem głos, ale każdą myśl, ledwo zrodzoną w głowie, wiatr zrywał i niósł wstecz, rozpraszał na miliony bezsensownych drobinek, pozbawionych wszelkiego kształtu.

Raz tylko, a było wtedy gdy zaczął padać deszcz ze śniegiem, próbował pomyśleć o Florze i to tylko tyle, że : ,,dobrze, że chociaż nie mam walizki ze sobą, bo...'' Ale wiatr nie dał mu dokończyć w raptownym, gwałtowniejszym niż poprzednio zrywie, oblewając twarz cieknącym śniegiem, i Leszek ukłonił mu się nisko i zapomniał, co miał na myśli.

Świt zastał go pod huczącym słupem telegraficznym. Niebo i ziemia były jednostajnie szare. Śnieg topniał, a w kałużach odbijały się chmury. Na ukos, machając bezładnie, leciała wrona. Po obu stronach leżały pastwiska, gdzieniegdzie przecięte postrzępioną wstęgą krzaków. Na lewo widniała dróżyna, ze śladami kolein w głębokim błocie. Dalej samotna chata. Leszek poszedł tą drogą i zastukał do chaty. Chciał chwilkę odpocząć siedząc na ławce, w cieple. Ale gdy usiadł zasnął w tejże samej chwili.

Najdłużej śnił mu się pies, który szczeka, szczeka i szczeka... Otworzył wreszcie oczy. Był dzień. Poruszył ręką i zrozumiał, że jest zupełnie chory. Twarz paliła mu ogniem, łamało w kościach. Powiódł mętnym wzrokiem po izbie i tyle mógł

zauważyć, że z pułapu zwiesza się kołyska. Gospodarze patrzyli nań z wylękłą niechęcią. Wtedy odchrząknął i by nie wydać się zupełnie bezradnym, zmarszczył brwi. Zapytał o wieś : Mu-chano-wo. Chłop ożywił się, jakby mu kamień spadł z serca, prędko wyprowadził Leszka na wiatr, wskazał kierunek ręką i zapewnił, że to niedaleko. Odpędził przy tym psa, który szczekał nieustannie.

Zełgał : do Muchanowa było jeszcze bardzo daleko, a wiatr dął z tą samą siłą. Dopiero w południe zaczęły się krzaki, pojedyńcze sosenki, grunt był w tym miejscu piaszczysty, pokryty nawilgłym mchem i wrzosami. Skądciś wyskoczył zając i zamajaczył białym podogoniem. Leszek wszedł na pagórek, zatrzymał się i patrzył:

Na wprost przed nim, wyraźna na tle szarego nieba, stała — puszcza.

Wielkie świerki mają kształt stożkowatej piramidy. Ich dolne gałęzie rozchodzą się szeroko, a wyższe są coraz krótsze, zbiegając do wierzchołka, który wystrzela w niebo. W ten sposób świerki, gdy tworzą gęsty szpaler na skraju lasu, wydają się niby wybrzuszone na zewnątrz, z czubem nieco odrzuconym wstecz, jakby zadartym wyniośle. Oto dlaczego na pierwszy rzut oka, sprawiają wrażenie takiej nieprzystępnej, obojętnej dumy. Wszystkie drzewa wyrosłe wysoko mają dużo pychy, ale świerki urodzone dwieście i więcej lat temu, zwłaszcza gdy stoją w szeregu, są przez tę pychę formalnie rozpierane ; są tak wielkie, i tak wysokie, i tak gęste i strojne zarazem, że wszystko co pełza u ich stóp, mimowoli odczuwać musi własną, nikczemną małość.

Leszek zszedł z pagórka i poszedł ścieżką między wrzosami, bokiem puszczy, aż do wsi Muchanowa.

Przyjęty był gościnnie. Siedzieli długo przy zastawionym stole, w ciepłej izbie. Józiuk był wesół, a stary jedynie dla pouczającego przykładu narzekał, że szpital kosztował go dużo pieniędzy, w rzeczywistości zaś gdy patrzył na syna, zbiegały mu się zmarszczki wokół oczu jak do uśmiechu i właśnie po układzie tych zmarszczek można było odgadnąć, że patrzy nań z mieszaniną miłości i dumy. Miał widocznie przyjemne poczucie, że nie został nabrany, a za wyłożone pieniądze otrzymał towar pełnowartościowy. Skąpił, owszem, bo sądził, że doktór go oszuka, pieniądze weźmie, a syn umrze. Tymczasem darmo nie wziął :

— Dobry doktór, grzech zaprzeczyć. Doktór dobry. Wziął to wziął, ale wyleczył jak należy. Nie ma co Pana Boga obrażać. Zanim wiosna przyjdzie... — ciągnął, ale Leszek mu przerwał :

— Już jest przecie wiosna. — Powiedział to skwapliwie, na przekór oczywistej prawdzie i po tym było poznać, jak dużo z tą wiosną łączył nadziei.

— Jaka tam ona, wiosna ! — machnął ręką chłop. — To jeszcze nie wiosna. Ale akuratne ciepło jak przyjdzie, to myślę,

że Józiuczek i pole wybronuje, a może nawet za pługiem pójdzie.

Podano gorącą herbatę, nastawioną na suchych malinach, z cukrem. Leszek mało jadł, tylko łapczywie pił słodki wrzątek.

— No, a ty jakże tam? — zagadnął młody chłopak. — Tę swoją Naścię, czy jak ona, rzuciłeś?

Leszkowi wydało się, że winien uczynić w odpowiedzi jakiś lekceważący gest, ale w tej chwili zadrgała mu dolna szczęka i prędko przytknął do ust szklankę. Józiuk roześmiał się i uderzył go żartobliwie po ramieniu. Leszek sparzył się w język.

— Ale coś ciebie to nie bardzo doktór wyleczył, — zauważył chłopiec. — Słabo wyglądasz. — Istotnie od gorącej herbaty i zmęczenia, oczy kleiły się Leszkowi, kłoniło do snu i z największym jedynie wysiłkiem utrzymywał pozory dziarskiej postawy. Wyjaśnił, że umówił się tu z Florem.

— Po co?

Leszek zmieszał się i nastało kłopotliwe milczenie.

— No — mruknął stary, dostrzegając jego zmieszanie — po cokolwiek. Jest znaczy po co, jeżeli umówili się. Czy to przed każdym trzeba spowiadać się. — Przełknął i dodał na pocieszenie: — Nie słychać było, jeszcze nie przychodził, ale pewnie wraz nadejdzie, ten Flor.

W tej chwili na podwórzu zaszczekał pies. — A może i on — mruknął stary podnosząc się z ławy i wyszedł zobaczyć. Ale to był tylko sąsiad w jakiejś gospodarskiej sprawie. Gdy zostali sami Józiuk ponownie zagadnął:

— I co ty z nim będziesz robi?

— Do puszczy pójdę.

— Po co, do puszczy? Co w puszczy robić?

— Widzisz... — zamrugał oczyma Leszek, przygarbił się, urwał i z zażenowaniem, spode łba spojrzał na chłopca. Tamten nic nie zrozumiał i też zamrugał jasnymi rzęsami, patrząc na gościa.

Leszek był tak wdzięczny za przyjęcie, którego doznał w chacie, że zapragnął, aby wszystko ułożyło się dobrze i może dlatego właśnie zapytał:

— Ty myślisz, że on przyjdzie?

— Kto, Flor? Jak powiedział, to dlaczego ma nie przyjść. Przyjdzie. Na pewno. Ale chyba dopiero wieczorem, może jutro rano.

Ale rano go nie było. Wiatr uspokoił się nieco przez noc, za to na zmianę przyszedł mróz. Silny mróz marcowy; skuł kałuże lodem, a błoto na drodze w twardą grudę.

— Nie ma jego — powiedział na przywitanie Józiuk, trzaskając drzwiami, gdy Leszek leżał jeszcze okryty kożuchami. Leż, leż, wypocznij — dodał grzecznie.

Flor nie przyszedł ani następnego, ani trzeciego dnia. Trzeba było wstać z łoża. Gospodarz milczał. Z synem Leszkowi też nie kleiła się jakoś rozmowa. Herbaty nastawionej na malinach więcej już nie podawano. Na stole stała miska kartofli i druga z zacierką na mleku. Gospodyni bez słowa położyła koło Leszka

drewnianą łyżkę. Cały dzień siedział przy oknie i patrzył na drogę, ale nic dużo mógł dostrzec : droga ginęła między opłotkami wsi, perspektywę zasłaniała poczerniała strzecha sąsiedzkiego chlewu. Mróz trzymał. Raz, czy dwa, przejechała furmanka, a koła dudniąc, podskakiwały na grudzie. Leszek wychodził tylko za stodołę za swoją potrzebą i zimno przejmowało go do kości ; wracał biegiem do chaty.

Wieczorem, za przepierzeniem, dosłyszał rozmowę prowadzoną szeptem :

— Długo on tu będzie jeszcze siedział ? — pytała stara.

Józiuk coś odpowiedział, czego nie można było usłyszeć. Wtedy znowu matka, której głos był bardziej przenikliwy :

— Jak chory, niech do szpitala idzie. Czego wychodził. Tu nie szpital, żeby darmo karmić...

Leszek nie miał przy sobie ani pieniędzy, ani rzeczy, ani niczego prócz zupełnie nieprzydatnego mu w jego sytuacji karabinu. W rzeczywistości, co można robić na szerokim świecie z karabinem ? Ludzi zabijać ? Nie, życie to nie bajka. W życiu rzadko się strzela, a ciągle się płaci. Przygnębienie Leszka rosło : zacierka na mleku też kosztuje. I postanowił : jeszcze jeden dzień.

Flor nie przyszedł. Kolacja minęła w zupełnym milczeniu. Józiuk patrzył w bok, unikając wzroku gościa. Dopiero gdy wstawali od stołu, gospodarz przeżegnał się znakiem krzyża i zawyrokował :

— Nie przyjdzie już ten Flor.

Leszek nic nie odpowiedział. Przytakiwać nie chciało mu się, wyrażać nadziei nie śmiał.

Nazajutrz rano wciągnął szynel, zapiął pas, przerzucił przez ramię karabin i podziękował za gościnę. Józiuka nie było w domu. Gospodarz ucieszył się i dlatego powiedział bez przekonania :

— Ostałby się może jeszcze...

— Nie, nie ! — zaprzeczył Leszek.

Wtedy stary dał mu kawałek placka z grochowej mąki, jaki ludzie w puszczy biorą ze sobą w drogę ze względu na jego wyjątkową pożywność.

XII

We wsi Pieski szukał Luby, dawnej przyjaciółki Flora. Ażeby zapytać o nią wstąpił do pierwszej z brzegu chaty, która leżała nieco na uboczu od wsi. Miała tylko jedną izbę i wielki piec. Mieszkało w niej dwuch starców. Leszek przysiadł się na ławie, nie zdejmując czapki i poprosił pić. Jeden z gospodarzy chętnie zaczerpnął kubkiem w drewnianej kadzi, która stała w rogu i podał gościowi kwasu brzozowego. Później zastanowił się nad pytaniem Leszka :

— Która Luba?...

Drugi starzec siedzący na łóżku, przyglądając się własnym, zwieszonym, bosym stopom, kiwnął głową: — To będzie ta pewnie... wiesz?... No, co dziecko rodziła latem.

— A co, czy ona wyszła zamąż? — spytał Leszek z odcieniem rozczarowania.

— Nie. Tak, przyżyła z kimś — odparł poważnie. Nie ma jej już tu. Następnie wyjaśnił, że jesienią był pożar, który strawił ich dom. Rodzina przeniosła się do puszczy, do wsi Łosie, gdzie ojciec miał kawał gruntu, na którym gospodarował brat. — Nie było im jak tu żyć, — zakończył.

— No pewnie, bez domu, nie ma jak — przytaknął pierwszy.

Leszek odstawił kubek i podziękował.

— Nie ma za co — odpowiedzieli zgodnie.

Obydwaj posiadali siwe brody i to ich wzajem do siebie upodobniało. Czy byli to jednak bracia, krewni, czy tylko przyjaciele, trudno było wymiarkować. Żyli tak dawno w tej chacie razem, że nie wszyscy nawet we wsi pamiętali, czy obumarły ich żony, czy mieli kiedyś osobne gospodarki i jakie losy zapędziły ich na głęboką starość do tej wspólnej izdebki, bez zabudowań gospodarczych, bez ogrodzenia, bez inwentarza. Ktoś tam twierdził ponoć, że przed laty słynęli jako sławni kłusownicy, spory szmat życia odsiadując po więzieniach powiatowych, ale czy była to prawda, czy jedna z tych legend, którymi obfituje puszcza, nikt nie dochodził ze względu na obojętność sprawy, która zresztą dotyczyła czasów bardzo odległych. Byli tak biedni, że nie obawiali się gościa: nie można ich było ani okraść, ani objeść. Kartofli uprawiali tyle, że starczyło im na cały rok i, jedząc je, popijali kwasem brzozowym. A skąd brali pieniądze na zakup soli, nie wiadomo. Skądciś musieli brać. Może jeszcze sidła zastawiali na ptaki, może trudnili się czasem przygodną pracą u sąsiadów. W każdym razie nie było o tym mowy. Jeden ze starców, Mateusz, który siedział na łóżku, potrafił wiele godzin z rzędu nie uczynić żadnego ruchu, co najwyżej palcami bosych stóp, ale też rzadko. Drugi, Jakub, który chodził cicho w łapciach z lipowego łyka, od dwuch lat cierpiał na dziwną manię, a mianowicie uzupełnienie swego bardziej niż zaniedbanego wykształcenia. Kilkakrotnie próbował nawet wyuczyć się alfabetu, ale mu nie szło: był dalekowidzem, a z bliska nie bardzo mógł rozeznać kształty liter. Chciał więc dowiedzieć się o rzeczach drogą ustnego rozpytywania, ale mało miał ku temu okazji. Za to dużo myślał i z tych myśli układał teorię życioznawczą. Żartowano z niego, że mania do nauki była tylko wynikiem chorobliwej, a raptownej ambicji zostania sołtysem wsi Pieski. Zaprzeczał temu kategorycznie, ale nawet Mateusz kiwał w takich razach porozumiewawczo głową, widocznie na znak, że i on posądzał Jakuba o tajemne aspiracje. Nie twierdził jednak ani, że tak, ani że nie.

Flora żaden z nich nie znał i nie pamiętał:

— Co on, wojenny, czy wolny? — spytał Jakub.

Leszek wytłumaczył. Wtedy rozsądzili między sobą, że jeżeli miał przyjść, a nie przyszedł, jak umówiono do Muchanowa, tedy chyba istotnie powinien zajść do Piesków. Bo skąd może wiedzieć o pożarze. O pożarze na pewno nie słyszał.

— Nie — przytaknął Leszek.

— No, jak nie słyszał, to gdzież jemu pójść jak nie do swojej baby. A rzeczy miał jakieś?

— Miał i swoje i... — zająknął się — moje.

Mateusz wpatrzył się w wielki palec u nogi. Jakub niechętnie, ale wtrącił: — A może po prostu żulik?

Leszek zaprzeczył gorąco. Starzy nie nalegali. Musiał lepiej od nich wiedzieć.

Leszek zamieszkał na razie u nich. Rozesłano mu bardzo stary kożuch na piecu, a przykrywał się własnym płaszczem. Jadł kartofle i popijał kwasem.

Drugiego dnia Jakub, popatrując w maleńkie okienko, z którego jedna szybka zapchana była workiem, odezwał się niby od niechcenia:

— Co to ja chciałem spytać... Acha, jaka to, powiedzieć mnie, będzie różnica między arytmetyką i gramatyką?

Leszek też spojrzał w okienko. Drobny śnieg jak biała kaszka, pędzony wiatrem, przesłaniał widok puszczy. Westchnął i zaczął tłumaczyć. Jakub słuchał z naprężeniem i z widoczną trudnością. Gdy Leszek skończył, zapytał:

— Czy to prawda, że cara już nie ma?

Mateusz tym razem uniósł twarz i utkwił swe wodniste źrenice w gościu. Potem razem pokiwali brodami w znak współczucia.

Żaden z nich nie żałował kartofli, które zjadał u nich Leszek, ale Jakub zrazu ostrożnie, a czwartego dnia już wyraźnie, dał mu z powagą do zrozumienia, że posiadając tyle wiadomości marnuje swoje życie.

— Mówią — zaznaczył — że ziemia jest okrągła. Ale nawet niech będzie sobie płaska, to przecież taka dal! Ohoho... A cóż tu...

Później spytał Leszka dlaczego uciekł z wojska? Bał się?

Leszek chciał splunąć zamaszyście śliną, jak to u innych widywał, ale miał wyschnięte usta, więc z tym większą brawurą wzruszył ramionami:

— Bać się! Też... Czego?! — i machnął ręką z lekceważeniem.

— No to... po co?

— Bo nudno.

— Aaaa... — zrozumiał Jakub. I po chwili jeszcze: — Uhumhum... — Wypowiedział to z taką powagą, że gość nabrał doń zaufania i po raz pierwszy nie wstydził się podzielić ze starymi własnym poglądem na życie. Powiedział o sprzecznych pragnieniach, które nim targają i o niezbyt jasnych motywach, które

zagnały go tu z tego zapadłego, małego miasteczka... — Jakub przerwał : On też był w tym mieście. Dlaczego ono zapadłe? Ładne miasto, owszem, kto ma pieniądze, ohoho...

— Ja nie mówię, że brzydkie — zgodził się Leszek, — ale... — i zaczął z kolei opowiadać o szpitalu, o Florze. Przemilczał tylko o Naści i stosunku, jaki ją łączył z Helą, a też z nim ; wstydził się. Potem jeszcze raz o Florze i tym wszystkim, co mu tamten opowiadał o puszczy.

Mateusz słuchał, siedząc ze zwisającymi z łóżka nogami, a Jakub podszedł do paleniska i poruszył tam garnkami bez widocznej przyczyny.

— Może być. Może być — przytaknął. Cóż... puszcza... Wiadomo las.

Nastało bardzo długie milczenie. Potem Jakub przyniósł z sionek pieniek smolaka i przytrzymując go rozstawionymi nogami, strugał siekierą łuczywa na rozpałkę. Leszek zamilkł, rozczarowany trochę rezultatem swej wylewności. Gdy łuczywa zostały porąbane, starzy zabrali się do obierania kartofli. I wtedy to Jakub zagaił przemowę :

,,Że las jest lasem, a pole, na przykład, naturalnie tylko polem. Ale nie to jest ważne czym ziemia jest pokryta : lasem, polem, czy miastem. Ważne jest związanie z nią człowieka...''.

— Jakie związanie? — spytał Leszek.

— Zwyczajne. Czym człowiek jest związany. Bez związania człowiek żyć nie może, a przede wszystkim jego chata i jego żarcie egzystować nie mogą. Przez las można iść, ale nie można w nim żyć. Żyć można w chacie tylko.

— No, a Flor na przykład mówił...

— Flor! Dobrze jemu było opowiadać, temu twemu Florowi, o puszczy, kiedy u niego była ciepła ziemlanka i w niej może wszystko... Znaczy był związany. Jemu ta ziemlanka z nieba nie spadła. Dla jakichś spraw była zbudowana. A pod krzakiem żyć nie będziesz. Po pierwsze zimno. Wiewiórka w dziupli może mieszkać, a i to osobne gniazdo sobie buduje wysoko na drzewie. A człowiek... Co tu i mówić o człowieku! Człowiek spętany jest od dziecka, ot przykładem jak ten koń na pastwisku. Tych pęt nie rozerwiesz.

— A ja spróbuje! — odparł z przekorą Leszek.

— Puste słowa.

Mateusz uznał za stosowne złagodzić nieco tę odpowiedź :

— Dlaczego, spróbować można.

— Nawet Chrystus mówił — zaczął Leszek — że ptaki niebieskie nie sieją, nie orzą... i stawiał je za przykład.

Mateusz splunął dyskretnie na klepisko i tym razem podtrzymał Jakuba : — To Chrystus, może on wiedział jak to robić, ale ludziom nie powiedział. Wiadomo, słowo Boże, nie nam do jego mądrości.

— Owszem — podjął Jakub — i ja wiem, że tak powiedział, ale fakt, że człowiek tak nie pożyje, nie siejąc, nie orząc. To fakt.

— No, a jak wy żyjecie ? !

— My, to co innego. Kartofle sadzimy... — odparł niechętnie. — Wiosną brzozy nacinamy, sok puszczamy. Po drugie, my... U nas jest chata.

— To znaczy — zareplikował Leszek — chata to najważniejsza rzecz na świecie ? !

— Najważniejsza — odparł Jakub i zwrócił się do Mateusza : — Dość już chyba obierać, starczy na kolację. — Poniósł garnek i zaczął płukać obrane kartofle. — Tak, chata. Najważniejsza. Bez chaty tylko Kain żył.

Leszek wlazł na piec i wyciągnął się na kożuchu. Kain, przypomniał mu znowu dzieciństwo. Matka uczyła go Starego Testamentu. W książeczce były ładne obrazki : drzewa, palmy, owoce, zwierzęta. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego to miało być dla Kaina tak wielką karą chodzić sobie po świecie w cieple, z przewieszoną skórą zamiast ubrania. Poczuł, że jest głodny i z odrazą pomyślał o suchych kartoflach. Trzeba iść... Trzeba iść dalej.

W piecu trzaskało drzewo i bulgotała woda. Wtedy zagadnął znów Jakuba : ,,A może Flor zachodził do Piesek, może nie rozpytał dość dokładnie, może rozmawiał akurat z tymi, którzy Leszka nie widzieli nigdy na oczy i nic o nim nie słyszeli ? Przecież chata stoi daleko na uboczu, a we wsi prawie się nie pokazywał. Mogli nie słyszeć nawet, że tu jest. Flor dowiedział się o pożarze i poszedł do Łosiów. Mogło tak być ?

— Być to mogło. Dlaczego, owszem. Różne rzeczy bywają.

Leszek wytrzymał dłuższą pauzę, a potem powiedział :

— Chyba już pójdę, niezadługo.

— Dla nas to wszystko jedno — odparł Jakub. — Nam miejsca w chacie nie szkoda.

— Nie, trzeba iść. Muszę iść.

— A w jakiej sprawie ?

— Jakto : ,,sprawie ?''

— No a jak bez sprawy ? Bez sprawy ludzie nie chodzą.

— W tej samej sprawie ! Co właśnie mówiłem : może Flor...

— A... W tej. No cóż, jak nie ma innej.

XIII

Flor spakował swoje i Leszka rzeczy do plecaka, nie nazajutrz, a dopiero trzeciego dnia. Po prostu został o jeden dzień dłużej. Rzadko mu się zdarzało nie przyznawać przed samym sobą do motywów swego postępowania, ale się zdarzyło. Jeszcze jeden dzień : cóż wielkiego...

Plecak był ciężki. Uniósł go z ziemi, położył z powrotem i dlaczegoś kopnął go leciutko nogą. Potem stał nad nim i drapał się w głowę. Wreszcie poszedł na górę do Heleny. Stąpał

krokiem powolnym i ciężkim jak ołów. Schody pod nim skrzypiały do tego stopnia niezwyczajnie, że Helena, słysząc te kroki, otwarła drzwi, aby zobaczyć kto idzie.

— Wychodzę — powiedział krótko.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głowy i cofnęła się, dając do zrozumienia, aby wszedł.

— Dokąd — spytała.

W odpowiedzi machnął ręką.

Wiedziała już, że Leszka nie ma od dwóch dni, ale nie spytała jeszcze, gdzie się podział. Nie chciała pytać. Wolała zaczekać, aż Flor sam jej to powie On stał milcząc.

— Dokąd idziesz? — ponowiła pytanie.

— Sama chciałaś... Wyprowadziłem.

Nastało milczenie.

— Dziękuję — szepnęła.

Flor skinął nieznacznie głową i zrobił nieokreślony ruch odwracając dłonie. Odchrząknął: — No, a teraz ja z tyłu, za nim... — I pomyślał, iż jeżeli go spyta czemu nie wyszedł razem, nie będzie wiedział co odpowiedzieć, podobnie jak nie wiedział co odpowiedzieć Leszkowi, jak nie miał odpowiedzi przed samym sobą. Ale Helena nie o to pytała, tylko zwyczajnie:

— Po co?

— A no, tak, już... Mam jego rzeczy... A po drugie, cóż on beze mnie zrobi. Zdechnie.

— Niech zdycha.

Flor po raz pierwszy podniósł wzrok i spojrzał jej w źrenice. Na krótką chwilę oczy ich spotkały się, ale nic nie wynikło z tego spotkania.

— No, a jeżeli, na przykład, wróci? — mruknął, znów odwracając głowę.

Zdawało się, że oboje przez chwilę zastanawiali się nad tym pytaniem, ale ona miała gotową odpowiedź:

— Nie wróci. — I po chwili ciszej: — Nie chcę, żebyś szedł.

— A jednak może wrócić...

— Nie wróci tu, — wymówiła z naciskiem. — Jak wróci to go aresztują. Dziś rano zameldowałam, że uciekł ze szpitala.

— Phiii... — gwizdnął przeciągle Flor. — Ot jak zrobiłaś?

Nie odpowiedziała.

— Bierzesz na swoje sumienie?

— Biorę. Nie chcę żebyś szedł.

Flor spuścił wzrok. — Może być, że nie chcesz. Ale co tobie z tego... A może tylko, żeby jemu na złość?

— Nie chcę zostać zupełnie sama.

— Sama... — powtórzył jak echo. Sama. W mieście przecie, nie na pustyni.

Milcząc odeszła do okna.

— Rodzice twoi nie żyją — powiedział nie pytając, bo już o tym wiedział od dawna.

— Nie żyją.

— Nie żyją, ale i ty nie jesteś mała. Krewnych tu nie masz?

— Jedna siostra mamy... Ciotka znaczy. Ale nie tu. Daleko. — Odwróciła się od okna patrząc mu w twarz: — Mieszkałam kiedyś u ciotki, ale jak dowiedziała się... Wygnała z domu. — Powiedziała tonem wyzywającym. Flor złagodził to wyzwanie obojętnym wyrazem:

— Co tam tobie z ciotki, dzisiaj.

— Tu nie o ciotkę chodzi.

— Tym bardziej.

Helena raptownie ścisnęła obydwie dłonie w pięści i przycisnęła je do ust. — Samej straszno...

— Czego straszno, Hela? — Pomyślał, a później dodał dlaczegoś szeptem: — A może Naścia wróci?...

Drgnęła, ale nic nie odpowiedziała, tylko mocniej zacisnęła pięści koło ust, jakby je chciała ugryźć.

— Ja przepraszam, Hela, ja nie chciałem... Ty wiesz, ja w tej rzeczy nie wyznaje się.

— Zostań — szepnęła błagalnie. — Ja ciebie proszę, zostań. Ty jeden jesteś, który... rozumie. — Nie powiedziała nic więcej, nie odjęła rąk od ust, ale zaczęła raptownie chodzić po swym pokoju tam i z powrotem: od dwóch łóżek, które stały pod ścianą, aż do okna. Nad łóżkiem, w którym kiedyś spała Naścia wisiał na ścianie, na niebieskiej wstążeczce, gipsowy talerzyk z jaskrawą, czerwoną różą; widocznie niezbyt dawno odlany, bo jeszcze nie popstrzony przez muchy. Na kołdrze spał ryży kot.

Flor milcząc, grubymi palcami wyrywał jakąś nitkę, która sterczała z górnego guzika szynelu. Wciąż wymykała się mu spod paznokcia, więc szarpał ją coraz zacieklej i coraz bardziej nerwowo. Nitka była zbyt krótka.

— Co tam tak wyszarpujesz?... usłyszał nagle szept Heleny, łagodny, prawie przymilny. Przystanęła tuż przed jego twarzą. Niebieskie tęczówki jej oczu były w tej chwili miękkie jak atłas, szeroko rozwarte, prawie dziecinne.

Chciał nawet powiedzieć do niej w ten sposób: „Dziecko z ciebie, Hela..." Ale nie rzekł nic, postał jeszcze chwilkę, potem zawrócił bez słowa, wyszedł, przymknął za sobą cicho drzwi i schodził ze schodów, stopień po stopniu, a one skrzypiały. Helena nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła liczyć jego kroki.

Flor wyszedł do ogródka i rozejrzał się. Kryta gontami studnia, budynek łaźni, ławka, wszystko było na swoim miejscu; i płot pochyły, wsparty o pień topoli. Tylko pod ławką stała teraz kałuża wody. Deszcz ze śniegiem zacinał ukosem. Przejmowało wilgotnym chłodem tej najbardziej nieprzytulnej pory roku kiedy to wiosna walczy jeszcze z zimą. Zawrócił do pokoju chorych i jął wolno, metodycznie rozwiązywać plecak, wyjmować poszczególne przedmioty i układać je z powrotem w szafce. Obok swoich rzeczy również rzeczy należące do Leszka.

W tej czynności przeszkodził mu Lodzio, który wpadł nagle zdyszany, nie mogąc z emocji wymówić słowa i zostawiając

drzwi otworem. Flor podniósł nań ciężkie spojrzenie znad plecaka :

— Zamknij drzwi.

Lodzio wskazał ręką okno. Wtedy Flor usłyszał, że po bruku jezdni, jeszcze daleko, stukają liczne kopyta koni i okute koła wozów. Wstał, minął obojętnie Lodzia i wyjrzał. Po ulicy posuwał się leniwie tabor wojskowy.

— Opuszczają miasto ? ! — zapytał Lodzio w podnieceniu. Flor przyglądał się jakiś czas w milczeniu jadącym i dopiero, odchodząc od okna odparł tonem rzeczowym :

— Nie wiadomo. Może wycofują tylko tabory na dalsze etapy. Nie wychodź teraz lepiej. Czego włóczysz się ciągle.

XIV

Jakub wytłumaczył Leszkowi drogę : zaraz, za wsią rozpoczynał się prosty dukt leśny, aż do rzeki. Może będzie tego ze dwanaście kilometrów. Na rzece mostu nie ma, ale przerzucone są żerdzie. Za rzeką ciągle jeszcze tym samym trybem aż do pierwszej drogi. Leśna, nie duża droga. Wtedy w prawo i nią aż do wsi Łosie. Trafić bardzo łatwo.

Leszek zamierzał początkowo wyjść następnego dnia o świcie, jak się normalnie wyrusza w daleką drogę, ale od południa począł go nękać wewnętrzny niepokój, w połączeniu fizycznym prawie zniecierpliwieniem. Myśl, że miałby jeszcze raz układać się do snu na tym piecu, wydawała mu się nie do zniesienia. Wyszedł przed wieczorem. Nastały właśnie noce księżycowe. Niebo było pogodne, ale mróz, który folgował pod wpływem południowego słońca, potęgował się z chwilą, gdy wieczorna siność spowijała świat. Pociągnięte nią były i wrzosy, i pojedyńcze drzewa na pasiekach, zmarznięta, skąpa ozimina pól, strzechy chat i sama puszcza. Słońce zachodziło wskutek tego fioletowo, hen, pomiędzy krańcem lasów i bezkresnymi pastwiskami, na których stały kałuże pokryte szklanym lodem.

Leszek zapuścił się w puszczę, gdy było jeszcze jasno, w miejscu gdzie rosły wysokopienne sosny o słabym podszyciu. Pochłonięty był całkowicie szybkim marszem. Bezwiednie starał się iść cicho, nie łamiąc suchych gałązek i zadowolony był, iż mu się to tak łatwo udaje, stąpając po wydeptanym kobiercu igliwa. Mech przepojony wilgocią, kora drzew, zmarznięte błoto, stare liście i młode pędy, skwaszone przez nawrót zimy stwarzały dziwny ferment, który odurzał. Leszek wciągnął kilkakrotnie powietrze nosem, ale się nie rozglądał.

Uszedł kilka staj, gdy raptownie poczuł, że ktoś na niego patrzy... Było to wyczucie do tego stopnia namacalne, że zatrzymał się jak wryty : opodal, na lewo w skos, pomiędzy rozrośniętymi krzewami jałowca, stał jeleń i patrzył istotnie. Oczy ich spotkały się na sekundę. W oddali trzasnęła złamana ga-

łązka. Leszek rozglądnął się po raz pierwszy : wokół panował niepodzielnie szmer ciszy. Od tego spotkania nawiedziło go dziwne uczucie... Szedł prędzej, szedł ciszej, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest oto zauważony przez wszystkie drzewa i wytknięty palcem : ,,Ot tu, idzie człowiek...''. I zdawało mu się, że ten anons biegnie przed nim, gdziekolwiek stąpnie i tam, gdzie stąpnie, na swej drodze, wszędzie wzdłuż trybu leśnego, nachylają się nad nim drzewa i sprawdzają, że idzie, a dalsze będą czekać już i wypatrywać : ,,ach, oto on... zbliża się idzie, minął, zagłębia się w puszczę, coraz dalej, coraz dalej idzie w puszczę...'' — ,,I po co im to potrzebne ?'' myślał Leszek i szedł jeszcze szybciej, ale nie mógł dać rady, bo drzewa przed nim już o nim wiedziały. Wtedy zaczął powtarzać słowa Flora : ,,Igła w stogu siana, igła w stogu siana...'' — Nie, nie była to igła w stogu siana. To był jedyny człowiek wśród setek tysięcy drzew, w zapadającą, mroźną noc.

Dopiero po kilku godzinach ukazał się księżyc. Wtedy cała puszcza zajęła się jego blaskiem i zapomniała wreszcie o idącym człowieku. Zdarzyło się to niedaleko rzeki.

Bokami pokryta jeszcze lodem, środkiem pchała nurt wodny, wezbrany z migotliwą ścieżką księżyca pośrodku. Gdyby się zatrzymać i stać dłużej, można by słyszeć jak płynie — czas... Ale Leszek nie stał ; było mu zimno i śpieszył się. — ,,Pół drogi'' pomyślał i szedł, szedł dalej.

Było już dawno po północy, gdy dotarł do wsi Łosie. Jakub wytłumaczył mu dokładnie, gdzie leży i jak wygląda chata, w której mieszka Luba : pośrodku wsi, jedyna frontem do drogi, oddalona nieco od ulicy. Znaleźć bardzo łatwo. Istotnie nie było trudno. Żaden pies nie szczekał. Wszedł na podwórko i zastukał w okno. Czekał chwilę, nie było odpowiedzi. Zastukał po raz drugi. Ktoś poruszył się wewnątrz i usłyszał szepty. Stał cierpliwie i czekał. Nie miał już teraz żadnej nadziei, że zastanie tu Flora, ale musiał stukać. Wszedł na ganek i zakołatał w drzwi. Później mocniej. Wreszcie odezwał się starczy głos, po którym było poznać, że stara się opanować drżenie :

— Kto tam ?

Leszek zapytał o Lubę. — Nastała cisza ; znowu szept. Później głos kobiecy :

— Kto tam ?

Przybyły zapytał z kolei o Flora. Odpowiedziało mu milczenie spowodowane niewątpliwie zaskoczeniem. Domyślał się tego. Ale nie miał innego wyjścia. Od czasu gdy stał, poczuł, że zimno się wzmaga.

— Nie ma tu żadnego Flora !

Leszek zdjął bezwiednie czapkę i przeciągnął ręką po włosach. Boże, jak dawno się nie strzygł : włosy spadały mu aż na kołnierz. Zastukał.

— Czego ? !

— Otwórzcie — poprosił zachrypłym głosem, który mu samemu wydał się obcym.

— Nie ma tu tego kogo szukasz! Po nocy nie otworzym.

Leszek zaczął tłuc nogą w drzwi. Powinien był coś wytłumaczyć tym ludziom, ale krzyczeć poprzez deski było trudno.

— Wpuśćcie!

— Idź, idź swoją drogą! — krzyknął chłop.

— Luba! — zawołał Leszek z ganku. — Nie pamiętasz Flora?!

Nie znam ja żadnego takiego! Idź, idź skąd przyszedł! Nie ma czego po nocy dobijać się!

Jednocześnie doszedł go zduszony szept: „Gdzie siekiera?"

— Wpuśćcie, mnie zimno...

Szept: „Nie puszczaj, nie puszczaj"...

Leszek zerwał karabin z ramienia i zaczął tłuc kolbą w drzwi. Wewnątrz rozpłakały się dzieci; ktoś je uciszał. Zaczekał chwilę, chciał znów przemówić, ale język obracał się z trudem. Wydał z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk i począł tłuc ze zdwojoną siłą. Odpowiedziało mu teraz zawodzenie kobiet, coraz bardziej histeryczne: — Boże mój! Boże! Nie otwieeeeraj! Nie otwieraj!

— Idź skąd przyszedł! — krzyknął naderwany strachem, groźbą i rozpaczą głos męski. Leszek poczuł się bez chaty... Chciał już odejść. Zrobił nawet kilka kroków po ganku, butem wymacał stopień i rozglądnął się bezradnie. Księżyc kłonił się ku wierzchołkom lasu. Wokół nic tylko puszcza. Wtedy rozpacz i nienawiść odebrała mu rozsądek: wpuścił ładunek do lufy, cofnął się z powrotem na ganek o jeden krok i — strzelił! Strzelił przez drzwi do wewnątrz chaty.

W pierwszej sekundzie huk przesłonił wszystko, ale zanim minął w uszach, już doszedł go krzyk prawie zwierzęcy, a jednak musiał to być krzyk kobiety:

— Ajajaj!... Aaaajajajaj! Aaaa! — Wtedy zbiegł ze schodków i pobiegł do drogi.

— Ajajaj...

Biegł do puszczy. Biegł przez wieś nie oglądając się, gnany strasznym widmem, że wszystkie drzwi otworzą się nagle i zewsząd wypadną ludzie, ludzie, ludzie, straszni ludzie, gdy trzymają w ręku siekiery i koły... „Boże prędzej! Boże prędzej!" Psy już szczekają. Psy, przyjaciele ludzi! A w uszach ciągle nie huk wystrzału, ale: ajajajaj...

Prędzej puszcza! Prędzej Boże!... Ach, puszcza, puszcza zbawicielka, byle do puszczy... Teraz pot ciekł mu po twarzy i czarna panika biegła z tyłu. Ale puszcza już niedaleko, już, już orędowniczka słabych, opiekunka zbłądzonych, przystań nieszczęśliwych, pocieszycielka grzesznych, ratunek morderców, puklerz ściganych! Panika zaczęła odstawać, a drzewa były coraz bliżej. Panika zatrzymała się. Wtedy Leszek odwrócił się. Nie, nikt za nim nie gonił. Psy ujadały rzeczywiś-

cie, ale nikt nie gonił. Wieś pozostała w tyle, rozpływając się w nocy. Księżyc już się chował. Zaraz będzie zupełnie ciemno. Głęboko wciągnął nocne powietrze lasu, na które składa się tyle zapachów i wkroczył w gęstwinę.



Zdarza się, że człowiek, który przegra wszystko, raptownie wyciągnie szczęśliwy los na loterii i ten ratuje go w ostatniej chwili. Los taki wypada rzadko, ale się zdarza... Podobnie bardzo rzadko się zdarza, że nastają długotrwałe mrozy (czasem jesienią, a czasem wiosną) w porę zupełnie bezśnieżną. Błota leśne są wtedy skute. Pomiędzy drzewami, które rosną na kępkach jak na wyspach, oddzielone wzajem wodą, powstaje twardy, lodowy chodnik, po którym można iść jak po asfalcie: szybko, wygodnie, nie zostawiając żadnych śladów. Można nawet, kto by chciał dla rozrywki, idąc przyglądać się poprzez szkło lodu co się dzieje wewnątrz błota, jakie tam rosną trawy rozmaite, a w głębi pływają dziwne, wodne owady. Słońce prześwieca poprzez bezlistne drzewa, bieli się kora brzóz, człowiek idzie i dziękuje Panu Bogu. Wychodzi czasem na płaszczyznę zamarzłych wód, bezdrzewną, mija ją jak plac miejski i znów zapuszcza się w las.

Leszek nigdy w życiu nie wydostałby się z tej części puszczy, gdyby był zabrnął w nią o innej porze roku.



Nie udało się zimie powstrzymać wiosny. Nie udaje się to nigdy. Ostatnia bitwa nabiera coraz bardziej cech prestiżowej walki o prywatne sprawy, które nie interesują nikogo i wszyscy nagle mają jej dość. Zaczyna po prostu nudzić. W tym stadium rzeczy zima raptownie zwija swoje sztandary i ucieka. Zwyczajnie: pewnego ranka trawa na moczarach nie jest pokryta szronem. W koleinach dróg stoi woda. Niebo jest niskie i wilgotne, a ziemia grząska jak ciasto. Ze strzech kapie woda. Buty oblepione błotem mają ciężar stupudowych, iść jest bardzo trudno. Ale iść trzeba, bo w tym czasie nie ma się gdzie ani położyć, ani przysiąść, ani w inny sposób odpocząć, ponieważ wszystko wokół jest mokre.

Nisko nad polem biegnie wiatr z południa.

Leszkowi po kilku dniach wędrówki zaczęła się odrywać podeszwa u lewego buta; grzęznąc po kostki w błotnistej drodze z odrazą czuł jak wilgoć i brud wślizgują się zimno do środka. Zatrzymał się i zastanawiał jak biedzie zaradzić. Można by to zrobić z pomocą sznurka, czy kawałka drutu, ale wokół ciągnęło się tylko puste pole i nie widać było żadnej chaty. Nie było do kogo udać się o pomoc. Przypomniał sobie jak to Flor prosił kiedyś Pana Boga o palto dla swej żony i uśmiechnął się w duszy pobłażliwie dla jego ówczesnego zmartwienia. — Już wiedział, dokąd idzie. Nie postanawiając niczego, po prostu

wiedział. Wiedział gdy szedł jeszcze przez puszczę, tylko tego sobie nie mówił. Może wiedział to zawsze, może nigdy się z tym zamiarem nie rozstawał? To nie miało w tej chwili znaczenia. I teraz nie myślał wcale o celu swojej podróży, a wyłącznie o podartym bucie. Całe buty byłyby w tej chwili celem samym w sobie, daleko ważniejszym niż wszystka przyszłość życia. Ale nie było całych butów: lewa podeszwa odpadała.

Ciągle się jeszcze zastanawiał, gdy daleko na koryzoncie dojrzał furmankę chłopską jadącą w tym samym kierunku. Oparł się o karabin, zmrużył oczy wypatrując i czekał. Znowu wyciągnął szczęśliwy los.

Chłop niezbyt chętnie godził się na podwiezienie: nie ma gdzie siąść, tłumaczył.

— Widzisz, do szpitala wiozę — wskazał ręką z biczem wstecz.

— A ty widzisz — odrzekł Leszek, nie interesując się jego sprawą — u mnie podeszwa, ot, zupełnie prawie odpada. — I oparłszy się o bokówkę wozu uniósł nogę, zgiął w kolanie i pokazał.

— A... tk, tk, tk — cmoknął ze współczuciem chłop. — Prawda, że odpada. Hm, do miasta, trzeba?

— Uhum.

— Sam nie wiem. To chyba przy mnie, jakkolwiek, z boku...

Leszek wlazł i pojechali wolno.

Droga była bardzo ciężka. Koła to zapadały w błoto, to stukały o wystające kamienie; wóz się przechylał, skrzypiał, koń wytężał nogi, wypinał się i ciągnął. Wiatr dął w twarz, nie chciało się rozmawiać i nie było o czym. Z tyłu, chory, czy chora (Leszek nie zapytał nawet), otulony w kożuchy i poduszki, nie wydawał żadnego głosu. Chłop widocznie był zatroskany i też milczał.

Dopiero jak wyjechali na suchsze miejsce i potoczyli się truchtem po grobli, Leszek zagadał pierwszy, pytając skąd jedzie?

— Z puszczy — odparł chłop.

— A chory, mężczyzna, kobieta?

— Dziewczyna... — odparł z niejakim wahaniem.

— Ciężko chora?

Chłop zastanowił się, poprawił czapkę. — Trudno powiedzieć. Strzelił ktoś w nocy przez drzwi. Ranił. Nie bardzo nawet: ledwo, ledwo w rękę. Zdawało się głupstwo. Ale po kilku dniach czy zabrudziła gdzieś, czy ja nie wiem... Gorączka jak ogień! Ręka rozpuchła, stężała. A teraz nawet przytomność jej odeszła.

Leszek chciał się odwrócić, spojrzeć na chorą, ale było bardzo niewygodnie i ciasno się poruszać, przy tym ryzykował, że wiatr mu nadmie za kołnierz, więc zaniechał. Przeciwnie, jeszcze bardziej skurczył się pod płaszczem. Chłop też zaabsorbowany był tak dalece przebiegiem samej choroby, że zdarze-

nie, które było jej pierwotną przyczyną, wydało mu się mało ważne.

— Boję się, czy to nie będzie czasem od kurzego nawozu... — podjął w zamyśleniu.

— A — przytaknął Leszek — to niebezpieczne.

— A co?! — ożywił się tamten. — Prawda?

— Tak.

— Kurzy nawóz najgorsza rzecz.

— Uhum. Mówią, że to groźne zakażenie.

— Otóż i ja mówiłem właśnie. Wymyśliła kurnik czyścić. Mówię: gdzież będziesz teraz, z chorą ręką, jeszcze nie daj Boże zarazisz. To nie! Uparła się, powiada trzeba przed wiosną. Mówię jej, zaczekaj jeszcze z tą wiosną! Jaka tam wiosna, zimno. A po drugie nawet kury wypędzać, pora bardzo nieodpowiednia. Korszuny rozmaite ciągną, choć one prawda i nie odlatują, jak to mówią, do ciepłych krajów na zimę, ale wiosną ciągną zawsze na północ gromadami. Wiadomo głodne. Nie, mówi, korszunów nie widać. No i musiała jej zaraza gdzieś do krwi wpaść.

— Przejdzie może — pocieszył Leszek.

— Dałby Bóg.

Jakby na potwierdzenie tych słów, na tle nieba spowitego w chmury, ukazała się na horyzoncie najpierw wieża kościelna, wyższa od innych, a gdy zbliżyli się bardziej, niższe kopuły cerkiew.

Nie dojeżdżając miasteczka, Leszek zlazł z wozu, podziękował i pobrnął piechotą wzdłuż grobli, następnie bocznymi uliczkami klapiąc odstającą podeszwą. Szedł umyślnie drogą okólną, bokami, bojąc się natknąć na kogoś z żołnierzy. Przechodniów prawie nie widział. Tych kilku, co spotkał, obejrzało się za nim na wpół ze strachem, na wpół z ciekawością, ale minęli go bez słowa. Przelotne zdumienie jakie wyczytał w ich oczach, przypisał Leszek swemu wyglądowi, musiał być obrośnięty, brudny, obdarty. Istotnie był wychudły strasznie i zmizerowany, ale szedł przyśpieszając kroku. Mimowoli zauważył jednak, że wszystkie domy i sklepy zamknięte były na głucho. Jak w święto? A może coś się stało szczególnego? — przyszło mu do głowy, ale nie chciał się zatrzymywać, ani rozpytywać. Już nie daleko! Zaraz, pierwsza ulica na prawo...

Wdrapał się zaułkiem pod górę i skręcił. Jeszcze kilkanaście kroków i oto znajomy, parterowy domek kryty przegniłym gontem, brama. Pchnął furtkę, ale była zamknięta na rygiel. — „W biały dzień?!" — zdziwił się. Zastukał i zaraz też zaszczekał piesek.

— Bobik! — przywołał go — Bobik! — Istotnie piesek poznał go i zaczął skomleć z radości. Leszka ogarnęło uczucie szczęścia. Pierwsze tego rodzaju od niepamiętnych już chyba czasów. Nareszcie kroki za bramą i głos Naścinej matki: A kto tam?

— To ja. Czy Naścia jest?!

Furtka się otwarła i w niej ukazała się twarz starej, ale dziwnie jakaś chłodna i surowa. Jednocześnie w oczach jej tlił się wyraz zdumienia. Obrzuciła gościa wzrokiem i zatrzymała go dlaczegoś na jego znaku żołnierskim, widniejącym wciąż na czapce.

— Nie ma jej... — przeciągnęła. — Nie ma Naści... w domu.

— Nieee ma? A gdzie?!

— Ale co tu robi!... — wykrzyknęła. — Przecież twoi już odeszli...

Leszek nie słuchał: — Gdzie Naścia?!!

Wzruszyła ramionami: — Naścia pracuje. W szpitalu. Wróciła tam. Tam i mieszka. Ale...

— Wró... — Wiadomość ta z trudem przenikała do mózgu. On nigdy nie był zazdrosny o Helę, nigdy, a w tej chwili mniej niż kiedykolwiek. Tylko po prostu nie potrafił uświadomić sobie, że... no, że nie puszczają go do domu. Przecież przed chwilą nawet Bobik... I wyciągnął do psa rękę: — Bobik, piesek, jak się... — i nie dokończył.

Bo w tym momencie kobieta spojrzała w głąb uliczki i musiała dostrzec tam coś strasznego, gdyż uniosła ręce do głowy, krzyknęła: „Och! Boże!", cofnęła się i zatrzasnęła mu furtkę przed nosem. Słyszał jak uciekała do domu. Wtedy odwrócił się w kierunku, który ją tak przeraził.

Zza zakrętu, o kilka domów dalej, ukazała się grupa jeźdźców w nieprzyjacielskich mundurach, na czele z blondynem w niskiej, barankowej czapce na bakier i gołą szablą w ręku.

Leszek jeszcze wyciągał swoją do Bobika i stał jak skamieniały.

Dostrzegli, że był sam. — Ej! — krzyknął jadący na przodzie. — Ręce do góry! Ty! Tam! — Leszek ostatnim wysiłkiem trzymał się na nogach. Nie podniósł żadnej ręki. Prawą trzymał pas karabinu, lewa stężała w bezruchu.

— Nie chceeesz?! — przeciągnął prawie wesoło jeździec. — Ech, ty, wojaka! — I spiął konia śpiesząc się, jakby się bał przepuścić okazję. Leszkowi mignęła w oczach na tle drzew jasna kosa szabli... Konny, sprawnie, zdawało się z uśmiechem, ciął go z góry — w dół — na prawo, prawidłowo odchylając w bok łeb swego konia, wsparty ciałem na prawym strzemieniu, jakby ścinał łozę na ćwiczeniach, aż gwiznęło w powietrzu!



Odniesiono go do szpitala i położono w osobnym pokoju, na łóżku, na którym swojego czasu umarł huzar.

Nazajutrz rano, jak zwykle punktualnie, przyszedł doktór Dawydow.

Józef MACKIEWICZ

Grüss Gott!

Samolot ścigał się z własnym cieniem, wreszcie przysiadł na betonowej wstędze. Matecki, Budnik i Ambroży, którzy przybywali z Londynu przez Brukselę, wyszli z brzucha aparatu i uścisnęli dłoń opalonemu, bardzo przyjemnemu towarzyszowi podróży, który wskoczył do samolotu przed dwiema godzinami we Frankfurcie, a leciał jeszcze dalej — do Belgradu. Jakże sympatyczny był to człowiek ! Dziennikarz-gimnastyk ! Opowiadał o sobie barwnie i z taką werwą, że nie słyszało się ponurego zaśpiewu silników. Mówił na przykład, że dziewczęta w Finlandii, sam to widział, pływają bez kostiumów, i że ma zamiar lecieć do Turcji, do Adampola, by przypatrzeć się historycznej wysepce polskości na muzułmańskim morzu, ale nie lubi latać jugosłowiańską linią : trują pasażerów śliwowicą, a stewardessa, śliczna jak grzech, nosi czerwoną gwiazdę na kepi. Bóg zapłać za taką przyjemność ! A we Wiedniu, mówił, trzeba uważać na siebie : samolot ląduje w sowieckiej strefie, porywanie ludzi na porządku dziennym. Pewnego razu pojechał taksówką obejrzeć najstarszą w Europie kawiarnię, założoną po wiedeńskiej potrzebie przez Polaka, Kulczyńskiego, a tu szofer zmylił drogę. Zapędzili się na tamtą stronę, łatwo sobie wyobrazić, co przeżywał, gdy nadjechał jeep pełen sowieckich żandarmów. W ostatniej sekundzie zarzucił paltem aparat do nagrywania reportaży. Na szczęście żołnierze zatrzymali taksówkę, by wypytać szofera o adres najbliższego wesołego domku. Rozeszło się po kościach. A teraz wraca z Frankfurtu. Robił wywiad z księdzem-uchodźcą z Polski. Osobliwe stosunki : z jednej strony księdza stoi żołnierz i peroruje po angielsku lub po niemiecku, a z drugiej zawodowy wypytywacz, młokos-bokser, Amerykanin rosyjskiego pochodzenia, indaguje po rosyjsku. Ładna mi psychologiczna wojna : uciekiniera witają na granicy wolności po rosyjsku ! Biedni uchodźcy : wyduszają z nich wszystko co się da, a potem, jak wyciśniętą cytrynę, wyrzucają na świeże powietrze, i od tej pory nikt się już nimi nie interesuje, ani kwa-

krzy ani Armia Zbawienia ani dobra pani Roosevelt. A tera opowiem panom, jak było w Barcelonie...

Latający reporter podniósł kciuk w górę na znak uznani i cmoknął :

— T a k i kongres eucharystyczny ! Fan-tas-tycz-ne !

Niestety, za szybkami pokazał się duży kamienny orz z wianuszkiem w szponach. Trzeba było się żegnać i wysiada

Budnik wskazał laską na pusty wianuszek :

— He-he, wydłubali swastykę, to dobrze !

Komitet organizacyjny międzynarodowego zjazdu chrześc jańsko-demokratycznych działaczy europejskich, na który przy bywali, także okazał delikatność : z początku wynajęto na obra dy salę teatrzyku ,,Minerwa'' przy *Dachauerstrasse,* ale na wia domość, że w zjeździe wezmą udział delegaci polscy, subteln dr Martini polecił zmianę ulicy na lepiej brzmiącą. Nie było t bynajmniej łatwe. Właśnie obchodzono tradycyjny ,,Oktober fest'' i wszystkie sale były zajęte przez hałaśliwe grupy regiona ne, które zjechały z różnych stron : Meran, Bolzano, Innsbruck Linz, Winterthur. Samych orkiestr dętych przybyło do miast kilkadziesiąt, a na przedmieściu, jak donosiły plakaty, czekał na przybyszów nie byle jakie atrakcje : maraton tańca, kobiec zapasy, estrada młodych talentów, wybór królowej chmielu a nawet sztuczna Niagara w miniaturze, coś dla zamorskich żołnierzy.

Słowem — miasto, chociaż diecezjalne, bardziej myślał o rozrywce niż o odrodzeniu moralnym poprzez kongresy, i gd urzędnicy dr Martiniego przewozili z Dachauerstrasse do kin ,,Orinoco'' transparent z napisem : ,,Adveniat regnum tuum'' nad starymi kamienicami unosił się beztroski śmiech młodych góralek, zapach piwa i przyjemne skwierczenie wieprzowych kiełbasek na ruszcie. Największym powodzeniem cieszyła si tutaj od pokoleń ,,die polnische Wurst'' ; stąd też teoria, zbu dowana przez Budnika, że ta tłusta, smaczna, w ustach rozpły wająca się kiełbasa wyrządza nam w historii niedźwiedzią przy sługę : zachęca żarłoków do marszu na wschód.

Goście z Londynu przyfrunęli do Monachium na godzin przed otwarciem zjazdu. Umyślnie. Nie chcieli przyjeżdża wcześniej, aby nie narażać się na niepotrzebne rozmowy. Już t Budnik, wbrew temu, co o nim mówiono w emigracyjnych ka fejkach w Londynie i w Paryżu, był szermierzem roztropnym

Przemówienie powitalne w ,,Orinoco'' wygłosił pewien głu chawy, ale jeszcze całkiem rześki profesor. Był to dość częst spotykany typ profesora-polityka, któremu się nie szczęści an w nauce ani w polityce, ale który doskonale nadaje się na prze wodniczącego każdego zjazdu. Nazwiska Ambroży nie dosłyszał gdyż siedzący obok niego student z Cork na głos zajadał się ka napkami z szynką, i co ugryzł kąsek, resztę owijał w chrzęszczą cą bibułkę. Ponieważ brodacz mówił kiepsko po angielsku, p francusku i po niemiecku, w pierwszej chwili myślano, że t

Polak. Dopiero potem okazało się, że był to Włoch, sympatyk De Gasperiego.

Z innych osobistości na kongresie na uwagę zasługiwała uśmiechnięta, siwiutka Irlandka, którą ze względu na długie rozpuszczone włosy, nazywano ,,Lady Godiva''. Staruszeczka była sekretarką ,,Ruchu Dobrej Woli''. Czuwała nad każdym drobiazgiem, niczym dobry burmistrz w miasteczku. Tak jak burmistrzowi wydaje się, że z jego chorobą lub urlopem ustaje życie w miasteczku, podobnie i ,,Lady Godiva'' miewała złe przeczucia, że bez jej przemówień i artykułów mogłoby zabraknąć w Europie chrześcijaństwa i demokracji. Pracowita Irlandka jednocześnie przygotowywała referat o roli kobiety w Europie, robiła korektę ,,Irish Messenger'', gdzie prowadziła skrzynkę porad, konferowała z delegatem Portugalii na temat rezolucji przeciwko regulacji urodzin i odpowiadała na listy czytelników.

— Kiedy przypada dzień św. Donalda ? — dopytywała się jedna z czytelniczek. — ,,Lady Godiva'', nie przerywając rozmowy z Portugalczykiem, napisała na odwrocie listu : ,,Święty Donald, droga pani, żył w Szkocji, w VIII wieku. Na patrona się nie nadaje. Był żonaty i miał dziewięć córek. Uroczystość jego przypada na 15 lipca''. W czasie przemówienia inauguracyjnego pracowita Irlandka zdążyła odpowiedzieć jeszcze na pocztówkę pewnego jarzyniarza z Belfastu, który prosił o adres klasztoru w Los Angeles, do którego wstąpiła aktorka Juanita Quigley i o szybką wiadomość, czy rzeczywiście istnieje piekło.

Delegacja polska, w której skład wchodzili wspomniani już trzej emigranci z Londynu : prezes chrześcijańskiego związku zawodowego ,,Concordia'' Budnik, rejent z Kalisza Matecki i Ambroży (bez zawodu), przybywszy do Monachium w charakterze ,,nieoficjalnych obserwatorów'', rozmyślnie usiadła nie na wskazanych miejscach, ale na bocznej ławce. Było z tego powodu sporo zamieszania. Dr Martini w drukowanym prospekcie zjazdu, jak się pokazało, samowolnie umieścił słowo ,,reprezentanci'' zamiast ,,obserwatorzy'' i gdyby nie fakt, że nasi delegaci, przepraszam : nasi obserwatorzy, już wylądowali nad brzegami rączej Izary, kto wie czy by w ogóle przyjechali. Ale stało się.

Dla uspokojenia opinii publicznej na emigracji, która nie lubi niewyraźnych sytuacji politycznych, Budnik z Mateckim wysłali oświadczenie do gazet, które zresztą niektóre redakcje po swojemu przeredagowały. Autentyczny tekst tego dokumentu, który, na szczęście, wpadł nam w ręce, stwierdzał ponad wszelką wątpliwość, że obydwaj turyści nikogo, poza własnymi osobami, nie reprezentują, pojechali na koszt własny, prywatnie, co ostatecznie każdemu wolno. Po wtóre : nasze położenie geopolityczne. Po trzecie : pojęcie odwiecznego wroga w polityce nie istnieje. Po czwarte : nic o nas bez nas, nieobecni się nie liczą, i, miejmy na Jowisza, więcej zaufania do samych siebie ; dlaczego zaraz zakładać, że każdy rekonesans na gruncie międzynarodowym zakończy się Piławcami ; mniej fataliz-

mu, więcej wiary we własne siły, i tak dalej, aż do słów: ,,Ze chce Pan, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy prawdziwego sza cunku".

Ambroży żadnego oświadczenia nie składał: rzecz go ni interesowała, polityką się nie zajmował. Dlaczego nie miał je chać? Był Europejczykiem, demokratą i chrześcijaninem w jed nej osobie, i to w znacznie większym stopniu, niż taki Budnik który twierdził przed wojną, że ,,demokracja się przeżyła", cz taki Matecki, którego matka była z domu Silber i nosiła peru kę. Nadarzała się niecodzienna sposobność obejrzenia Alp ba warskich i wciągnięcia w płuca górskiego powietrza; ile t cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto sześć lat życia spędz w sąsiedztwie brudnego dworca ,,Victoria" w zamglonym, po nurym Londynie; zresztą — ,,Concordia" płaciła za bilet.

Budnik i Matecki nie zabierali głosu na plenum. Gdy d Martini otwierał dyskusję, wykradali się do bufetu. Zaglądal jednak na posiedzenia komisji zjazdowych. Było ich kilka: ku tura, prasa, radio i telewizja, młodzież, kobiety, robotnicy, Eu ropa Jutra. Nawiązali znajomości z delegatami Belgii, Hiszpa nii, Włoch i Irlandii. Nie gardzili małym Luksemburgiem. Roz dali kilkadziesiąt broszurek propagandowych o tysiącletnie łączności naszego kraju z Zachodem (,,Polacy za głośno pod kreślają ten związek — powiedział dr Martini do swej sekre tarki. — Czyżby sami mieli wątpliwości?").

Natomiast Ambroży, który nudził się jak mops, urywał si z sali i wolał włóczyć się po mieście, niż wysłuchiwać refera tów i dyskusji. Zajadał się w kramikach parówkami z musz tardą i spijał słynnego monachijskiego ,,Salvatora". Czas pły nął przyjemnie, dopiero trzeciego dnia pokazały się chmury na horyzoncie: delegaci niemieccy urządzili dla uczestników kon gresu bankiet w ,,Reginie".

Obserwatorzy z polskiego Londynu, ku zdziwieniu Cze chów i Węgrów, zaproszenia nie przyjęli. Patronujący zjazdow Amerykanie, (którzy płacą cierpliwie za wszystkie zjazdy i kon gresy, odbywające się od Formozy po Islandię i od Porto Ric po Monachium), nie ukrywali swego niezadowolenia. Dr Mar tini, znany przyjaciel Polaków, wręcz oświadczył Budnikowi że trudno będzie zjednoczyć stary kontynent, jeśli się nie zasto suje zasady: ,,Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr". Roz piął nawet smokingową koszulę i pokazał Budnikowi bliznę n owłosionej piersi:

— W roku 1944 drasnęła mnie niemiecka kula w Arden nach! — zawołał. — A dzisiaj, proszę panów, jestem żonat z Niemką!

Stropieni obserwatorzy nic na to nie odpowiedzieli, bo i c mieli odpowiedzieć. Odkąd prasa doniosła, że ,,fabrykan z Oświęcimia", Alfred Krupp, za skonfiskowane majątki m otrzymać odszkodowanie, które uczyni z niego jednego z na bogatszych ludzi w Europie, nie było się już o co spierać. Na wet ulica niemiecka przyjęła wiadomość o Kruppie wybuchan

szyderczego śmiechu, a robotnicy szemrali, że to jedno z najskuteczniejszych prosowieckich posunięć Zachodu w czasie tak zwanej zimnej wojny.

Matecki otworzył usta, by zrobić Martiniemu krótki wykład, gdy wpadła do pokoju pachnąca sekretarka i oznajmiła, że zbliża się biskup.

Dr Martini szybko zapiął smokingową koszulę na perłowe guziczki i powiedział, że jeszcze wróci do tematu, a sekretarka dała znak czerwonymi paznokietkami, aby się już oddalili.

— Wojnę niemiecko-francuską 1870-1 wygrał wioskowy nauczyciel, — mruknął Budnik, — zdruzgotanemu państwu niemieckiemu przywróciła suwerenność zatrudniona u Amerykanów sekretarka niemiecka.

— Spokojnie, prezesie, spokojnie — szepnął Matecki na schodach. — Oni się dopiero uczą. Młody naród. Gdy nad Hudsonem królował dziki zwierz, myśmy już mieli Unię Horodelską. Zanim Martini został przysłany do Europy z rejonu Pacyfiku, prowadził biuro prasowe ,,Help Save America's Cats Committee''.

Ale Budnik wyraźnie się zawziął na sekretarkę Martiniego. Przygryzał mięsiste wargi i perorował :

— Żyjemy w strasznej epoce. Już pajdokracja byłaby lepsza, niż pindokracja. Byłem wczoraj w amerykańskim konsulacie. Proszę pana ! Pół tysiąca pokoi i pół tysiąca pachnących sekretarek. Labirynt korytarzy, lśniące linoleum, w poczekalni stu nieboraków czeka na wizy, niczym Żydzi na pustyni na mannę. Przeważnie rodziny z małymi dziećmi. Dzieci, które czekanie znoszą gorzej od batów, wprost konały z nudów. Na stole leżały numery ,,Life'a'' sprzed paru laty. Petenci wyglądali jak zmarli : zamknięte oczy, zaostrzone rysy, podbródki na piersiach, ręce splecione na brzuchu. Ba ! Nawet trupie światło sączyło się przez chmurę papierosowego dymu. Na korytarzach snuły się pielęgniarki w kitlach i sekretarki z aktami. Był to widok dziwnie ponury, szpitalniany smutek unosił się nad tą czystą, pokostem pachnącą budowlą. Proszę pana ! Czas powiedzieć światu prawdę, że losem człowieka nie kieruje Opatrzność ani ślepy przypadek ani mądrość monarchów, tylko dobry albo zły humor sekretarki. Wszystko, co ziemskie, zależy od jej małych, zwinnych a wypielęgnowanych rąk. Sekretarka może zgubić papierek albo wsunąć go do teczki, która spoczywa w szafie na dolnej półce. Sekretarka może ten sam papierek podsunąć wicekonsulowi do podpisu ,,poza kolejką''. To nie żarty : losy Ameryki, a zatem i naszej nieszczęśliwej ojczyzny, spoczywają w tych małych wypielęgnowanych rękach niemieckiej sekretarki. W bulwarowych farsach francuskich ministerstwem rządził portier, trwalszy ponad zmiany gabinetów. Była to szczęśliwa epoka : portiera można było sobie zjednać napiwkiem. Sekretarki nie przekupisz nawet miłością.

— E, panie prezesie ! — Matecki nie lubił wysłuchiwać cudzych monologów. — Przesada !

— Nic podobnego! Gdy sekretarka wchodzi do poczekalni, zmarli budzą się ze snu: wstają z przymilnym, psim uśmiechem i kłaniają się w pas. Sekretarka nosi cygańskie kolczyki i brzękadełka, czarne pantofle na przesadnie wysokich obcasach i sweterek angora, bardzo szczelnie wypełniony piersiami. O, widywało się już takie „Blond-bestie", widywało! W męskich marynarkach, w długich wojskowych butach, w kancelariach sędziego śledczego, w siedzibie miłośników Ost-Europy z Alei Szucha! Niewiele się zmieniło na świecie, poza tym drobiazgiem, że dzisiaj kto inny przywozi tym pannom perfumy z Paryża. W modnej operze amerykańskiego Włocha sekretarka pokazana jest jako bezduszna maszynka. Tutaj jest żywym, przewrotnym zwierzątkiem. — „To mnie nic a nic nie obchodzi! — mówi do petentów. — Konsul mógł wam wiele przyrzec, ale *mnie* o tym nie powiadomił. Poczekajcie, aż *zwrócimy* się do Waszyngtonu po wyjaśnienie". A potem jednym wstrząśnięciem głowy poprawia grzywkę na czole, zakołysze opiętymi biodrami raz i drugi, póty się nie wykołysze z plikiem formularzy na zadartych piersiach. Rzucając w sweterku biustem na lewo i na prawo, odpływa korytarzem, cała odbita w lustrzanym linoleum...

Mateckiemu przyszło na myśl, że patriotyzm Budnika posiada niezdrowe podłoże seksualne. Zgasił papierosa i westchnął.

Tak więc, zamiast na bankiet przyjaźni do „Reginy", goście z Londynu poszli się rozerwać we własnym kółku do „Banana", lokalu bardziej „alianckiego". Ale i tutaj nie byli szczęśliwi.

W przerwach między popisami bawarskiej kapeli grała elektryczna szafa w kącie. Gdziekolwiek stąpnie żołnierz amerykański, w ślad za nim jedzie elektryczna szafa. Gdy kończyła się muzyka z szafy, na estradce pojawiał się człowieczek w białym ubraniu i ze zmrużonymi oczami śpiewał do mikrofonu. Głos jego ginął w ogólnej wrzawie. Po każdej piosence zdesperowany refrenista prosił o ciszę, ale nie zwracano na niego najmniejszej uwagi.

Ambroży rozejrzał się po spelunce. Budnik i Matecki nudzili go piekielnie. Zwłaszcza Budnik, który tutaj, w przydworcowym bajzelku dla żołnierzy, jął się zastanawiać, czy w przyszłej Polsce należy wprowadzić system dwu — czy wielopartyjny. Na dancingowym grzybku, w kłębach dymu i kurzu, snuło się kilka par w takt sennej melodii. Powietrze było kwaśne od piwa. Nadto unosił się ostry zapach pasty do butów. Przy sąsiednim stole, oparty czołem o ceratę, spał młody żołnierz amerykański. Brzydka, otyła Fraeulein o twarzy topielicy gładziła go po włosach. Kilkunastoletni wyrostek, prawdopodobnie jej brat, wyjmował śpiącemu papierosy z pudełka i podpijał piwo.

Na ścianie wisiał plakacik w dwóch językach, który donosił, że tak zwane ,,taxi-girls'' czyli tancerki do wynajęcia, kosztują pół dolara albo dwie marki za trzy tańce, przy dzierżawie na godziny jest zniżka. Punkt drugi tego obwieszczenia upominał klientelę : ,,Pamiętaj, że taxi-girls są damami i należy im okazywać grzeczność''. Punkt ostatni osłabiał wiarę w prawdomówność tej definicji nowym upomnieniem : ,,Pamiętaj, że przed trzecią nie wolno taxi-girls zabierać z lokalu do domu''.

Dziewczęta przyrównane do taksówek siedziały równiutko pod ścianą w kolorowych bluzkach, z kwiatami we włosach, znudzone i cierpiące, jak w poczekalni u dentysty. Przez chwilę Ambrożemu wydawało się, że jedna z nich robi na drutach.

— Nie wybierać ! — pokrzykiwał na dwóch Murzynów grubas w skórzanych, tyrolskich portkach. — Po porządku, tak jak siedzą !

Wywoływane do tańca, wstawały ociężale, a w ich zarzucaniu nagich ramion na kołnierze mundurów było coś z podnoszenia rąk ludzi idących do niewoli. Budnik i Matecki z kolei mówili o granicach re-prywatyzacji w powojennej ojczyźnie. Pod wpływem alkoholu Ambrożemu robiło się żal fordancerek.

— Łobodowski — pomyślał — poświęcił kilka pięknych wierszy koniom, zabitym na wojnie. Powinien ktoś napisać poemat na cześć monachijskich weteranek miłości. Bawarskie jerychonki są w naszej epoce takim samym anachronizmem, jak kawaleria szarżująca na czołgi. Stolica pobożnej Bawarii może się poszczycić najstarszymi prostytutkami na świecie. Trudno się oprzeć podejrzeniu, że niektóre z nich pamiętają dobre czasy króla-marzyciela, Ludwika Drugiego, i owe lustrzane karety, którymi brodacze w pelerynach śpieszyli z żonami na prapremiery Wagnera. Niezmożona przez pokolenia wytrwałość jest w tych ulicznych patrolach siwowłosych przygarbionych emerytek, które pod niebem słodkiej Galii miałyby w tym wieku kamieniczkę z ogródkiem na prowincji i własną ławkę w kościele, a w Anglii, dla wszystkich sprawiedliwej, może nawet mały pensjonat w Brighton ; tutaj zaś straszą żołnierzy pośród ruin...

Ambroży ziewnął i spojrzał na swój gruby, staroświecki zegarek. Jeszcze nie było jedenastej, a już ogarniała go senność. Monolog Budnika o gospodarce uspołecznionej działał jak brom.

— A cóż to za antyk ! — posłyszał dyszkant Mateckiego. — Na łańcuchu ! Dziwna cebula ! A ileż on ma kopert ? Złoto ?

— Złoto. W środku jest medalion. Pamiątka sprzed potopu.

— Dama serca ? Widoczek z kraju ?

— Nie. To mój ojciec.

Ambroży nacisnął zegarek z boku. Ukazała się twarz od dołu obramowana sztywnym kołnierzykiem i fontaziem, od góry — czubem czarnych włosów. Wesołe, lekkomyślne oczy, zmarszczki od śmiechu, krótki zadarty nos, złoty ząb pod mio-

tełką wąsów, dziurka w brodzie. Jeszcze tylko brakowało białego szalika na wietrze i kłębów ostrej jak karbol wody kolońskiej, i uszy na fotografii nie były czerwone, jak w rzeczywistości, i głos się nie wydobywał z medalionu, głos niełatwy do zapomnienia, metal w gardle.

— Młoda twarz — westchnął Matecki. — Myśl, że nasi rodzice byli kiedyś w naszym wieku, jest raczej deprymująca. Wieje od niej śmiercią.

Refrenista skończył śpiewać i skłonił się nisko. Czekał na oklaski, jak chory na lekarstwo.

— Nikt nie klaszcze. Poklaszczmy biedakowi — zaproponował Ambroży.

Zaczęli w trzech bić brawo. Po jakimś czasie, z ociąganiem się, dołączyła reszta publiczności.

Wdzięczny śpiewak podszedł po występie do stolika i przedstawił się. Okazało się, że był to rodak, niejaki Kordula.

— Polak w tingel-tanglu? — Budnik patrzył na człowieka w białym ubraniu z wyraźnym niesmakiem. — A cóż to? Nie mogliście już sobie lepszego zajęcia wynaleźć?

Kordula rozłożył bezradnie ręce na znak, że on temu nie winien, tylko niesprzyjające okoliczności, a właściwie ostatnia wojna.

— Gorzej, panowie — westchnął, — że stary chce mnie stąd wysiudać. Nie podoba mu się mój głos.

— Już to głosu pan nie masz — powiedział Matecki.

— Co robić? Każdy jeden chce żyć.

— Zaraz panu pomogę — roześmiał się Ambroży, któremu po czwartym kieliszku nadmiar inicjatywy nie pozwalał usiedzieć na stołku. — Podziwiajcie!

Ruszył w stronę grubasa w skórzanych spodniach.

— Nawet pan nie przeczuwa — powiedział do gospodarza po angielsku — jaki talent z Bożej łaski śpiewa w pańskim lokalu. Obawiam się, że ten refrenista tutaj się marnuje. Niech pan uważa. Mam ochotę zdmuchnąć go panu do londyńskiej operetki.

Grubas spoglądał nieufnie.

— Naprawdę dobrze śpiewa?

— Ma swój własny styl, niczym Charles Trenet w Paryżu!

— Co tam styl! Schorowany jest, nut nie czyta...

— Nic nie szkodzi. Słuch jest najważniejszy.

— Ale głos? Czy nie przepity?

— Znakomity! Jedyny w swoim rodzaju!

Budnik i Matecki, ubłagani przez Ambrożego, oświadczyli dyrektorowi bajzelka to samo:

— Gratulacje z powodu Korduli!

— *Kordula is excellent!*

— *There is no substitute for Kordula!*

— *Kordula — ganz gross!*

— Więcej Korduli!

Grubas przyrzekł, że od jutra będzie więcej Korduli w programie.

Budnik wrócił do stolika z pretensjami :

— Ambroży zawsze nas ubiera w swoje sztubackie kabały.

— Nie widzę w tym nic zabawnego — przywtórzył Matecki. — Protegować Polaka u szwabskiego tryglodyty, i to jeszcze w takiej Sodomie i Gomorze, wstyd !

Ambroży spojrzał na Kaliszanina z niechęcią. Jak na homoseksualistę i to żydowskiego pochodzenia, wydawał mu się zbyt nudny i tępy.

A Kordula promieniał :

— Panowie, jak ja się wam wywdzięczę ?

— Niech pan zmieni zajęcie, to będzie najlepsze — mruczał Budnik.

— Kiedy ja nic nie umiem, a nie mam zdrowia do łopaty.

— Jak pan się tutaj dostał ?

— Córka mnie wkręciła. Gdyby nie ona...

— Córka ?

— Ta panna w niebieskim swetrze, która siedzi pod ścianą z amerykańskim lotnikiem.

— Taxi-girl ?

— Może panowie chcą ją poznać ? Tylko że ona słabo mówi po polsku.

— To już może kiedy indziej, panie Kordula. — Budnik i Matecki poczęli się żegnać. — A ty, Ambroży, jak uważasz. Nie krępuj się. Zostań tu jeszcze ze swoim nowym przyjacielem.

Ambroży został. Szumiało mu w głowie. Człowieczek w białym ubraniu wcale mu nie ciążył.

— Napijmy się, panie Kordula !

— Nie często się zdarza taka okazja. Pańskie zdróweczko, panie... Pardon, nie dosłyszałem w tym hałasie...

— Świątkowski. Ambroży Świątkowski.

— Znałem jednego Świątkowskiego...

— Bo Świątkowskich, mój Kordulo, jak gwiazd na niebie.

— Zdaje mi się, że tamten Świątkowski był do pana podobny...

— Być może... A więc pan, panie Kordułka, jesteś alfonsem, czy tak ?

— Nie, jestem dobrym Polakiem.

— A ta córeczka ? Dobra Polka, he ?

— My wiele przecierpieli...

— Wszyscy my cierpieli, mój Kordułko. Pod tę martyrologię !

— Nasze kawalerskie, panie redaktorze !

— Nie jestem redaktorem, przyjacielu. A cóżeś ty za wyrodny ojciec, córkę oddałeś do takiego anstaltu !

— To biedne dziecko. Ofiara wojny.

— Blagujesz, Kordułek.

— Smutna historia. Miała dwanaście lat, wywieźli ją do

Niemiec „na rasę". Słyszał pan pewnie o czymś takim. Zma nowali dziecuszko. Biedna Brigidka !

Ambroży spojrzał w stronę „taxi-girls".

— Ta z grzywką ? W gumowych pantoflach ?

Dziewczyna cebulastymi oczami patrzyła w wentylator, p dobna do sklepowego manekinu. Lotnik miał włosy rozsypan po twarzy, gestykulował kuflem w takt grającej szafy.

— Daj Boże, żeby wyszła za Amerykanina.

— Daj Boże — westchnął Ambroży. — Smutne to życi mój Kordyłło, smutne aż do śmierci. Wasze zdrowie !

— Oj, smutne, panie redaktorze. Ale w czasie wojny b ło jeszcze smutniej, i jakoś się przeżyło.

— Siedziałeś, kochanku ?

— Siedziałem, i to długo.

— Za ojczyznę ?

— Trochę za ojczyznę, trochę za handelek.

— Dachau ? Mautthausen ?

— Buchenwald.

— W Buchenwaldzie był mój ojciec.

Kordula wstał od stolika i wlepił zaczerwienione od dym oczy w Ambrożego.

— Też ja patrzę i patrzę, i jakbym starego Świątka w dział przed sobą ! A to młody pan Świątkowski ! Że też od r zu nie poznałem ! Toż ja z pańskim biednym tatusiem na ty samym bloku, co ja mówię : na tej samej pryczy... Mój Boż syn starego Świątkowskiego ! Jaki podobny do ojca !

Ambroży odsunął kieliszek i zaczął nerwowo drzeć tekt rową podkładkę od kufla.

— Był pan ? Razem ? Z moim ojcem ?

— Ależ tak ! Pamiętam pańskiego ojca doskonale. Taki ludzi się nie zapomina. To był człowiek !

— Pamięta go pan ?

— Czy go pamiętam ? Byłem z nim przez dwa lata razem Zawsze był pogodny, uśmiechnięty, dla wszystkich grzeczn i uczynny. Nawet do rzezimieszków mówił „Proszę pana". A t kim w obozie najgorzej się wiedzie, wstydzą się kraść, a t klęska. Po mojemu, panie, trzeba w nieszczęściu łokciami. D że ryby zjadają małe ryby, jak w przyrodzie.

— Nieźle cię, Kordula, w tym obozie wyedukowali.

— A nieźle. A pański tatuś — mówiłem mu to nie r — był za łagodny i za uczciwy, i to go zgubiło.

Ambroży przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki :

— Każdy taki jest, jaki jest. Powiedz mi pan lepiej, j umarł. Czy się męczył ?

— Po co o tym mówić ? Czy to nie wszystko jedno j człowiek umiera ? Umiera się, i już. I tak umrzeć trzeba, pr dzej czy później.

— Matce pisali o „chorobie serca". Jak było naprawdę

— Ach, panie ! Nie powinniśmy o takich rzeczach mówi — Refrenista rozejrzał się po lokalu, pokiwał córce ręką. -

Wolałbym za wiele nie mówić, bo i po co? Dawne, przykre dzieje. Nie warto do tego wracać.

— Człowieku ! — zawołał z irytacją Świątkowski. — Jest pan jednym z tych, którzy byli z moim ojcem razem ! Pan mi musi wszystko opowiedzieć !

Kordula zniżył głos :

— Mówmy, na Boga, ciszej. Jest tu kelner z Bytomia, który rozumie po polsku. Po co ma słyszeć? Gotów donieść szefowi, że bawię gości rozmową o Buchenwaldzie, a szef i tak krzywo na mnie patrzy. Ho, ho ! Niech się jeszcze dowie, że byłem w kacecie, a umarł w butach. To jest przykre, ja wiem, ale pan rozumie : strzeżonego Pan Bóg strzeże. A jeśli panu jeszcze powiem, że uchodzę tutaj za Niemca sudeckiego...

Ambroży skrzywił się, a człowieczek rozłożył ręce :

— Trudno. Kto chce żyć, musi kombinować. Oni mają tylu własnych bezrobotnych. Gdzie ja znajdę taką lekką pracę? Ja już swoją nauczkę w życiu dostałem i drugiej nie chcę. Pan zna wschodnie przysłowie : ,,Całuje się kamień, gdy go rozgryźć nie można''. Kamień twardy, ja — miękki, całuję, i jakoś się wegetuje.

Tymczasem z elektrycznej szafy zaczęło prażyć piekielne boogie-woogie. W publiczność wstąpił nowy duch. Zaspane taxi-girls odklejały się od ściany, pijani podnosili głowy znad ceraty. Z nieoświetlonego kąta wyłaziły dziewczęta w pośpiechu zapinające bluzki. Żołnierze, jęci drgawkami, jedną ręką puszczali swe partnerki w ruch, niczym podciętego bąka, a drugą chwytali je po dokonanym obrocie i energicznie przyciągali ku sobie. Obfite piersi Bawarek z trudem nadążały za resztą ciała i jakby goniły się wokół tancerek. Pryskały kwiaty ze zmąconych fryzur. Lotnik puszczał Brigidkę z grzywką w istny korkociąg, odsłaniając jej za każdym młynkiem kuse pończochy aż po podwiązki. Elektryczna szafa, gorejąca muzyką, łyskająca ślepiami kolorowych żarówek, niemal podskakiwała na podłodze, jak żywe zwierzę. Murzyni powchodzili na krzesła i klaszcząc kolebali się w biodrach.

— Najlepiej to bawić się tak, jak oni — westchnął Kordula. — Kieliszek nietknięty, panie Świątkowski. Szkoda zostawiać, jeszcze ten kelner z Bytomia wychleje.

— Wypij pan ze mnie, i chodźmy już stąd !

Wziął Kordulę pod rękę i popychał go ku wyjściu. Ocierał się o spoconych, rozkrzyczanych mężczyzn i rozpiszczane kobiety, wzdłuż zalanych piwem stołów i ławek. W korytarzu przecisnęli się między żandarmami w białych hełmach, którzy szamotali się z żołnierzami bez przepustek. Wyminęli pijanego Murzyna całującego własną twarz w lustrze, i wyszli na ulicę. Na wilgotnym bruku odbijały się neony, pod ścianami snuły się stare grzesznice, czmychały jeepy, gwizdał na zakręcie nocny tramwaj, miasto jeszcze nie spało.

Doszli do pustego skwerku i usiedli na ławce.

— Błagam cię, mów o moim ojcu !

Kordula wzdychał, skarżył się na zimno, chuchał w małe sine rączki, wreszcie zaczął mówić:

— Nie wiele jest do opowiedzenia. Siedział z nami w obozie jeden Słowak, nieciekawy typek. Już mi wyleciało z pamięci, jak się nazywał, ot — taki druciarz. Pewnego razu namówił pańskiego ojca, by mu przyniósł garść kartofli z kartoflarni. Sam się, łobuz, bał, bo wyszedł właśnie zakaz zbliżania się do kuchni. Ojciec pana o tym nie wiedział, a tamten, ma się rozumieć, nic nie mówił. Szkoda, że mnie przy tej rozmowie nie było, spławiłbym młokosa raz-dwa. Ale ojciec pana, przepraszam, że to mówię, był nieżyciowy i naiwny, i o co go kto poprosił, to on zaraz to robił. Więc poszedł po te kartofle...

— Kiedy to było?

— W jakimś listopadzie 43-go...

— Mów dalej...

— Poszedł biedak po te kartofle. Skrobacze go nawet lubili. Toteż udało mu się wynieść garść kartofli z kuchni, i już je niósł temu łobuzowi, gdy nagle nadszedł Lorenz z ogrodową łopatą...

— Strażnik?

— Tak, strażnik. Diabeł w ludzkim ciele. Postrach całego obozu. Ojciec się przeraził, rozsypał kartofle. Nachylił się, by je pozbierać... Przykro mi, że do syna o tym mówię...

— Mów!

— Lorenz wziął łopatę tak jak się bierze siekierę do rąbania drzewa, obrócił ją na kant. Zaczął pańskiego ojca bić ostrzem po głowie. Ojciec upadł na plecy i strasznie krzyczał, a tamten bił go i bił, ale nie mógł go szybko zabić. Więc pobiegł na wartownię, wrócił z automatem i wystrzelił mu całą serię w twarz... Dopiero wtedy było po wszystkim... Ale po co ja panu o tym mówię...

Ambroży wstał z ławki i zatoczył się na nogach. Chwyciły go mdłości. Czerwony, nabrzmiały z wysiłku, oparł się spoconym czołem o pień najbliższego drzewa i jęczał ze łzami w oczach:

— O Jezu, Jezu! Pić nie mogę na pusty żołądek, psia krew! Jakbym się gwoździ nałykał! Koniak mi szkodzi! Brrr... A co się stało z tym łotrem?

— Diabeł go wie. Pewnie go ktoś zakatrupił po oswobodzeniu. Muszę już wracać pod „Banana". Stary nie lubi, jeśli się wychodzi przed zamknięciem lokalu. Odprowadziłbym pana, ale zimno już na dworze bez zimowego palta...

Ambroży namacał palcami dwie setki w kieszeni i wcisnął je refreniście w rękę.

— Zmykaj już, Kordula! Wszystkiego dobrego! Może i wam będzie kiedyś lepiej!

— Bóg zapłać, kochany panie, za dobre serce! Ale nam już nigdy nie będzie lepiej. Będzie coraz gorzej.

Kordula zaśmiał się krótkim, hałaśliwym śmiechem, pokiwał małą rączką i zniknął na zakręcie.

Świątkowski wrócił do hotelu.

Starał się myśleć o czymś obojętnym, o tym jak wyglądał profesor otwierający kongres, o przygodzie latającego reportera we Wiedniu, o rezolucji Portugalczyków, ale spod każdego obrazu, który rwał się i rozpływał jak smuga dymu, przebijał widok człowieka leżącego w kałuży. Z całym natężeniem woli próbował przypomnieć sobie, jak wygląda wnętrze kina „Orinoco". Już widział rzędy krzeseł, napis „Adveniat regnum tuum", smoking dr Martiniego, uśmiechniętą Irlandkę, żuchwy studenta powoli miażdżące bułkę z szynką, gdy znowu pękało szkło w obrazie i pokazywał się ostry szpadel nad siwą głową i garść rozsypanych kartofli...

Broniąc się przed tym obrazem, spostrzegł na stole kopertę z napisem „Confidential". Uchwycił się listu jak ratunkowego koła, cały pogrążył się w lekturze. Dr Martini pisał kaligraficznie zielonym atramentem :

„Drogi Panie, z zadowoleniem spostrzegłem, że w czasie dzisiejszej wizyty Mr Budnika i Mr Mateckiego, którzy przyszli, by odrzucić zaproszenie na bankiet, zorganizowany przez tutejszych działaczy europejskich, nie było trzeciego delegata, to jest Pana. Nieobecność ta napawa mnie nadzieją, że nie wszyscy członkowie delegacji polskiej stoją na gruncie niekompletnej współpracy europejskiej"...

Młody Świątkowski z najwyższym wysiłkiem skupiał uwagę na treści listu. Wpatrywał się w równe, zielone pismo z rosnącym niepokojem. Czuł, że nie uśpi własnej pamięci.

Dr Martini pisał dalej, że ludzie młodzi, zdolni, pozbawieni tych przesądów i obciążeń, jakie cechują starsze pokolenie, pokolenie wychowane w duchu szowinizmu narodowego, najlepiej się nadają do objęcia stanowisk w agencji prasowej, którą zjazd powoła do życia w ostatnim dniu obrad. Współpracę przyrzekli już Monsieur Gérard ze Strasburga i Herr Krauze z Heidelbergu.

Z kolei Ambroży zadał sobie ćwiczenie : musi powtórzyć treść tego fragmentu listu !

— Będzie agencja dla ludzi nieuprzedzonych ! — powiedział głośno. — Powoła ją do życia zjazd chrześcijańskich Europejczyków ! — W tej samej chwili szybko, rozpaczliwie wrócił do listu. Obraz, którego się obawiał, już nadciągał z daleka... Zaczynało się od błysku szpadla w słońcu...

List kończył się konkretną propozycją : „Proszę skomunikować się ze mną „as soon as possible". Załączam do wglądu tabelę płac w projektowanej agencji. Cyfra, zakreślona czerwonym ołówkiem, dotyczy Pana..."

Ambroży odwrócił głowę od listu, aby sobie jak najprędzej przypomnieć uśmiechniętą twarz „Lady Godiva" i okrągły, wspaniale wygolony podbródek dr Martiniego, miarowo stukający w krawat przy każdym „yes — yes — yes"... Zamknął

oczy, rękami odpychał natrętny błysk szpadla od siebie, powtarzał na pamięć cyfrę w czerwonym otoku i ostatnie zdanie listu:

— *„I may add that I am looking forward to joining hands with you in pressing forward the work of the Christian Movement"!...*

— *...of the Christian Movement !* — krzyknął histerycznie, ale obraz już nie schodził sprzed oczu. Nie było ucieczki od własnej wyobraźni i od słów Korduli !

Ujrzał przed sobą siwą, do skóry ostrzyżoną czaszkę, posiekaną ostrym szpadlem. Widział palce kurczowo wbite w rozmokłą glinę i garść skrwawionych kartofli, wdeptanych w kałużę. Z głębi oczodołów patrzyły nań oczy osaczonego ojca, dziko rozszerzone z przerażenia. Między ostrymi błyskami szpadla pokazywały się usta rozdarte, w zwierzęcym krzyku wykrzywione, i nagie łokcie, którymi oszalały z bólu więzień próbował zasłonić głowę przed ciosami. Widział twarz zniekształconą, całą we krwi i w błocie, z małpim grymasem śmierci...

Za oknem hotelu do późnej nocy hałasowali pijani górale. Wśród ruin przeciągał ze śpiewem i pochodniami pochód przebranych studentów. Nowoobraną „królową chmielu" obnoszono w lektyce. Noc rozjaśniały reflektory i pęki rakiet.

Ambroży patrzył w okno i czuł jak się zanurza coraz głębiej w studni piekącej, bezsilnej nienawiści. Szlam nienawiści podpłynął mu pod serce, zalewał mózg, oczy, uszy i gardło. Nie mógł patrzeć na to miasto. Nie mógł myśleć spokojnie. Czuł się zatruty nienawiścią do nieludzkiego kraju i jego mieszkańców. Postanowił uciec z samego rana. Uciec z przeklętej ziemi ! Nie oglądać jej więcej na oczy ! Na zawsze wykreślić ją z pamięci !

Ale nazajutrz z Niemiec nie wyjechał. Wpłynęła na to nieoczekiwana wizyta córki Korduli, „taxi-girl" w niebieskim swetrze i w gumowych pantoflach. Weszła do pokoju i położyła zniszczoną ceratową torebkę na kaloryferze. Z wysiłkiem mówiła po polsku. Wstydziła się mówić po niemiecku. Rozmawiali po angielsku. Jak większość fordancerek w Niemczech, mówiła po angielsku z amerykańskim akcentem, przesadnie wykrzywiając dolną szczękę przy samogłoskach. W świetle dnia wyglądała gorzej, niż w „Bananie". Była niewyspana, zielona na twarzy, nieuczesana. Zabawa z lotnikiem musiała przeciagnąć się do rana, wskazywała na to pognieciona spódnica i głębokie cienie pod zaczerwienionymi oczami. Przyszła odnieść tekę, którą jeden z polskich delegatów zostawił przy stoliku, i podziękować za pieniądze w imieniu ojca i własnym.

Ambroży spostrzegł z niezadowoleniem, że dziewczyna rada by się wywdzięczyć jak najprędzej. Siadając, uniosła suknię i odsłoniła chude nogi. Widok był przygnębiający : pończochy opryskane błotem, puszczone oczka ciągnęły się od szpiczastych kolan aż po pęciny. Pachniała tanią wodą kolońską i piwem. Ambrożemu przyszło na myśl, że każdej chwili do pokoju może

wejść Budnik albo Matecki. Wstał gwałtownie, podał dziewczynie rękę i powiedział :

— Nie ma za co to drobiazg.

Brygidka nie ruszyła się z miejsca.

Polacy zawsze tacy grzeczni, — powiedziała, — ale bardzo dziwni. Jak tylko się dowiedzą że ja Polka, robią się smutni.

— Do widzenia, Miss Kordula.

— Zaraz wychodzę, ino wypalę papierosa. — Dziewczyna ziewnęła, aż jej oczy zaszły łzami. — Jak by mi pan dał pięćdziesiąt marek, to bym panu coś powiedziała...

— Nie bardzo jestem ciekawy...

— Na pewno by pana zaciekawiło. Co to jest dla pana pięćdziesiąt marek ? Przecież Amerykanie muszą wam dobrze płacić, oni dzisiaj wszystkim płacą...

Ambroży wyjął banknot i podał go dziewczynie.

— Niech pani już idzie !

— Wiem, że ojciec opowiadał panu o Lorenzu, ale na pewno nie powiedział panu, że ten Lorenz żyje i że my znamy jego adres.

— Co ? Ten strażnik żyje ?

— Właśnie ! — dziewczyna wesoło pociągnęła zaczerwienionym nosem. — Pewnego dnia ojciec spotkał go przypadkiem w Augsburgu na dworcu. I od tego czasu ten Lorenz płacił nam „Schweigegeld", ale teraz już nie płaci. Ojciec nie chce go już dusić o pieniądze, bo ogólna sytuacja się zmieniła. Już pół roku, jak nam grosza nie przysłał...

— Brzydka sprawa ! — zawołał Świątkowski. — Bierzecie łapówkę od przestępcy, szantażujecie zbrodniarza, zamiast go oddać w ręce policji ! Konszachty z mordercą ! I pani mi o tym mówi, jak o najzwyklejszej w świecie transakcji. Wstydźcie się !

Dziewczyna wzruszyła ramionami :

— Czego mamy się wstydzić ? Ojciec przez dwa lata chorował. Nie było pieniędzy na lekarza. Ja nie mogę więcej zarobić, niż mogę. Co mieliśmy robić ? Ten Lorenz spadł nam z nieba. Panu Bogu dziękować za taką okazję ! 30 marek na miesiąc. Nikt go do tego nie namawiał, sam się dobrowolnie zaofiarował. Co my byliśmy winni ? Nic.

— Przecież Kordula widział na własne oczy, co ten łotr wyprawiał w obozie !

— Toteż dlatego tamten mu płacił — roześmiała się chytrze. — Nie może pan tego zrozumieć ?

— Cóż to za moralność ? Jak wy żyjecie !

— Moralność ! A gdzie jest moralność ? — pokazała zepsute zęby. — Święci Pańscy już dawno poumierali, proszę księdza !

Zadowolona z własnej odpowiedzi, pochyliła się w chichocie.

— Po diabła mi adres tego strażnika ! — zirytował się Świątkowski. — Przecież ja nie będę go ścigał ! Chyba są jakieś sądy w tym kraju, które się zajmują takimi Lorenzami !

— Mnie ta sprawa jeszcze mniej obchodzi, — powiedziała urażona. — Mnie on tam nic złego nie zrobił. Przyszłam po kryjomu przed ojcem, aby odsprzedać adres. To wszystko. Pieniądze dostałam, a więcej się do niczego nie mieszam.

Wyjęła z ceratowej torby kawałek papieru i napisała na nim ołówkiem do czernienia rzęs : ,,Seppi Schirner. Holzmuehle St. Gilgen b. Salzburg''.

— Jakby się pan kiedy chciał przyjemnie zabawić, — dodała w drzwiach, — możemy się jeszcze zobaczyć. Nie lubię brać pieniędzy za darmo. *See you later !*

Ale Ambroży nie dosłyszał tej propozycji. Wiadomość, że Lorenz żyje i pod innym nazwiskiem przebywa na wolnej stopie, spadła na niego tak nieoczekiwanie, że trwało dość długo, zanim zdołał zebrać myśli. W pierwszej chwili chciał iść na policję, ale po namyśle poniechał tego zamiaru.

Spoglądając na nazwisko i adres ukrywającego się strażnika, spostrzegł ze zdziwieniem, że zachodzi w nim zmiana, która odbywa się wbrew ustalonym prawdom psychologii. Nienawiść, którą czuł do całego narodu niemieckiego, a więc do nieuchwytnej, anonimowej masy ludzkiej, teraz, gdy sprawca był wyraźnie określony i przybierał postać jednego, konkretnego człowieka, zamiast rosnąć, malała. Ta wyraźna nieprawidłowość pierwszej reakcji zaskoczyła go i zmuszała do przemyślenia sprawy. Dlaczego nie szuka pomocy władz i sądu ?

Przyszło mu na myśl, że żaden wymiar sprawiedliwości nie może przywrócić naruszonej harmonii świata, nie może dźwignąć podeptanych praw ludzkich i boskich. Doskonałym wymiarem sprawiedliwości w jego wypadku mogłoby być tylko całkowite zadośćuczynienie, skoro jednak żaden sąd nie potrafi przywrócić życia zabitemu, ukaranie sprawcy posiadać może wartość przestrogi, albo stać się aktem zemsty. Zemsta, nawet przybrana w paragrafy sądowe, rzuciłaby cień na martyrologię ojca. Nie chciał sobie wyobrażać tej tragedii jako rzekomego zatargu dwóch stron : na jednej szali ofiara ojca, na drugiej — śmierć lub więzienie jego zabójcy. Takiego zatargu nigdy nie było i być nie mogło. Męczeństwo ojca — po raz pierwszy poczuł, że jest z niego dumny — nie domaga się żadnej zapłaty, jest już nagrodą samą w sobie, posiada wartość legendy. Są rzeczy, których już nie można ani odszkodować ani ,,ukarać''.

Przypomniał sobie, że na kongresie w ,,Orinoco'' słowa takie, jak : ,,sprawiedliwość'', ,,moralność'', ,,chrześcijańskie odrodzenie'' obracano w ustach jak gumę do żucia.

— Jeśli jestem chrześcijaninem, — pomyślał, przyglądając się karteczce z adresem strażnika, — jeśli jestem człowiekiem wierzącym, mogę sobie powiedzieć, że ta sprawa tutaj się nie kończy i że nie tylko do mnie należy... Ona należy także do...

Chciał powiedzieć : ,,Do Boga'', ale zawahał się. Ta sprawa należy także do samego Lorenza. Czyż nie wydał na siebie wyroku, gdy wzniósł szpadel nad głową bezbronnego więźnia ? Ten wyrok nosi w sobie, jak zatruty płód. Nie ma sprawy

między zabitym ojcem z Buchenwaldu a jego strażnikiem. Nie ma sprawy między złym Niemcem, Lorenzem, a dobrymi Niemcami, jego sędziami. Nie ma również miejsca w takiej sprawie na odwet syna. Jest niewidzialny zatarg między człowiekiem pogrążonym w śmiertelnym grzechu a...

Chciał powiedzieć „Bogiem”, ale zawahał się. Ukaranie Lorenza, skazanie go na śmierć lub długoletnie więzienie, — pomyślał, — może być aktem zemsty, może być wymiarem sprawiedliwości (czyż jest drugie słowo, które by wzbudzało więcej podejrzliwości?), może być zabiegiem wychowawczym, przestrogą dla kandydatów na strażników obozowych, aktem samoobrony społecznej, czym kto chce, ale czyż wolno zapominać, że jest także ingerencją ludzką w uprawnienia Boże? W uprawnienia, z których niebo z reguły nie korzysta?...

Skrzywił się, niezadowolony z siebie. Czuł, że umyślnie wypuszcza się na wody „filozofowania”, by ocalić swój spokój. W gruncie rzeczy lękał się skutków pójścia z karteczką na policję. Bał się drobnych a dokuczliwych rzeczy, wynikających z samej procedury. Bał się zeznań i protokółów, które rozświetlą mroki obozu i przypomną szczegóły śmierci ojca. Bał się powtórzenia relacji, jaką usłyszał wczoraj z ust Korduli. Ogarniał go przestrach na myśl, że mógłby się znaleźć na sali sądowej, wśród nadętych błaznów w togach, którzy wcale nie wydawali mu się lepsi od oskarżonego, wśród policjantów, którzy z powodzeniem mogliby nosić na sobie dawny mundur Lorenza, wśród gawiedzi, złożonej ze setek utajonych, zaleczonych lub potencjalnych Lorenzów...

Wśród tych rozmyślań i obaw zadzwonił telefon. Zaniepokojony Kordula dopytywał się o córkę.

— Czy nie ma u pana mojej Brigidki?

— Przed chwilą wyszła.

— Proszę mnie źle nie rozumieć... Jeśli przyszła do pana redaktora tak sobie, dla... rozrywki i przyjemności, to dobrze, to bardzo dobrze! Ale boję się, czy nie narobiła czasem jakichś plotek i intryg. Dziewczęta w tym wieku mają długi język i bujną fantazję...

— Plotek? — Ambroży domyślił się, że chodzi o adres. — Nie! Nie było żadnych plotek! Rozmawialiśmy bardzo krótko.

— Jeśli Brigidka przyszła podziękować za hojny dar, — Kordula roześmiał się w słuchawce tak przymilnie, że niemal było widać jak figlarnie przymyka oko do telefonu, — to jest proszę kochanego pana, jeśli wpadła na mały ranny romansik, to „Szczęść Boże!”...

— Tak, tylko w tym celu.

— A to dobrze, to się cieszę...

Świątkowski z niecierpliwości westchnął.

— Niech pan nie wzdycha, — odezwał się życzliwy głos w słuchawce, — dziewczyna nie jest specjalnie ładna, ja wiem. Ale jest młoda, zdrowa i dobrze wychowana. Dopiero jak się porówna z innymi, widać różnicę. Moje uszanowanie panu re-

daktorowi ! Aha ! Jeszcze jedna sekundeczka : czy nie znalazła by się jakaś posada dla mojej córki w tym ruchu chrześcijańsko-europejskim ?

— Posady daje Mr Martini, a nie ja.

Ambroży położył słuchawkę i raz jeszcze przyjrzał się karteczce, zabazgranej czernidłem do rzęs. Siedział w fotelu i długo się namyślał. Wreszcie wstał i podjął decyzję.

W kwadrans potem, gdy Budnik i Matecki zastukali do Świątkowskiego, pokój był już pusty, a na stole leżała lakoniczna notatka : ,,Wyjechałem w góry !''

Bystre oko Mateckiego dostrzegło również kopertę z napisem ,,Confidential''. Po krótkiej naradzie obydwaj delegaci doszli do wniosku, że mają prawo zapoznać się z treścią poufnego listu.

— A więc wcale nie wyjechał w góry ! — wybuchnął Budnik. — Okłamał nas ! Pojechał spotkać się dr. Martinim ! Po kryjomu ! Za naszymi plecami ! A ja dla niego wydębiłem pieniądze z ,,Concordii'' ! Samolotem się przeleciał, w najdroższym hotelu stanął ! Taka to i wdzięczność !

— Przy całej sympati dla Ambrożego, trudno mi nie nazwać jego postępowania po imieniu. Myślę, że to coś więcej niż zwykła nielojalność. Bądź co bądź obowiązuje nas elementarna solidarność. Ciekaw jestem, czy przyjmie ?

Budnik pohamował swe wzburzenie i powiedział miękko :

— 400 dolarów na miesiąc ! Ma-ją-tek ! Pan by przyjął ?

— A pan prezes ?

— Ja ? Ja bym... odmówił.

— To jasne. Pan prezes posiada tego rodzaju pozycję w polityce, że zależność finansowa od obcych utrudniałaby mu swobodę działania...

— Nie przesadzajmy ! — przerwał mu kwaśno. — Nie mam znowu ,,tego rodzaju pozycji'' !

— Tuś mi bratku ! — pomyślał Matecki. — Żal ci pieniędzy !

— Sprytny ten przechera, oj sprytny ! — pomyślał sobie Budnik. — Mnie chce ubrać w ,,swobodę działania'' i w ,,tego rodzaju pozycję'', a sam — hyc do pieniędzy ! Po moim trupie !

— Mój Boże ! — westchnął po cichu Kaliszanin w windzie. — Oto i najczęstsza tajemnica ludzkiej niezłomności : brak silnej pokusy i sprzyjającej sposobności !

Jednakowoż młody Świątkowski naprawdę wyjechał w góry. W tym samym czasie, gdy kongres zastanawiał się nad ułożeniem wspólnej deklaracji ideowo-programowej, około piątej po południu, znalazł się w malowniczym miasteczku St. Gilgen i zdumionym wzrokiem rozglądał się dookoła, uderzony niezwykłym pięknem okolicy. Zawsze miał dziwne uczucie, że taki zakątek, jak ten, musi gdzieś naprawdę istnieć. Wędrując po świecie i przypatrując się nigdy dotąd nie widzianym miasteczkom, postrzegamy, że najwięcej zachwytu budzi w nas

taki widok, który od lat dzieciństwa przechowywał się w zakątku wyobraźni, i — oto odżywa !

Błogosławione małe miasteczka, w których ludzie wyglądają przez okno na ulicę. Nieruchomo, z łokciami na poduszkach, tkwią stare małżeństwa w oknach. Smugą czerwieni, znaną ze starych obrazów, zbliża się wieczór w górach. Słońce przygasa nad drewnianą dzwonnicą. Pod ratuszem wita cię długa ławka, obramowana modrym dymem. Siedzą na niej brodaci górale, kapelusze nasunęli na oczy, pykają z długich porcelanowych cybuchów. A pod drewnianym balkonem, pod poręczą rzeźbioną w listki i w grona, stoi w sklepiku znany ci z lat dzieciństwa blaszany zbiornik nafty ze srebrną pompką i matowo-szklanymi rurkami, i dzwonek drży na progu, gdy dzieci wchodzą do środka.

Autobus wjeżdża powoli w uliczki, by nie płoszyć krów poganianych witką. Kot ostrożnie przechodzi przez mydliny w rynsztoku. Na gospodzie święty Sebastian przebity strzałami, z obłokiem niebieskim nad umęczoną twarzą. Gliniane stągwie przed domem. Chłodem wieje ze studni, z beczki na deszczową wodę i z ratuszowej sieni w rynku. Na rogu apteki połyskuje gablotka, w której wiszą pożółkłe od słońca fotografie ślubne. Na trotuarze klęczy staruszka i wycina nożem kępki trawy, obrastającej kamienne płyty przed dzwonnicą.

A więc to tutaj ! Ambroży rozglądał się niepewnie. Miasteczko wydawało mu się nierzeczywiste, teatralne, wyjęte ze szkolnej czytanki. Z torbą podróżną, przewieszoną przez ramię, stąpał nieśmiało po rynku, mając uczucie że przechodzi przez scenę teatru, między dekoracjami, wśród statystów ucharakteryzowanych na górali. Gdzie spojrzał, witały go uśmiechnięte twarze i pogodne słowa :

— Grüss Gott !... Grüss Gott !

Jak zły sen, przypomniał sobie na chwilę swoją ulicę w Londynie. Zawiesiny brudnej mgły między okopconą cegłą i zardzewiałymi sztachetami, zapach sadzy i kociego moczu, okno wychodzące na tory, którymi co minutę przelatywał pociąg, niebo pokaleczone kikutami kominów, ogródek na tyłach domu, w którym mokło żółte zielsko i blaszane kubły na popiół i śmieci.

A tutaj górale kłaniali się zielonymi kapelusikami z białym piórkiem. Staruszkowie w oknach uśmiechali się przyjaźnie. Nawet przebity strzałami święty na oberży jakby radował się na widok przybysza. Woda wesoło bulgotała w studzience.

Widząc ten pogodny zachód słońca i życzliwe spojrzenia mieszkańców, Ambroży zawahał się. Przeszło mu przez myśl, że powinien zawrócić z drogi. Z każdym krokiem, stawianym w miasteczku, uświadamiał sobie bezsens całej wyprawy. Po co tutaj przybył ? Co sobie obiecywał po tej podróży ? Przecież nie przybywał, by wymierzać sprawiedliwość. Nie składał skargi w prokuraturze, nie wiózł broni ze sobą. Nie przyjeżdżał jako misjonarz, by nawracać lub zawstydzać grzesznika. Nie przywodziła go zwykła ciekawość i ta potrzeba sensacji, jaka

drzemie w każdym człowieku. Przybywał tutaj, przygnany wewnętrznym nakazem, którego sam nie rozumiał.

— Nie jestem człowiekiem religijnym, — rozmyślał w drodze, — ale całą siłą instynktu, całą mocą ludzkiej trwogi bronię się przed myślą, że ze śmiercią człowieka kończy się wszystko. Może rządzi mną wola zmarłego ojca?

I znowu zdziwiło go, że nienawiść do Lorenza w nim słabnie. Człowiek ten stawał mu się nawet w pewien sposób bliski. Czuł się z nim w dziwny, trudny do wytłumaczenia sposób związany. Ten nieszczęsny strażnik, którego bynajmniej się nie lękał, jakby wszedł do tego samego kręgu i był wpisany w to samo koło.

— Matka mojego ojca — myślał — dała mojemu ojcu życie, a ten, nieznany, nieprzeczuwany odebrał mu życie. Jaka niezbadana siła, jaki wyrok uczynił z tego Lorenza narzędzie i wykonawcę? Mógł to zrobić jakiś Schmidt lub Mueller. A jednak sprawcą był Lorenz. Co skierowało *tego* człowieka na tor życia *mojego* ojca? Na świecie żyją ponad dwa miliardy ludzi. Dlaczego strzałka wskazała na nich obu? Poznajemy prawa rządzące ruchami ciał niebieskich, badamy obroty planet, z matematyczną dokładnością przewidujemy, kiedy może nastąpić zderzenie dwóch komet, ale cała nasza wiedza jest złudzeniem, dopóty nie wiemy *po co* się odbywa ten gigantyczny, odwieczny spektakl nad naszymi głowami. Studiujemy psychologię i socjologię i wiele innych pięknych nauk, znamy mechanizm ruchów migracyjnych i procesów gospodarczych, wymierzamy wszystkie wędrówki ludów, ale stajemy bezradni przed zagadką zabłąkanej kuli: *dlaczego* właśnie Lorenz przecina drogę więźnia z Buchenwaldu, i to w listopadzie 1943-go, a nie na przykład szofer ciężarówki, Michalski w Warszawie, w marcu 1938-go?

— Ława przysięgłych, — myślał dalej, — która nie poddaje w wątpliwość istnienia wolnej woli ludzkiej i nie przenika do jądra sprawy: do niezawinionego losu, do przyczyn tragiczności każdego człowieka, ograniczy się do stwierdzenia, że Lorenz chciał zabić i zabił, ale nigdy nie dotrze do sedna winy i odpowiedzialności tego strażnika-sadysty, który był nie tylko mordercą, ale i strzałą wypuszczoną z nieznanej cięciwy. Był ślepą, zabłąkaną strzałą, ale nie celnie mierzącym łucznikiem...

Droga za miastem wiodła w górę. Po dłuższym marszu serpentyną Świątkowski znalazł się w jeszcze piękniejszym krajobrazie. Powietrze było przesycone czerwienią i zapachem mokrych liści. Dzwonki owiec pobrzękiwały smutno i radośnie zarazem. Chwilami wydawało mu się, że niewidzialni ministranci dają mu znak, by ugiął kolano. Aż doszedł do takiego zakrętu, w którym trudno było powstrzymać okrzyk zachwytu. Ukazał się horyzont zabarykadowany wzgórzami, a w dali unosiły się szczyty gór. Wyglądały jak rząd sinych namiotów. Ostre stożki wprost pruły ciemną niebieskość. Widział kiedyś coś podobnego w książce z obrazkami, na reprodukcji japońskiego rysunku. Ze zdumieniem odnajdywał ten widoczek na

jawie. Lekki wiatr rozczesywał na zboczach kłęby różowego światła i spychał je w dół, ku jeziorom, w których odbijał się zachód, roziany po wodzie jak plama ropy naftowej. Gdyby piękne widoki rzeczywiście miały wpływ na człowieka, powinni w tych stronach mieszkać ludzie dobrzy i bezgrzeszni.

Czy piękny krajobraz podnosi nas ku niebu? Tak przynajmniej twierdzi literatura. Przypomniał sobie fragment wiersza, który deklamował przed wielu laty na wieczornicy, w rodzinym mieście:

Jak słodka cisza z niebios spływa!
Jak świat jest prosty w świetle Twojem,
Panie, jak koi i ośmiela!
Z wielką ufnością i spokojem
serce me w Tobie odpoczywa,
jako dłoń w dłoni przyjaciela...

— Lorenz — pomyślał — musiał się także w szkole uczyć wierszy! Na pewno pamięta słowa swojego poety:

Ueber allen Gipfeln ist Ruh,
in allen Wipfeln spuerest du
kaum einen Hauch;
die Voeglein schweigen im Walde.
Warte nur, warte nur, balde
ruhest du auch...

— Cóż tedy „uszlachetnia" człowieka? Religia? Prawo? Pieniądz? Piękno krajobrazu? Muzyka? Malarstwo? Poezja? Co wytrąca okrutnikowi bat z ręki? A jednak Goethe nie uchronił Lorenza przed okrucieństwem. Ani fugi Bacha ani symfonie Beethovena ani ośnieżone iglice. Ale ani ten dzwon kościelny, jak dzięcioł kujący w sercach ludzkich, nie zapobiegły temu, co się stało.

W dole leżało miasteczko. Oplecione pętlą strumieni, udekorowane na brzegach czerwono-złotymi klonami, wyglądało z góry jak duży tort z białą wieżyczką kościoła pośrodku, zamiast imieninowej świeczki. Musiano już warzyć wieczerzę w miasteczku, dym nad dachówkami szedł w niebo prosto, a cisza kończącego się popołudnia wysiana była miękkim uderzeniem dzwonu, który rozchodził się po dolinie powoli jak kręgi na wodzie.

Ambroży zwolnił kroku. Według informacji uzyskanych w autobusie, powinien już być na miejscu. Inaczej sobie wyobrażał tę chwilę. Zamiast podniecenia i ciekawości, zaczęło go ogarniać zniechęcenie. Ta wyprawa naprawdę nie miała sensu! Gdy doszedł na odległość kilkudziesięciu kroków od domu, w którym ukrywał się Lorenz, powziął postanowienie, że przyjrzy się strażnikowi z daleka i wróci nocnym pociągiem do Monachium.

Oparł się o przydrożny świerk i spokojnie przyglądał s parterowemu budynkowi z drzewa. A więc to jest dom Lore za! Długie, szare pudło z desek, belek, smoły i papy; rzekłby łódź rozbitka wyciągnięta po burzy na piasek.

— Wygląda jak obozowy barak, — pomyślał — jak b rak mojego ojca.

Dostrzegł brzozowy mostek — taki sam, po którym n oleodrukach Anioł-Stróż przeprowadza dzieci przez strumy dostrzegł lichy ogródek i odarte z kory paliki, połączone dr tem...

— Kolczasty drut! — wzdrygnął się. — Jak w obozie.

,,Nieraz jedna kropla przepełnia naczynie, a grudka śnieg rodzi niszczycielką lawinę''. Banalne porównania rzadko m ją się z prawdą. Ślizgając się okiem po Lorenzowym dom Świątkowski zatrzymał swój wzrok na przedmiocie pozorn błahym i nieważnym. To, co spostrzegł, poderwało go z mie sca. Zapominając o swych dotychczasowych refleksjach, wah niach i obawach, szybkim i zdecydowanym krokiem ruszył prze siebie. Już po kilku metrach biegł, pół przytomny. Nie, to n mógł być przypadek! To był znak, wyraźny znak!

Na progu domu, oparty rękojeścią o ścianę, stał szpade długi ogrodowy szpadel z połyskującym, trójkątnym ostrzem Na progu domu mordercy dostrzegł narzędzie zbrodni!

Dopadł drzwi i zaczął w nie bić pięściami.

Na zakończenie kongresu w ,,Orinoco'' dr Martini i La Godiva przygotowali niespodziankę. Samo uchwalenie deklar cji ideowo-programowej, która ograniczała się do zwrotów ba dzo ogólnych, jeszcze nie stanowiło godnego ukoronowan zjazdu. Zdania takie jak: ,,Każdy człowiek ma prawo do wo ności... ,,Europa jest jednością polityczną, kulturalną i gosp darczą''... ,,Źródłem zła szerzącego się w świecie dzisiejszy jest nieposzanowanie zasad moralnych''... Tak, zdania tak brzmiały jak ,,Myjcie owoce!'' czy ,,Jedzcie ryby!'' Oczyw stość ich działała nużąco nawet na samych redaktorów dekl racji. W czasie obrad komisji programowej, profesor z siw brodą malował ptaszki na papierze, Portugalczyk patrzył w s fit, a nawet delegat Francji, syn narodu miłującego okrąg słowa, ziewał i czytał ,,Figaro''.

— Dawniej, — wzdychała z goryczą siwa Irlandka, — gdy się rycerzom coś nie podobało na świecie, chwytali miecz i uczciwie podrzynali bliźnim gardła. Dzisiaj moralno upada: zbiera się stadko krótkowidzów z teczkami i po wyp leniu kilku pudełek papierosów uchwala deklarację ideową.

Dr Martini, który rozporządzał wyobraźnią wizualną, w dział zakończenie kongresu okiem fotografa: wspólna modlitw to za mało, przydałby się pochód przez ulicę, wypuszczenie p ru tysięcy gołębi w powietrze lub co najmniej zbiorowa fotogr fia na tle pomnika. Pomniki jeźdźców na tle drzew, fontann i wysokie schody najlepiej nadawały się do tego celu.

I wtedy to docent Krauze z Heidelbergu, główny referent wniosku w sprawie agencji prasowej, drobny blondyn z nosem odmrożonym pod Witebskiem, bąknął coś o ,,łańcuchu braterstwa''. Ależ tak ! Tak ! Pomysł ten spadał wprost z nieba !

Lady Godiva rozsunęła kurtynę włosów, opadających jej na twarz i pokazała sztuczne zęby.

— *Marvellous !* Krąg braterstwa i przyjaźni ! — zawołała wesoło jak mała dziewczynka. — W ciągu 50 lat było 35 zmian granic w Europie, to skandal ! Powinniśmy wreszcie zrozumieć, że wszystkie wojny na naszym starym, biednym kontynencie były wojnami domowymi i bratobójczymi. Dziś, gdy samolot odrzutowy drogę z Londynu do Brukseli przebywa w 20 minut, granice są nonsensem, suwerenność kosztownym wydatkiem, przeszłość się nie liczy, ważne jest, proszę państwa, jutro i pojutrze ! Zapomnijmy o urazach ! Podajmy sobie ręce !

W Martinim odezwał się świetny organizator :

— Zrobimy tak. Wprzód motto na ekranie. Dużymi literami w kilku językach : ,,Miłujcie nieprzyjacioły wasze !''

— Święty Mateusz, rozdział piąty, wiersz czterdziesty czwarty — przytaknął docent z Heidelbergu i widocznie coś sobie przypomniał, bo schwycił się za odmrożony nos.

— A zamiast dekoracji, — zapalił się Martini — damy gigantyczną mapą Europy z kolorowymi lampkami.

— Żadnych przemówień, raczej żywy obraz — mówiła podniecona Irlandka.

— Fanfary i kotły ! — wołał Martini. — Dzwony ! Chóry ! Chwytamy byka za rogi ! Atakujemy drażliwe i sporne zagadnienia !

— O ! o ! o !

— Głos w megafonie mówi : ,,Nie ma sporu włosko-jugosłowiańskiego o Triest. Jesteśmy Europejczykami !''

— Zapala się lampka na mapie !

— Na te słowa wchodzą : delegat Włoch i przedstawiciel emigrantów z Chorwacji. Przez chwilę patrzą na siebie. Cisza, przerywana werblem, co się w języku producentów nazywa : ,,*tension up !*'' Uścisk dłoni. Padają sobie w objęcia. Błysk magnezji. Orkiestra forte !

— *Item number two !* — podsunęła redaktorka ,,Messengera''. — Ten sam głos mówi : ,,Nie ma sporu o Saarę. Jesteśmy Europejczykami !''

— Zapala się lampka na mapie !

Na te słowa wchodzą Monsieur Gerard ze Strasburga i Herr Krauze z Heidelbergu i całują się w policzki.

— A potem inny twardy orzech : wchodzi delegat polski i delegat niemiecki.

Megafon woła : ,,Nie będziemy się spierali o granice. Jesteśmy Europejczykami ! Wspólny węgiel, wspólne zboże, wspólna praca i wspólny zarząd dla dobra wspólnej sprawy !''

— Nie pocałują się — mruknęła Irlandka. — Już ja ich znam.

— Nie potrzebują się zaraz całować ! — Martini zmarszczy
się jak chłopiec, któremu odbierają ulubioną zabawkę. — Niech
sobie uścisną dłonie ! Niech przynajmniej staną obok siebie !

— Co pan sądzi, Krauze ?

— My jesteśmy za Europą wolną i zjednoczoną — uśmiech-
nął się docent.

— Dlaczego z innymi nie ma tych trudności ? — wybuchną
Martini. — Dlaczego delegat czeski zgodził się na uściśnięcie
prezesa Niemców sudeckich ? Dziwny naród ci Polacy ! Niebar-
dzo wiadomo, po co ich Pan Bóg stworzył ! Nienawidzą Rosjan
i Niemców, nie znoszą Ukraińców, Litwinów, Czechów i Żydów,
mają dzikie pretensje do Francuzów, Anglików i Amerykanów.
Nawet Japonii wypowiedzieli wojnę przed kilku laty...

— Obrona Wiednia... — wstawiła się nieśmiało Irlandka.
— Król Sobieski...

— Cóż z tego, kiedy obie wojny światowe zmajstrowali
swymi intrygami ! — złościł się Martini. — Sarajewo i Gdańsk

— *Noblesse oblige* — zaprotestował Krauze. — Sarajewo
nie leży w Polsce.

— Wszystko jedno, gdzie leży. W każdym razie pierwsze
bomby pękają w tamtych stronach, a nie u nas w Michigan, czy
w Kalifornii !

— Tak, szkoda by było zrezygnować z „Łańcucha Brater-
stwa" — westchnęła Irlandka. — Uchwalałam już w życiu kil
kaset deklaracji ideowych, ale jeszcze nigdy nie brałam udzia-
łu w „Łańcuchu Braterstwa".

— Zaraz... zaraz... jeśli ci trzej posępni dżentelmeni z Lon-
dynu odmówią... — zamyślił się Martini. — Przypominam so-
bie, że zgłosił się wczoraj do mnie w sprawie posady dla swej
córki pewien Polak... Śpiewak z zawodu...

— Ale czy dość reprezentacyjny ? — wtrąciła zatroskana
dziennikarka. — Kto za nim stoi ?

— Przedstawiciel byłych więźniów politycznych, czy coś ta-
kiego... Mówił tak fatalną angielszczyzną, że połowy jego wy-
wodów nie zrozumiałem. Powoływał się na przyjaźń ze Świąt-
kowskim... Aha ! Już wiem : cierpiał w Buchenwaldzie !

— Były więzień ! — zaświeciły się oczy starej. — Jaka wy-
mowa symbolu !

— Bardzo chrześcijańskie — przyznał Krauze. Ale ja bym
nie szukał delegatów na „czarnym rynku..."

— Panowie ! — krzyknęła Lady Godiva — My tu gadu-ga-
du, a za minutę Portugalczycy ruszają do generalnego sztur-
mu na regulację urodzin ! Allons enfants !

Gdy rozdygotany Ambroży, z błyskiem szpadla w przymru-
żonych oczach, rzucił się rozpaczliwie całym ciężarem na drzw
wpadł do dużej izby. Z trudem łapiąc oddech, spostrzegł, że jes
sam. W pokoju nie było Lorenza. I to sprawiło, że stracił ro
pęd. Rozejrzał się, przytomniejąc. Jeszcze przed minutą był pe
wien, że ujrzy w drzwiach nieludzkiego strażnika. Rozgląda

się po wapnem wybielonych ścianach. Okna z papierowymi firankami. Bukiet sztucznych kwiatów. Malowane talerze. Zakopcony obraz jakiegoś świętego. Ręcznik z napisem : *Morgenstunde hat Gold im Munde.* Zapach gotowanych kartofli i mydlin. Z kąta izby spoglądały nań z przerażeniem ślepia skurczonego kota, spłoszonego znad miski. Usiadł za stołem i czekał, co będzie dalej.

Po chwili do środka weszła otyła kobieta w gumowym fartuchu, z kubłem w ręku.

— *Grüss Gott !* — powiedziała bez zdziwienia. — Już jestem...

— *Grüss Gott* — odpowiedział niepewnie.

— To pan tak walił pięściami w drzwi ? — spytała. — Aż w szopie było słychać. Wszyscy teraz tacy niecierpliwi. Nikt nie umie czekać.

Ambroży dostrzegł żywą górę tłuszczu : aż dwa podbródki, zwisające jak wole, policzki sadłem połyskujące, wypukłe powieki, spocone czoło, włosy przylizane do czaszki. Na gumowym fartuchu lśniły kropelki mleka.

— Już wydoiłam — mówiła szybkim, zadyszanym głosem. — Za wysoko tu na porządną krowę. Mamy tylko jedną. Na więcej brak pieniędzy. Zdechlak, nie krowa. Coraz mniej mleka daje. Trzeba ją wyganiać daleko na pastwisko. Łąki tutaj liche, jak to w górach. Pan pewnie się spieszy. Teraz wszyscy się spieszą. Turyści często wpadają tutaj na kubek mleka. Czy musi być przegotowane ? Niektórzy mówią, że surowe — niezdrowe, ale ja mówię, że najlepsze prosto od krowy. A skąd to Bóg prowadzi ? Z daleka ?

— Z daleka.

— Teraz nie ma sezonu. Najlepiej przyjechać do Gilgen na wiosnę, gdy wszystko kwitnie...

Słodkawy, wydobywający się z garnka zapach przypomniał Ambrożemu garść kartofli, rozsypanych w glinie.

— Gdzie jest Lorenz ? — zapytał nieswoim głosem. — Muszę zobaczyć Lorenza !

Pochylona nad wiadrem kobieta szeroko rozwarła wypukłe powieki, błysnęły małe, czarne oczka — dwie szpileczki wbite w kulę łoju.

— Kto taki ? — zawołała. — Kogo pan chce zobaczyć ?

— A tak ! Nie Schirmera, ale Lorenza !

— Mojego męża ?

— Tak !

— Mój Boże ! Czyżbyście się znali jeszcze z dawnych lat ?

— Ja nie, ale mój ojciec znał go doskonale...

Wypukłe powieki opadły, podbródki zadrżały, dojarka zaczęła wzdychać.

— Jaka szkoda, że przychodzi pan za późno. Mój mąż by się bardzo ucieszył. Ostatnimi laty nikt go z dawnych znajomych nie odwiedzał...

— Gdzie on jest w tej chwili ? Gdzie jest Lorenz ?

Drewniane chodaki, oklejone słomą i gnojem, wydzielały ze siebie zapach obory. Podbródki tłustej Niemki, zwisające na przodzie fartucha, wyglądały nieapetycznie, jak krowie wymiona. Na domiar złego mdlący zapach rozgotowanych kartofli, mleka, mydlin i gnoju zagęszczał się nie do zniesienia.

— Co się z nim dzieje? — powtórzył. — Wyjechał do miasta?

— Nie. On umarł...

— Co? — zerwał się Ambroży. — Lorenz umarł?

— Ależ tak! Dokładnie przed pięciu miesiącami. Ósmego maja. Na serce. Pomyśl pan, taki młody i silny człowiek, czterdzieści dwa lata... w kwiecie wieku... Wracał drogą z miasteczka i nagle — *Herzenfall*...

Świątkowski skrzywił się jak po usłyszeniu kiepskiego żartu, a potem zaczął chodzić po izbie. Wiadomość o śmierci strażnika spadła na niego niespodziewanie. Co? Lorenz miałby nie żyć? Ogarnęło go mieszane uczucie zawodu, żalu, niechęci a zarazem ulgi. Właściwie należało się z tego cieszyć, że „rzecz załatwiła się sama przez się" i poza nim. „Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy". Jakaś niewidzialna, przyjazna siła zdejmowała z niego ciężar, który nosił od dwóch dni. Ale jednocześnie miał uczucie, że utknął w miejscu, jak żaglowiec któremu zabrakło wiatru w żaglach tuż przed wejściem do portu. Skłamałby, co prawda, gdyby twierdził, że ciężar który mu nagle zdjęto, w istocie mu ciążył. Jest wiele przesady w twierdzeniu, że zmartwienia i zgryzoty człowiekowi ciążą. Zżył się już z myślami o tym żywym, ukrywającym się, nieszczęsnym Lorenzu. Poczciwa śmierć na serce wydawała mu się uproszczonym rozwiązaniem tego trudnego do określenia stosunku, jaki go łączył od dwóch dni ze strażnikiem. Poczuł się zawiedziony przez tę samą siłę, która kazała mu przybyć do obcego domu. Tym skwapliwiej uczepił się podejrzenia, że został okłamany. Na pewno Lorenz zaszył się w mysiej dziurze, a ta chlipiąca bryła sadła, poczuwszy pismo nosem, pragnie podejrzanego intruza wyprowadzić w pole. To jasne!

Ale w tej samej chwili wdowa po Lorenzu podeszła do komody i wyjęła z szuflady fotografię, oprawioną w czarne listewki. Na wsi lubują się w tego rodzaju pamiątkowych zdjęciach. Na papierze, błyszczącym jak szpadel w słońcu, widniała wgłębiona w poduszkę głowa mężczyzny o ostrych rysach, z zamkniętymi oczami, z zaciśniętymi ustami. Kwiaty wokół głowy, dwie zapalone świece, ręce okręcone różańcem i zaciśnięte na ciemnej marynarce, tekturowy ryngraf na piersiach.

— Morderca na łożu śmierci — pomyślał Ambroży, konstatując że fotografia nie robi na nim najmniejszego wrażenia. — Ani chybi — „pogodzony z Bogiem"...

Dojarka zapaliła naftową lampę, a potem wyjęła z komody inne fotografie i zaczęła w nie pukać paznokciem, jak kabalarka przy stawianiu pasjansa.

— Seppi jako dziecko. Pamiątka po pierwszej komunii...

Ambroży ujrzał pucułowatą, uśmiechniętą twarz, wesołe oczy, czupryną jasnymi płomykami wijącą się w górę, długą świecę w ręku.

— Seppi w szkole. Ten z lewej...

Uśmiechnięty chłopaczek w krótkich spodenkach siedział na ziemi, przed pierwszym rzędem uczniów, i podtrzymywał tablicę z napisem : *Kriegsjahr* 1917. *Zweite Klasse. Staedtische Volksschule in Salzburg.* Spod daszka czapki spoglądały duże, wesołe oczy.

— Seppi z matką. Już jako piętnastoletni młodzieniec utrzymywał całą rodzinę. Pracował wtedy jako subiekt w drogerii...

Młodzieniec w trzyćwierciowych spodniach, w marynarskiej bluzie, z czupryną rozdzieloną na dwie złote fale, siedział na poręczy fotela i obejmował ramieniem małą, chudą kobiecinę w czarnym kaszkiecie.

— A to zdjęcie z wycieczki. Lato 1931. Chiemsee. Ten z harmonią, to Seppi, a tutaj — ja... W miesiąc po zaręczynach...

Dojarka rozmazała łzy po policzku.

Na dziobie łodzi stał uśmiechnięty Seppi z bukiecikiem kwiatów, zatkniętym za szarfę kapelusza. Jedną ręką obejmował harmonię, a drugą dziewczynę z warkoczami. O dziwo, bryła tłuszczu przed dwudziestu laty była młodą i niebrzydką osóbką.

Frau Lorenz stuknęła palcem w nową fotografię.

— Przez kilka lat Seppi pracował na poczcie i był listonoszem. Nachodził się biedak po ulicach, nawspinał się po schodach. Razem z nimi pracował wtedy pewien stary, schorowany listonosz. Seppi zawsze miał dobre serce i chętnie ludziom pomagał. Nosił listy za siebie i za tamtego...

Mężczyzna przy skrzynce do listów rzeczywiście wyglądał sympatycznie. Na czapce nosił trąbkę pocztową, a w torbie plik gazet i listów. Oczy mrużył przed słońcem, a w policzkach miał małe dołki, co przy uśmiechu dodawało mu chłopięcego wdzięku. Podobizna świetnie nadawała się na pocztówkę z życzeniami ,,Wesołych Świąt".

— I tak pracował, lubiany i ceniony przez wszystkich — mówiła dojarka. — Ktokolwiek się z nim zetknął, ulegał jego urokowi. I wszystko się tak dobrze zapowiadało, miał dostać podwyżkę, miał być przeniesiony do głównego urzędu pocztowego, do oddziału sortowania listów, aż tu przyszła wojna...

W kręgu światła naftowej lampy błysnęła nowa fotografia.

— W 1942-gim Seppi przyjechał na pierwszy urlop, na same święta Bożego Narodzenia.

Ambroży czuł się już zmęczony tymi opowiadaniami. Lorenz i jego przeszłość przestały go interesować w chwili, gdy zobaczył strażnika na łożu śmierci. Ale dojarka, zadowolona, że może się podzielić swoim zmartwieniem, mówiła dalej :

— Seppi wychudł na wojnie i zczerniał, ale dobrego hu-

moru nigdy nie tracił. Zawsze był dla nas taki dobry i serdeczny...

Pod choinką siedział żołnierz w mundurze, z małym dzieckiem na kolanie. Dziecko wyciągało rękę ku zapalonym świeczkom, uradowany ojciec wskazywał palcem na papierową gwiazdę.

— Mnie, pamiętam jak dziś — trajkotała dojarka — Seppi przywiózł futrzaną mufkę z Francji, a małemu konia na biegunach. Przez pół Europy wiózł się z tymi podarkami ! Cóż to była za radość ! Śpiewaliśmy kolendy, piliśmy dobre, stare wino. Toni miał wtedy roczek. Seppi ubóstwiał małego ! Chodził przed nim na czworakach, woził go na plecach po całym pokoju...

Ambroży wziął od niechcenia fotografię do ręki i przyjrzał się mundurowi. Dostrzegł dwie blaszane literki naszyte na czarnym kołnierzu i srebrne nieforemne kółko, które przy uważniejszym przyjrzeniu się przybrało kształt trupiej główki.

Wzdychając i pochlipując, dojarka trajkotała dalej. Widział jak porusza wargami i kołysze podbródkami, ale nie słyszał już o czym mówi. Patrząc na długie czarne buty strażnika, sądził, że posłyszy słowa Korduli : ,,Ojciec upadł na plecy i strasznie krzyczał, a tamten go bił i bił, ale nie mógł go szybko zabić''. Był przygotowany na obrazy, które go nawiedzały od wczoraj. Czekał, kiedy zamigocą mu przed oczami błyski szpadla, kiedy zobaczy usta rozdarte, włosy krwią zlepione, palce kurczowo wbite w glinę, twarz posiekaną ostrzem i nagie łokcie, postrzępione kulami. Tymczasem przez aparaturę wyobraźni jakby przestał przepływać strumień uczucia. Obrazy wydobywał z wystudzonej pamięci spokojnie i bez emocji, jak ponumerowane klisze. Widział wszystko, jak dawniej, ale już bez cierpienia i trwogi.

Z trudem panował nad sennością, czuł piasek pod powiekami.

— A więc wszystko się wypala — ziewnął — smutek i radość, miłość i nienawiść, przebaczenie i zemsta. Wszystko jest nieważne, wszystko jest bez sensu...

Następne zdjęcie zdawało się tłumaczyć, w jaki sposób poczciwy listonosz i dobry Vati przemienił się w okrutnego Lorenza. Na połyskującym papierze widniały sztandary, girlandy i transparenty. Tysiące głów w czapkach, jedna obok drugiej, jak kocie łby w małomiasteczkowym rynku. Podpinki pod brodą, wilcze oczy. Seppi przy sztandarze, zapatrzony w niewidoczny na zdjęciu punkt.

Za oknem gęstniał mrok. Ogarnęło go nagle nieludzkie zmęczenie. Czas wracać do miasta i kończyć tę niepotrzebną podróż.

— Niech pani schowa te fotografie — położył rękę na grubym ramieniu dojarki. — Dalsze losy Seppiego są mi dobrze znane. Był strażnikiem w Buchenwaldzie. Znęcał się nad więźniami. Katował bezbronnych ludzi. Zabił mojego ojca w obo-

zie. Potem zmienił nazwisko, ukrywał się w tym domu, a przed paru miesiącami umarł.

Usłyszał jakiś nieartykułowany bełkot za swymi plecami, ale już nie próbował się wsłuchiwać w słowa, które nie miały znaczenia. Nie oglądając się za siebie, szeroko rozwarł drzwi i wyszedł z dusznej izby na zimne powietrze.

Po chwili schodził serpentyną ku miasteczku. Chłód jesiennego wieczoru zmusił go do przyśpieszenia kroku. W dali migotały światełka. Księżyc bielił w dole dachy i uliczki. Chłodny wiatr od jeziora kładł się na oczach i czole jak kojący okład. Dochodził do pierwszych zabudowań miasteczka, gdy posłyszał za sobą człapanie i piskliwy głos :

— Niech pan tak nie leci !

W świetle latarni, kołyszącej się na wysokim maszcie, ujrzał bladą, wymizerowaną twarz dziecka. Stał przed nim zadyszany, przerażony chłopiec z gołą głową, w za dużym wojskowym szynelu.

— Niech pan chwilę poczeka — powiedział łamiącym się głosem. — Ja wszystko słyszałem... Ja leżałem chory za ścianą, kiedy pan rozmawiał z moją matką...

Chłopiec mógł mieć dziesięć lub jedenaście lat. Tak ! To był ów mały Toni spod choinki ! Podobny do Lorenza ze szkolnej fotografii. Te same oczy, ten sam nos, co u ojca, gdy siedział przed pierwszym rzędem uczniów i podtrzymywał tablicę z napisem szkoły.

Malec dygotał z zimna i z trudem łapał powietrze. Zaczerwienione oczy błyszczały w gorączce, czoło miał zroszone kropelkami potu. Ambroży spostrzegł, że mały Lorenz musiał się zerwać z łóżka w popłochu. Bose nogi człapały w niezasznurowanych butach. Płaszcz, w pośpiechu zarzucony na bieliznę, zapięty krzywo na jeden guzik, odsłaniał długą i chudą szyję.

— Wracaj natychmiast do domu ! — zawołał. — Przeziębisz się !

— Pan powiedział... pan powiedział... — rozpłakał się chłopiec na głos — że mój ojciec... a ja tak bardzo kochałem mojego tatusia...

Ambroży zgarnął małemu mokrą od potu czuprynę znad oczu.

— Do domu, Toni ! Czym prędzej do domu !

— Ja chciałem powiedzieć panu... — mówił rozgorączkowany chłopiec — ...że mnie jest bardzo przykro... Ja naprawdę nic o tym nie wiedziałem, ale ja się domyślałem, że mój tatuś zrobił coś złego... Ja bym wolał umrzeć po tym, co się dzisiaj dowiedziałem...

— Nie pleć głupstw ! — Świątkowski okrył chłopca swoim paltem, owinął mu szyję szalikiem i obrócił go w stronę domu. — Idź do łóżka !

Mały Lorenz nie mógł pohamować płaczu. Spuścił głowę i stał na środku drogi z drgającymi plecami. W pewnej chwili pochylił się ku Ambrożemu i pocałował go w rękę.

— Co robisz, wariacie! Marsz natychmiast do matki!

Ambroży wziął małego za rękę i poczęli się razem wspinać serpentyną w górę. Gdy doszli do brzozowego mostku, pogładził chłopca po czuprynie i wcisnął mu zegarek w rękę.

— Weź. Na pamiątkę. Od... mojego ojca — zachrząknął ze wzruszenia. — *Grüss Gott!*

— *Grüss Gott* — pisnął cichym, udręczonym głosem chłopiec i potulnie, ze spuszczoną głową przeszedł na drugą stronę mostu.

Nazajutrz spadł ulewny deszcz i lało w całych Zachodnich Niemczech, od Alp aż po Wilhelmshaven. Budnik, Matecki i Świątkowski w drodze powrotnej z Monachium do Londynu zatrzymali się na lotnisku w Düsseldorfie dla załatwienia formalności celnych i paszportowych. W drzwiach poczekalni zderzyli się ze znajomym reporterem, który właśnie wracał z Belgradu, a czekał na samolot do Oslo.

Podobnie jak przed paru dniami, mówił o sobie barwnie i z taką werwą, że nie słyszało się ostrej ulewy. A więc w Belgradzie omal go nie aresztowano. Pomyśleć tylko: on, fruwający żołnierz zimnej wojny, został posądzony o stalinowski komunizm! Z wyprawy do Turcji na razie nici, małoduszni szefowie twierdzą, że szkoda amerykańskich dolarów na reportaż o Adampolu. Ale szykuje się za to fan-tas-tycz-ny lot do Ziemi Świętej, a potem t a k i (kciuk w górę) lot na Koreę. Francuzi woleliby, naturalnie, żeby leciał do Indochin. Arabowie znowu nie chcą, by leciał do Ziemi Świętej, więc na razie leci do Oslo, żeby się nie nazywało, że bierze pieniądze za darmo. W Oslo — śmiertelna nuda: jakiś festiwal sztuki współczesnej z udziałem narodów ujarzmionych, ale w ogóle sytuacja się przejaśnia: radius zniszczenia bomby wodorowej rośnie z każdym miesiącem, a już dzisiaj obejmuje dwie Moskwy i pół Leningradu...

Budnik z Mateckim przysłuchiwali się latającemu reporterowi bez entuzjazmu. Mieli swoje troski. Kongres zakończył się fatalnie. Ostatniego dnia obrad doszło do starcia z prezydium zjazdu. Budnik i Matecki, występując solidarnie, oświadczyli, że nie będą się ściskać z docentem Krauzem, a „Łańcuch Braterstwa" uważają za „typowy przejaw nie-europejskiego zamiłowania do tanich efektów wzrokowo-słuchowych". Dr Martini poprosił o zaprotokółowanie tych słów, chociaż nie zawierały one niczego obraźliwego. Wywiązała się krótka dyskusja. Kiedy delegat niemiecki wyraził obawę, że delegaci polscy z Londynu, jeśli idzie o ich „stosunek do niektórych żywotnych zagadnień europejskich", zajmują stanowisko podobne do tego, które reprezentuje zwalczany przez nich rząd komunistyczny w Warszawie, Budnik i Matecki na znak protestu opuścili salę. Reszta rozegrała się z filmową szybkością. Wzięli taksówkę. Obudzili Ambrożego, który po powrocie z gór wysypiał się

w hotelu do obiadu, i pojechali w trzech na lotnisko. Dosyć tej zabawy ! Wracamy do Londynu !

Październikowy deszcz bębnił w blaszany dach. Było zimno, ponuro i mokro. Na szczęście uczynny reporter przypomniał sobie, że ma butelkę koniaku w płaszczu.

Usiedli w poczekalni i poczęli pić na rozgrzewkę.

— Zazdroszczę panu — powiedział Matecki, ocierając usta z bursztynowego płynu. — Stale w podróży ! Tyle wrażeń !

— Cóż z tego, — skrzywił się reporter, — kiedy każą mi te wrażenia przelewać na papier ! Mam taką śmieszną umowę : co dzień muszę wybębnić sto dwadzieścia wierszy na podwójnym odstępie. Na przykład : do jutra muszę machnąć nowy artykulik !

— Na jaki temat ?

— Wszystko jedno na jaki, byle było równo sto dwadzieścia wierszy czegoś niezwykłego i interesującego. Najlepiej idą historie z życia, zdarzenia prawdziwe, tak zwane ,,life-stories'' o podkładzie ludzkim, z tak zwanym ,,human touch''...

— Cóż to znaczy dla pana ! Przy pańskim polocie ! Umie pan tak czarująco opowiadać ! Jak z nut !

— Kiedy już nie potrafię niczego więcej wymyślić ! Pomyślcie tylko : dzień w dzień sto dwadzieścia wierszy ! Oszaleć można ! Wszystkie moje historyjki ludzie znają na pamięć. Panowie ! Dwadzieścia dolarów żywą gotówką za dobry temat !

— Temat ? — rozłożył ręce Budnik. — Skąd tu wziąć dobry temat ?

— A może panowie przeżyli coś ciekawego na tym kongresie?

— Nic mi nie przychodzi do głowy — mruknął kwaśno Matecki. — W polityce nie brak przykrości, ale na ogół nie ma większych sensacji. Może Świątkowski panu pomoże. Myśmy obradowali, ale on przez cały czas kręcił się po mieście, a nawet wypuszczał się w góry...

Fruwający reporter przysunął w stronę trzeciego delegata kubek koniaku i wbił w niego pytające spojrzenie :

— Cała nadzieja w panu. Do trzech razy sztuka. Czy panu się także nic nie przydarzyło ?

Ambroży oderwał się od pocztówki, na której pisał pozdrowienia z podróży, przetarł oczy ręką i po dłuższym namyśle potrząsnął głową.

— Nie, nie przypominam sobie.

— Szkoda ! — westchnął wesoły reporter, a potem pstryknął palcem w rondo sportowego kapelusza i zaczął lamentować : — Co za czasy, jak Boga kocham ! Urwać się można z melancholii ! Panowie, przecież ja byłem najlepszym korespondentem wojennym, a dzisiaj wypisuję historyjki dla grzecznych dzieci, nianki i bony swoim piórem rozrywam ! Do tego już doszło ! Co za czasy ! Nic się nie dzieje, nuda śmiertelna, kompletny zastój w interesie. *Im Westen nichts neues*, czy jak się to mówi ! O czym tu pisać ? O latających talerzykach ?

Delegaci zmarznięci, skurczeni w jesiennych paletkach, nie słuchali wymownego reportera. W natężonym milczeniu zapatrzyli się w mokre szyby poczekalni, każdy pogrążony w swoich własnych kłopotach i troskach.

Zniechęcony dziennikarz także w końcu zamilkł, nastała normalna, poczekalniana cisza.

Na szczęście w megafonie coś zachrobotało, i w blaszanej tubie rozległ się od dawna oczekiwany, radosny głos zapowiadaczki lotów :

— FLIGHT NUMBER 406 READY FOR LONDON !

W tej samej chwili zdumiony reporter spostrzegł, że Budnik, Matecki i Światkowski rzucają się ku wyjściu z takim gorączkowym pośpiechem, jakby wsiadali nie do samolotu, ale do ratunkowej łodzi.

— Psi ! Też mi światowi politycy ! — mruknął do siebie po warszawsku. — Zdawało by się : panowie delegaci, a to żłoby, proszę państwa, zwykłe żłoby z prowincji !

Odsunął kapelusz na tył głowy i machnął pogardliwie ręką.

Tadeusz NOWAKOWSKI

Kronika kulturalna

Faun i święty

(*Rzecz o malarzach Caziel i Manessier*)

Józefowi Czapskiemu

1.

Mówi się, że malarstwo abstrakcyjne jest funkcją architektury. Malraux nie ukrywa zniecierpliwienia, że malarze współcześni myślą o swojej sztuce w kategoriach malarstwa budowlanego. Co prawda, sam uważa, że trudno o malarstwo bardziej harmonizujące z architekturą Nowego Jorku, niż... Cézanne. Caziel przecina tę dyskusję stwierdzając, że malarstwo abstrakcyjne nie powstaje w funkcji nowoczesnej architektury, ale w funkcji marzeń o nowej kulturze. ,,Malujemy dla nowego człowieka, którego jeszcze nie ma — powiada — i mamy pełną świadomość, że malarstwo nasze czyni go możliwym''. Architektura jest funkcją tego ideału kultury.

Ale gdy Caziel wypowiada to przekonanie, jego własna twórczość mu przeczy: jego obrazy przestały domagać się nowej architektury i związanej z tą architekturą nowej ludzkości. Stały się samowystarczalne. Caziel wstępuje do szeregu malarzy abstrakcyjnych — bardzo jeszcze niewielkiego i mało zwartego — który odnajduje dla malarstwa abstrakcyjnego jego miejsce w malarstwie sztalugowym. Rewolucja kulturalna (wraz ze swym przedłużeniem społecznym i politycznym) skończyła się. Jej klęska wzbogaca kulturę o nową formę malarstwa. Obrazy Caziela nie są zaprzeczeniem malarstwa Piero della Francesca, Vermeera, Chardina, Cézanne'a, Bonnarda i Braque'a — można je powiesić obok ich obrazów i odnaleźć ciągłość tradycji artystycznej, która zdawała się być zerwana.

Sztuka abstrakcyjna wraca z wyprawy po nową formę człowieka i cywilizacji i rozpakowuje swoją zdobycz : nie jest nią ani nowy człowiek, ani nowa kultura, jest nią nowa, dojrzała forma sztuki. Cykl, rozpoczęty przez rewolucję kubistyczną, jest zamknięty. Malarstwo uległo rozbiciu, by się przetworzyć. Ludzkość, która przyglądała się dziełu burzycieli zrazu z przerażeniem, a następnie z nadzieją, że ci ludzie może odnowią naszą kulturę, przeżywa rozczarowanie, które jest przywróceniem do rzeczywistości. Ci ludzie nie byli reformatorami społeczeństwa, choć lubowali się w pozorach tej funkcji. Byli burzycielami form sztuki i bunt ich okazał się twórczy : malarstwo wychodzi z ich rąk odnowione, ale jest to wciąż jeszcze to samo malarstwo. Jego światem jest świat koloru, a nie wartości cywilizacyjnych. Dusza została rozszerzona, ale jej substancja pozostała niezmieniona. Ta nowa sztuka nie postuluje nawet nowej formy ustroju społecznego.

A przecież czasy nasze są epoką rewolucyjną. Czyżby nasza sztuka zawiodła ? Z czym mamy wiązać naszą nadzieję, gdy artyści nas opuszczają ? Kto ma nam dać wizję przyszłości, jeśli nie oni ? Czyżby niepokój nasz i nasza tęsknota do odnowy były nie uzasadnione ? Czy nic się nie zmieni ?

2.

Odkąd istnieje sztuka, była zawsze na usługach ideałów naprzód religijnego, potem politycznego i wreszcie społecznego. Od artysty oczekiwano gloryfikacji tych ideałów. Malarz był piewcą społeczeństwa, które pozwalało mu tworzyć. Zrazu związek artysty ze społeczeństwem był tak ścisły, że artysta nie czynił z niego swego przedmiotu, ale swoją misję. On je współtworzył, miał pełne poczucie, że w swojej pracy nie odtwarza jego kształtu, ale że ten kształt wyznacza. Sztuka i społeczeństwo były identyczne. Artysta nie jest tu ani krytykiem ani propagandzistą, jest twórcą kultury narówni z filozofem, politykiem i gospodarzem. Katedry nie są nadbudową kultury, są nią samą. Toteż artysta jest najczęściej duchownym, członkiem elity tego społeczeństwa. Najwyższym wyrazem tej kultury była liturgia, w niej jej ideały i wartości otrzymywały swą symboliczną strukturę. Architekt, rzeźbiarz, malarz, złotnik, tkacz i miniaturzysta nadawali tym symbolom formy artystyczne. A te symbole odtwarzały hierarchię społeczną i polityczną.

W tym okresie trudno mówić o zamówieniu społecznym. Artysta średniowieczny nie miał poczucia, że zawiera kompromis. Kościół niczego mu nie narzucał, to on współtworzył Kościół. Brał najżywszy udział w życiu umysłowym Kościoła. Zamówienie społeczne zaczęło się, gdy religię zastąpiła polityka. Kiedy pękła harmonia Civitas Dei i myśl ludzka udała się na poszukiwanie wartości, nie przewidzianych przez teologów, kiedy ideał religijny wyparty został przez ideał indywidualności, odnaleziony w pismach Starożytnych, kiedy zachwiał się auto-

rytet Papieża i Książę stał się Anty-chrystem — artysta znalazł w swojej sztuce świat, konkurencyjny dla Stworzenia. W mieście, do którego przeniósł się z klasztoru, egzystencja jego zależała od łaski dworu, a nie od łaski Kościoła. Mógł tym dworem być dwór księcia Kościoła, ale był to bardziej dwór książęcy, niż stolica biskupia czy apostolska.

Oddając się na usługi dworu, artysta zachowywał jednak wewnętrzną niezależność. Polityka nie zastąpiła religii w jej funkcji skarbca symboli. Polityka była bardziej rzeczywistością niż ideałem. Oczekiwała od artysty gloryfikacji, ale nie wyznaczała form artystycznych. W tej dziedzinie artysta uzyskał pełną autonomię. Jego zainteresowania skupiły się na formach, a nie na symbolach. Ideologię zastąpiła mu logika dzieła. Artysta realizował w sztuce — równolegle ale niezależnie — ten sam ideał pełnej osobowości, który w polityce realizował Książę. Z Kościołem artysta stanowił jedność, z dworem wchodzi w układ — w układ wzajemnej tolerancji.

Drugi przewrót w kulturze chrześcijańskiej — rewolucja społeczna — która zastępuje Księcia społecznikiem i organizatorem nowoczesnego społeczeństwa, po krótkim okresie identyfikacji sztuki z polityką, która była okresem nieporozumienia, jak cała Napoleoniada, ale która stworzyła prototyp totalistycznego pojęcia kultury — przynosi artyście rozszerzenie jego autonomii. Sztuka staje się jedną z dwóch form czystej spekulacji, która przetworzy całą kulturę, ostatecznie zburzy oparty na autorytecie Kościoła ustrój feodalny i przygotuje trzeci przewrót — rewolucję przemysłową. Tę drugą, obok artysty, formę czystej spekulacji reprezentuje finansista, wróg polityki organicznej, ostatnie wcielenie pełnej osobowości. Finansista uznaje w artyście swego naturalnego partnera, szanuje go, popiera i gdy dostarcza mu zamówień, nie żąda niczego poza tym, by jego sztuka była jak najbardziej sobą, tj. manifestacją wolności.

Zamówienie społeczne staje się identyczne z misją artysty, jak on sam ją rozumie. Pozycja artysty jest na pozór taka sama, jak w średnich wiekach. Jest jednak ta różnica, że wówczas wartości sztuki tkwiły w ideałach popularnych, dziś tkwią w ideałach arystokratycznych. Artysta nie służy harmonii społecznej, ale współdziała w wielkim procesie przemiany historii w dialektykę. Akcentując wolność, która staje się celem samym w sobie („Kto w wolności szuka innej treści, niż ona sama, urodził się by służyć" — powie Tocqueville), Wielcy Spekulanci skazują wszystko, co im dorównać nie może, na niewolę. Społeczeństwo, a wraz z nim cywilizacja i kultura będzie odtąd polem magnetycznym między biegunami wolności i niewoli.

Rewolucja przemysłowa ostatecznie realizuje ten typ kultury. Czysta spekulacja finansowa napotyka coraz częściej na opór czystej mechaniki przemysłowej, która wreszcie wykluczy improwizację i narzuci ekonomii i polityce swoje prawa. Z pana przemysłu, finansista staje się jego sługą. Artysta jest osamotniony, opuścił go ostatni Mecenas. Gdy walka klas przejdzie w walkę

narodów o prymat w cywilizacji przemysłowej, by wybuchnąć w wojnach imperialistycznych dwudziestego wieku, sztuka zostanie zepchnięta na margines społeczeństwa i historii. Artysta oscyluje między swoją wieżą z kości słoniowej a owymi wielkimi wytwórniami demagogii, jakimi są redakcje dzienników. Czując się kapłanem wolności i ostatnim jej obrońcą, daremnie szuka sobie partnera w społeczeństwie. Jest na przemian jego krytykiem, wyniosłym i gwałtownym, i propagandzistą haseł społecznych, coraz bardziej bezsilnych wobec rzeczywistości. Energia kształtotwórcza wyobraźni okazuje się zbyt słaba wobec mechaniki wydarzeń. Gdy człowiek próbuje narzucać rzeczywistości swoją wolę, nie tworzy form, ale wywołuje katastrofy. Dwie wojny światowe przynoszą mechanice ostateczny triumf nad wolą człowieka. Już nie kształt kultury, ale samo istnienie ludzkości zależy od jego kapitulacji przed niezmożoną wolą mechaniki przemysłowej.

3.

Porzuciwszy — w okresie swego sojuszu z finansistą — już nie tylko symbole filozoficzne, ale także konwenans rzeczywistości, który jest bardziej kategorią antropologiczną niż kulturalną, artysta odkrył autonomię form i ich treść, bardziej intuicyjną niż intelektualną. Pozwoliło mu to przebiec ze społeczeństwem część drogi, na jaką Europa wyrzucona została przez ekspansję przemysłową i dzieło kolonizacji. Z rąk etnologa, który kolekcjonował sztukę kultur egzotycznych, by ją klasyfikować zgodnie ze swoim ideałem nauki, i z rąk historyka, który ten sam ideał naukowy stosował do sztuki kultur dawnych, artysta wydziera tę obcą sztukę, by ją wprowadzić do muzeów jako manifestację tej samej woli formy, której czuje się narzędziem. Inwazja przemieni się w bogactwo, ale to bogactwo dokona w sztuce przewrotu.

Z wyrazu indywidualności sztuka staje się wyrazem zbiorowości. Lecz zbiorowością tą nie jest już społeczeństwo, jest ni ludzkość. Cała ludzkość staje się tworzywem kultury i domaga się swego kształtu. Wizja ta relatywizuje wszystkie kultury. Ujawniając ich granice, zaciera je. Wolność zabija indywidualność. Przedmiotem sztuki przestaje być los narodowy i los osobisty, staje się nim znowu — jak w wiekach średnich — los człowieka. Ale jakże się ten los odmienił ! Gdy jeszcze pięć wieków temu obliczem jego było oblicze Boga, stworzonego przez tęsknotę zgubionej w świecie duszy, dziś oblicze jego jest obliczem Fatum, wyrosłym z własnego dzieła człowieka. Pięćset lat temu los także wyrażał się w niedoskonałości natury ludzkiej, ale tą niedoskonałością był grzech, obraza Boska ; dziś niedoskonałością jest błąd kalkulacji i brak sprawności. Wtedy wolność była w pokorze wobec Boga, który był miłością, dziś jest w pokorze wobec ślepych praw fizyki i socjologii, które są be

litosne. Jedno tylko jest tym dwom wolnościom wspólne : że nie są swobodą, ale ograniczeniem.

Artysta przeżywa podwójny konflikt : sztuka jego jest uniwersalna, ale zrozumiała tylko dla wtajemniczonych. Czyż nie powinna stać się zrozumiała dla wszystkich, jeżeli jej powszechność nie ma być pretensją albo tragicznym złudzeniem ? Ale równocześnie sztuka jest bardziej wyrazem indywidualności, niż kiedykolwiek. Wyzwolenie jej z więzów ideologii sprawiło, że ze zbioru symboli stała się psychogramem. Może więc być uniwersalna tylko, jeżeli ten psychogram wyrażać będzie coś więcej jak indywidualność, to znaczy, jeżeli osobowość artysty będzie reprezentatywna dla ludzkości. Artysta musi stać się symbolem człowieka. Pierwszy dylemat sprowadza się do pytania, czy sztuka może swoje idee uczynić ideami kultury, czy też musi wprowadzić na powrót ideologię, a więc filozoficzne symbole ? Drugi dylemat sprowadza się do pytania, czym musi być osobowość artysty, by była reprezentatywna dla człowieka współczesnego ? Pierwsze pytanie stawia artystę wobec wyboru między rolą przywódcy duchowego ludzkości a rolą wykonawcy cudzych planów. Drugie pytanie zmusza go do stworzenia ideału moralnego, w którym problematyka moralna współczesnego człowieka znalazłaby swoje rozwiązanie.

4.

Caziel i Manessier rozwiązują każdy z tych dylematów w inny sposób. Caziel nie wątpi, że jego sztuka jest uniwersalna sama przez się i że może obejść się bez symboli filozoficznych, bez anegdoty, bez ideologii. Powszechność zapewnia jej fakt, że jest pieśnią miłosną. Jej powszechna zrozumiałość jest kwestią wychowania : jeżeli akcent wychowania przeniesiony zostanie z intelektu na intuicję, z aktywności na wrażliwość — artysta stanie się pośrednikiem najprawdziwszej komunii ludzi. Ich wspólnym losem jest Gatunek, ich naczelną funkcją — reprodukcja. Ten los i ta funkcja dominują nad życiem duchowym człowieka. Cokolwiek czyni po zaspokojeniu głodu i po uchronieniu się od zimna, czyni w imię miłości. Caziel zgodny tu jest z Nietzschem, który powiada : „Ohne das intestinale Fieber wird die Kunst zum Quaken kaltgestellter Froesche” *). Rola artysty jest rolą przywódcy duchowego tylko o tyle, że artysta pokazuje, jak człowiek musi traktować swój los, by wyzwolić w sobie minstrela. Artysta tworzy wzór moralny, gdy nie daje się odwieść od swego celu, którym jest zrobienie z dzieła pieśni miłosnej. Sztuka nie jest tablicą przykazań, sztuka jest formą wyzwolenia. W tym wyzwoleniu człowiek uzyskuje harmonię ze swoim losem. Wolność ma treść, nie jest celem samym w sobie : tą treścią jest instynkt gatunkowy. Sztuka jest immanentną kry-

*) Bez żaru fizjologicznego sztuka staje się żabim skrzekiem.

tyką wszystkich form życia duchowego, które instynkt ten negują lub osłabiają.

Manessier nie wierzy w samoistność swojej sztuki. Harmonia form i kolorów sama przez się jest niema. Sztuka nie może obejść się bez symboli filozoficznych. Intuicja błądzi, gdy nie jest poddana dyscyplinie intelektu. Manessier oddaje swoją sztukę na usługi świętej legendy. Jego abstrakcyjne malarstwo jest ilustracją Biblii. Figurą centralną jego sztuki nie jest Faun, jest nią Święty. Manessier rezygnuje z uniwersalności swojej sztuki, a raczej uzależnia ją od uniwersalności katolicyzmu. Jako artysta Manessier jest wykonawcą przykazań Kościoła. Apeluje, tak samo jak Caziel, do intuicji i wrażliwości, ale wyrażony w sztuce i wyzwolony przez sztukę proces duchowy obraca się nie wokół miłości ziemskiej, ale nadziemskiej. Komunia nie jest możliwa lub nie jest kompletna w samym uczuciu — rzeczywistość nadaje jej dopiero myśl. Nie wspólnota Gatunku, ale wspólnota Kościoła jest prawdziwą wspólnotą ludzi. Zjednoczenie ludzkości nie nastąpi w instynkcie, ale w zbawieniu. Sztuka nie jest pieśnią miłosną, jest pieśnią religijną.

Gdybyśmy nie wiedzieli, co o swoim malarstwie myśli Caziel i gdybyśmy nie czytali tytułów, jakie swym obrazom daje Manessier, nigdy nie odkrylibyśmy sporu Fauna ze Świętym, który toczy się w twórczości tych dwóch artystów. Stalibyśmy wobec dwóch nowych, dojrzałych form malarstwa abstrakcyjnego i wiedzielibyśmy tylko, że Caziel i Manessier, to nowe nazwiska w sztuce, które należy dołączyć do szeregu idącego od Picassa i Braque'a poprzez Kandinskyego i Miró do Piauberta. Analizując ich twórczość, znaleźlibyśmy nowe pojęcie koloru i perspektywy, nową koncepcję kompozycji — nie znaleźlibyśmy sporu ideowego. Obaj wydaliby się nam może mistykami, ale tendencja tego mistycyzmu pozostałaby niejasna.

Malarstwo Caziela i Manessier potwierdza żywotność sztuki, która pragnie dotrzeć do absolutu malarskiego bezpośrednio, a nie, jak to czynił Piero della Francesca, za pośrednictwem mitologii religijnej, czy, jak u Vermeera, za pośrednictwem konwencji malarstwa rodzajowego, albo, jak to czynił Chardin, poprzez konwenans martwej natury lub nawet, jak to się działo u Cézanne'a — poprzez konwencję Natury tout court. Malarstwo może istnieć i rozwijać się bez fikcji rzeczywistości, bo fikcja rzeczywistości nigdy nie była istotą malarstwa — oto prawda, którą potwierdzają obrazy Caziela i Manessier, oglądane bez znajomości interpretacji, jaką ci artyści sami nadają swojej twórczości. To prawda, obrazy Caziela są bardziej obrazami sztalugowymi, niż obrazy Manessier, które wydają się wymagać architektury. Ale obrazy Manessier, czy witraże, jakie by z nich zrobiono, wcale nie wymagają nowej architektury: możemy je sobie doskonale wyobrazić w kościele św. Magdaleny w Paryżu czy u St. Sulpice.

Nie ma w tym malarstwie idei poza ideami o malarstwie. Caziel interpretuje swoją twórczość jako mistykę erotyczną, ale

nie daje obrazom poetycznych tytułów. Manessier jest mniej ostrożny, a może bardziej świadomy wymogów rynku i próbuje interpretację swej sztuki jako formy mistyki religijnej narzucić publiczności. Zabieg ten nie zapewnia jednak sztuce Manessier większej powszechności (choćby ograniczonej do powszechności Kościoła), niż ta, jaką ma sztuka Caziela czy w ogóle całe malarstwo abstrakcyjne. Malarstwo to pozostaje ezoteryczne. O jego roli społecznej i kulturalnej możemy dowiedzieć się więcej, studiując jego klientelę, niż patrząc na te obrazy czy indagując ich twórców. ,,Człowiek, którego jeszcze nie ma'' — istnieje. Człowiek ten uważa się zresztą za człowieka przyszłości i niewątpliwie ma w sobie wszystkie cechy, które ujmuje się w pojęciu ,,moderne''. Czy jednak człowiek ten jest reprezentatywny dla naszej epoki, to inna sprawa.

5.

W istocie, naczelnym problemem malarstwa abstrakcyjnego jest pytanie, dlaczego sztuka ta, która zdaje się docierać do absolutu malarskiego bez pośrednictwa symboliki filozoficznej i fikcji rzeczywistości, znajduje swą klientelę w warstwie społecznej, która sama uważa się za elitę współczesnego społeczeństwa, a przez inne warstwy uważana jest za pasożyt. Dla klienteli malarstwa abstrakcyjnego ostatecznym kryterium sztuki jest dobry smak. Wysiłek artysty, który stara się uchwycić absolut, jest dla tych ludzi cenny nie przez swoje osiągnięcie, ale przez swoje fiasko. Nieokreśloność, czy jeśli kto woli względność tego absolutu jest właśnie tym, co tę publiczność zadowala. Bo określoność absolutu byłaby wykroczeniem przeciw regułom dobrego smaku. Być może, tkwi tu nieporozumienie, tragiczne dla artysty, lecz niewielu artystów — czy w ogóle są tacy ? — przejmuje się tym nieporozumieniem, a chyba żaden z nich nie uważa go za tragiczne. Artysta zamknął się w swojej sztuce i jest rad, że pod takim czy innym pozorem społeczeństwo pozwala mu tworzyć.

Malarstwo abstrakcyjne jest dokumentem rozbicia społeczeństwa i nie spełnia misji, jaka zdaje się spoczywać na sztuce współczesnej, a którą jest nadanie kształtu duchowego ludzkości. Artysta żeruje na społeczeństwie, a pewna pasożytnicza warstwa społeczna żeruje na sztuce. Między artystą a jego klientem istnieje nieporozumienie, zamienione w kompromis na zasadzie wzajemnej tolerancji. Artysta nie krytykuje społeczeństwa i nie propaguje jego haseł. Tworzy dla ,,nowego człowieka'', ale nie protestuje, gdy pasożyt mówi : ,,Nowy człowiek — to ja !'' Artysta nadaje ostateczny kształt malarstwu i nie dba o synchronizację swego wysiłku z wysiłkiem innych twórców kultury. Ascetyczna dyscyplina, jakiej poddaje się w swojej pracy, jest, być może, odpowiednikiem takiej samej dyscypliny w nauce, technice i polityce, ale artysta nie wie, czy tak jest i ta ignorancja nie przeszkadza mu w twórczości. Ma niewyraźne poczucie, że służy jakiemuś ideałowi, który wydaje mu się

powszechny, nie związany z żadną tradycją narodową czy religijną i odpowiadający w sposób nieokreślony nie tyle współczesnemu ustrojowi społecznemu, ile marzeniom o idealnym ustroju społecznym. Artysta żyje jutrem i ma nadzieję — dosyć beztroską — że to jutro w pełni usprawiedliwi jego wysiłek.

Wraz z symboliką filozoficzną i fikcją rzeczywistości artysta wyeliminował ze swojej sztuki historię i kulturę, tj. wspólny los ludzkości. Z jego własnego losu pozostała mu już tylko problematyka jego rzemiosła. ,,Wyładowuje się'' w swojej sztuce, zapewne rozwiązuje w niej swoje ,,kompleksy'' i w ogóle stara się jak najmniej odsłaniać swoje troski. Obrazy jego mają b y ć , a nie m ó w i ć . Czym są? Manifestacjami wrażliwości i intuicji w ramach konwenansu sztuki bezosobistej i nieproblematycznej. Sztuka abstrakcyjna jest formą kulturalnego neutralizmu. Postawa, jaka się w niej wyraża — a więc to, co ta sztuka mówi — jest indyferentyzmem. Wszystkie sądy, które człowieka angażują, są zawieszone: można doskonale obejść się bez zajmowania stanowiska wobec czegokolwiek. Moralny wzór tej sztuki wyrażałby się w haśle: ,,Czyń każdy w swoim kole, co każe duch Boży, a całość sama się złoży'', gdyby wiadomo było, co każe duch Boży.

Ale czy ta sytuacja jest nowa? Czy obojętność artysty wobec rzeczywistości społecznej nie jest cechą wszystkich epok naszej kultury? Czy — z wyjątkiem Średniowiecza, gdy artysta identyfikował się ze społeczeństwem — jego interwencje w sporach ideowych nie były zawsze mniej lub więcej uroczym, ale pozbawionym znaczenia nieporozumieniem? Czy pacyfizm Goyi miał jakiekolwiek znaczenie? Czy komunizm Picassa czyni z jego sztuki wyraz komunizmu? Czy stanowisko Cézanne'a w aferze Dreyfusa umniejsza rewolucyjność jego malarstwa?

Sprawiedliwość każe nam przyznać, że artysta współczesny jest bardziej solidarny ze swoim społeczeństwem, niż wielu jego poprzedników. Bo czyż społeczeństwo współczesne nie jest bezideowe? Komunizm Picassa jest na pewno nieporozumieniem, bo sztuka Picassa jest jedną z najdoskonalszych manifestacji indywidualizmu, a więc ideału, któremu komunizm jak najbardziej stanowczo przeczy, a który wzięty został w pacht przez kapitalistyczny Zachód. Czyż perfekcja i ,,czystość'' rzemieślnicza, która jest główną troską współczesnego artysty, nie jest ideałem całej naszej kultury? Cóż innego robi logistyk, technik, ekonomista, a nawet polityk? Każdy z nich odkrył w swoim rzemiośle misję, która go absorbuje całkowicie. Malarz jest tylko specjalistą, ale czyż epoka nasza nie jest epoką specjalizacji? Dla czego mielibyśmy żądać od artysty, czego nie żądamy od innych? Jedynym kryterium, jakie mamy prawo przykładać do sztuki współczesnej, jest pytanie, czy artysta jest dobrym specjalistą. Czy od technika żądamy, by reprezentował wzór moralny? Albo od ekonomisty, filozofa, polityka? Żądamy, żeby dobrze wykonywali swój zawód, to wszystko. Nie

szukamy w tych specjalnościach idej, które mogłyby objąć całość naszej kultury i dostarczyć nam dyrektyw. Dla czego obowiązek ten miałby spoczywać właśnie na artyście?

6.

Artysta jest kapłanem wolności i odkrywcą nadziei, która prześwieca w logice rzeczy. Myśl, która dedukowała świat z idei absolutu, artysta zastępuje intuicją, która szuka absolutu w logice rzeczy. Ale między rzeczami, którymi żyje społeczność, a rzeczami, którymi żyje artysta, jest ta sama różnica, jaka była między komunią Królestwa Bożego a komunią mistyczną. Artysta osiąga absolut w dziele, ludzkość dąży do niego w historii. Caziel poprzestaje na manifestacji absolutu i stwarza wzór moralny, którym jest droga artysty do absolutu. Manessier znajduje w swojej sztuce zaledwie echo absolutu, bo on sam może być osiągnięty tylko przez ludzkość, na końcu historii. Dla Caziela misją artysty jest zapewnienie Gatunkowi zwycięstwa nad Jednostką. Dla Manessier misją tą jest wprowadzenie Jednostki do wspólnoty Kościoła, gdzie Gatunek i Jednostka przezwyciężone są w komunii z Bogiem, którą będzie Królestwo Boże.

Sztuka nie zamyka cyklu, który rozpoczął się, gdy teolog uległ filozofowi, a Papież Księciu. Harmonia Jednostki i Gatunku w Nadziei, której symbolem był Zbawiciel, została rozbita, a sztuka, filozofia i polityka, akcentując to Jednostkę to Gatunek, nie stworzyły nigdy nic poza kompromisem, czyli równowagą prowizoryczną, a więc chwiejną. Nadzieja, jaka przeświecała w logice rzeczy, okazała się pokusą. Zaawanturowawszy się w tę logikę w imię wolności, człowiek znalazł się w pułapce, z której nie ma wyjścia. Miłosiernego Boga, który wydał mu się tyranem, zastąpił logiką rzeczy, która wyrosła na tyrana bezlitosnego. Z osoby, która mogła liczyć na nieśmiertelność, człowiek sam stał się rzeczą. Przestał myśleć o sobie w kategoriach zbawienia, a myśli w kategoriach statystyki. Jednostka i Gatunek, wyzwolone od Zbawiciela, który je godził, szanując ich naturę, stały się tworzywem Mechaniki, która łączy je i rozdziela według swoich kaprysów, nieustannie zadając im gwałt. Odkrywszy najintymniejszą logikę rzeczy, człowiek dotarł do elementów, które tworzą świat, ale zamiast ich siły twórczej, znalazł tylko ich siłę niszczycielską. Może świat zniszczyć, nie może go stworzyć.

Caziel i Manessier nie są dla sztuki abstrakcyjnej reprezentatywni. Są w tej sztuce mistrzami, ale obaj próbują przezwyciężyć jej istotę. Obaj istotę tę fałszują. Chcą zrobić hymn z czegoś, co jest krzykiem rozpaczy. Bo sztuka abstrakcyjna jest krzykiem rozpaczy. Gdy Caziel czuje się ambasadorem Gatunku, a Manessier prorokiem, malarz abstrakcyjny jest przede wszystkim piewcą rozpaczy. Artysta współczesny uzyskał wol-

ność, ale stracił nadzieję. Logika jego rzemiosła, wyzwolona od idej i konwenansów, więzi go tak samo, jak logika rzeczy, odkrycie filozofa i polityka, więzi ludzkość. Ze sztuki, która była organizacją symboli, a stała się organizacją przedstawień, artysta współczesny robi na powrót zbiór znaków. Znaki te jednak nie układają się w ideologię, jak dawniej, ale w psychogram. Osobowość, którą ten psychogram wyraża, jest godna podziwu tylko o tyle, o ile zdobywa się na dobrą minę w złej grze. Tą złą grą jest taniec wokół środka, którym jest nicość. Sztuka współczesna jest krążeniem ćmy dookoła płomienia. Finał tego tańca jest tylko kwestią czasu.

Sztuka abstrakcyjna jest dokumentem epoki, a artysta jej figurą reprezentatywną. Caziel i Manessier nie chcą na rozpaczy poprzestać, próbują ją interpretować. Ale ta interpretacja nie zmienia rzeczywistości. Sztuka Caziela jest dla Gatunku tak samo bezużyteczna, jak sztuka Manessier dla religii. Nie można nadziei wyrażać środkami rozpaczy. Cóż jednak zmusza nas do tego, by interpretacje Caziela i Manessier przyjmować za dobrą monetę? I cóż nas zmusza, by rozpacz uważać za ostatnie słowo mądrości? Czy jesteśmy skazani na mniej lub więcej zabawne albo na mniej lub więcej rozpaczliwe szalbierstwo? Czy nic nas nie uratuje od rozpaczy?

7.

Artysta ma dwa przywileje, którymi nikt inny poszczycić się nie może: jest jedynym konkurentem Stwórcy, bo tworzy świat według swej woli i jest jedynym człowiekiem, który może osiągnąć pełnię osobowości, bo jest najmniej krępowany przez naturę rzeczy. Historia, która tak po macoszemu obchodzi się ze wszystkimi innymi typami kulturalnymi, zdawała się nie mieć większej troski, jak zapewnić artyście te przywileje, ich ochronę i ich rozszerzenie. To jest powód, dla którego ludzkość wciąż na nowo skierowuje swój wzrok na artystę i od niego oczekuje dobrego przykładu. Jeden artysta jest na prawdę wolny, on jeden osiąga bez trudu cel, który dla wszystkich innych ludzi jest trudem syzyfowym. Każdy przywilej pociąga za sobą odpowiedzialność. Gdy uprzywilejowani od niej się uchylają, społeczność choruje.

Artysta obdarzony jest ponadto przywilejami, które dzieli z innymi, ale posiada jakby w większej mierze. Wszystkie inne rzemiosła i zawody ograniczają los człowieka. Rozwijają tylko pewne zdolności i energie kosztem innych. Sprawność techniczna zabiera tu czas i siły, które odwodzą od istoty twórczego wysiłku i ograniczają jego rezultat. Nawet pisarz — z wyjątkiem jednego może poety — nawet muzyk podlegli są bardziej tej tyranii techniki, niż malarz. Gdy nabrał pewnego mistrzostwa wystarczy mu kilka kresek na papierze, by wypowiedzieć się bez reszty. Niektóre rysunki Rembrandta zdają się zawierać

absolutnie wszystko: pełny inwentarz świata, myśli, uczucia i woli, zaklęty w jedność, która nie trwa ale żyje.

Do przywilejów artysty należy także niewątpliwość wielkości, gdy została osiągnięta. Wielkość w każdym innym zawodzie podlega interpretacji, nieraz wystarczy nieco czasu, by zbladła, a nawet stała się wątpliwa. Trzeba z nią razem rekonstruować jej okoliczności, by jej oddać sprawiedliwość. Arcydzieło sztuki trwa niezmienne. Władze duchowe, czynne w sztuce, są najmniej plastyczne, najmniej zmienne, choć niewątpliwie najsubtelniejsze. Gdy muzyka, filozofia i polityka, a nawet poezja przestają być zrozumiałe, bo zmieniło się podłoże symboli, na którym operują — Mona Liza jest równie żywa jak w chwili, gdy zachwycony Leonardo odejmował pędzel od tego płótna. Dzieło sztuki obchodzi się bez komentarzy i wymaga minimum wysiłku odtwórczego. Wystarczy pełna duchowa obecność.

Następnie, artysta ma swobodę niezmiernie rzadką: może zamknąć wszystko, co ma do powiedzenia, w jednym dziele i może przy tworzeniu każdego nowego dzieła stawać się kim innym. Każda inna praca wymaga całego życia, by wyczerpać osobowość i pozwolić jej wyrazić się w pełni. Jeden artysta może — jeżeli zechce i jeśli mu na to pozwala bogactwo wewnętrzne — być Proteuszem. On jeden nie tylko stwarza świat, i to z niczego, ale może go sam zaludnić. On jeden wreszcie może ze sprzeczności, z przeczenia samemu sobie zrobić element swojej wielkości, nie wprowadzając nikogo w błąd. Artysta jest na prawdę wolny, — nikt nie może być tak wolny. Jest to jego przywilej zawodowy.

Toteż, gdy świat patrzy na artystę, jest w tym spojrzeniu nie tylko nadzieja, ale i zazdrość. Zły to artysta, który się w podziwie ludzkim przegląda. I zły artysta, który nadzieję ludzką lekkomyślnie zawodzi. W przywilejach artysty tkwi jego misja. Arcydzieło pokazuje ludziom wymiary duszy. Ale wielkość człowieka sprawdza się i dojrzewa w obliczu losu, z którym się mierzy. To prawda, opór rzeczy, na który natrafia artysta — płótno, farby, pędzle, logika barw, znaczenie plam — jest nie wielki i stosunkowo łatwy do pokonania. Ale naprzód — za każdym osiągniętym horyzontem otwiera się nowy: nie masz końca komplikacjom i subtelnościom. To jednak jest niejako tylko zawodowy, techniczny los artysty. Rozszerza go znaczenie plam, bo w ich kształtach i relacjach pojawiają się wyobrażenia, a te dotyczą już losu ludzkiego w ogóle.

To prawda, wyobrażenia te nie są rzeczywistością, nie można się na nie natknąć cieleśnie. Zabłądzenie w pustyni wyobrażonej nie grozi śmiercią z pragnienia i głodu. Artysta zawsze może się wycofać, jak ze złego snu. Ale czyż poza takimi granicznymi wypadkami, los rzeczywisty nie pojawia się jako nasz partner dopiero, gdy go sobie uświadamiamy, a więc gdy go w swej wyobraźni odtwarzamy? Śmierć pod kołami autobusu jest tragicznym wypadkiem, nie jest tragedią. Iluż ludzi

przeżywa tragedie, nie wiedząc o tym. Ale nie oni są tragicznymi bohaterami, tylko raczej ci nawet, którzy przeżywają tragedie wyimaginowane, skoro tylko ta wyimaginowana sytuacja angażuje ich rzeczywiście i bez reszty. Dla tego właśnie, że z losem spotykamy się tylko jako artyści — los, z którym artysta się mierzy i wynik tych zmagań mają tak wielkie znaczenie. Czymkolwiek byłby Michał Anioł w życiu prywatnym, signor Buonarotti był tytanem, który przeszedł do historii jako Michał Anioł.

Zostawmy malarza abstrakcyjnego przed tym zwierciadłem i odejdźmy. Moglibyśmy go zawstydzić.

5.

Los człowieka współczesnego jest tragiczny przez jego ucieczkę przed losem. Malarz abstrakcyjny jest typem współczesnego człowieka. Ma to samo odwrócenie głowy.

Jan ULATOWSKI

Na marginesie wystawy

Najczęściej rysowane węglem lub piórem, te oblicza żyją przed naszymi oczami, niektóre patrzą na nas. Wystarczy skupić uwagę, a iskra życia ukryta w tych rysunkach zacznie tlić się w nas samych : oto postawa, spojrzenie, usta, zmarszczki, młodość tych ludzi, którzy odeszli, ich ciało i to co poprzez ciało przeziera, utwierdza się, staje przed nami, nierozerwalnie złączone z niewidzialną twarzą malarza, który gwałtownie stawia jakieś twierdzenie czy zapytanie, drżący i olśniony wieczną niewiadomą życia.

Łączy tych malarzy jednakowa technika, której używają wszyscy : szkicowanie rysunku bardzo bladym inkaustem, aby potem podkreślić mocniejsze wartości inkaustem ciemniejszym : profil kardynała Albrechta Brandenburskiego, pióra Duerera. Myślę o tym gęsim piórze, którym się posługiwali ; jakież nacięcie może nadać mu tę cienkość i giętkość, wywołać tak równomierny upływ inkaustu ? Lekkość tego ptasiego pióra, które na szorstkim papierze wywołuje efekty białości ! Ta lekkość wobec której cierpkość naszych stalówek czy brak wrażliwości wiecznego pióra powodują znaki niegodne antenata. Ten rysunek piórem pozostaje niezmienny u tych samych artystów kiedy wy-

---

Wystawa rysunków szkół niemieckich XV i XVI wieku w gabinecie rysunków w Luwrze.

stępują jako rytownicy w drzewie lub miedzi. Opanowanie podobnej techniki rysunku zachwyca mnie : każdy znak rysuje tu masę w świetle i cieniu. Ale w ramach tej samej świetnej techniki znać jednak olbrzymi przedział pomiędzy rysunkami Hansa Baldunga i innych współczesnych mu artystów niemieckich, a nawet pewnymi rysunkami samego Duerera, a innymi jego rysunkami, w których Duerer przed daną twarzą, aktem, krajobrazem potrafi zapomnieć o swojej technice, by stać się jedynie żarliwym uczniem Natury. Niech tylko zaś szkicuje projekt kompozycji obrazu czy sztychu, wpadnie znów w styl rysunku swojej epoki.

Weźmy rysunek węglem twarzy tego młodego blondyna o tak jasnych niebieskich oczach, uwieńczonego aureolą wielkiego kapelusza : stosunek wartości poszczególnych części twarzy w zestawieniu z wartościami kapelusza, stosunek zaobserwowany z taką pokorą, a tak genialnie podpatrzony i nakreślony, że całość daje człowieka jedynego kolorem i twarzą.

Erazm z Rotterdamu : można by prawie uwierzyć, że to rysunek dziewiętnastowieczny, Delacroix czy Corot, tak odbiega zarówno od stylizacji gotyckiej, jak od renesansowej linii która ją właśnie zastąpiła. Erazm musiał czytać : ten zarys opuszczonych powiek, lewe oko prawie zamknięte, prawe na wpół otwarte, rozciągłość gamy wartości twarzy — od śladu muśnięcia na papierze do nacisków ostrych, w kolorze zdecydowanie czarnym. Duerer jest tu tak przejęty wartością, że pozwala sobie na znak nierówny, niemal gorszący w jego wypadku ; jesteśmy nim zaskoczeni : można by sądzić, że jest niezgrabny w rysunku. Jego płynny barokowy rysunek jest nam tak dobrze znany, że jesteśmy oszołomieni podobną pokorą, tak doszczętnym ogołoceniem się z nabytej wiedzy : oto Duerer posuwa się po nieznanym sobie terenie.

W żadnym z obrazów Duerera nie spotkamy tych drzwi rozwartych w nieznane, tej czułości na światło zapowiadającej otwarty rysunek Rembradta, nie spotkamy owego zaniku linii ograniczającej kształt, zastąpionej tu rozdziałem dwóch różnych wartości : w cieniu, prawa strona podbródka Erazma, oświetlona odblaskami, odcina się na tle wyłogu płaszcza.

Są tu też, nieco dalej, ręce Erazma rysowane przez Holbeina ; technika jak przy szkicu węglem czy sangwinie, szkicu objętego rzutem pióra tak ostrym i wrażliwym na kształt, owym Holbeinowym rzutem wobec którego znak Rafaela czy Ingres'a wydaje się niemal włóknisty. A przecież możemy wyśledzić punkt wyjścia : na karcie papieru na której jest jedna tylko ręka (sangwina, wykończona piórem) po lewej stronie widać szeroki szary rzut szkicu twarzy Erazma, szkic uchwycony jednym tchem, pod wrażeniem chwili, ten sam, który dostanie się później pod to ostre pióro, to utwierdzenie tak gwałtowne, że zdumiewa nas ono dziś jeszcze po tylu wiekach w których rysowali malarze.

Jednakże, siłą mego usposobienia, bliższy mi jest Duerer badający wartości, ten którego odkryłem dzisiaj ; przekładam żywe drgnienie światła na skórze twarzy ponad rzut Holbeina, mimo że stanowi on niewątpliwie jeden z najwyższych szczytów, które może osiągnąć człowiek. Rzut Holbeina jest właśnie tak nadzwyczajny, że już nie służy życiu, każe nam o nim zapomnieć i staje się jedynym celem delektacji.

Czy Natura jest sługą malarza, który ma umrzeć po to, żeby istniały w największej swej rzadkości środki malarstwa (rysunek, na przykład) stające się najwyższym celem delektacji ; czy też cel ten polega na wyrażaniu i oddawaniu ludziom w wieczne posiadanie chwili życia naszej ziemi poprzez środki malarstwa, środki które po długim i niezmordowanym poszukiwaniu — musiał Duerer zaimprowizować w wilię swojej śmierci, nadal olśniony życiem i widząc je jakby po raz pierwszy.

Jean COLIN

Od nadrealizmu do konwencji *(dok.)*

Wszystkie trzy filmy realistyczne, które tu będę omawiał, są adaptacjami dzieł literackich. *Les enfants terribles* to dokonana przez reżysera Jean Pierre Melville'a przeróbka powieści Jean Cocteau, *The Pickwick Papers* jest pierwszą dźwiękową wersją filmową ,,Klubu Pickwicka'' Dickensa, zrealizowaną udatnie przez Anglika Noel Langley'a, a *Snows of Kilimandjaro* wywodzi się z noweli Ernesta Hemingway'a, przerobionej i rozszerzonej przez Amerykanów — scenarzystę Casey Robinsona i reżysera Henry Kinga. Mamy tu do czynienia z trzema sposobami wyzyskania dla filmu wartościowego surowca literackiego.

Reżyser francuski miał zadanie prostsze od swych anglosaskich kolegów. Poszedł wiernie za ponurą, nie pozbawioną poezji i symboliki, ale w głównym swym nurcie psychologicznie realistyczną powieścią Cocteau o bracie i siostrze, zawikłanych w neurotyczną zależność wzajemną, nie uświadamiających sobie swych kompleksów, obijających się o siebie boleśnie i tragicznie, by wreszcie skończyć podwójnym samobójstwem — połączyć się w równoczesnej śmierci, usuwającej dzielącą ich w życiu niezwalczoną przegrodę. Melville umiejętnie zastosował wszystkie elementy języka filmowego do dzieła literackiego

Cocteau. Gra aktorów — Nicole Stephane, Edwarda Dermitle, René Cosima, Jacques i Rogera Bernard i in. — dekoracje i rekwizyty podkreślające chorobliwą atmosferę dramatu, świetna fotografia i takiż montaż — to wszystko wydobywa (chyba w optymalnym zakresie) treść myślową dzieła wielkiego poety i jego nastrój. Osobiście nie uważam tej powieści ani tego filmu za najlepsze osiągnięcia Cocteau. Wydaje się, że myślowo poeta nie wyszedł tu poza Freuda, Adlera i ich uczniów. Być może nie czytał wcale Junga, albo nie uznaje wielkich zdobyczy tego filozofa i psychologa, który wiedzę o kompleksach posunął znacznie dalej od swych poprzedników w dziedzinie psychologii głębinowej, a przede wszystkim odkrył w psychice ludzkiej obecność ruchów teleologicznych i w ten sposób przywrócił człowiekowi godność podmiotu wolnej woli. W rezultacie atmosfera *Les enfants terribles* jest ciężka, beznadziejna. Tym nie mniej film ten jest dziełem sztuki wysokiej klasy. Jeśli nawet nie przekonywa, że takie być musiały życie i śmierć dwojga neurotyków, to budzi a przynajmniej może budzić zdrowy ferment, dociekania nad losem ludzkim. Swym współczuciem dla człowieka, swą wizją poetycką, a zarazem bardziej uniwersalną i odkrywczą, niżby się to zdawało zwolennikom tanich uproszczeń — *Les enfants terribles* zapładniają myślowo i — może nawet ponad zamiar twórcy — ostrzegają przed życiem bezczynnym, nieświadomym, zasklepionym w skorupie własnego ja.

Podczas gdy dzieło Cocteau-Merville'a jest dobrym przykładem realizmu o zabarwieniu poetyckim i miejscami symbolicznym (np. Nicole Stephane padając martwa po samobójczym strzale, ciałem swym obala olbrzymi parawan, którym brat odgrodził się, aby żyć własnym życiem we wspólnym, dziwacznym domu) — w przypadku *Pickwick Papers* mamy do czynienia z bardzo zręczną, artystyczną robotą filmowo-literacką nieco innego typu. Noel Langley nie mógł żadną miarą sfilmować całej obfitości szufladek tematycznych, z których składa się to dickensowskie arcydzieło bez kompozycji. Wobec tego z licznych wątków powieści wyciągnął nici dotyczące upartej walki pana Pickwicka z wydrwigroszem Jingle oraz wojną Pickwick - Bardell i dodawszy zacnemu prezesowi Klubu do pomocy nie tyle osoby, co sylwetki panów Winkle, Snodgrassa i Tupmana, stworzył zwartą fabułę, w której pojawiają się jeszcze: pan Wardle, jego matka, siostra i córki, śpiący chłopak Joe, Sam Weller (najmniej utrafiony, bo zbyt nowoczesny i za mało filozof) i parę innych osób.

Operacja Langley'a udała się, co w znacznej mierze zawdzięcza on bardzo dobrej grze Jamesa Haytera (Pickwick), świetnego Nigel Patricka (Jingle), Alexandra Gauge'a (Tupman) i in. W sumie Langley osiągnął znacznie więcej, niż skrót filmowy powieści: nasycił swój obraz autentyczną atmosferą pickwickowską, co jest wielkim sukcesem, gdyż musimy pamiętać, że nawet tak wielki aktor jak Charles Laughton potknął się

na roli Pickwicka w realizacji scenicznej w Londynie w r. 1928, uznanej przez krytykę za nieudałą. Mimo drobnych niedociągnięć, jak złe postawienie ról Sama Wellera i jego ojca i mimo niewielu przeinaczeń, które reżyser — może niesłusznie — uważał za konieczne (np. sekundantem pana Winkle w pojedynku z doktorem Slammerem jest w filmie sam pan Pickwick) nie ulega dla mnie kwestii, że wielbiciele Dickensa (a jest ich przecież legion) powinni być wdzięczni Langley'owi za dodanie pierwszej dźwiękowej (i udanej!) realizacji ,,Klubu Pickwicka'' do poprzednich filmów tego autora (*Dawid Copperfield*, 1935, realizacja amerykańska, *Great Expectations*, 1946 i *Oliver Twist*, 1948 — angielskie, z Alec Guinessem). Kto obejrzy ten film, złapie się pewno przy pierwszym ponownym czytaniu powieści na podstawianiu pod opisywane postacie niektórych przynajmniej aktorów i większości sytuacji.

Ernest Hemingway nie miał takiego jak Dickens szczęścia w przeróbce swej krótkiej noweli na film *Snows of Kilimandjaro*. Nie dość, że adaptator Robinson do spółki z reżyserem H. Kingiem rozdęli utwór do karykaturalnych rozmiarów robiąc z niego pseudoautobiografię kolorową autora, ale w dodatku sfałszowali zakończenie ulegając płaskiemu konformizmowi happy endu (lub — jak by powiedzieli w dzisiejszej Polsce ,,happyendyzmu''). Film pokazuje popularnego powieściopisarza umierającego po wypadku na polowaniu u stóp góry Kilimandżaro w Afryce. W gorączce przesuwają się przed oczami bohatera (i widza kinowego) obrazy przygód (zwłaszcza miłosnych) zmarnowanego życia, które chciało osiągnąć zbyt wiele i zaniedbanego talentu, który nie potrafił dość stanowczo dążyć do syntezy i koncentracji. W oryginale pisarz umiera — w filmie przybywa nagle samolotem ekipa sanitarna, co zdaje się wróżyć szybki powrót do zdrowia. W ten sposób realizatorzy spaczyli dzieło literackie. W pewnej mierze ratuje je dobra gra wybitnych aktorów — Gregory Pecka (w roli głównej), Avy Gardner (tu bardzo dobrej) i Susan Hayward — i ciekawe zdjęcia polowań na grubego zwierza w Afryce. Źródła błędów tego filmu są całkiem jasne: chęć imponowania widzowi bogactwem, wspaniałością i ilością wątków oraz urodą znanych artystów. Rezultat? Film przydługi, najsłabszy z obrazów Hemingway'a, znacznie zimniejszy np. od *For Whom the Bell Tolls*.

KRYTYK

Do prenumeratorów ,,Kultury''

Przypominamy, że każdorazowa zmiana adresu pociąga za sobą dodatkową opłatę w wysokości 35 frs. (bądź równowartości), którą należy przekazywać do Redakcji w międzynarodowych kuponach pocztowych lub do przedstawicielstwa za pośrednictwem którego ,,Kultura'' jest prenumerowana — w znaczkach pocztowych.

W odpowiedzi

Przystępując do odpowiedzi na listy ogłoszone na łamach ,,Kultury'' w związku z moim artykułem ,,Sprawa polska w USA'' nie mogę ograniczyć się tylko i wyłącznie do polemizowania z tymi, którzy swoje zdanie wypowiedzieli drukiem. Echa bowiem mojego artykułu były i są znacznie szersze, wypowiedzi z nim związane znacznie obszerniejsze i czasami znacznie mniej powściągliwe w tonie i treści, aniżeli to co zostało ogłoszone w ,,Kulturze''. Z tego powodu zmuszony jestem ponownie poruszyć samą sprawę, samo zagadnienie, o którym pisałem : czy jest sprawa polska w Ameryce ? Czy polska emigracja polityczna odgrywa właściwą rolę na terenie amerykańskim ? Czy formy i sposoby działania są skuteczne ?

Zanim po raz drugi postaram się odpowiedzieć na te pytania pragnę zaznaczyć, że teza moja polegała na twierdzeniu, iż sprawy polskiej nie ma na skutek tego, że nie została ona należycie postawiona. Że jej nie ma na skutek niedostatecznego działania emigracji politycznej. W odpowiedzi na tego rodzaju przedstawienie zagadnienia spodziewałem się dyskusji i wymiany zdań. Pomijam tych, którzy ograniczyli się do walki podjazdowej, propagandy szeptanej i ataków personalnych. Ale pisząc na temat tak bardzo istotny miałem nadzieję, że czytelnicy i redakcja ,,Kultury'' zasypani zostaną listami. Liczyłem, może naiwnie, że artykuł mój będzie okazją do ujawnienia po raz pierwszy rozlicznych poczynań emigracyjnych o których cicho na zewnątrz. Łudziłem się, że w odpowiedzi na moje twierdzenie, że sprawy polskiej w Stanach Zjednoczonych właściwie nie ma, posypią się głosy uzasadniające dlaczego nie mam racji i po-

pierające owe uzasadnienia faktami, których nie znałem. To byłaby droga najprostsza, droga przyjęta w normalnych społeczeństwach demokratycznych. Dyskusja prasowa jest bowiem przyjętym zwyczajem i zwyczajem specjalnie pieczołowicie pielęgnowanym w krajach typu Wielkiej Brytanii, czy Stanów Zjednoczonych.

Teza zasadnicza mego artykułu, że sprawy polskiej nie widać na tym ważnym terenie nie została przez nikogo jawnie zakwestionowana. Natomiast obszernie i szeroko zwalczana ona była i jest przez koła polityczne, które są, czy powinny być, propagatorami spraw polskich na emigracji. Argumentem najbardziej skutecznym z tej strony wydaje się twierdzenie, że ktokolwiek by dzisiaj miał w ręku sprawę polską nie zdołałby jej postawić inaczej, lepiej i pełniej. Argumentem najmniej przekonywującym jest to, że i tak wielkie mocarstwa liczą się tylko z elementami siły politycznej i że skoro my jako emigracja takiej siły nie reprezentujemy, przeto wystarczy przetrwanie. Działanie byłoby luksusem, czasami luksusem przyjemnym, ale tylko luksusem. Gdyby takie przekonanie było powszechne wrócilibyśmy do hasła o Polsce jako sumieniu świata, Polsce która operować będzie w przyszłości krzywdą jaka jej została wyrządzona jako atutem w rozgrywkach politycznych.

Zwolenników takiej teorii o ile jeszcze nadal przy niej trwają odsyłam do artykułu napisanego przez Hamilton Fish Armstronga, redaktora kwartalnika amerykańskiego ,,Foreign Affairs". W artykule tym Armstrong stawia tezy nowej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Jeżeli chodzi o nasz teren jest to polityka wyzwolenia w połączeniu wszakże z mocnym stwierdzeniem, że Zachód nie ma zamiaru i nie chce prowadzić wojny tylko o uwolnienie krajów okupowanych. Natomiast ten sam Zachód gotów jest wygrać wszelkie wewnętrzne kłopoty sowieckie na terenach przez nie okupowanych. Jednym z takich kłopotów jest dla Rosji, zdaniem Armstronga, sprawa wschodnich granic niemieckich. I tutaj Armstrong, bliski współpracownik Foster Dullesa twierdzi, że można łatwo pokłócić komunistów rosyjskich i polskich i niemieckich przez postawienie przez Zachód jasno politycznej linii dotyczącej tych granic. Polacy winni się dowiedzieć, że mamy zamiar poprzeć ich pretensje do terenów wschodniej Galicji zabranych przez Stalina — powiada Hamilton Fish Armstrong — podczas gdy Niemcy dostaną zapewnienie i Polacy ostrzeżenie, iż Polska będzie musiała zwrócić ziemie czysto niemieckie, które przydzielone jej zostały przez Stalina jako kompensata strat wschodnich.

Nie wchodzę tutaj w meritum sprawy. Natomiast wydaje mi się, że w punkcie zwrotnym w jakim w tej chwili się znajdujemy, w chwili kiedy koniunktura na sprawy wschodnio europejskie wzrasta, w chwili kiedy prowadzona zostanie zasada ofensywy ideologicznej przeciwko Rosji, rola jaką może odegrać emigracja wzrasta w równym stopniu. Tenże sam Armstrong pisze, że przedwczesne powstania byłyby politycznym błędem.

Natomiast chce on drogami ofensywy psychologicznej stwarzać ferment wewnętrzny w granicach sowieckiego imperium. O ile naszego głosu w takim momencie zabraknie, o ile tak jak dotychczas będziemy żyli na marginesie wydarzeń, które nas bezpośrednio dotyczą, to koło historii przetoczy się obok polskiej emigracji politycznej przez nikogo nie zauważonej.

Gotów będę w pełni przyznać pomyłkę mego twierdzenia wyrażonego w artykule „Sprawa polska w USA" iż sprawy tej nie ma, jeśli w chwili obecnej przywódcy polskiej politycznej emigracji w Ameryce uchwycą w swoje ręce inicjatywę działania. Inicjatywa ta musi być na tyle realistyczna i na tyle licząca się z prądami, jakie w tej chwili idą, aby nie zamknęła nam dostępu do ludzi, którzy przejmują obecnie w swoje ręce kierownictwo amerykańskiej polityki zagranicznej. O ile bowiem przy tym stole teraz nas nie będzie to żadne protesty, żadne późniejsze żale na nic oswobodzonemu krajowi się nie przydadzą.

Jak dotychczas formy i sposoby działania społeczeństwa emigracyjnego były zbyt nikłe na to, aby wydźwignąć nasze zagadnienie na światło dzienne. Jakkolwiek jesteśmy i będziemy w przyszłości języczkiem u wagi stosunków rosyjsko-niemieckich, jakkolwiek Polska może łatwo posłużyć w nowej, częściowo sfederowanej Europie, jako oś państw małych i średnich służących za wentyl bezpieczeństwa wobec zawsze grożących możliwości nadmiernego wzrostu potęgi wojskowej Niemiec lub Rosji, jak dotychczas nie słychać o tym aby czy to Amerykanie czy to Polacy pokusili się o sformułowanie planu tego po-wojennego ustawienia. Istnieje wprawdzie polska koncepcja federalna, która jednak nie ma oparcia w obecnym układzie sił politycznych wśród emigracji środkowo-europejskich. Stawiając sprawę naszą jako sprawę europejską, nie polską, moglibyśmy znaleźć i posłuch i może zrozumienie głębsze wśród naszych możnych przyjaciół. Jak dotychczas szansa takiego zrozumienia ginęła w morzu zagadnień drugo i trzeciorzędnych, którymi zdajemy się być całkowicie zaprzątnięci.

Jedną z form naszego działania jest radio. Część mego artykułu, w której piszę o programach radiowych wywołała najwięcej protestów. List pp. Nowaka i Strzetelskiego był delikatnym wyrazem tych protestów. Pan Nowak, jak wiadomo, jest kierownikiem działu polskiego Radia Wolnej Europy w Monachium, podczas gdy p. Strzetelski prowadzi taki sam dział w Nowym Jorku.

W artykule moim przechodząc ze spraw czysto politycznych do zagadnień propagandowych wyciągnąłem wniosek, że skoro brak jest jedności działania i skoro istniejące ugrupowania nie dały materiału ideologicznego, oprócz pewnych stanowisk bezspornych, przeto siłą rzeczy radio musi się oprzeć na polityce amerykańskiej. Amerykanie dali emigrantom z krajów za żelazną kurtyną instrument działania w postaci Radia Wolnej Europy. Początkowym założeniem amerykańskim było oddanie tego radia na wyłączną niemal własność użytkową tymże emigran-

tom. Sytuacja uległa zmianie jeszcze w początkowej fazie istnienia RWE, kiedy się przekonano, że uchodźcy mocno różnią się między sobą jeżeli chodzi o to co ma być do Polski nadawanc. Brak jednolitego stanowiska ośrodków polskich wytworzył lukę, która musiała być wypełniona polityką amerykańską wobec tych obszarów na których znajduje się Polska. O ile by Amerykanie tej luki nie wypełnili czy nie chcieli wypełnić powstałby chaos.

Zarówno ze strony amerykańskiej jak i polskiej to sformułowanie poglądów spotkało się z objawami wyraźnego niezadowolenia. W moim stwierdzeniu, że Radio Wolna Europa jest radiem amerykańskim dopatrzono się aluzji do rzekomej cenzury tekstów. Aluzji takiej nie było. Twierdzenie to bowiem wynikało z biegu rozumowania opisanego powyżej. Przy tym napisałem jednocześnie, że politycy polscy do kraju przemawiają i że mówią co chcą. Natomiast brak centralnego ośrodka politycznego polskiego, ośrodka z którym liczyliby się Amerykanie wpływał i nadal wpływa na technikę wykonawczą roboty radiowej. Pisząc na przykład o sytuacji jugosłowiańskiej i o pomocy udzielanej przez Zachód Marszałkowi Tito, autorowie skryptów długo zastanawiają się nad tym jak to napisać. I zwykle przeważa tendencja przemilczania istoty zagadnienia, żeby nie urazić Amerykanów. Spotkałem się z tym osobiście na terenie działu polskiego w Nowym Jorku. Podobnie byłem świadkiem przemilczania faktu odmiennego poglądu na zagadnienie granic zachodnich polskich ze strony amerykańskiej i polskiej. Istniała tendencja przemilczania tych różnic. Wydaje mi się, że to polityka zła. Byliśmy świadkami podobnych metod stosowanych wobec Kraju podczas wojny i widzieliśmy ich tragiczne skutki. Tego typu wypowiedzi jak cytowany wyżej artykuł Hamilton Fish Armstronga, który może być bardzo łatwo poczytywany za półoficjalny program amerykańskiej polityki zagranicznej na najbliższą przyszłość, winny być w pełni nadawane do Polski. Słuchacze Radia Wolnej Europy zasługują w pełni na zaufanie i winni być informowani, a nie poddawani przyjemnym, ale złudnym metodom usypiania czujności.

Zaznaczam, że piszę tutaj tylko i wyłącznie o stronie nowojorskiej operacji Radia Wolnej Europy, jako że strony monachijskiej nie znam. Dodam przy okazji, że artykuł mój pisałem w chwili kiedy stacja monachijska jeszcze nie wchodziła w rachubę przy analizie całości. Także kiedy była mowa o doborze personelu miałem na myśli Nowy Jork i to Nowy Jork z okresu początkowego, co wyraźnie podkreśliłem. Wtedy były owe protesty ugrupowań politycznych przeciwko tym czy innym kandydaturom personalnym. Wtedy, na jesieni roku 1949-go, między innymi o ile dobrze pamiętam utrącone zostały kandydatury ludzi, którzy potem przy doborze personalnym do Monachium weszli w skład zespołu RWE.

W odpowiedzi swojej pp. Strzetelski i Nowak właściwie zgadzają się z moją tezą, jakkolwiek pozornie są jej przeciwni. Piszą oni bowiem, że ,,Programy nie podlegają cenzurze i ini-

cjatywa redakcyjna i polityczna należy całkowicie do Polaków". Po czym dodają: „Polski zespół rozgłośni Wolna Europa nie rości sobie żadnych pretensji do odgrywania roli ośrodka politycznego. Uważa natomiast, że misja jego polega m. in. na utworzeniu pomostu i odbudowaniu łączności między rzeszą polską rozsianą po świecie, a okupowanym Krajem".

Całkowicie się zgadzam z tym sformułowaniem. Celem mego artykułu było właśnie powiedzenie tego samego: skoro zespół polski Radia Wolnej Europy nie jest ośrodkiem politycznym, bo nim być nie może, przeto tego typu ośrodek winien powstać poza nim. Ośrodek ten winien zespół radiowy zapładniać koncepcjami, ideami, myślami politycznymi.

Skoro inicjatywa redakcyjna i polityczna należy całkowicie do Polaków i skoro jednocześnie pp. Nowak i Strzetelski stwierdzają, że tej inicjatywy w części politycznej nie może wziąć na siebie zespół Polaków pracujących w Monachium, to winien ją wziąć w swoje ręcę jakiś czynnik zewnętrzny. Obecna próba małego zespołu doradczego, jaka została podjęta w Nowym Jorku jest właśnie posunięciem w jak najbardziej właściwym kierunku.

Echa tego co napisałem dochodziły mnie w różnej formie. W wielu wypadkach miałem dowody, że ludzie stojący na uboczu polskiego ośrodka nowojorskiego, byli zdania, że wypowiedziałem ich myśli i skrystalizowałem ich wątpliwości. Ataki najmocniejsze spotkały mnie ze strony kół związanych z Komitetem Wolnej Europy. Nawet zawodowa organizacja dziennikarska, jaką jest Syndykat Polski w Ameryce została do tego wciągnięta. Okazało się, że w warunkach emigracyjnych można wypaczyć nawet cel istnienia związku zawodowego, który normalnie stoi na straży praw swoich członków do wykonywania swobodnie ich zawodu. Rozgrywka ta skwapliwie przeniesiona została na forum poza-polskie. Ale to przecież nic nowego. Widzieliśmy takie same objawy podczas wojny, obserwujemy je także i dzisiaj.

W ogniu dyskusji, przeważnie niepisanej, zapominano często o samej istocie sprawy. Od czasu jak pisałem artykuł minęło już siedem miesięcy. Od chwili ogłoszenia — trzy miesiące. Nie zauważyłem przez ten miniony okres specjalnego uaktywnienia się politycznego Polaków na emigracji. Nie zauważyłem zmiany w traktowaniu zagadnień wśród wykonawców radiowych piszących dla rozgłośni Wolna Europa w Nowym Jorku. Jestem niezmiernie szczęśliwy, że artykuł mój przyczynił się pośrednio do publicznego oświadczenia obu kierowników polskiego działu tego radia, iż jest to impreza polsko-amerykańska oparta na zasadzie „partnership". Natomiast wydaje mi się, że każdą zasadą spółki jest wnoszenie przez obu wspólników możliwie identycznych wkładów do interesu. Amerykanie dali stronę techniczna, dali zasoby finansowe, dali doświadczenie czysto radiowe. Myśmy mieli dać materiał ideowo-polityczny, z którego dziennikarze, pisarze, aktorzy muszą dopiero lepić glinę codziennego programu.

Słusznie piszą pp. Nowak i Strzetelski, że daliśmy solidarną postawę w sprawach takich jak granice zachodnie czy też przedwczesne wybuchy powstań.

Ale czy to wystarcza? Mnie się wydaje, że nie. I zgadzam się raz jeszcze z tym co obaj autorzy listów do ,,Kultury'' powiedzieli, że zespół ich biur nie może rościć sobie praw do ośrodków politycznych.

W tym leży sedno rzeczy: wyjście poza ramy zagadnień bezspornych jest zadaniem, którego podjąć się musi polityczne kierownictwo emigracji o ile nie chce zejść do roli nie tylko ludzi bez ojczyzny, ale także i polityków bez partnerów do rozmów i bez pola do działania.

Zygmunt NAGÓRSKI, jr.

List z Niemiec

Na przełomie lat 1952 i 1953 życie polityczne w Niemczech Zachodnich można było porównać do windy, która się nagle zatrzymała między piętrami. Prąd wyłączony, dzwonki alarmowe nie działają. Nie było zresztą do kogo dzwonić, bo nie mogło być odpowiedzi ani na dzwonek amerykański, ani na dzwonek francuski. Zarówno w Stanach Zjednoczonych jak i we Francji ministrowie spakowali manatki, a w ich gabinetach ogołoconych z przestarzałych już planów, panowała cisza wyczekiwania; nowych lokatorów jeszcze nie było. Po *coûp de théâtre,* który się odbył między Bonn i Karlsruhe, (siedziba Trybunału Konstytucyjnego), niektórzy w Niemczech zaczęli już nucić pieśni pogrzebowe nad jeszcze nie urodzoną armią europejską. Wiadomości o nowym rządzie francuskim zdawały się harmonizować z tymi żałobnymi pieniami. Czy były one przedwczesne, czy też nie — to się jeszcze okaże, ale faktem jest, że w tej sytuacji odgłosy grudniowej debaty Bundestagu w sprawie ratyfikacji tzw. układu ogólnego i układu o armii europejskiej (uchwalonej w drugim czytaniu) poszybowały w próżnię. A przecież jeden z nich, jak to się tutaj mówi, miał ,,zakończyć przeszłość'' a drugi ,,otworzyć wrota przyszłości''. Po wycofaniu przez prezydenta Heussa prośby do Trybunału Konstytucyjnego o opinię co do zgodności zawartych układów z Konstytucją — sens samej uchwały stał się mocno wątpliwy. Kiedy i w jakich warunkach dojdzie do trzeciego i ostatecznego czytania — tego nie wiedział nikt. Prąd w windzie był wyłączony.

W rezultacie rząd uczynił właśnie to czego chciała opozycja, i mimo że żadna ze stron nie ustąpiła formalnie ze swego

stanowiska : zatrzymał windę. Zamiast armii europejskiej wyszły na zachodnio-niemieckie ulice kohorty młodzieży, w wieku mniej lub więcej przedpoborowym i świąteczne petardy trzaskały w dzień i w noc, czyniąc prawdziwe piekło z tych nocy, kiedy to przecież ,,niebo ku ziemi się pochyla''. Wynik — setki rannych, choć nie istniejący żołnierz europejski nie oddał jeszcze ani jednego strzału.

Kto by — w tym okresie politycznej ciszy i nieopisanego hałasu petardowego — chciał (tak jak niżej podpisany) zagłębić się znów w lekturze szczegółowych sprawozdań z debaty parlamentarnej ; kto by pragnął w nich odszukać drogi i cele, rozpoznać nowego ducha powstającego z klęski narodu, świadomego swej nowej roli na świecie — ten zawiódłby się srodze, bo ich tam nie było. Nie było ich, mimo niezmiernie ożywionej debaty, ba ! zgiełku czasami niesamowitego. Przewodniczący stukał młotkiem bez przerwy i wreszcie musiał przypomnieć posłom, że demokracja polega nie tylko na gadaniu, ale i na słuchaniu co inni chcieliby powiedzieć.

Chwila była — jak mówił kanclerz Adenauer — historyczna, ale debata odbywała się w bezhistorycznej atmosferze. Na próżno kanclerz zaklinał posłów, aby się wczuli w swą dziejową rolę. Zgromadzenie interesowało się przede wszystkim taktyką i mówcy nie wychodzili poza zakres taktycznego rozumowania. Powiew historii przeszedł raz tylko przez salę, gdy z trybuny rozbrzmiewały słowa kanclerza :

,,Od roku 1870 Niemcy usiłowały raz po raz znaleźć przyjaciół i sprzymierzeńców, gdyż zrozumiano, że mimo swej ówczesnej siły Niemcy nie będą mogły istnieć bez mocnych przyjaciół. Nie znalazły ich jednak przez cały ten czas, a to prawie zawsze z własnej swojej winy, na skutek ślepoty, z jaką się odnosiły do propozycji, czynionych im z drugiej strony.

,,Dziś położenie Niemiec jest groźniejsze aniżeli było kiedykolwiek w ciągu ich długiej historii. Są podzielone, rozdarte, rozbrojone i bezbronne, a za sąsiada mają kolosa, który chciałby je ujarzmić i połknąć. W obliczu historii i narodu niemieckiego stawiam pytanie : Czy w tym położeniu ktoś, kto jest Niemcem, może wziąć na siebie odpowiedzialność za odsunięcie ręki, którą Zachód do nas wyciąga, przychodząc na pomoc i ratunek ?

,,Proszę Was, Panie i Panowie z opozycji, proszę Was jak najserdeczniej i jak najusilniej — rozważcie, jeśli o mnie idzie to jak najbardziej krytycznie — ale proszę Was : pomyślcie o tym, o co tutaj idzie. Cały naród niemiecki, z tej i z tamtej strony żelaznej kurtyny, musi wiedzieć o co chodzi. W tych układach chodzi o jego wolność, o jego życie, o przyszłość jego dzieci i wnuków.

,,Cały naród niemiecki wzywa Was, abyście byli świadomi znaczenia tej decyzji i tę świadomość zachowali. Idzie o los Niemiec...''

Tak mówił kanclerz. Jest coś dramatycznego w samotnej postaci p. Adenauera, który stał się jakby wyobrażeniem Losu, pośród zgiełku taktycznej gadaniny.

Jeszcze nie wiadomo, w chwili gdy piszemy ten list, jak się ostatecznie zakończy konflikt między rządem i Trybunałem Konstytucyjnym. Jednak wydaje się pewne, że w całej sprawie

względy prawnicze odgrywają nieporównanie mniejszą rolę, aniżeli jej podkład polityczny. Taktyczno-dyplomatyczne względy znalazły wyraz w mowie, wygłoszonej jeszcze w końcu listopada przez przedstawiciela opozycyjnej SPD dr Arndta, który m.in. powiedział :

,,Dopiero po 20 stycznia 1953 r., w którym to dniu nowo obrany prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki obejmie swój urząd, będzie nowy rząd amerykański obznajmiony ze sprawami i gotów do rokowań. Koncepcje strategiczne nie przybiorą też trwałego kształtu przed tym terminem. Wobec tego nie ma żadnego wystarczającego powodu politycznego, który by nakazywał Bundestagowi przedwcześnie pobierać tak niezmiernie ważną decyzję i, bez względu na oczekiwane wyjaśnienie zagadnienia konstytucyjnego, postępować tak, jak gdyby tu chodziło o każdy dzień''.

W grudniowej debacie przedstawiciel opozycji Brandt ironizował na temat ,,paniki przed zamknięciem bram'', w jakiej to wszystko się odbywa.

Stanowisko kanclerza określał jeden z publicystów zach.-niemieckich w sposób następujący : ,,Gra jego polega na tym, aby — rzeczywiście rezygnując z suwerenności — wystawić tyle wojska ile się da, aby z kolei, z pomocą Amerykanów, odzyskać tyle równouprawnienia ile się da''. Albo, w lapidarnym ujęciu innego publicysty : ,,Dotychczas jeszcze stanowimy tylko obiekt zachodniej strategii. Mając dywizje, staniemy się jej czynnikiem''. Sam kanclerz powiedział w grudniowej debacie : ,,Od lat codzienną moją troską była obawa, że jeżeli nie będziemy próbowali przyjść do porozumienia z trzema mocarstwami zachodnimi, to za naszymi plecami zawrą one układ z Rosją Sowiecką''.

Od tego jednak czasu nastąpił kryzys i zmiana rządu francuskiego. Zmalały szanse armii europejskiej, a wzrosły we Francji wpływy jej przeciwników, którzy raczej zgodziliby się na armię niemiecką w ramach zachodniej koalicji, aniżeli na armię, która — jak się tego obawiają — pod europejską nazwą wprowadziłaby hegemonię Niemiec do zachodniej Europy. W tej chwili ukazuje się przed polityką niemiecką możliwość stworzenia armii państwowej i to z francuską aprobatą. Do tego wszystkiego dołączyły się nastroje w Radzie Związkowej (Bundesrat — Izba Wyższa, złożona z przedstawicieli poszczególnych krajów), gdzie bierze górę pogląd, że należy jeszcze wyczekać do wiosny : kto wie, czy nie dojdzie wreszcie do konferencji czterech mocarstw w sprawie zjednoczenia Niemiec. Takie poglądy reprezentuje, wysuwający się coraz bardziej na czoło w Niemczech zachodnich, dr Mayer, przewodniczący Rady Związkowej, premier Baden-Wuertemberg.

Czy w tych wszystkich domysłach i przewidywaniach, które mogły wywołać łączną presję ze strony opozycji socjalistycznej w Bundestagu, ze strony Rady Związkowej, a może i niemieckich kół wojskowych, nie należy szukać przyczyny nagłej zmiany frontu ze strony kanclerza i, w wyniku, odsunięcia ostatecznej ratyfikacji układów na czas bliżej nieokreślony ? Zapewne

wielu w Niemczech się spodziewa, że jutro, łatwiej aniżeli dziś, uda się uzyskać ,,swobodę ruchów", a przez to skuteczniejsza niż dziś będzie presja ze strony Niemiec zachodnich w tych dziedzinach, w których nie osiągnięto upragnionych wyników — czy to w sprawie Zagłębia Saary, czy to w sprawie granic wschodnich. Gdyż jak mówił sprawozdawca komisji spraw zagranicznych, poseł rządowego stronnictwa chrześcijańsko-demokratycznego CDU, Puender :

,,...Nie udało się rządowi związkowemu skłonić aliantów do uznania za wspólny cel polityczny — przywrócenie granic z 1937 roku, przy zjednoczeniu Niemiec. Sprawy graniczne mają być uregulowane w traktacie pokojowym".

Sprawozdawca dodał, że na drodze kompromisu wyrażono tylko opinię, iż uregulowanie tej sprawy w traktacie pokojowym winno stanowić podstawę trwałego pokoju — co, jego zdaniem, należy tak interpretować, iż ,,nie myśli się jedynie o zjednoczeniu strefy sowieckiej z Republiką Związkową".



Tak się złożyło, że do numerów czasopisma ,,Das Parlament" zawierających sprawozdanie z tych bardziej taktycznych aniżeli historycznych debat, dołączono tekst wykładu, wygłoszonego na zjeździe historyków niemieckich przez p. Ludwika Dehio pod tytułem ,,Niemcy i epoka wojen światowych". Oto konkluzje niemieckiego historyka :

,,Niszczycielska potęga tych wojen, o wiele większa aniżeli wojen poprzednich, pozbawiona jest jednocześnie dobroczynnych kompensat jakie tamte przynosiły z sobą. Tak to się nam dziś wydaje. Ale jaki będzie sąd przyszłych pokoleń ? Być może, kiedyś będą one mogły znaleźć kompensatę w odrodzeniu zachodniego ducha i w nowej organizacji polityki wielkiego Zachodu. Czy naród nasz weźmie udział — w takiej twórczej reakcji przeciwko coraz dalej wżerającym się zniszczeniom ? Wielu Niemców nie zrezygnuje z tej nadziei...

,,Warunkiem każdej twórczej reakcji Niemiec na epokę wojen światowych jest bezwzględne zrozumienie naszej straszliwej w nich roli — jako ostatniego i także najbardziej zdemonizowanego mocarstwa hegemonialnego upadającej, starej Europy".

Taka była interwencja historii — pozaparlamentarna.

Jerzy PRĄDZYŃSKI

Kronika ukraińska

Amerykańskie zabiegi celem pozyskania Ukraińców do wspólnego frontu z Rosjanami w tak zwanej ,,wojnie psychologicznej'' (patrz : kronika ukr. ,,Kultura'' Nr 12/62) nie ustają. Po bezskutecznych próbach ze skompromitowanymi sprzedawczykami w rodzaju Hułaja i Zołotarenki, po bezowocnych usiłowaniach dokonania wyłomu w ogólno-narodowym froncie ukraińskim, ,,Amerykański Komitet Wyzwolenia Narodów Rosji'' postanowił pójść na pewne ustępstwa i rozpocząć pertraktacje z ukraińskim obozem niepodległościowym. W tym celu władze komitetu zwróciły się do Amerykanów ukraińskiego pochodzenia z prośbą o podjęcie akcji mediacyjnej. W takiej misji mediacyjnej przybyła w drugiej połowie grudnia ub. r. do Monachium specjalna komisja pod kierownictwem przewodniczącego Ukraińskiego Komitetu Kongresowego, prof. ekonomii na uniwersytecie waszyngtońskim, członka partii republikańskiej, Dobrianskiego. Prof. Dobrianskiemu towarzyszyli: wiceprzewodniczący Ukraińskiego Komitetu Kongresowego D. Hałyczyn, dyrektor egzekutywy komitetu, mec. Jarema, oraz członek Rady Politycznej komitetu i redaktor ,,Ukrainian Bulletin'' w Stanach Zjednoczonych, Dusznyk. W dniu 19 i 20 grudnia delegacja odbyła w Monachium rozmowy ze wszystkimi ukraińskimi ugrupowaniami politycznymi, działającymi na Zachodzie. Głównym tematem rozmów była kwestia ustalenia zgodnego stanowiska wszystkich bez wyjątku ugrupowań politycznych do akcji Amerykańskiego Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji, proponującego Ukraińcom wzamian za pewne koncesje przystąpienie do utworzonego w połowie października 1952 r. Koordynacyjnego Centrum Walki Antybolszewickiej. W swoim zasadniczym exposé prof. Dobrianskyj zapowiedział poważne zmiany w dotychczasowej polityce Komitetu Amerykańskiego. Jedna z pierwszych ma być zmiana dotychczasowej nazwy komitetu. Nowa wersja miałaby odpowiadać projektowi wniesionemu przez Ukraiński Komitet Kongresowy, mianowicie — ,,Amerykański Komitet Wyzwolenia Narodów Związku Sowieckiego''. Ponadto zdaniem prof. Dobrianskiego komitet miałby w przyszłości uwzględniać silniej niż dotychczas interesy tych nierosyjskich narodów ZSSR, które w 1917 roku ogłosiły swą niepodległość. Ukraińska sekcja w powstającej rozgłośni ,,Wyzwolenie'' mogłaby zupełnie swobodnie propagować postulaty niepodległościowe itp... Czynniki amerykańskie, zdradzając gotowość do tego rodzaju koncesji, chciałyby jednak, aby Ukraińcy weszli do istniejącego już Koordynacyjnego Centrum Walki Antybolszewickiej, bez uprzedniej rewizji organizacyjnej i prawnej struktury tej instytucji.

W wyniku dwudniowych debat powołano do życia tymczasową Komisję Pracy dla opracowania i przedstawienia czynnikom amerykańskim ukraińskich tez, warunkujących udział w rozmaitych akcjach antybolszewickich, którym patronują Amerykanie. Komisja ta zwołała 27.XII. specjalną konferencję wszystkich ukraińskich ugrupowań politycznych, przedstawiając rezultaty swej pracy. Ponieważ tezy te zostały przyjęte przez wszystkie bez wyjątku ukraińskie ugrupowania polityczne i mają charakter programowy, przytaczamy je w dosłownym tłumaczeniu :

1) ,,Współpraca ukraińskich sił politycznych z różnymi kołami amerykańskimi w dziedzinie walki antybolszewickiej i w oparciu o odpowiednią platformę polityczną, jest potrzebna zarówno z punktu widzenia ukraińskiej akcji wyzwoleńczej, jak też ogólnej walki antybolszewickiej. Dlatego ukraińskie instytucje i organizacje polityczne stwierdzają gotowość do prowadze-

nia walki przeciwko bolszewizmowi i rosyjskiemu imperializmowi wspólnie z amerykańskimi kołami antybolszewickimi.

2) Wszystke ugrupowania są jednak zgodne w tym, że taka współpraca w ramach koncepcji politycznej i organizacyjnych form tak zw. Koordynacyjnego Centrum Walki Antybolszewickiej, które powstało przy pomocy Amerykańskiego Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji jest niemożliwa, ponieważ Koordynacyjne Centrum neguje zasady Karty Atlantyckiej i organizacji Narodów Zjednoczonych, nie uznaje równouprawnienia narodów i sankcjonuje przewagę przedstawicieli rosyjskich partii politycznych, stojących na platformie imperializmu rosyjskiego i odmawia narodom ujarzmionym, w tym również narodowi ukraińskiemu, prawa do przywrócenia niepodległości swoich państw, które były powołane do życia wolą narodów. Ten stan rzeczy jest szkodliwy i nie przyjęcia, gdyż :

a) dąży do utrzymania imperium rosyjskiego kosztem dalszej niewoli Ukrainy i innych narodów nierosyjskich ;

b) usiłuje osłabić najsilniejszy i najaktywniejszy moralnie oraz politycznie czynnik walki antybolszewickiej wewnątrz ZSSR, którym są wyzwoleńcze dążenia narodów nierosyjskich do niepodległości państwowej ;

c) kieruje politykę Stanów Zjednoczonych na fałszywą drogę popierania imperializmu rosyjskiego i uniemożliwia współdziałanie ruchów narodowowyzwoleńczych z amerykańską akcją antybolszewicką ;

d) wykorzystuje amerykańskie poparcie i zasoby do zwalczania niepodległościowych antybolszewickich ruchów narodów podbitych przez Moskwę".

3) ,,Ukraińskie czynniki polityczne mogą wziąć udział w akcji różnych amerykańskich kół antybolszewickich, o ile zostaną zrealizowane następujące warunki :

a) Pozytywne stanowisko do walki o państwową niepodległość Ukrainy i innych narodów ujarzmionych przez Moskwę. Każde przedstawicielstwo narodowe, które przystąpi do wspólnego frontu antybolszewickiego ma szanować walkę wyzwoleńczą wszystkich narodów o niezawisłe państwa demokratyczne w granicach etnograficznych i nie przeciwstawiać się tej walce. Do tego wspólnego frontu mogą należeć tylko takie rosyjskie siły antybolszewickie, które uznają te zasady i będą ich przestrzegać w swej działalności ;

b) każda reprezentacja narodowa zachowuje pełną niezależność pracy we wszystkich dziedzinach walki wyzwoleńczej. Współpraca międzynarodowa winna być realizowana w formie koordynacji, a nie w formie wspólnego kierownictwa ;

c) współpraca międzynarodowa winna się odbywać na podstawie parytetowego przedstawicielstwa każdej grupy narodowej (równość głosów dla każdego narodu, jak to jest w Organizacji Narodów Zjednoczonych) ;

d) każda grupa narodowa winna być reprezentowana przez prawdziwe i reprezentatywne przedstawicielstwo politycznej emigracji.

4) Przyjmując te warunki czynniki amerykańskie wzmocnią wspólny front antybolszewicki. Stworzy to również naturalne możliwości dla pomyślnego działania wspólnego frontu antybolszewickiej walki wyzwoleniowej zarówno dawniej już ujarzmionych narodów w granicach ZSSR, jak również i niedawno podbitych — tak zwanych satelitów".

Z tymi rezolucjami delegacja amerykańskich Ukraińców powróciła do Stanów Zjednoczonych. Najbliższe miesiące — na które przypada zmiana dotychczasowej administracji — pokażą, czy hasło polityki wyzwolenia dotyczy wszystkich podbitych narodów. Ukraińcy czekają nie od dziś na odpowiedź.

BEO

Polski karabin ppanc.

Z broni maszynowej zatrzymaliśmy ze sobą ręczny karabin maszynowy i jeden karabin przeciwpancerny. To była nasza największa radość, tajemnica nikomu nie znana. W składach mobilizacyjnych pułku leżały ukryte z napisem ,,Sprzęt optyczny'' ; kto by przypuszczał, że czeka nas w nich taka niespodzianka. Dopiero na krótko przed wybuchem wojny odbyło się polowe strzelanie w obecności oficerów sztabowych. Ćwiczenie to przeprowadzono pod przysięgą zachowania tajemnicy. I niech nikt nie mówi, że byliśmy opieszali w naszych przygotowaniach obronnych. Oczywiście wedle stawu grobla, ale już to, że mieliśmy artylerię przeciwlotniczą, którą kupowali u nas Anglicy, Holendrzy i nie wiem kto jeszcze, że mieliśmy pyszne działka przeciwpancerne i że czekał na nas karabin przeciwpancerny świadczy, iż przy polskiej biedzie myśleliśmy więcej o nadchodzącym niebezpieczeństwie, niż wszyscy możni tego świata.

Kazimierz Wierzyński ,,Zasadzka'' (,,Wiadomości Polskie'', sierpień, 1941).

Zaczęło się to pod koniec 1929 roku. W tym czasie sportowa prasa niemiecka poczęła przynosić sensacyjne wiadomości o pracach Gerlicha nad tzw. pociskiem Halgera, obdarzonym dość niezwykłą szybkością początkową 1100 metrów na sekundę (normalny karabin wojskowy nie przekraczał 900 metrów). Pomimo, iż kaliber tego pocisku był bardzo mały (6,6 do 7 mm, podczas gdy kaliber broni wojskowej, z małymi i raczej nieudanymi wyjątkami, nie schodził poniżej 7 mm) i pocisk był bardzo lekki, działanie jego na zwierzynę miało rzekomo być znacz-

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

nie silniejsze, niż pocisków cięższych, lecz za to wolniejszych.

Wydawało się to dość dziwne, stało bowiem w wyraźnej sprzeczności z tym wszystkim, czego nas o mocy rażącej pocisku uczyła teoria. Wkrótce jednak po tym amerykański ,,Rifleman'' opublikował kilka ciekawych reportaży o znakomitym działaniu podobnych pocisków na najgrubszą nawet zwierzynę, nie wyłączając słoni, co potwierdzało zbyt reklamiarskie informacje Gerlicha i było poważnym wyłomem w dotychczasowych poglądach, że gruba zwierzyna wymaga dużych kalibrów.

W Centralnej Szkole Strzelniczej w Toruniu, gdzie wtedy pracowałem, zainteresowaliśmy się tym mocno, raczej z teoretycznego punktu widzenia. Udało się więc nam nabyć jeden taki karabin i przeprowadzić z nim szereg prób, które potwierdziły dane literatury i — co więcej — wykazały nieoczekiwaną właściwość tych pocisków, a mianowicie ich zdolność przebijania pancerzy znacznie grubszych, niż to wynikało ze znanych wzorów teorii przebijania.

Zanim jednak do tego doszło — bo i zakup broni wymagał długich zabiegów i próby zabrały czas — Gerlich dość nieopatrznie opublikował dane przebijalności swego karabinu, zgodne zupełnie z tym, co późniejsze nasze próby wykazały.

W tym czasie objąłem wykłady balistyki na Sekcji Uzbrojenia Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej. Znacznie więc więcej, niż dotychczas, począłem się interesować teoretycznymi problemami balistycznymi. Te dość niezwykłe i nieoczekiwane właściwości pocisków o bardzo dużej szybkości początkowej pociągnęły mnie więc mocno i — nie czekając na będące dopiero w powijakach próby własne — postanowiłem powiązać dane literatury niemieckiej i amerykańskiej w jedną wspólną teorię. Problem ten traktowałem czysto po akademicku, ot jako studium naukowe nowych zupełnie zjawisk. Rezultatem tej pracy był referat, który wiosną 1931 roku wygłosiłem na co miesięcznych zebraniach naukowych, organizowanych w Departamencie Uzbrojenia. Nawiasem mówiąc, referat ten opublikowałem później, zdaje się w 1932 roku, w ,,Wiadomościach Technicznych Uzbrojenia'' pt. ,,Karabin o bardzo dużej szybkości początkowej''. Artykuł ten znalazł dość przychylny oddźwięk w prasie wojskowej sowieckiej, w notatce pt. ,,Tieoria pałk. Fielsztyna'', z czego podówczas byłem bardzo zadowolony. Nie mogłem niestety przewidzieć, że to miłe połechtanie ambicji będę musiał później, w czasie mego pobytu w niewoli sowieckiej w Griazowcu, opłacić długimi i uciążliwymi naleganiami, abym koniecznie napisał dla władz sowieckich referat na temat ,,polskich tajnych broni'' i niedwuznacznymi groźbami, nie wiem dla czego nie zrealizowanymi, gdy odmówiłem, wykręcając się, że żadnych ,,tajnych broni'' nie posiadaliśmy.

Ale wracam do rzeczy. W czasie mego referatu byłem już w Instytucie Technicznym Uzbrojenia, w jego samodzielnej placówce w Zielonce, zwanej ,,Centrum Badań Balistycznych''. Po referacie więc wezwał mnie do siebie ówczesny szef wydziału

ogólnego Departamentu Uzbrojenia (a może już, nie pamiętam dziś, zastępca szefa Departamentu) podówczas ppłk., inż. Witkowski, człowiek o szerokiej inicjatywie i niezmiernie dużym autorytecie, dusza wszelkich poczynań i inicjatyw i swym zwykłym ironicznym sposobem mówienia oświadczył mi wręcz : ,,Pański referat był do luftu''. Byłem tym mocno zaskoczony i nieco urażony, zapytałem się więc, na czym opiera on swą tak ostrą opinię. ,,To wszystko bardzo ładne — odrzekł mi on — co Pan mówił i wszystko trzyma się kupy, ale wszystko razem to psu na buty. Co z tego, że Pan wygłosił nową teorię? U nas trzeba robić, a nie teoretyzować. Jeżeli pocisk o tak dużej szybkości początkowej ma istotnie te właściwości przebijania pancerzy, o których Pan tak pięknie opowiadał, to trzeba go u nas zrobić. Wie Pan przecież, że problem walki z pancerzem jest ciągle nierozwiązany. Jutro przyjdzie Pan do mnie z planem prac''.

Przy opracowywaniu programu przypomniała mi się francuska anegdota o wykładowcy artylerii, który wykład swój zaczął od słów : ,,najważniejszą częścią działa jest pocisk''. Istotnie, problem naboju był tu rzeczą zasadniczą, zbudowanie broni dla niego sprawą wtórną. A w naboju najważniejszy był proch, który by nadał pociskowi potrzebną szybkość.

Po tym wstępnym ustaleniu myśli wytycznej prac, którą ppłk. Witkowski bez trudności zatwierdził, pozostało określenie przebijalności, jaką chcemy osiągnąć. Jest to zwykle najtrudniejsza część prac wstępnych. Zwykle bowiem w naturalnej dążności do stworzenia broni możliwie najlepszej stawia się jej wymagania tak wygórowane, że ich realizacja okazuje się niemożliwa i że traci się moc czasu, aby przekonać przełożonych, że jest to po prostu wynikiem ograniczeń, jakie stawia technika, a nie nieudolności konstruktorów. Wynik jest więc zawsze kompromisem między przesadnymi oczekiwaniami a realnymi możliwościami, kompromisem w czasie prac, a więc raczej przypadkowym i powiedziałbym dyktowanym bardziej przez tendencje o znaczeniu drugorzędnym, niż przez jasną myśl twórczą. Strata czasu jest olbrzymia, a wynik nie zadowala nikogo.

W naszym wypadku jednak mieliśmy szczęśliwą rękę. Studium opancerzenia czołgów współczesnych i przewidywania co do dalszego ich rozwoju podyktowały przebijalność przyszłej broni na 15 mm pancerza ,,z najlepszej stali'' na odległości 400 metrów od strzelca, przy czym, licząc się z konstrukcją czołgów i ze zmiennym kierunkiem ich ruchu na polu walki, zaostrzyliśmy ten warunek przez dodanie, że przebijalność tę ma uzyskać pocisk, uderzający w pancerz pod kątem 30° do pionu. Jak już wspomniałem, ten dość teoretyczny warunek okazał się, szczęśliwym trafem, realny. Późniejsze bowiem próby wykazały, że była to niemal górna granica tego, co przy zamierzonym typie broni było do osiągnięcia.

Prace przygotowawcze były bardzo intensywne i zmusiły mnie do bardzo wytężonej pracy. Muszę jednak przyznać, że by-

łem z tego nie tylko zadowolony, ale wręcz zachwycony. Płk. Witkowski umiał — mimo pozornej szorstkości, która była, zdaniem moim, jedynie pozą, zgodną z ówczesną modą ,,krzepy" — natchnąć swych podwładnych entuzjazmem do pracy i wiarą w jej sens. Zostawiając pełną inicjatywę podwładnemu, kierując raczej dyskusją i przekonywaniem, niż nieumotywowanym rozkazem, pozwalając bronić swych poglądów, dawał on podwładnemu satysfakcję twórczą i świadomość, że ma on w szerokim zakresie wolną rękę i że nawet wtedy, gdy jego propozycje zostaną odrzucone, będzie to po dokładnym namyśle i rozważeniu wszystkich za i przeciw, a nie jedynie, jak to często niestety w naszej pracy miało miejsce, na skutek kaprysu czy widzi mi się przełożonego. Umiał on jednym słowem wytworzyć w pracy wzajemne zaufanie, które jest niezbędnym klimatem wszelkiej twórczości zbiorowej.

Ponadto praca odbiegała od normy, była wycieczką w dziedzinę zupełnie nową, pełną niespodzianek i nie dających się z góry przewidzieć problemów, dawała więc rozkosz ekspedycji w tajemniczą, dziewiczą dżunglę. Miało to jednak i stronę ujemną. Nikt przy rozpoczynaniu pracy nie mógł przewidzieć, czy i jakie przyniesie ona wyniki. Gdyby więc o tych planach powiedzieć komukolwiek w Sztabie Głównym, czy w Inspektoracie Armii, bylibyśmy pod nieustannym naciskiem niecierpliwych generałów, doskonałych taktyków, ale zupełnie obcych zagadnieniom technicznym i metodom prac badawczych : ,,jakie już osiągnęliście wyniki ? kiedy karabin będzie gotów ? co, jeszcze ciągle nic ? co za ślamazarność !" itp.

Płk. Witkowski postanowił więc całą sprawę utrzymać w absolutnej tajemnicy. Ale tym samym nie można było liczyć na żadne kredyty, każdy bowiem wydatek nie przewidziany w budżecie wymagał zatwierdzenia przez tyle instancyj, że o utrzymaniu tajemnicy nie mogło być mowy.

Ale i tu płk. Witkowski znalazł wyjście. Prace rozpoczniemy w Fabryce Prochu w Pionkach, a więc pierwsze wydatki pokryje ta fabryka ze swych funduszów na studia. W kilka więc dni po pierwszej rozmowie siedziałem przy płk. Witkowskim w samochodzie, który nas wiózł do Pionek, gdzie dyr. Prot, po krótkiej dyskusji, nie trwającej nawet godziny, w pełni przystał na nasze plany i zgodził się przyznać na nie 10.000 złotych z funduszów fabryki. Podyktowanie protokółu naszej konferencji zabrało mi kilkanaście minut zaledwie i zaraz po obiedzie mogliśmy odjechać z Pionek z ubitą sprawą.

Tu winien jestem poświęcić kilka słów fabryce w Pionkach i jej dyrektorowi i z góry przepraszam czytelnika za tę dygresję. Problem wytwórni państwowych, czy prywatnych, był u nas często dyskutowany, i nie u nas zresztą tylko. Dyskutuje się zalety tego, czy innego systemu, zapomina się jednak o rzeczy najważniejszej, o człowieku. Jestem głęboko przekonany, że ta przesada etatów i regulaminów, jaka charakteryzowała nasze dwudziestolecie niepodległości we wszystkich dziedzinach admi-

nistracji, przesłoniła zupełnie czynnik ludzki i że tym samym zapomniano o prawdzie najważniejszej, że nie forma, ale człowiek, który tę formę ożywia, decyduje o powodzeniu, czy niepowodzeniu.

Otóż, ilekroć myślę o ideale dyrektora wytwórni przemysłu wojennego, przed oczyma staje mi dyr. Prot. Pełen inicjatywy, a równocześnie zmysłu wykonawczego, doskonały fachowiec, mający w każdej sprawie własne zdanie, a równocześnie umiejący szanować pogląd cudzy, potrafił on zgrupować w swej fabryce najlepszych ludzi i wytworzyć w niej ambicję pracy zespołowej, zdrowy esprit de corps i atmosferę twórczej pracy badawczej. Działający zawsze z namysłem, miał on jednak decyzję szybką i rzadką u nas, niestety, cechę dotrzymywania raz powiedzianego słowa. Z punktu widzenia tak ważnej i stanowiącej właściwy sens każdej wytwórni przemysłu wojennego współpracy z wojskiem, potrafił on znaleźć właściwą granicę między forsowaniem i podtrzymywaniem własnego poglądu i nie uleganiem chwilowym fluktuacjom często, zbyt często, zmieniających się szefów departamentu uzbrojenia, czy wiceministrów spraw wojskowych, a rzetelnym i lojalnym przystosowaniem się do istotnych potrzeb wojska i do jego polityki przemysłowej. Jeśli o nas, reprezentujących stronę badawczą wojska chodzi, to wiedzieliśmy zawsze, że w Pionkach znajdziemy pełne zrozumienie, szczerą chęć współpracy i najserdeczniejszą pomoc.

Nie ze wszystkimi wytwórniami przemysłu wojennego nasze stosunki, niestety, były równie dobre. Z Fabryką Karabinów w Warszawie były one zawsze doskonałe, dzięki osobie dyr. Skrzypińskiego. Z Fabryką Broni w Radomiu były one z reguły napięte, a z Wytwórnią Amunicji w Skarżysku zmienne, zależnie od składu personalnego tak dyrekcji, jak i przedstawicieli wojska. Ja osobiście, w mojej pracy, miałem zawsze jak najchętniejszą pomoc. Najgorsze stosunki były z dyrekcją Państwowych Wytwórni Uzbrojenia, której podlegały wymienione ostatnio trzy fabryki. Stojący na jej czele inż. Wierzejski, znakomity fachowiec, doskonały organizator, człowiek o dużej wiedzy, szerokich horyzontach i rozmachu pracy, miał niestety ambicję, aby jego głos w sprawach przemysłu wojennego był decydujący i jego polityka przemysłowa jedyną wytyczną. Prowadziło to oczywiście do częstych scysji z władzami wojskowymi, które — przygotowując i planując obronę państwa — musiały oczywiście żądać, aby przemysł wojenny dostosowywał się do ich celów, zamierzeń i przewidywań, a nie starał się narzucać swoje, z natury rzeczy partykularne cele.

Toteż spięcia były bardzo ostre, lecz mimo bardzo nieraz kategorycznych żądań wojska, o zmianie na stanowisku dyrektora Państwowych Wytwórni Uzbrojenia nie mogło być mowy. Cały bowiem przemysł wojenny był — na wyraźne żądanie marsz. Piłsudskiego — pod osobistym nadzorem prez. Mościckiego, który żywił do osoby dyr. Wierzejskiego nieograniczone zaufanie, nie dające się niczym podważyć. Nawet, gdy razu pewnego Ra-

da Nadzorcza Państwowych Wytwórni Uzbrojenia jednogłośnie wyraziła ich dyrektorowi votum nieufności, prez. Mościcki nie zgodził się na jego usunięcie stwierdzając, że ma do osoby inż. Wierzejskiego znacznie większe zaufanie, niż do wszystkich członków Rady Nadzorczej (o których wyraził się niezbyt uprzejmie) razem wziętych.

Podobnie naprężone stosunki istniały między wojskiem a Starachowicami, wytwórnią dział, fabryką prywatną, w której jednak wojsko miało bardzo poważny udział. Jej przewodniczący Rady Nadzorczej miał własną politykę, często sprzeczną z polityką wojska. A że i on miał pełne zaufanie Prezydenta, wojsko było bezsilne.

Te silne antagonizmy, które często prowadziły do bardzo ostrych zatargów, nie odbijały się jednak zbyt ujemnie na całokształcie prac. Ludzie dwudziestolecia Niepodległości, mimo swych ludzkich wad, mieli stanowczo więcej poczucia odpowiedzialności, niż politycy na emigracji i znacznie więcej zrozumienia nadrzędnego dobra państwa, toteż najgwałtowniejsze nawet burze rozchodziły się po kościach i kończyły kompromisem, który może nie dawał pełnego zadowolenia żadnej ze stron, ale nie mniej pozwalał techniczne prace obronne prowadzić bez zbytnich przeszkód i zygzaków. W rezultacie więc należy stwierdzić, że wyniki polskich prac technicznych w dziedzinie obronnej były naprawdę rekordowe, oczywiście w stosunku do biedy państwa, a tym samym niezmiernie skąpych sum, jakimi rozporządzano, i niskiego stopnia jego uprzemysłowienia. Rzecz jasna, nie mogliśmy wytrzymać wyścigu czy z Niemcami, czy z Rosją, nawet osobno wziętymi, a cóż dopiero sprzymierzonymi, skoro ich potencjał przemysłowy przekraczał nasz wielokrotnie, ale w granicach naszych możliwości zrobiono, jeśli na pewno nie maksimum tego, co można było po ludzku rzecz biorąc, zrobić, to przynajmniej bardzo wiele.

Wspomniany wyżej antagonizm kierowników wytwórni wojskowych w stosunku do władz wojskowych miał pewne uzasadnienie w pierwszych latach niepodległości, kiedy techniczna część naszych naczelnych władz wojskowych obsadzona była przedziwną kolekcją wszelakich typów muzealnych z wojska rosyjskiego, czy austriackiego. Byli to oficerowie, którzy w armiach zaborczych pełnili funkcje małych kółek w wielkim organizmie, znali dobrze sprawy, z którymi całe życie mieli do czynienia, nie dorośli jednak do roli kierowniczej, na jaką ich często przypadek rzucił. Konserwatywni, rutyniści, nie rozumieli ani ducha polskiego, ani polskich warunków i potrzeb, a często nawet polskiego języka. Charakterystyczna jest anegdota, którą opowiadano o spotkaniu płk. Dunajewskiego z generałem austriackim, którego nazwiska już nie pamiętam. ,,Wot, widzi pan genierał, rzekł Dunajewski, to jeść taka szarmantka (zębatka)'' ,,Was heisst szarmantka?'' odrzekł Austriak.

Z czasem jednak stosunki się znacznie polepszyły. Do resortów technicznych wojska weszli młodzi inżynierowie, prze-

ważnie z polskich politechnik , ludzie, którzy znali wojsko i wojnę z własnego doświadczenia, a ponadto mieli, jak wszyscy wychowankowie polskich politechnik, rozległą i doskonale ugruntowaną wiedzę techniczną. Mogli więc łatwo znaleźć wspólny język zarówno z taktycznymi departamentami Ministerstwa Spraw Wojskowych i Sztabem Głównym, jak i z przemysłem. Pełni przeważnie energii, entuzjazmu, ambicji pracy, wnieśli oni ożywczy strumień fachowości i inicjatywy, wytwarzając z czasem naprawdę najlepszy zespół, jaki można było wymarzyć.

Oczywiście, w jednych resortach było lepiej, w innych gorzej. W Departamencie Uzbrojenia, który znam najlepiej, skupiło się grono oficerów o naprawdę wysokich kwalifikacjach, zgranych ze sobą w pracy, rozumiejących się w pół słowa i — rzecz niestety nie zawsze spotykana — pracujących zgodnie i solidarnie. Ten najwyższej klasy zespół jest zasługą płk. inż. Kiesz-niewskiego, który jako szef Departamentu Uzbrojenia sprawie doboru ludzi poświęcał bardzo wiele uwagi, oraz jego następcy, płk. (później gen. Maciejowskiego), o którym już swego czasu pisałem w ,,Kulturze''.

Dziwny to był człowiek. Żelazny student Politechniki Lwowskiej, który właśnie kończył ostatnie egzaminy, gdy wybuchła wojna w 1914 roku, służył po wojnie w artylerii, gdzie uchodził za jednego z najlepszych oficerów. Przeszedłszy stamtąd od razu na stanowisko szefa Departamentu Uzbrojenia, wniósł w swą nową pracę niezłomną wolę, niewyczerpaną energię, szybką decyzję, śmiały i na ogół trafny sąd. Mógł się oczywiście w szczegółach mylić, niektóre jego pomysły mogły być niesłuszne (jak np. jego polityka skupiania zapasów sprzętu i amunicji — ze względu na pomniejszenie kosztów administracyjnych — w dużych składnicach, podczas gdy wojna wykazała, że małe, a liczne składnice byłyby w warunkach nalotów lotniczych i zagonów pancernych znacznie korzystniejsze), lecz w przeważającej ilości wypadków jego linia postępowania była prawidłowa, a energia, z jaką realizował swe zamierzenia i którą umiał wlać w swych podwładnych, przyczyniła się w bardzo wielkim stopniu do unowocześnienia polskiego uzbrojenia. Niestety, zalety te były w części osłabione przez poważne wady jego charakteru, a mianowicie niesłychaną pobudliwość, wywołującą nie wiadomo kiedy i dlaczego gwałtowne ataki furii, dalej absolutną nieumiejętność słuchania cudzego zdania i niepohamowaną wściekłość w jaką wpadał, gdy ktoś próbował sprzeciwić się jego poglądowi. Charakterystycznym przykładem były liczne konferencje w sprawach technicznych, które on zwykle zagajał, przedstawiając swój własny pogląd na sprawę, po czym pytał : ,,co panowie mają mi do powiedzenia?'' Znając jego charakter, nikt oczywiście nie ośmielał się wypowiedzieć poglądu przeciwnego, zwłaszcza, że w takim wypadku miażdżył on nieraz nieszczęsnego oponenta rykiem : ,,widzę, że pan chce mi udowodnić, że ja jestem durniem i na niczym się nie znam''.

A że oczywiście istotnie nie znał się on na wielu szczegółach technicznych — i znać się nie mógł (wszak technika zbyt jest rozległa, by ktoś mógł znać się na wszystkim) — często więc trafne w zasadzie jego zarządzenia zawierały wręcz fałszywe szczegóły techniczne, których mu nikt nie ośmielał się prostować.

Na szczęście, znał się on na ludziach (jak każdy człowiek, miał i niesłuszne uprzedzenia osobiste, ale były one raczej nieliczne) i umiał dobrać dokoła siebie grono znakomitych współpracowników, którym zostawiał bardzo wiele swobody i samodzielności w pracy. Ludzie ci, owiani szczerym duchem obywatelskim, umieli bez wahania ryzykować swe stanowiska dla dobra sprawy i korzystając z tego, że płk. Maciejowski zarządzenia swe wydawał przeważnie ustnie, pozostawiając ich pisemne rozpracowanie swym pomocnikom, bardzo często na ich podpis, na własną rękę korygowali mylne w szczegółach zarządzenia szefa, pozostawiając oczywiście jego myśl przewodnią lojalnie bez zmiany.

A że zespół ten pracował harmonijnie i pomagał sobie nawzajem, że tarcia osobiste i animozje nieomal nie miały miejsca, więc należy stwierdzić, że mimo wspomnianych wad, okres urzędowania płk. Maciejowskiego był dobrą epoką w dziejach Departamentu Uzbrojenia.

Do tego tępił on niemiłosiernie wszelki brak decyzji i wszelki biurokratyzm oraz chęć zasłaniania osobistej odpowiedzialności pisemnym rozkazem, toteż praca szła sprawnie i zupełnie nieformalistycznie. Dużą w tym zasługę miał i gen. Składkowski, który — mimo licznych przesad i śmiesznostek, o których krążyły mniej lub więcej prawdziwe anegdoty — umiał wpoić w swych podwładnych zamiłowanie do rzetelnej pracy i odrzucenie wszelkiego biurokratyzmu. Pamiętam odprawę, na której gen. Składkowski nam powiedział : ,,Jeżeli w najdrobniejszej sprawie jeden z panów pisze do drugiego ,,Do Jaśnie Wielmożnego Pana Pułkownika'', to ja takie urzędowanie mam w d... To trzeba zrobić inaczej, prościej. Bierze się telefon i się mówi : ,,Słuchaj, stara małpo, musisz mi to zaraz załatwić''. To rozumiem, to jest urzędowanie''.

Ten nieformalistyczny, rzeczowy i życzliwy nastrój ożywiał Departament Uzbrojenia przez cały czas, gdy miałem z nim do czynienia, to jest w latach trzydziestych. Każdy z nas wiedział, że w jakiejkolwiek sprawie, z pracą jego związanej, przyjdzie do Departamentu, zastanie życzliwych i serdecznych kolegów, zawsze gotowych mu pomóc i — co więcej — zawsze starających się podać mu rękę, gdyby mu się noga powinęła. A nie jest to bynajmniej mało. W pracy technicznej, zwłaszcza, gdy ma się do czynienia z problemami zupełnie nowymi, nigdy z góry nie wiadomo, czy uda się, czy nie. Człowiek, który wie, że każde jego niepowodzenie ściągnie na niego — jeśli już nie, jak za żelazną kurtyną, zarzut ,,sabotażu'' — to przynajmniej liczne i dotkliwe przykrości, jest bardzo skrępowany w swych poczy-

naniach i mimo woli stara się iść utartymi szlakami, które dają większe szanse powodzenia. Na odwrót świadomość, że powodzenie zyska uznanie, a niepowodzenie zrozumienie i życzliwą pomoc, daje znacznie więcej śmiałości i rozmachu i w wysokim stopniu sprzyja pracy w dziewiczych nawet dziedzinach.

Po tej, mocno przydługiej, dygresji wracam do toku mego opowiadania. Rozpoczęta w Pionkach praca rychło przerzuciła się na Fabrykę Karabinów w Warszawie i Wytwórnię Amunicji w Skarżysku. Pierwsze wstępne obliczenia, oparte na bardzo dowolnych przesłankach, wykazały, że lufa musi mieć długość 100 centymetrów (normalna lufa karabinowa ma długość centymetrów około 70), a komora nabojowa pojemność 10 centymetrów sześciennych (wobec czterech normalnego karabina). Lufę tę, wykonaną w Fabryce Karabinów w Warszawie, osadzono w lufie działka przeciwpancernego, aby nie mieć kłopotu z bronią. Łuski wykonała wytwórnia w Skarżysku, przy czym okazało się, że dna spłonek nie wytrzymują wysokich ciśnień, wobec czego trzeba je było odpowiednio wzmocnić. Początkowo używano do prób zwykłych pocisków karabinowych, rychło jednak, gdy zaczęto osiągać większe szybkości, okazało się, że płaszcz pocisku nie wytrzymuje naprężeń tnących w lufie, toteż należało płaszcze te wzmocnić.

Organizacja pracy była mocno niebiurokratyczna i swobodna. W każdej z fabryk wyznaczony był jeden przedstawiciel, z którym miałem się kontaktować. W Pionkach był nim inż. Kardaszewicz, choć również i dyr. Prot żywo interesował się wynikami pracy. W Skarżysku miałem zawsze do czynienia z inż. Szaniawskim, a Fabrykę Karabinów reprezentował inż. Karczewski, lub często, jej dyr. naczelny; inż. Skrzypiński. Moja rola polegała na uzgadnianiu między fabrykami, na nadawaniu kierunku ogólnego i na wykonywaniu obliczeń balistycznych. Pomocnikiem moim był inż. Ciundziewicki, pierwszy absolwent Sekcji Uzbrojenia Politechniki Warszawskiej, zdolny i ambitny inżynier o dużym zacięciu badawczym, niestety mocno chorowity.

Metoda pracy była dwojaka. W sprawach ważniejszych zjeżdżaliśmy się wszyscy na konferencję, bądź u mnie, w Centrum Badań Balistycznych w Zielonce, bądź w jednej z wytwórni, zależnie od tego, gdzie był problem najważniejszy. W innych wypadkach jechałem sam do danej wytwórni, służąc jako pośrednik między nią a resztą wytwórni. Z każdej konferencji spisywałem krótki protokół, zawierający wyniki dotąd osiągnięte, prace do wykonania dla każdej z wytwórni z osobna i terminy wykonania.

Na samym wstępie postawiłem mocno przestrzeganą zasadę, że praca jest zupełnie nieosobista i anonimowa. Nikt z nas nie da swego nazwiska wytworowi pracy, żaden szczegół nie będzie niczyim dorobkiem osobistym. Dzięki tej zasadzie oraz dużej lojalności i bezinteresowności wszystkich współpracujących wytworzyła się atmosfera szczerej współpracy i dużej ser-

deczności, która niezmiernie sprzyjała jej postępowi. Każdą trudność dyskutowaliśmy wspólnie, każdy dorzucał swe rady i pomysły, tak że ostatecznie istotnie trudno było powiedzieć, czyj był dany pomysł, skoro powstał on w wyniku zbiorowej dyskusji i narady. Przytoczę jeden przykład. W pewnym momencie, gdy mieliśmy z prochem trudności o których dalej będzie mowa (chodziło o zmniejszenie ciśnienia), zapytałem inż. Kardaszewicza, czy nie można by było tego osiągnąć przez zwiększenie postępowości prochu. ,,Niech Pan spróbuje proch z jednym przewodem w środku'' powiedziałem mu. Ziarna prochu były jednak bardzo małe, miały około milimetra średnicy, toteż inż. Kardaszewicz spojrzał na mnie z ukosa i odrzekł : ,,Pan żąda ode mnie, abym wynalazł kateter dla komara''. Po kilku tygodniach jednak, gdy znów byłem w Pionkach, inż. Kardaszewicz pokazał mi proch, mający nie jeden lecz trzy przewody i z dumą podkreślał, że jest to własny wyczyn Pionek. I miał w pełni rację. Nie wiem nawet, czy on pamiętał, że to ja mu to sugerowałem. A gdyby nawet pamiętał, to i tak cała zasługa tego bardzo dużego kroku naprzód byłaby jego, a nie moja. W technice bowiem nie pomysły są ważne, ale sposób ich realizacji. Liczni ,,wynalazcy'', przeważnie laicy, nie mający pojęcia o rzeczy, którzy byli plagą wszystkich technicznych instytucji wojskowych, byli oczywiście innego zdania. I tak raz zgłosił się do mnie taki wynalazca i po długich ceremoniach tajemniczości zgodził się wreszcie wyjawić swój pomysł, który — jak uważał — miał całkowicie zabezpieczyć Polskę od samolotów nieprzyjacielskich. ,,Trzeba stworzyć w powietrzu wir tak silny, aby każdy samolot, który weń wleci, spadł na ziemię''. ,,Dobrze — zapytałem go — jak Pan jednak chce taki silny wir wywołać?'' — ,,To nie moje rzecz — odrzekł mi z oburzeniem — ja przynoszę pomysł, a waszą, techników, rzeczą jest pomysł ten zrealizować!'' I jestem głęboko przekonany, że odszedł przeświadczony, że albo chcę mu pomysł ukraść, albo też że biurokratycznie odrzucam wspaniałą ideę ocalenia Polski. I na pewno szerzył dokoła skargi na głupotę i biurokratyzm wojskowych, którzy małodusznie odrzucają genialne pomysły wynalazców.

Właśnie więc dla tego, że nasza współpraca była oparta o zupełną bezinteresowność z całkowitym usunięciem wszelkiej ambicji swego ja, poza ambicją włożenia maksimum do wspólnego dzieła, wyniki jej były — jak na nasze skąpe środki i konieczność prowadzenia pracy na marginesie naszych normalnych zajęć — istotnie szybkie. Już w 1932 roku Pionki zdołały wyprodukować proch, który uzyskał szybkość potrzebną dla osiągnięcia wymaganej przebijalności. Ciśnienia wewnątrz lufy były co prawda bardzo wysokie, o przeszło 50 procent wyższe, niż w normalnej lufie karabinowej, ale Skarżysko wyprodukowało łuski, które zdolne były pracować przy tak wysokich ciśnieniach i pocisk, którego wzmocniony płaszcz również był dostatecznie silny, aby przeciwstawić się wysokim naprężeniom przy

wcinaniu się w gwint lufy. Pozostawała sprawa ostatnia, stosunkowo najłatwiejsza : karabin, który by strzelał tą amunicją.

Sprawę oddano Fabryce Karabinów, gdzie konstrukcji broni podjął się inż. Karczewski. Równocześnie jednak fabryka miała wykonać drugi typ karabinu, pomysłu inż. Maroszka z Instytutu Technicznego Uzbrojenia. Młody ten inżynier, genialny konstruktor, pełen młodzieńczego entuzjazmu, jakiegoś tajemniczego instynktu i ,,smykałki'', wyznający zasadę, że niczego nie wolno konstruować bez obliczeń i że tam, gdzie nie wiadomo, jak liczyć, trzeba przyjąć najprawdopodobniejszą hipotezę, którą później doświadczenie potwierdzi albo odrzuci, postanowił zastosować do nowej broni wszystko, co technika dotąd znała, aby zmniejszyć jej ciężar. Zamek jego pomysłu, niesłychanie prosty, a równocześnie zwarty, wykazywał dużą wytrzymałość mimo małej wagi. Przy obliczaniu grubości lufy przyjął on nie bardzo jeszcze podówczas rozpracowaną hipotezę o wytrzymałości na krótkotrwałe obciążenia. Wreszcie zastosował, podówczas dopiero ząbkujący, hamulec wylotowy.

Rezultat tych śmiałych poczynań okazał się wręcz imponujący : karabin konstrukcji Maroszka, ważąc mniej niż połowę tego, co karabin inż. Karczewskiego, okazał całkowitą wytrzymałość na te niezwykłe naprężenia w broni o tak dużej szybkości początkowej. Oczywiście więc został on przyjęty z miejsca.

Wydawało się więc, że dobiliśmy już do końca. Ale tu czekać nas miało duże rozczarowanie. Karabin działał doskonale, przebijalność jego odpowiadała założeniu, niestety jednak wysokie ciśnienia i olbrzymia szybkość gazów w lufie tak dalece wypalały przewód lufy, że już po 40 strzałach była ona do niczego. Był to stanowczo za krótki okres życia dla broni, którą posługiwać się miał piechur w pierwszej linii.

Trzeba więc było rozpocząć pracę od nowa. Przestudiowawszy dość obfitą literaturę zagadnienia wypalania luf (nad którym zresztą, szczęśliwym trafem, pracowałem jeszcze przed 1930 rokiem, ogłaszając moje wyniki drukiem), zdecydowałem się na przeprowadzenie doświadczeń równoległych w ten sposób, że wykonano szereg luf, z których każda miała pewien nowy element, mający — wedle teorii — wpływ na przedłużenie życia lufy. Fabryka w Pionkach podjęła się wyprodukować proch, który by tę samą szybkość osiągnął przy mniejszej temperaturze wybuchu, a wreszcie inż. Maroszek, przeczytawszy zupełnie nową teorię francuską o przyczynach zużywania luf, zaproponował, aby i ją uwzględnić przy naszych próbach. I, jak zawsze, miał nosa : projekt jego był jednym z najcenniejszych wkładów w sukces ostateczny. Prace były przewlekłe i żmudne, pełne zawodów i rozczarowań. Należało właściwie zmienić wszystko : i łuskę, skoro pojemność łuski pierwotnej okazała się za mała (nowa miała pojemność 13 cm. sześciennych), i pocisk, aby mniej zużywał lufę, i długość lufy (do 1,30 metra) i jej budowę wewnętrzną. Praca ta trwała długo, bo przeszło dwa lata. Ale ostatecznie skończyła się powodzeniem : życie lufy przedłużono

z 40 do 250 strzałów, co w warunkach przewidywanego użycia broni było już liczbą zupełnie realną.

I tak, w połowie 1935 roku, trudności techniczne zostały pokonane i broń była gotowa do produkcji. Ale tu zaczęła się nowa trudność. Przede wszystkim wprowadzenie tej broni na uzbrojenie wymagało sankcji tzw. Komitetu dla Spraw Uzbrojenia i Sprzętu, złożonego z inspektorów armii pod przewodnictwem gen. Sosnkowskiego. Tu sprawa poszła niespodziewanie gładko i — choć gen. Dąb-Biernacki mocno wydziwiał się nade mną, pól żartem, pół serio, że chcę dać wojsku muszkiet z epoki Gustawa Adolfa — inspektorowie uznali zgodnie, że broń zaproponowana będzie istotnie dużym wzmocnieniem obrony przeciwpancernej.

Pozostał etap następny : zgodnie z zasadą, o którą ja sam mocno walczyłem, gdy uprzednio byłem kierownikiem Komisji Doświadczalnej Piechoty, żadna broń nie mogła wejść na uzbrojenie piechoty bez wypowiedzenia się jej organów fachowych. W praktyce oznaczało to, że z nową bronią miała wpierw przeprowadzić próby Komisja Doświadczalna Piechoty, a następnie, na podstawie tych prób, wypowiedzieć się miał Departament Piechoty.

Daliśmy piechocie do wyboru kilka typów podpór, celowników itp., aby jej przedstawiciele mogli wybrać to, co będą uważali za najporęczniejsze dla strzelca.

Gdy jednak po kilku miesiącach prób nadeszła opinia piechoty, przyznaję otwarcie, że zdrętwiałem. Zażądała ona nie mniej nie więcej, tylko powiększenia przebijalności broni o co najmniej 50 procent. Zdaniem bowiem Departamentu Piechoty, zanim wojna wybuchnie, jakość, względnie grubość pancerzy czołgów niemieckich wzrośnie do tego stopnia, że karabin nasz stanie się zupełnie bezużyteczny.

Wszyscy, którzy mieli do czynienia z dotychczasowymi pracami, jasno zdawali sobie sprawę z tego, że żądanie to oznaczało w gruncie rzeczy dobrych kilka lat nowej pracy, a więc pozostawienie piechoty bez broni przeciw czołgom na takiż okres czasu. Wiedzieliśmy bowiem, że jesteśmy już u kresu możliwości technicznych i że każde powiększenie mocy karabinu to raczej szukanie nowych zupełnie dróg, a więc cała praca raz jeszcze od początku, niż ulepszanie broni już istniejącej. Czegośmy wtedy nie wiedzieli, a co dopiero prace późniejsze wykazać miały, spełnienie żądań piechoty wymagało by zasadniczej przeróbki samej idei broni, a więc zastosowania zupełnie nowych zasad technicznych, jak lufa stożkowa, która zaczynała być technicznie gotowa dopiero w 1939 roku, czy broń rakietowa, która w 1935 roku była jeszcze w powijakach. Jedynym wyjściem przy ówczesnym stanie techniki było powiększenie kalibru : wtedy jednak karabin, zamiast ważyć osiem i pół kilograma, musiałby ważyć co najmniej dwakroć tyle, przestawał więc być indywidualną bronią piechura.

Ponadto, jak wykazały dane otrzymane z wywiadu, były duże szanse na to, że przez kilka lat jeszcze opancerzenie czołgów niemieckich nie przekroczy przebijalności naszego karabina. Przewidywania te przyszłość potwierdziła.

Sprawa wróciła znów do Komitetu dla Spraw Uzbrojenia i Sprzętu, który zajął stanowisko bardziej realistyczne, niż Departament Piechoty i polecił przystąpić do produkcji broni takiej, jaką ona wtedy była, prowadząc równocześnie dalsze prace nad bronią o mocy większej.

Przegrałem natomiast w innej sprawie, a mianowicie w ilości broni, jaką mieliśmy dostarczyć piechocie. Z danych, jakie wtedy posiadałem o szybkości ruchu czołgów, przewidywanej ich gęstości w natarciu i szybkostrzelności broni, obliczyłem, dodając oczywiście pewien procent bezpieczeństwa, że piechota powinnaby mieć jeden taki karabin na drużynę. Ponieważ w gronie pracującym nad tym karabinem byłem jedynym oficerem piechoty, wnioski moje zostały przyjęte przez Departament Uzbrojenia. Tymczasem sprzeciw przyszedł ze strony najmniej oczekiwanej : Departamentu Piechoty. ,,Nie zaśmiecajcie piechoty zbyt dużą ilością broni ciężkiej, bo zabijecie jej ducha ofensywnego !'' brzmiała jego odpowiedź, która znalazła wiele poparcia i wśród inspektorów armii. Wojna później wykazała, jak mylny był ten pogląd. W kampanii włoskiej piechur taskał ciężki Piat i wiele innych broni ze sobą, a jego pęd zaczepny nie tylko przez to nie malał, lecz raczej rósł, gdyż miał on czym łamać przeszkody, na jakie napotykał. Ale w 1935 roku magia słowa ,,pęd ofensywny'' i wiara w szybkość piechura w natarciu były tak silne, że zaważyły na szali, zwłaszcza, że Departament Uzbrojenia, który zawsze miał więcej potrzeb, niż środków, bynajmniej nie patrzył się krzywo na to, że będzie mógł wydać mniej pieniędzy na nową broń. Ostatecznie więc stanęło na tym, że broń miano wyprodukować w takiej ilości, aby każdy pluton piechoty otrzymał po jednym karabinie, to jest w ilości trzykrotnie mniejszej, niż myśmy proponowali.

Zanim opowiem o sprawach z produkcją broni związanych, niech wolno będzie mi wrócić nieco wstecz, do róż i cierni naszej pracy badawczej. W jej trakcie mieliśmy różne wizytacje wysokich dygnitarzy, którym demonstrowaliśmy wyniki naszych prac. I tak, w drugiej połowie 1935 roku wizytował nas gen. Śmigły-Rydz (nie był wtedy jeszcze marszałkiem). Wizytacja ta pozostawiła u nas jak najlepsze wspomnienie. Gen. Śmigły niezmiernie żywo interesował się sprawą, w pełni docenił jej znaczenie, jako zamiłowany strzelec z przyjemnością próbował osobiście strzeleckie cechy broni, a towarzyszący mu gen. Stachiewicz, zgodnie ze swym zwyczajem, kilku trafnymi pytaniami szybko wstrzeliwał się w samo sedno zagadnienia.

Zupełnie odmienne wrażenie pozostawiła wizytacja Prezydenta Mościckiego. Czekaliśmy na nią z dużą niecierpliwością. Cieszyliśmy się z góry, że jemu, jako uczonemu, będziemy mogli opowiedzieć szerzej o teoretycznej stronie sprawy, podzielić

się wiadomościami o szeregu zupełnie nowych zjawisk, na jakie natknęliśmy się, usłyszeć jakąś radę fachową. Rzeczywistość niestety zupełnie zawiodła oczekiwania. Prezydent, z nadętą miną arcykapłana wiedzy, ledwo raczył słuchać objaśnień, a kiedy w pewnym momencie, opisując zupełnie nowe zjawisko, po krótce naszkicowałem jego teorię, jak mi się ona wtedy wydawała, tak jak to się normalnie czyni, gdy przedstawia się sprawę uczonemu, Prezydent przerwał mi w połowie zdania : ,,dziękuję Panu, ja sam rozumiem'', choć oczywiście, jako że rzecz była zupełnie dotąd nieznana, niczego sam rozumieć nie mógł. Podobnie mrożące potraktowanie spotkało inż. Ciundziewickiego, który z młodzieńczym zapałem referował jedno ze swych osiągnięć. Po tym oblaniu nas zimną wodą, dalszy pokaz traktowaliśmy niezmiernie formalnie, a że Prezydent mało pytał, więc i mało informowaliśmy go. Wizytacja skończyła się więc wcześniej niż przewidywano, pozostawiła jednak bardzo niemiły posmak.

Po tej dywersji wracam do spraw produkcji. Wedle uchwały Komitetu dla Spraw Uzbrojenia i Sprzętu, broń miała być utrzymana w najgłębszej tajemnicy, przechowywana w składach mobilizacyjnych jako zaskoczenie dla Niemców. Odpowiednio do tego i produkcja musiała być zorganizowana w taki sposób, aby jak najlepiej tajemnicę zachować.

Pierwszą zasadą było więc odpowiednie rozdzielenie jej. Najmniej kłopotu było z prochem. Pionki produkowały tyle najprzeróżniejszych jego gatunków, że jeden więcej ani nie zwracał uwagi, ani niczego nie wyjawiał. Trochę trudniej było z amunicją. Na szczęście jednak można było produkcję tak łusek, jak i pocisków, prowadzić na działach ogólnych do samego niemal końca, nie różniły się one bowiem znacznie od normalnie produkowanych. Ostatnie tylko operacje, które zwrócić by musiały uwagę niezwykłym kształtem produktów, a tym bardziej zespalanie łuski, pocisku i prochu w nabój, wykonywać należało w odosobnionym warsztacie, do którego dostęp miało tylko szczupłe grono wtajemniczonych. Najgorzej sprawa przedstawiała się z karabinem. Tu, za poradą płk. Pełczyńskiego (dziś generała), rozwiązano sprawę w ten sposób, że karabin, z wyjątkiem lufy, wyrabiano w Fabryce Karabinów w tajnym oddziale, dając mu kryptonim ,,Ur'', opowiadając przy tym z dużą tajemniczością, że jest to karabin dla jednego z państw południowej Ameryki (Urugwaj), które zbroi się w tajemnicy. Wobec tego, że dostarczaliśmy broń do różnych państw obcych i wobec znanej wojowniczości republik Ameryki południowej, nie wzbudziło to żadnych podejrzeń. Lufy natomiast, które by natychmiast rzucały się w oczy, i montowanie broni w jedną całość przeprowadzono w dobrze zabezpieczonym warsztacie Cytadeli.

W samej produkcji trudności większych nie było. Jedynie na początku Pionki, które w czasie prób wyprodukowały już ponad 50 kilogramów prochu, gdy przystąpiły do produkcji masowej, obliczonej na setki kilogramów i tony prochu, miały du-

że kłopoty z osiągnięciem tak wysokich danych prochu, jak te, które uzyskiwano w pracach laboratoryjnych. I choć ludzie, którzy prace laboratoryjne prowadzili, byli na miejscu, choć sama fabryka miała niezmiernie wysoki poziom techniczny, trwało około pół roku, zanim trudności te udało się pokonać. Jest to bowiem rzecz, której często zrozumieć nie mogą nie fachowcy, że model a produkcja masowa, to dwie całkowicie różne rzeczy.

Wbrew rozpowszechnionemu przed wojną przeświadczeniu, któremu Armia Krajowa tak silnie i pięknie czynami swoimi zaprzeczyła, jakoby Polacy nie byli zdolni do utrzymania tajemnicy, choć całość sprawy znana była we wszystkich szczegółach technicznych kilkunastu ludziom, choć poszczególne elementy broni i amunicji znało dokładnie ludzi kilkudziesięciu, choć przy produkcji poszczególnych składników pracowało około tysiąca inżynierów, majstrów i robotników, tajemnica broni nie wyciekła i była prawdziwym zaskoczeniem dla Niemców.

Zachodzi pytanie, czy tajemniczość ta była potrzebna i czy zbyt późne zapoznanie piechoty z karabinem przeciwpancernym (na kilka dni zaledwo przed wojną) nie odbiło się ujemnie na jej sprawności. Zdaniem moim tajemnica była konieczna. Danie broni na uzbrojenie wojska tajemnicę wyjawia i prędzej czy później dojdzie ona do przeciwnika. A że w latach 1935/6 Niemcy dopiero zaczynali swe zbrojenia, więc gdyby się byli dowiedzieli o naszym karabinie, mogli byli przejść na konstrukcję czołgów cięższych, czyniąc naszą broń całkowicie bezużyteczną. Fakt zaś, że przystąpili do wojny, mając gros czołgów wrażliwych na nasz karabin, świadczy o celowości utrzymania tajemnicy i o jej powodzeniu. Inna rzecz, że wyjawienie jej na dwa tygodnie wcześniej, niż to uczyniono, byłoby wskazane. Opóźnienie wynikło jedynie z niewiary czynników decydujących, że wojna jest już na karku, a nie z zasady tajności.

Kilka danych technicznych : karabin ważył, jak już podałem, osiem i pół kilograma, lufa miała długość 130 cm., szybkość początkowa wynosiła 1300 metrów na sekundę, a więc prawie półtora razy tyle, co w zwyczajnym karabinie piechoty. Mimo tak dużej szybkości, dzięki hamulcowi wylotowemu, odrzut był łagodniejszy, niż w zwykłym karabinie. Pocisk ważył 12,8 gramów, proch 11 gramów.

Po zakończeniu produkcji broń zapakowano do skrzyń z dokładną instrukcją jej użycia i z zapasem amunicji. Wobec dużej długości tych skrzyń, dla niepoznaki, umieszczono na nich napis ,,sprzęt optyczny''.

I tak przeleżały one do końca sierpnia 1939 roku. Nie wiele było czasu na ich użycie. Zadanie swe jednak spełniły : kilkaset czołgów niemieckich mają na sumieniu. Praca w nie włożona nie została zmarnowana.

Tadeusz FELSZTYN

Książki

Między marksizmem a prawdą

„Można pozostać wiernym zasadom marksizmu, można uczciwie i skutecznie pracować nad realizacją socjalizmu nie stając się wspólnikiem, nawet poprzez milczenie zachowane w imię jakiejś wyższej racji stanu, polityki, która w Budapeszcie i gdzie indziej dusi wolność i zabija niewinnych... właśnie z powodu mego przekonania, że świat w równym stopniu potrzebuje socjalizmu co socjalizm prawdy na to żeby się móc odrodzić, nie poprzestanę bronić tego co uważam za prawdę".

Tymi słowami kończył Franciszek Fejto swój artykuł pt. „Sprawa Rajka jest międzynarodową sprawą Dreyfusa" w „Esprit" z listopada 1949 roku. Aż do czerwca tegoż roku Fejto był jeszcze kierownikiem biura prasowego ambasady węgierskiej w Paryżu. Fejto był komunistą starej daty, komunistą „szkoły zachodniej", kolegą i przyjacielem Rajka. Słowami Emmanuela Mounier, Fejto „zrobił wysiłek aby pozostać wiernym aż do zaduszenia".

Powyższe wyznanie wiary mogłoby służyć za motto nowej książki Fejto „Histoire des Démocraties Populaires"*). W książce tej Fejto pozostaje wierny zasadom marksizmu, stara się służyć sprawie socjalizmu i zarazem „bronić tego co uważa za prawdę". Formuła ta nie jest oczywiście całkiem zgodna z „ton eonta" Herodota, na którego powołuje się autor. Fejto nie jest naprawdę „bezstronnym historykiem", choć za takiego podaje się w przedmowie, jakby zapominając o wyznaniu wiary z „Esprit". „L'Histoire des Démocraties Populaires" nie służy żadnej ze „stron", które zmagają się obecnie

*) FEJTÖ François, *Histoire des Démocraties populaires*. Str. 447. Editions du Seuil, Paris 1952.

na światowej arenie: to prawda. Ale tym nie mniej służy pewnej tezie, którą należy może pokrótce omówić, aby móc potem przejść do rzetelnych i ważnych elementów książki, których jest dużo. Fejto zaczyna od historycznego wstępu, w którym twierdzi, że kraje Europy środkowo wschodniej nie były w r. 1919 dojrzałe do ,,bałkańskiego wydania Trzeciej Republiki Thiersa i Gambetty'', i że właściwie musiały wybierać pomiędzy Komuną i pewną formą bonapartyzmu, ,,pomiędzy Bela Kuhnem i Horthym'' (pomiędzy lubelską republiką ludową i Piłsudskim?) Znamienne jest zdanie Fejto o Jałcie: kompromis pomiędzy zachodnimi aliantami i Rosją był konieczny, nie był jednak dostatecznie jasno określony, ani dość gruntowny:

,,W tych krajach narodowe uczucia, które ożywiały ruch oporu przeciw Niemcom miały również anty-sowieckie nastawienie; szefowie ruchów oporu odrzucali jakąkolwiek myśl o współpracy z komunistami, których uważali po prostu za agentów Rosji. Gdzie indziej, komuniści nie czuli się dość silni, aby się obejść bez prawicowych nacjonalistów. Trzeba było ciągłych silnych presji bądź ze strony zachodnich aliantów, bądź ze strony Związku Sowieckiego, aby osiągnąć chociażby cień współpracy pomiędzy wrogimi partiami... Te interwencje wzmogą ogólne zamieszanie: zamiast wzmocnić związek pomiędzy siłami narodowymi i demokratycznymi, doprowadzą one do końca rozbicie wewnętrzne krajów, w których każde stronnictwo polityczne ucieknie się pod opiekę jednego lub drugiego sprzymierzeńca. Niezadługo nie będzie niezależnych polityków; pozostaną po jednej i drugiej stronie barykady — agenci''.

W tym duchu analizuje Fejto polskie wybory z 1946 roku, zarzucając Mikołajczykowi ,,nieprzejednaną złowrogość wobec Rosjan''. Fejto nie pisze jaki ,,bardziej gruntowny kompromis'' mógłby przynieść lepsze wyniki. Można jednak przypuszczać, iż jego zdaniem stworzenie ,,demokratycznych frontów'' w r. 1945, w których prawym skrzydłem byliby socjaliści, z wykluczeniem elementów ,,prawicowych'' czy ,,narodowych'' umożliwiło by satelitom zachowanie większej niezależności wobec Rosji i mogłoby nadać inny bieg przemianom partii komunistycznych. W dziedzinie polityki wewnętrznej Fejto niewątpliwie trwa przy kanonach marksistowskich, z podkreśleniem niezależności narodowej i konieczności ,,wolniejszego klimatu'' (coś jakby demokracja ,,do pewnego stopnia''). Kierunek, w którym idzie Jugosławia od zerwania z Rosją Sowiecką wydaje mu się słuszny, z zachodnich polityków pozytywnie ocenia Bevana. Na terenie międzynarodowym trudniej jest określić stanowisko Fejto. Jest on oczywiście zbliżony do ,,neutralistów'' (patronat ,,Esprit'' i związek z ,,Editions du Seuil'' wskazują na to dość jasno) i niejednokrotnie cytuje ,,Le Monde''. Na końcu książki proponuje nawet znaną formułę wycofania aliantów z Niemiec i twierdzi, że zamiast podziału Europy i świata na sfery wpływów należało by spróbować... ,,ufnej współpracy wielkich mocarstw w celu zapewnienia harmonijnego rozwoju pokojowego świata''. Wartość książki Fejto nie

polega oczywiście ani na ,,neo-marksistowskiej'' tezie, ani na dość mglistych pobożnych życzeniach pokojowego rozwiązania współczesnego dramatu. ,,Historyczne wypadki'', zwłaszcza jeśli chodzi o okres 1945-47 przedstawione są dość stronniczo. A przecież Fejto oddaje jako historyk prawdziwą usługę przez głębokie zrozumienie i odczucie atmosfery, klimatu środowiska które opisuje.

Zasadniczą cechą dobrego historyka jest jego umiejętność wczucia się w ducha epoki. Nie wystarcza znajomość faktów, dokumentów, praw, wypowiedzi, warunków materialnych i poziomu życia. To są dopiero dane, które historyk musi uszeregować i interpretować: ożywić. To życie epoki przeszłej zależeć będzie od tego czy historyk potrafi się zidentyfikować — jak aktor z postacią sceniczną, — z grupą ludzi, którą opisuje. XIX wiek rozwinął ten ,,mimetyzm'' historyczny do tego stopnia, że człowiek wykształcony wyczuwa dzisiaj niemal podświadomie, chociaż w bardzo uproszczonej formie, ducha, nastrój, atmosferę, oblicze duchowe przeszłych epok czy nawet przeszłych cywilizacji. Ten mimetyzm zawodzi nas jednak często w historii współczesnej, zwłaszcza jeśli chodzi o odmienną cywilizację jaką niewątpliwie jest komunizm. Nic w tym oczywiście dziwnego: fakt współczesności, zaangażowania politycznego w połączeniu z ogromnymi różnicami na każdym polu sprawia że spojrzenie historyczne jest bardzo utrudnione. Mamy tu zawsze tendencję do upraszczania problemu. Fakt że stalinizm jest bezwzględną dyktaturą, że centralizacja jest całkowita, że ludzie rządzący krajami wschodniej Europy przeszkoleni byli w Moskwie niemal narzuca sztywny i bezwzględny schemat: wyobrażamy sobie świat komunistyczny jak maszynę miażdżącą bezwzględnie umysły i życia ludzkie, funkcjonującą niemal bez zarzutu. Jest to oczywiście obraz abstrakcyjny, teoretyczny. Historyka zaś winno interesować przede wszystkim życie konkretne, wyjątki raczej niż reguły.

Na to żeby zrozumieć jakikolwiek problem związany z komunizmem czy z dzisiejszą wschodnią Europą, trzeba potrafić się wczuć w tamtejszą mentalność i atmosferę. Dlatego zapewne najbardziej może cenne i rewelacyjne informacje i analizy z tej dziedziny zawdzięczamy bądź byłym komunistom, bądź ludziom stojącym na skrajnej lewicy politycznej i przez to do komunistów zbliżonym. Koestler, Merleau-Ponty, Victor Serge, Sperber dali nam klucz do zrozumienia moskiewskich (czy budapeszteńskich, czy praskich) procesów, będących niby mikrokosmosem systemu. Miłosz wyjaśnił trudny do zrozumienia dylemat twórcy czy intelektualisty w krajach ,,Nowej Wiary''. Fejto jako historyk pierwszy przywraca nam do pewnego stopnia tę wizję złożoną życia, które i tam płynie mimo wszystko ludzkimi torami. Fejto tłumaczy nam fenomen titoizmu i jego echa. Wyjaśnia nam częściowo stosunki panujące w sferach rządzących. Rzuca światło na mentalność, rozcza-

rowania i życzenia aktywnego działacza komunistycznego ,,w terenie''. Analizuje postępy tam gdzie zostały dokonane.

Najbardziej sensacyjną i aktualną w świetle procesu praskiego, w świetle zapowiedzi procesu Gomułki jest analiza bolszewizacji partii komunistycznych w krajach republik ludowych po ekskomunikacji Jugosławii w 1948 roku. Rezolucja Kominformu z czerwca 1948 r. postawiła niemal wszystkich przywódców republik ludowych w roli ,,potencjalnych zdrajców''. Gomułka, Gottwald, Rakosi, Gheorgiu Dei, Enver Hodja, wszyscy oni wypowiadali się w swoim czasie na temat ,,oryginalności'' demokracji ludowych, ,,różnic'' z systemem sowieckim; wszyscy zgrzeszyli ,,oportunizmem'' w kwestii chłopskiej; czasem krytykowali stanowisko Sowietów i starali się uzyskać lżejsze warunki w ciągu negocjacji ekonomicznych; w kontrolowanej przez nich biurokracji odbywały się starcia z sowieckimi ,,ekspertami''. Przywódcy spoglądali przerażeni na siebie i wokół siebie: tropiąc w sobie i w innych ,,nacjonalistyczne'' lub ,,lewicowe'' dewiacje. Według terminologii bolszewickiej stało się jasne, że ,,główny wróg ruchu znajduje się we własnym łonie''. Zapomniano niemal o ,,wrogach klasowych'' szukając szpiegów czy infiltracji ,,titoistów'' i przeciwników Sowietów. Jeśli ich nie było, trzeba ich było stworzyć. Starzy komuniści wychowani w moskiewskiej szkole wiedzieli, że jedynie ,,głowy'' mogą ich usprawiedliwić w oczach podejrzliwego Kremla. ,,Sprawa Tito — pisze Fejto — odegrała w historii krajów Kominformu tę samą rolę co zabójstwo Kirowa w Rosji''. Od leninizmu, cokolwiek skorygowanego przez Stalina, przechodzi się teraz do Ery Stalinizmu.

Fejto tak opisuje zasadnicze rysy systemu w nowym wydaniu:

,,Partia stalinistyczna staje się świadomą wolą proletariatu. Ta wola jest, z urodzenia, rewolucyjna i demokratyczna; ale na to aby stać się prawdziwie skuteczną, musi być jedna i niepodzielna. Klasa robotnicza jest wielką armią, której kadrę stanowi partia. Powstały z wojny, komunizm powraca do wojennych obyczajów. Jego propaganda jest instrumentem mobilizacji i dowodzenia.

,,Partia będzie przede wszystkim wielką szkołą, gdzie kształceni będą propagandyści, wychowawcy, instruktorzy, kadry przeznaczone dla biurokracji, syndykatów, chłopów, młodzieży, kobiet, dzieci, wojska. Ale nie na tym się kończy jej misja. Komunista-bolszewik jest nie tylko wychowawcą, ale również agentem kontrolnym. W fabryce, w biurze, we wsi w batalionie, nadzoruje on swoich dowódców i szefów, swoich kolegów nie komunistów i żąda od nich sprawozdań. Jego pierwszą cechą jest czujność. Przez to samo staje się dobrowolnym wspólnikiem policji, której misja jest gloryfikowana. To dzięki niemu organizuje się i utrzymuje nagonka przeciw sabotażystom świadomym i nieświadomym. Im wyżej awansuje, tym większą staje się jego odpowiedzialność. Musi okazać się twardy, aby przeforsować wyższe decyzje w środowiskach siłą rzeczy niechętnych; ale musi być również giętki, aby spowodować przyjęcie żądań które wydają się nie do przyjęcia: surowsza dyscyplina w fabrykach, stałe podwyższanie norm pracy.

„Ideał dobrego komunisty jest trudny do zrealizowania. Zawiera on nigdy nie słabnącą wiarę i zawsze czujną energię, które rzadko się spotykają u jednego osobnika. Najbardziej entuzjastyczni komuniści szybko się zużywają w zetknięciu z twardą rzeczywistością. Stąd potrzeba ciągłej rekrutacji nowych kadr. „Stała rewolucja", to Partia. To dzięki Partii przenika ona do społeczeństwa. To poprzez partię płynie ciągły nurt dekretów, rozkazów, instrukcji przygotowanych na wyżynach.

„Stałe odnawianie sloganów zużywa świadomość militantów. Stale przekształcani na kursach politycznych Partii, będąc przedmiotem głuchej nienawiści anonimowych mas, w których wciąż jeszcze żyje „drobno-burżuacyjna mentalność", mogą znaleźć spokój, namiastkę wewnętrznej równowagi tylko pozbawiając się całkowicie osobowości i utożsamiając z Partią i jej Szefem to co mają najlepszego, swe ideały i nadzieje, jednocześnie zaś spychając wszystkie swoje własne wątpliwości i niepewności, wszystkie błędy i załamania na Wroga".

Całe dzieło Fejto oddaje tę atmosferę. Widzimy przejawy tego dynamizmu, stawiającego „nieludzkie" wymagania na polu ekonomicznym, społecznym, kulturalnym. U podstawy każdej cywilizacji widzi Toynbee „challenge" — wyzwanie, którym będzie specyficzny problem, trudność którą dana cywilizacja ma pokonać. Tym „wyzwaniem" w Rosji i „demokracjach ludowych" staje się coraz bardziej napór ludzki od wewnątrz, rozwój nowej inteligencji technicznej, konieczność ciągłego powiększania klasy wykształconej. Ta warstwa biurokratów, manadżerów i ekspertów mogłaby któregoś dnia poczuć się panem sytuacji, chociaż Partia tworzy dziś zarazem mur i tarczę pomiędzy nią i masą i chociaż mit leninizmu — stalinizmu jest na ogół mniej lub bardziej szczerze i głęboko przyjęty przez członków tej warstwy. A jednak wzrastająca sztywność partii zdawałaby się wskazywać na to, że istnieje wewnętrzna postawa defensywna. Mechanizm autokrytyki, donosów, szpiegów i czystek z jednej strony, z drugiej zaś strony koncesje robione od czasu do czasu to robotnikom, to chłopom odpowiadają dotychczas temu „wyzwaniu". Mit produkcji, coraz większej produkcji, mit techniczny, mit dynamizmu społecznego (rewelacyjny jest rozkład dnia idealnego robotnika węgierskiego, który podaje Fejto, w którym nie ma ani chwilki samotności), funkcjonuje jedynie w połączeniu z terrorem. Po przeczytaniu książki Fejto ma się nieco jaśniejsze spojrzenie na to co może być dla systemu prawdziwym niebezpieczeństwem: są nim coraz liczniejsi specjaliści, nowa inteligencja techniczna, która zrosła się już z planową produkcją i chłopi, których największa część skoncentrowana jest w majątkach państwowych i w kooperatywach produkcyjnych.

Fejto ciekawie naświetla problem kolektywizacji i chłopskich „kooperatyw produkcyjnych". Zwraca on uwagę na fakt że wywłaszczanie drobnej własności ziemskiej, niezdolnej do dostosowania się do postępu technicznego, ma również miejsce w ustroju kapitalistycznym. Prywatny kapitał posługuje się tutaj metodami „czysto ekonomicznymi", jak wywłaszczanie włas-

ności ziemskiej za długi przez banki (proces, któremu poświęcił Steinbeck swoją powieść *Les raisins de la Colère* *). Proces ten jest oczywiście szczególnie dotkliwy w krajach gdzie rewolucja przemysłowa dotarła późno, i gdzie chłopi stanowią większość ludności. Engels pisał już w 1893 roku, że zastąpienie setek tysięcy chłopów ,,nową klasą wielkich kapitalistów'', wyzyskujących ziemię ,,przemysłowo'' może się odbyć tylko ,,kosztem straszliwych cierpień i konwulsji''. Nie przewidział on jednak, że tym okrutnym kapitalistą będzie w Rosji i na wschodzie Europy — państwo. (Nawiasem mówiąc nie jest to jedyny paradoks w tej dziedzinie i Marks byłby może zastąpił ,,Kapitał'' ,,Państwem'' gdyby był przewidział lepiej bieg historii). Fejto zwraca tu uwagę na ciekawy psychologiczny element: otóż chłop pozbawiony własności przez ,,naturalny'' proces ekonomiczny w systemie kapitalistycznym poddaje się tym anonimowym siłom i przyjmuje jako obowiązującą tę regułę gry, która żąda od dłużnika zapłaty. Wywłaszczenie przez komunistyczną dyktaturę nie może być przyjęte jako ,,naturalne''. Gromadzą się tu wielkie głuche siły oporu, tym bardziej, że komunizm nie rozdrabnia wydziedziczonej masy chłopskiej, nie wchłania jej do przemysłu, jak to czyni kapitalizm: przeciwnie musi ją koncentrować i organizować w kolektywy, kooperatywy czy kołchozy, których potencjalne ostrze zwrócone jest właśnie przeciw reżimowi: ,,kooperatywy stworzone przez komunistów podlegają sile odśrodkowej większości swych członków, którzy nie chcą aby spotkały się z powodzeniem''.

Charakterystyczne dla podejścia Fejto do wewnętrznych zagadnień wschodnio europejskich jest jego analiza likwidacji partii socjalistycznych. Aż do 1948 roku socjaliści, mimo oczywistej współpracy z komunistami i daleko posuniętej uległości wobec reżimu, zachowywali jednak resztki niezależności, czego dowodził chociażby ich udział w międzynarodowych konferencjach socjalistycznych. Presja komunistyczna w kierunku likwidacji resztek tej niezależności zaczęła się w 1947 roku i spotkała się początkowo z niespodziewanie silnym oporem. Zarówno socjaliści czescy jak węgierscy zastąpili ,,lewicowych'' (prokomunistycznych) przywódców przedstawicielami bardziej niezależnego ,,centrum'' partii (zastąpienie Fierlingera Lausmanem i zwycięstwo na Węgrzech Anny Kethy i Bana nad ,,prokomunistyczną opozycją'' Pfeiffera). Już w 1948 roku zaczęło się jednak na wielką skalę aresztowanie bardziej niezależnych socjalistów i w ciągu tego samego roku nastąpiły ,,zjednoczenia'' socjalistów i komunistów w jedną partię komunistyczną we wszystkich krajach satelickich. Do tej klęski teren przygotowali socjaliści ,,lewicowi'', których Fejtö dzieli na trzy kategorie. Pierwsza — to starzy bojownicy o poważnej przeszłości politycznej albo związkowej, jak Cyrankiewicz czy Kuryłowicz w Polsce, Szakasits i Riesz na Węgrzech, Radaceanu w Rumu-

*) Gallimard

nii. Dla tych ludzi najgroźniejszym wrogiem pozostawała zawsze ,,prawica''. Mieli oni może nadzieję zachowania niezależności swych partii po usunięciu z nich wszystkich zwolenników współpracy ze stronnictwami ,,burżuazyjnymi'' i chłopskimi. Niedługo polityka ta odcięła ich od mas własnych partii, powoli wpadali w sieci zastawione przez komunistyczne ,,wtyczki'' i w r. 1948 musieli przyjąć likwidację socjalizmu jako fakt dokonany. Drugą grupę, najliczniejszą, lewicowych socjalistów stanowili ,,rewolucyjni intelektualiści'': Lange, Hochfeld, Jabłoński w Polsce, Justus czy Szalai na Węgrzech. Są to zdaniem Fejto umysły abstrakcyjne i teoretyczne, zafascynowane systemami. Starali się oni podkreślać teoretyczne różnice socjalizmu i komunizmu, ale stalinizm pociągał ich niemal w równej mierze jak ich odpychał. Na końcu poświęcili samodzielność na ołtarzu ,,jedności klasy robotniczej'', nie bez wewnętrznego rozdarcia i wątpliwości: czy można forsować jedność klasy robotniczej wbrew jej życzeniom? Trzecią kategorią są wreszcie komuniści udający socjalistów, agenci, wtyczki. Fejto przepowiada rychły koniec wszystkich lewicowych socjalistów pierwszych dwóch kategorii, jak Osóbka Morawski w Polsce, Szakasits na Węgrzech, Radaceanu w Rumunii. Mimo likwidacji partii socjalistycznych, mimo likwidacji lub zdrady ich przywódców, Fejtó uważa, że socjalizm jest wciąż jeszcze żywą i groźną siłą we Wschodniej Europie, której obawia się reżim, czego dowodzi ciągła kampania propagandowa i prasowa przeciw ,,wpływom socjaldemokratycznym'', która bynajmniej nie ustała po oficjalnym zjednoczeniu socjalistów z komunistami. Poza fasadą zjednoczonych Partii żyje niewątpliwie wśród robotników duch socjalistyczny, który trudniej zlikwidować niż przywódców.

Książka Fejto jest niezmiernie bogata w oryginalne naświetlenia i informacje tego typu z dziedziny politycznej, ekonomicznej i kulturalnej. Teza Fejto, jego stronniczość i zbyt daleko posunięta troska ,,obiektywizmu'' (nasuwają mu się wątpliwości nawet jeśli chodzi o odpowiedzialność za zbrodnię katyńską...) nie powinny zniechęcić czytelnika interesującego się sprawami wschodnio europejskimi do tej książki, zawierającej elementy nowe i pobudzającej do myślenia.

KAJ

Problemy międzynarodowe w literaturze U. S. A. *(Dok)*

Nie wszyscy podzielają pogląd Tafta i Morley'a, że Stany nie mają określonej i konsekwentnej polityki zagranicznej. John Fisher wydał MASTER PLAN USA, gdzie stara się wykazać, że istnieje planowa polityka amerykańska, ale że z natury rze-

czy nie może szybko dawać wyników, na podstawie których można ten plan odcyfrować. By tę politykę poznać, trzeba przede wszystkim wiedzieć, kto ją kształtuje i jakimi metodami. Politykę tę tworzą czy raczej w mozolnej pracy wykuwają członkowie Narodowej Rady Bezpieczeństwa (National Security Council). Kiedy z inicjatywy Forrestala i Marshalla Kongres w roku 1947 uchwalił zjednoczenie wszystkich trzech rodzajów broni w jednym Ministerstwie Obrony, wprowadzono do ustawy postanowienie o utworzeniu tego nowego ciała, mającego na celu „scalenie polityki wewnętrznej, zagranicznej i wojskowej z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego". Rada składa się z jedenastu członków pod przewodnictwem Prezydenta. Według ustawy członkami są właściwie tylko — prócz Prezydenta — Wice-Prezydent, sekretarze Stanu i Obrony oraz Przewodniczący *National Security Resources Board*. Należą jednak prócz nich Dyrektor *Central Intelligences* (Walter Bedell Smith), Szef Połączonych Sztabów (gen. Bradley), Averell Harriman, Sekretarz Skarbu Snyder i dwóch mniej znanych mianowańców Trumana. Ten zespół pracował pono dobrze, choć autor żałuje, że Prezydent nie sprostał zadaniu intelektualnego przywództwa. Wyłożywszy olbrzymie trudności i bezmiar problemów, jakie stoją przed Radą, autor formułuje pogląd tego ciała na sytuację w taki sposób: 1) Ludzie, rządzący Rosją Sowiecką są zdecydowani poddać swej dyktaturze cały świat. 2) Z obecnymi władcami Kremla nie można dojść do żadnego porozumienia pokojowego. 3) Stalin nie chce rozpętać wojny na dużą skalę, gdyż uważa to za niepotrzebne. 4) Rosja jednak uważa wojnę za nieuniknioną. 5) Celem doraźnym Kremla jest wzmocnienie własnej pozycji na spodziewaną walkę i osłabienie przeciwnika wszelkimi środkami poza wojną. 6) Stany Zjednoczone są jedynym krajem, mogącym zorganizować skuteczną obronę przeciwko sowieckiemu imperializmowi. 7) Same przez się Stany miałyby małą szansę wyjścia obronną ręką. 8) System sowiecki trwać nie może. Jeżeli by można jego ekspansję zatrzymać na obecnej granicy, to cała struktura stalinizmu zawali się w swoim czasie sama przez się — bez wojny. Fisher zaznacza, że tego ostatniego udowodnić nie można, ale że wzrastają dowody, jakoby rozkład się posuwał i to dość czybko. Na tle takich założeń powstał plan polityki, plan, nigdy i nigdzie nie spisany. Wyrósł on z twardych faktów, opartych o geografię i siłę. Głównymi jego twórcami byli Artur Vandenberg i James Forrestal, Marshall, Acheson i Prezydent Truman. Plan ten nie ulegnie istotnej zmianie w razie wyboru Republikanina na Prezydenta w r. 1952 — pisał Fisher pod koniec 1951 r. — jest bowiem koncepcją wspólną. W grubych zarysach plan jest taki: 1) Gdzieś około obecnej granicy Sowieckiego Imperium trzeba przeprowadzić linię i starać się, by Rosji poza nią nie puścić. Nie powinniśmy robić żadnych wysiłków w celu wyzwolenia siłą krajów już podbitych przez Rosję, ani dążyć do „zniszczenia komunizmu" ani nawet zapobiegać wprowadzaniu komunizm

przez państwa, które by tego chciały. Wszystko należy ograniczyć do przeciwdziałania narzucania siłą systemu sowieckiego. 2) By Rosję na owej linii zatrzymać, trzeba rozbudować potęgę narodów wolnych poza granicami Imperium Sowieckiego. Najlepszą obroną przeciwko gospodarczej i politycznej agresji jest organizowanie społeczeństw dostatecznie zdrowych i zamożnych, by mogły oprzeć się zarazkom komunizmu. 3) Jeżeli potrafimy dostatecznie szybko stworzyć taką ,,sytuację potęgi'', uda się może uniknąć wojny z Rosją. Jeżeli takie zatrzymanie Rosji się nie uda, wojna będzie nieunikniona a wówczas Ameryka uderzy całą mocą swej potęgi.

Nie chcąc się bawić w przepowiednie, Fisher stara się jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, w jakich warunkach można by współżyć z Rosją na stopie pokojowej i jako minimum wymagań stawia: 1) Rosja musi się nauczyć tolerowania reszty świata, porzucając wszelkie plany zniszczenia innych społeczeństw w drodze podboju czy podkopu. 2) Musi się zgodzić na wykonalny plan rozbrojenia, oparty na międzynarodowej kontroli fabryk broni atomowej i wszelkiej innej. 3) Musi zezwolić na normalne kontakty swej ludności z ludnością innych krajów oraz przyjąć u siebie taką formę rządu, jaka może istnieć bez poddawania w niewolę milionów ludzi.

Autor zdaje sobie sprawę, że liczenie na tego rodzaju zmiany w Rosji może być tylko aktem wiary. Sądzi wszakże, że historia nakazuje w to wierzyć, choć nie wiadomo, czy stan obecny potrwa lata, dziesiątki lat czy przez szereg pokoleń. Na razie niebezpieczeństwo jest groźne, ale zwycięstwo jest pewne o ile naród amerykański weźmie na siebie odpowiedzialność za moralne i polityczne przywództwo, jaką historia nań włożyła. Wbrew przewidywaniom Fishera wygląda dzisiaj, że MASTER PLAN tak jak on go ujął, ulegnie jednak zmianom pod rządami nowego Prezydenta. Zapewne już gdzieś na początku lutego będziemy mogli odcyfrować zarysy tych zmian.

Od strony mniej technicznej a bardziej zasadniczej bada czy oświetla politykę zagraniczną Stanów Dexter Perkins, dziekan Wydziału Historycznego Uniwersytetu w Rochester (stan N. York), b. Podsekretarz Stanu. W swej gruntownej książce THE AMERICAN APPROACH TO FOREIGN POLICY daje on zwięzłą historię dyplomacji amerykańskiej, a nanastępnie wyjaśnia, że nie istnieje w ogóle ,,amerykański imperializm'' ilustrując tę swoją tezę na analizie ekspansji Stanów na samym kontynencie i poza nim. Wykazuje, że ani w dziedzinie politycznej, ani gospodarczej nie można Ameryce zarzucać imperializmu. Odpiera dalej zarzut, jakoby amerykański kapitał wskazywał drogi polityce zagranicznej Stanów, wyjaśniając charakter amerykańskich pożyczek i lokaty kapitałów prywatnych ,odsłaniając ich powiązania z akcją polityczną, a raczej wykazując brak takich powiązań i związku przyczynowego pomiędzy polityką a przedsiębiorczością prywatnych jednostek czy

towarzystw. Znaczną za to rolę odgrywa w polityce Stanów czynnik natury moralnej. Nie dlatego, by rządy amerykańskie były moralniejsze od innych lub kierowały się bardziej argumentami moralnymi, a z tego jedynie powodu, że w Ameryce ogół obywateli ma większy wpływ na posunięcia rządu nawet w zakresie spraw zagranicznych, aniżeli gdzie indziej. Ten ogół zaś kieruje się pewnymi zasadami czy uprzedzeniami natury moralnej, jak np. przywiązanie do demokracji, odraza do dyktatury, do agresji, brak zaufania do dyplomacji tajnej, przekonanie, że państwo winno stosować tę samą moralność co jednostka. Takie poglądy społeczeństwa — słuszne czy niesłuszne w zastosowaniu do spraw zagranicznych — ważą i mają wpływ na politykę praktyczną. Autor bada dalej stosunek Amerykanów do wojny i do pokoju i na podstawie rozważań historycznych twierdzi, że wcale nie jest konieczne fizyczne zagrożenie Ameryki, by naród uznał wojnę za nieuniknioną. Dzisiaj pojęcie bezpieczeństwa zbiorowego, w które Amerykanin chciałby wierzyć, poszerzyło zasięg pojęcia bezpieczeństwa Stanów, a zatem powiększyło możliwe powody wojny. Głęboko przywiązani do pokoju Amerykanie próbowali rozmaitych metod celem jego utrwalenia. Od metod gospodarczych, poprzez dyskusję i układy, naciski moralne do interwencji orężnej w obu wojnach światowych, które miały — każda z osobna — zamknąć epokę wojen. Obydwie wykazały, że wojna niczego nie rozwiązuje, a dzisiaj stoją Stany wobec groźby największego konfliktu jaki sobie można wyobrazić. Jest przywiązanie do idei Narodów Zjednoczonych i jednocześnie wątpliwości, czy się ta organizacja udała. Zawsze jednak przyświeca ideał pokoju światowego. Ameryka nie hołduje wierze w siłę ani nie szuka dla siebie potęgi jako takiej. Szczerze szuka rozwiązań opartych na pewnym idealiźmie. Dzieje Ameryki dają autorowi podstawę do twierdzenia, że istnieje pewna cykliczność a widzi ją w okresowym następowaniu po sobie okresów życia pokojowego, okresu wzrastania nastroju wojennego i wojny, okresu powojennego nacjonalizmu. W takim właśnie okresie ma się kraj znajdować od roku 1945. Według prawidła cyklu powinien przyjść teraz okres pokojowego życia. Ale autor nie chce być prorokiem, a całokształt jego rozważań zdradza — pomimo wszelkich z jego strony ostrożności — bardzo głębokie zaniepokojenie obecnym stanem rzeczy. Nie sposób wdawać się w dyskusję z licznymi jego tezami i wywodami, jak np. zbyt ,,sprawiedliwe'' rozkładanie odpowiedzialności za stan dzisiejszego napięcia pomiędzy Amerykę i Rosję, przy czym w rezultacie Ameryce dostaje się więcej niż Rosji. Książka warta studiów. Daje dobre wejrzenie w rozumowanie uświadomionych Amerykanów.

Zygmunt NAGÓRSKI, sr.

Notatki wydawnicze

Znakomity krytyk, powieściopisarz i archiwista Charles Braibant wydał świetną książkę w Edition Corréa, która nosi nazwę ,,Le métier d'écrivain''. Pod tym, dosyć odstręczającym, tytułem kryje się rzecz doprawdy pasjonująca. Książka Braibanta nie jest bowiem, jakby się pozornie wydawać mogło, jakimś suchym traktatem omawiającym postulaty założenia i powiedzmy blaski i cienie rzemiosła pisarskiego, lecz po prostu zbiorem spostrzeżeń i refleksyj na temat problemów, związanych z pisarstwem, zaczerpniętych z notatników, prywatnej korespondencji, czy pamiętników. Wachlarz pisarzy, którym Braibant oddaje głos w swej książce, jest imponujący. Mamy więc wypowiedzi Boileau, Racine'a, Molière'a, pompatyczne oświadczenia pani de Stael, pełne rozsądku spostrzeżenia Guy de Maupassanta, błyskotliwego Sainte-Beuve'a, pogrążonego w tęsknocie za absurdem i kalamburem Gérard de Nervala, ale także znakomite refleksje Jean Paul Sartre'a oraz namaszczony bełkot Paul Claudela.

Charles Braibant książkę swoją dzieli na szereg rozdziałów, w których grupuje pewne zagadnienia. Jest więc rozdział w którym pisarze mówią dlaczego i po co piszą, rozdział w którym rozpatrują jakie powinny być zewnętrzne warunki egzystencji by móc twórczo pracować, jest rozdział z ich refleksjami o krytyce i publiczności, ich spostrzeżenia na temat drugiego zawodu pisarza i wreszcie intymne spowiedzi poświęcone wewnętrznemu mechanizmowi powstawania dzieła. Zdania oczywiście we wszystkich dziedzinach są mocno podzielone. Chyba w jednej tylko sprawie — mimo różnorodnego do niej podejścia — stanowisko autorów jest mniej więcej zgodne: twierdzenie, iż pisze się dla siebie, wyłącznie i tylko dla siebie jest sprzeczne z rzeczywistością. Całkowicie miażdżącą i w najwyższym stopniu przekonywującą argumentację w tej sprawie wysuwa zresztą nie kto inny jak Jean Paul Sartre w swych uwagach o tzw. obiekcie literackim.

Najbardziej pociągającą stroną książki Braibanta jest to, że widzimy w niej autorów francuskich nie w świetle oficjalnej i hołdowniczej krytyki, lecz jak pod presją zmiennej i różnorodnej rzeczywistości dają niekrępowany niczym wyraz swym namiętnościom, rozczarowaniom, aspiracjom, zniechęceniu czy gniewowi. Rysuje się więc przed naszymi oczami cała męka twórcza Flauberta napięta jak struna łuku w pasji osiągnięcia jak najbardziej idealnego wyrazu; skrupulatność Maupassanta w poszukiwaniu właściwej ekspresji dla swych myśli; morze niepokojów braci Goncourtów, oczekujących na reakcję publiczności po ukazaniu się jakiejś ich książki; aspiracje Stendhala, twierdzącego, że ,,Le rouge et le noir'' to bilet na loterię, której wielką wygraną będzie fakt, czy książka ta czytana będzie

w 1935; zamkniętą w swej wielkości pychę Chateaubrianda, odmawiającego omówienia książki pani de Stael za to, że nie chciała umieścić w swoim miesięczniku wyjątków z jego powieści itd. Widzimy dalej Hegesippe Moreau, który, aby zachować swą niezależność poetycką, z własnej woli i w najwyższym trudzie pracuje w drukarni; armatora Beaumarchais, uprawiającego kontrabandę bronią na rzecz walczących o niepodległość Stanów Zjednoczonych; szalonego Rimbaud wyruszającego do Abisynii po to by się wzbogacić handelkiem, który ma mu potem umożliwić swobodne poświęcenie się poezji i spacerującego po Kairze, dźwigającego na swym brzuchu, ukryte w pasie 8 kg. złota; nieśmiałego Huymansa pokornie ubiegającego się o stanowisko buchaltera; Jean Jacques Rousseau uprawiającego zawód kopisty nut itd. Sprawa zresztą tego drugiego zawodu pisarzy francuskich, sprawa szczególnie drastyczna dla nas będących na emigracji nabiera w książce Braibanta specjalnego znaczenia. Widzimy ją bowiem nie tylko jako pewien nieodłączny warunek egzystencji pisarza, lecz także jako niemal konieczną podnietę do właściwej twórczości. Jest to niewątpliwie dosyć nieoczekiwany i dosyć paradoksalny wniosek.

Jest jeszcze jedna strona książki Braibanta, którą warto podkreślić. Wszyscy pisarze, zabierający głos w tej książce, począwszy od sceptycznego Voltaire'a a skończywszy na Paul Bourget — który, o ironio, wydaje bezapelacyjny sąd na siebie wysuwając tezę, że dzieła literackie starzeją się dlatego, że nie są dostatecznie prawdziwe — pochłonięci są wiarą i przeświadczeniem, iż pisząc spełniają ważną misję. Misję tę interpretują różnorodnie, lecz zawsze jest to pewnego rodzaju posłannictwo, które usprawiedliwia wszystkie męki i cierpienia. Trudno polemizować z duchami, lecz wydaje się, że stanowisko takie, potrzebne być może dla podtrzymania własnego samopoczucia i dla kształtowania pozycji pisarza w społeczeństwie, jest co najmniej lekkomyślne. Poddane bowiem pewnym jednokierunkowym precyzjom prowadzi nieuniknienie do postulatu literatury użytecznej. A przecież o to tym pisarzom francuskim nie chodziło.

Józef URSYN

◆

Thierry Maulnier jest twórcą najpiękniejszej antologii poezji francuskiej. Jego *Introduction à la Poésie Française* jest jedną z najgłębszych analiz istoty i funkcji poezji. Jest on również jednym z pierwszych intelektualistów zachodnich, którzy „zaangażowali się" bez reszty w obronie wartości humanistycznych i wolności. Broni on zresztą wyłącznie tych wartości ludzkich, nie będąc ani konserwatystą, ani katolikiem, ani „rozczarowanym" eks-komunistą. Może stąd właśnie czerpie jasność wizji i obiektywność stanowiącą o wartości jego essejów w „La Table Ronde", może dlatego potępia przemoc i gwałt i nie tylko w świecie sowieckim ale i wtedy kiedy ma ona miejsce w Ameryce czy w Maroku. W *La Face de la Méduse du Communisme* (Gallimard, 1951), analizuje Maulnier problem strachu

który wywołuje komunizm nie tylko wśród tej garstki ludzi, których pozbawiłby istotnie pieniędzy, przywilejów czy władzy, ale wśród milionów, którym obiecuje przecież przyszłość pełną godności, dobrobytu i szczęścia. Komunizm zwraca się do ludzkości z podwójną janusową twarzą : jedna obiecuje szczęśliwe jutro, druga płacz i zgrzytanie zębów. Książka Maulnier stanowi wyjątkowo trafną próbę określenia ,,metafizyki komunizmu'' : terror występuje tu jako aspekt ,,ofiarny'' nowej religii ; obozy koncentracyjne — jako doczesne piekło ; całość — jako zew zwrócony do mrocznych sił kolektywnej podświadomości. Doskonałe jest przeciwstawienie Koestlerowskiej ,,teorii Rubaszowa'' w związku z moskiewskimi procesami procesowi kardynała Mindszenty'ego, który nie był przecie marksistą, u którego żadne psychologiczne sprężyny nie mogły spowodować zeznań tak upokorzających. Przed trybunałem sowieckim, pisze Maulnier, ,,nikt nie może twierdzić, że się nie załamie. Nie można mieć pewności, że się jest Antygoną ; a zresztą nie wystarcza już dziś moc Antygony — gdyż sama Antygona, postawiona przed trybunałem republiki ludowej zeznałaby zapewne : ,,Kupiono mnie''.



Czytelnik nie będący specjalistą i nie mający czasu na przeczytanie trylogii profesora Georges Dumézil *Jupiter*, *Mars*, *Quirinus*, która spowodowała głęboki przewrót w studiach mitologicznych, z radością powita wydanie jego książeczki *Les Dieux des Indo-Européens* (Presses Universitaires de France, 1952), zawierającej skrót jego pracy. Dumézil zaczął swą pracę od bogów rzymskich i dokonał prawdziwego przewrotu na Olimpie : głównymi (a właściwie jedynymi) bogami rzymskimi są okazuje się Jowisz, Mars i Kwirynus. Wszyscy inni — to naleciałości czy podziały tych pierwotnych bogów. Bogowie ,,prawdziwi'' są bogami czy wyrażeniem trzech zasadniczych funkcji : administracji tajemniczej i ,,oficjalnej'' świata ; gry siły fizycznej, w pierwszym rzędzie wojennej ; płodności i jej następstw : zdrowia, bogactwa; długiego życia. Tym bogom podlegały poszczególne klasy ludności, podporządkowane im były wszystkie ludzkie czynności, wszystkie rytuały. W ,,Bogach Indo-Europejskich wyprowadza Dumézil tę trójcę z najstarszych wierzeń naszej rasy, wykazując, że występuje ona również w pierwotnej mitologii hinduskiej.



Według tradycyjnych tez historii religii, nie ma bardziej prymitywnych wierzeń od murzyńskiego totemizmu, personifikacji sił przyrody, kultu przodków. Dlatego książka Marcel Griaule *Dieu d'Eau, Entretiens avec Ogotemméli* (Editions du Chêne, Paris, 1948) jest sensacyjną rewelacją. Griaule spędził długie lata wśród Dogonów, jednego z ,,najbardziej prymitywnych'' plemion francuskiej Zachodniej Afryki. Powoli zdobył sobie zaufanie starych ,,mędrców'' plemienia i ze zdumieniem stwierdził, że posiadają oni kosmogonię, metafizykę, religię, którą można zestawić z ,,wyższymi religiami'' ludzkości. Wadą książki Griaule'a jest napuszony styl, wzorowany na ,,świętych księgach'' różnych cywilizacji. Ale symbolizm Dogonów, ich metafizyczne przeczucia, ich znawstwo astrologii i Zodiaku ma mimo to wyjątkowo silną wymowę.



Sherban Sidery jest również Rumunem piszącym po francusku. W współpracy z Eric Grendel napisał *Voici le Soir Chârmant* (Julliard, Paris, 1952), powieść osnutą na tle ,,spisku'' dzisiejszej węgierskiej emigracji. Rodzeństwo Loczony — to młodzi, piękni i patriotyczni arystokraci

węgierscy na emigracji. Kuzynka ich, księżna de Provins, wyda za ich namową bal, który ma być manifestacją polityczną. Węgierski komunistyczny minister spraw zagranicznych wydostał we Francji listę ruchu oporu na Węgrzech. W sam wieczór balu zabije go Marina Loczony na stacji. Księżna straci miłość Stefana Loczony. Nie wiadomo czy wystrzał rewolwerowy jest jednym ze sztucznych ogni balu, czy jednym ze sztucznych ogni książki. Oto — błyskotliwa zresztą — ,,Wielka Księżna Luksemburska'' emigracji wschodnio-europejskiej. Gdyby istniał węgierski ,,Dziennik Polski'' ujrzelibyśmy niewątpliwie tę powieść w odcinkach.

(j)

Przegląd miesięczników

Uniwersytety amerykańskie, a zwłaszcza Yale i Harvard są siłą powstających wokół nich fundacji, zrzeszeń i centrów studiów, ośrodkiem najróżniejszych działalności. Jedną z najnowszych inicjatyw Harvardu jest luksusowo wydany miesięcznik *Confluence* (Harvard University, Cambridge, Mass.). Podtytuł brzmi ,,An International Forum'' : miesięcznik ma być płaszczyzną intelektualnej dyskusji amerykańsko-europejskiej. Każdy numer ma być poświęcony jednemu czy dwom zagadnieniom, na temat których ,,Confluence'' zamieszcza głosy pisarzy i intelektualistów amerykańskich i europejskich. Numer grudniowy poświęcony jest ,,masowym środkom porozumiewania'', a więc prasie, radiu i telewizji. Włoch Aldo Garosci pisze o ,,Spuściznie Totalitaryzmu'', Niemiec Vogel o ,,Prasie i Radio w Niemczech''. Przez Amerykanów opracowane są zagadnienia ,,Poziomu na tle Komercjonalizacji'' (Seldes) i ,,Intelektualisty wobec masowych środków'' (Larrabee).

Druga część numeru poświęcona jest dyskusji nad ,,Rolą społeczną sztuki i filozofii''. Zasługuje tu na uwagę artykuł angielskiego krytyka sztuki i anarchisty Herberta Reada o ,,Opuszczeniu Artysty'', będący poniekąd społecznym komentarzem do uwag Malraux i Ulatowskiego o roli sztuki we współczesnym życiu. Oto główne tezy Reada :

We współczesnym świecie istnieją dwa różne zapatrywania na rolę artysty w społeczeństwie. Pierwsze z nich, marksistowskie, stawia artystę w roli wyraziciela ideologii jego czasów. W rodzącym się świecie socjalistycznym ma on za zadanie współpracę przy budowie nowego porządku : jest propagandystą i agitatorem.

Drugi światopogląd jest o wiele mniej określony i operuje zazwyczaj luźnymi słowami jak ,,wolność'',, wykazując jednak za pomocą historii sztuki, że źródła sztuki są tak głębokie i subtelne, iż wszelkie świadome naginanie jej może spowodować bezpłodność i skostnienie.

Demokratyczny świat uznaje wagę sztuki, ale ani nie określa roli artysty w społeczeństwie, ani nie stara się kontrolować działalności artysty (poza sporadycznymi i poronionymi wypadkami patronatu państwowego). Demokratyczny świat chlubi się nawet tą postawą mówiąc o ,,wolności artysty''. Ta wolność jest jednak również opuszczeniem, wykluczeniem artysty poza nawias społeczeństwa.

To opuszczenie nie istniało ani w starożytności, ani w wiekach średnich, ani nawet w czasach Odrodzenia i jest konsekwencją kapitalizmu (,,Kapitalizm — pisze Read — jest terminem gospodarczym : terminem filozoficznym jest indywidualizm''). Spośród wszystkich procesów wytwórczych sztuka jest jedynym, który nie pozwala na podział pracy. Wartość

estetyczne są zdeterminowane przez wrażliwość indywidualną i żadna fabryka nie mogłaby wytworzyć dzieł Szekspira czy obrazów Rembrandta. Tak długo jak artysta mógł utrzymać się jako ,,kapitalista'', mogła kwitnąć indywidualistyczna sztuka. Ale absurdem byłoby twierdzenie, że istnieje jakiś konieczny związek pomiędzy sztuką i kapitalizmem.

,,W nowoczesnym społeczeństwie przemysłowym — ciągnie Read — nie ma dla artysty miejsca — może on istnieć w tym społeczeństwie bądź jako dyletancki parazyt, bądź jako propagandzista. W żadnym wypadku nie będzie z tym społeczeństwem integralnie złączony. Jako dyletant może jeszcze (o ile potrafi utrzymać się materialnie i w tym sensie musi być ,,parazytem'' dać wyraz swej osobistej wizji, subiektywnej poezji (jaką jest sztuka Klee czy Picassa) ; ta osobista wizja artysty może do pewnego stopnia przeniknąć do kolektywnej podświadomości. Publiczność Picassa jest szersza niż kilku amatorów, którzy mogą sobie pozwolić na zakup jego obrazów : jest on ,,człowiekiem naszego czasu'' i ma pewną wartość reprezentatywną chociażby jako ,,kozioł ofiarny'' naszego kolektywnego poczucia winy. Ale pozostaje poza nawiasem społeczeństwa, jest głosem wołającym na puszczy, głosem apokaliptycznym, prorokującym zagładę raczej niż ,,nowy wspaniały świat''.

,,Nowoczesny artysta pozostanie opuszczonym ,,wyrzutkiem społeczeństwa'' tak długo dopóki będzie wykluczony z bezpośredniego udziału w wytwórczości gospodarczej. Nie może on być wprowadzony do tych gospodarczych procesów żadnym świadomym aktem polityki czy planowania — dla tej prostej przyczyny, że nie można pogodzić produkcji masowej i ludzkiej wrażliwości. Wszystkie dotychczasowe próby ze strony reżimów kierowanych znalezienia miejsca dla artysty w nowoczesnym systemie przemysłowym kończyły się degradacją artysty do roli błazna, którego zadaniem jest zabawianie robotnika w czasie wolnym od pracy (dekorowanie robotniczych kantyn itd.), lub odwracanie jego uwagi od drażliwych problemów — sztuka jako kojący miodek dla egzasperowanego stachanowca...''

,,Byłoby bezcelowe domagać się reformy od samego artysty ; sztuka nie jest świadomą twórczością elity, nie może być rozmyślnie kierowana ani przez akademie ani przez kulturalne dekrety polityków. Sztuka jest współproduktem złożonej tradycji, w której zakres wchodzą nie tylko techniczne ,,tajemnice'' rzemiosła, ale wzajemne oddziaływanie na siebie wszystkich rzemiosł, wszystkich sił składających się na wzrost zdrowego społeczeństwa. Nadzieja na rozkwit sztuki ludowej w nowoczesnym społeczeństwie jest nadzieją, że róża może zakwitnąć na stali. Nie będzie integralnego stylu podobnego do tych, które wynikały z wszystkich cywilizacji aż do XVIII wieku dopóki nie wyjdziemy poza mechanizację, aby odkryć na nowo sekret życia organicznego''.

,,Współczesny artysta, w swym opuszczeniu, w swym odizolowaniu od gospodarczych pomyłek naszego wieku, jest poprzez swoje stanowisko rozgoryczonej niezawisłości przeżytkiem jednej z form społecznego życia organicznego. Jest on jedynym czynnym przeżytkiem wśród zgliszcz tradycji humanistycznej ; jest on przez to samo pionierem nowej tradycji humanistycznej''.

◆

Największym ewenementem wydawniczym miesiąca jest niewątpliwie wznowienie *La Nouvelle Revue Française* (która tym razem nazywa się oficjalnie ,,La Nouvelle Nouvelle Revue Française'' — 5, rue Sébastien-Bottin, Paris 7e). N.R.F. wciągnięta podczas okupacji przez Drieu La Rochelle na ścieżki zbyt kolaboracyjne, od zakończenia wojny zachowywała

dyskretne milczenie. Ale miesięcznik przez blisko pół wieku reprezentujący to co literatura francuska ma najlepszego nie może ulec przemijającej koniunkturze. W przedmowie do pierwszego numeru redaktorzy — Jean Paulhan i Marcel Arland — formułują jeszcze raz credo „czystej literatury", której ma nadal służyć N.R.F. (i słusznie mówią, że nigdy chyba credo to nie było równie zaniedbane, lub silniej zwalczane) :

„Chcemy w pierwszym rzędzie stworzyć i utrzymać — wbrew modzie, wbrew dowcipom, wbrew śmiesznym pokusom nagród, powodzenia, a nawet radia i kina — ten czysty klimat, który jedynie sprzyja dziełom autentycznym".

Trudno jest sądzić po jednym numerze, ale wydaje się, że zapewniona czystość klimatu łączy się z pewną monotonią (czy może to wpływ długiego poematu Saint-John Perse, który otwiera numer, jak zawsze pięknie i subtelnie nudnego). Pośmiertne echo Léon-Paul Fargue i nowela poetycka Supervielle'a reprezentują także pewność smaku bardziej niż oryginalność. Malraux (ustęp z „Musée Imaginaire de la Sculpture Mondiale") jak zawsze bogaty i fascynujący. Również z dziedziny sztuki — wyjątkowo ciekawa analiza obrazu Valdès Leala, którą przeprowadza Henry de Montherlant, jak zwykle pesymistyczny i pogański. Inne nazwiska — Marcel Jouhandeau, Audiberti, André Pieyre de Mandiagues — to niewątpliwie również autentyczni pisarze, nie ulegający pokusom mody literackiej czy politycznego „engagement".

Wobec wznowienia *Nouvelle Revue Française* ciekawy będzie dalszy rozwój *Table Ronde*, która niewątpliwie zajmowała dotychczas opróżnione przez nią miejsce.

◆

Tymczasem ukazuje się jeszcze jeden miesięcznik literacki, którego pierwszy numer wyszedł również w styczniu. Tym razem jest to czasopismo młodych : redaktorami *La Parisienne* (1, Avenue de Tourville) są Jacques Laurent i André Parinaud. Nie mają oni jednak kultu wyłączności młodego pokolenia : obok André Freigneau i J.P. Clébert (młodego pisarza, który mając lat osiemnaście wybrał życie włóczęgi i w „Paris Insolite" dał ciekawe spojrzenie intelektualisty — „clocharda"), *La Parisienne* zamieszcza artykuły Gaston Bachelard, Jean Cocteau, Roger Peyrefitte, Marcel Aymé. Miesięcznik zapowiada się żywo i interesująco : jego cele są, podobnie jak „N.R.F.", czysto literackie, a więcej widzimy świeżych nazwisk.

◆

Les Temps Modernes (30, Rue de l'Université, Paris) pod redakcją Jean-Paul Sartre'a, są najważniejszym — obok *La Table Ronde* i *Nouvelle Revue Française* francuskim miesięcznikiem literackim. *Les Temps Modernes* powstały natychmiast po „Libération", były organem egzystencjalizmu filozoficznego i literackiego i stawiały sobie za zadanie tworzenie świadomości współczesnego człowieka, zawierając pokaźny dział „dokumentów epoki". *Les Temps Modernes* zawsze były politycznie zbliżone do skrajnej lewicy, ale wyraźne sympatie pro-komunistyczne zarysowały się dopiero ostatnio w związku ze stanowiskiem Sartre'a. W ostatnim, podwójnym numerze (październik-listopad), znajdujemy dalszy ciąg wywodów Sartre'a o „Komunistach i Pokoju", w których Sartre twierdzi, że należy popierać komunistów, gdyż jedynie partia komunistyczna, przy wszystkich swoich niedociągnięciach, reprezentuje „Proletariat". Sartre jest genialnym sofistą, jego logika jest niemal równa zaślepieniu, a talent literacki z jakim zapełnia dziesiątki stron wariacjami na ten sam temat stoi na pograniczu grafomanii. Do „politycznej" części numeru należy również artykuł E. N.

Dzelepy „Nie byłoby wojny Hitlera", zwrócony przeciw tezie Mauriaca (i wielu innych polityków i publicystów) że wybuch drugiej wojny światowej został umożliwiony, jeśli nie pośrednio wywołany, paktem Ribbentrop-Mołotow. W artykule tym Dzelepy bada wszystkie białe księgi i wspomnienia dotyczące zwłaszcza trzech dni poprzedzających wybuch wojny. Artykuł jest zwrócony przeciw Wielkiej Brytanii, która rzekomo chciała skłonić Polskę do kapitulacji. Polskie M.S.Z., Beck i Lipski przedstawieni są w tym artykule w bardzo dodatnim świetle... oto paradoksy do jakich prowadzi nieraz komunistyczna logika „ad hoc". *Les Temps Modernes* zawierają jeden rzeczywiście interesujący artykuł : „Cybernetyka, Mity i Prawda" Raymond Ruyer. W artykule tym Ruyer świetnie charakteryzuje utopijne mity jakie nowoczesny naukowy zabobon tworzy wokół cybernetyki, i daje szereg inteligentnych i logicznych korektyw do tez Wienera i Berkeleya. Jest to zrozumiałe nawet dla laika wyłożenie funkcji istniejących już maszyn (jak Eniac, Binac, Mark I, II i III), ich możliwości rozwoju, zakończone wnioskiem, że nie istnieje żadne prawdziwe „niebezpieczeństwo" połknięcia człowieka przez maszyny, gdyż żadna maszyna nie jest „stworzeniem", lecz zwykłym ułamkiem ludzkiej świadomości. Lektura zalecona tym którym wizja przyszłości rozprzestrzeniana przez różne „Reader's Digesty" odbiera sen po nocach.

◆

Żółta okładka *La Revue de Paris* (114, Avenue des Champs Elysées) znana jest niejednemu polskiemu czytelnikowi od dzieciństwa : obok „Revue des Deux Mondes" był to tradycyjnie miesięcznik niosący zagranicę „paryskie nowiny literackie". Na tym szanownym wydawnictwie znać szósty krzyżyk. Najstarsi członkowie Akademii Francuskiej, byli ambasadorowie, wielkie panie, które były w przyjaźni z Proustem — oto zazwyczaj pióra zasilające *Revue de Paris*, która siłą rzeczy tonem pamiętnikarskim, łzawym wspomnieniem „dawnych dobrych czasów", miłą formą kameralnej kultury przypomina nasze „Wiadomości". W grudniowym numerze starszej i różowej *Revue des Deux Mondes*, b. ambasador francuski w Warszawie Laroche zamieszcza ciekawe wspomnienia dotyczące „wypadków majowych" 1926 r.

◆

Grudniowy numer *Preuves* (41, Avenue Montaigne, Paris-8e) poświęcony jest częściowo pamięci Benedetta Croce, z pięknym krótkim tekstem zmarłego filozofa o „Życiu, Śmierci i Obowiązku Moralnym". Artykuł Franz Borkenaua o „Rywalu Stalina — Mao Tse Tungu" zawiera ciekawą analizę „niezależności" Mao. W tym samym numerze znajdujemy artykuł Jana Ulatowskiego o „Dwóch polskich malarzach : Żywie i Czapskim" (na tle ich ostatnich wystaw paryskich).

◆

The Twentieth Century (26, Bloomsbury Way, London, W.C. 1) daje w styczniowym numerze ciekawy zespół artykułów, wśród których próba analizy sprawy Slanskyego przez Richarda Loewenthala „Why was Slansky hanged" i artykuł Arthura Schlesingera o Stevensonie. Schlesinger nakreśla interesującą sylwetkę kandydata partii demokratycznej i twierdzi, że amerykański obóz postępowy ma w jego osobie przewodnika, który w pełni przemyślał dylematy współczesnego liberała i który jest głosem „epoki po-rooseveltowskiej". Najciekawszą jest analiza stosunków afrykańskich przeprowadzona przez Henry Swanzy, redaktora „African Affairs", w artykule pt. „Background to Mau Mau". Swanzy nakreśla tu historyczny szkic wszystkich ruchów murzyńskich, które stanowią mieszaninę „polityki" i „religii". Mau Mau jest jednym z nich ; zwrócił on na siebie uwagę prasy

światowej bardziej niż zwykle krwawymi i efektownymi wystąpieniami. **Wszystkie te ruchy** zaczynają się od reakcji przeciw misjom chrześcijańskim (zwłaszcza protestanckim) i stanowią dziwną mieszaninę magii, kultu przodków i elementów chrześcijańskich strąconych do rzędu mitologii i rytuału, bez żadnego związku etycznego. Zdaniem Swanzy ogromne wzięcie tego rodzaju ruchów wśród afrykańskich Murzynów tłumaczy się tym, że ,,cywilizujący'' Europejczycy nie potrafili dać żadnej namiastki głębokiego życia wyobraźni, którego potrzebuje czarny ląd i przemawiali do Afrykańczyków ,,językiem poborcy podatkowego''. Zasługuje na uwagę umiejętność z jaką potrafiły wykorzystać tę sytuację Sowiety : statki sowieckie podjeżdżają pod wybrzeża belgijskiego Konga i afrykańscy ,,czarownicy'' (witch-doctors) zabierani są do Moskwy celem ,,indoktrynacji''. Poselstwo sowieckie w Addis Ababie również nie pozostaje bezczynne.

◆

Der Monat (Berlin — Dahlem, Saargemunder Str. 25) jest jednym z najlepszych międzynarodowych miesięczników, z którym współpracują najlepsi pisarze i publicyści światowi. *Der Monat* ma charakter szeroko liberalny i redagowany jest przez Amerykanina Melvin J. Lasky'ego. Wyjątkowo ciekawy był numer listopadowy poświęcony ,,Europie i Ameryce''. W tej transatlantyckiej dyskusji, w której omawiano różne europejsko-amerykańskie nieporozumienia, wzięli udział między innymi Raymond Aron, Denis W. Brogan, Cyril Conolly. W grudniowym numerze J.G. Leithauser rozpatruje w artykule ,,Der Fall Polen'' przygotowania hitlerowskie do agresji przeciw Polsce w 1939 roku. Na uwagę zasługują w tym numerze dwa długie listy do redakcji zwrócone przeciw artykułowi Mieroszewskiego pt. ,,Eine Polnische Stimme zum ,,Habsburger Wall'', który ,,Der Monat'' przedrukował z ,,Kultury''. Autorzy listów dają wyraz zgodnemu oburzeniu przeciw wyrażonym przez Mieroszewskiego ,,ambicjom'' co do roli Polski w wolnej Europie, zwłaszcza przeciw jego stanowisku w sprawie Ziem Zachodnich.

◆

Francuska prasa literacka żywo się zajmuje rumuńskim pisarzem Constantin Virgil Gheorghiu, którego ostatnia książka omówiona była w styczniowym numerze ,,Kultury''. Okazuje się, że Gheorghiu wydał w 1941 roku w Rumunii zbiór reportaży pt. ,,Brzegi Dniestru płoną'', w których opisuje swoją służbę dziennikarską, przy boku wojska niemieckiego. Oto (według artykułu André Parinaud z *Carrefour* wyjątki tej książki :

O żołnierzach niemieckich : ,,*Jakże bym chciał móc napisać płonący hymn na cześć tych wspaniałych ludzi !*''

O Żydach (wiezionych na stracenie) : ,,*W tym konwoju znajdują się również Żydzi, którzy podpalili, zniszczyli i zrabowali miasto Balti i inne miasta północnej Besarabii. Zbliżam się do konwoju, który wydziela ciężki smród. Od czasu do czasu żydłaki (,,les youpins'') rzucają chyłkiem spojrzenia pełne diabelskiej radości na spalone miasto... To oni sprawcy tych zbrodni !... Jakże kara śmierci jest lekką w porównaniu z ich zbrodniami*''.

Jak wiadomo, zarówno w ,,Dwudziestej Piątej Godzinie'' jak w ,,Drugiej Szansie'' Gheorghiu wspomina zbrodnie i okrucieństwa — ale te, których ofiarą padli Żydzi. Jak wytłumaczyć tę zmianę ? Jak wytłumaczyć zwłaszcza dyskretne milczenie autora o ,,Brzegach Dniestru'' i swoich dawnych przekonaniach ? Gabriel Marcel, który napisał przedmowę do ,,Dwudziestej Piątej Godziny'' odebrał Gheorghiu swą przyjaźń i prawo do dalszego używania przedmowy (*Paris-Presse*).

(j)

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

HEMINGWAY (E.). *Le vieil homme et la mer.* Traduit de l'américain par Jean Dutour. Pp. 189. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, fr. 350).

APOLLINAIRE (G.). *Tendre comme souvenir.* Pp. 351. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, fr. 700).

SEGNAIRE (J.). *La Rançon.* Pp. 187. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, fr. 390).

KERN (A.). *Le Mystère de Sainte Dorothée.* Pp. 220. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, fr. 450).

CARY (J.). *Missié Johnson.* Traduit de l'anglais par Yvonne Davet. Pp. 322. (Ed. Plon, Paris, 1953, fr. 600).

AUDIBERTI (J.). *Marie Dubois.* Pp. 285. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, fr. 590).

AUDIBERTI (J.) et BRYEN (C.). *L'ouvre-Boîte,* Colloque abhumaniste. Pp. 201. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, fr. 590).

BERNANOS (G.). *Sous le soleil de Satan.* Pp. 363. (Ed. Plon, Paris, nouveau tirage 1952, fr. 630).

SAINT-LOUP. *La nuit commence au Cap-Horn.* Pp. 255. (Ed. Plon, Paris, 1952, fr. 570).

CHAMBRUN (L.). *Sans jeter l'ancre.* 1873-1948. Pp. 317. (Ed. Plon, Paris, 1952, fr. 690).

MONSARRAT (N.). *La Mer Cruelle.* Traduit de l'anglais par Hélène Claireau. Pp. 417. (Ed. Plon, Paris, 1953, fr. 795).

COCTEAU (J.). *Journal d'un inconnu.* Pp. 234. (Ed. Grasset, Paris, 1953, fr. 450).

JOUHANDEAU (M.). *De la Grandeur.* Pp. 150. (Ed. Grasset, Paris, 1952, fr. 330).

DOKUMENTY CHWILI

BERAUD (H.). *Les derniers beaux jours.* Pp. 272. (Ed. Plon, Paris, 1953, fr. 570).

FISCHER (L.). *La vie du Mahatma Gandhi.* Traduit de l'américain par Eugène Bestaux. Pp. 512. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1952, fr. 870).

ZAREMBA (Z.). *Les transformations Sociales en Pologne.* Supplément au ,,Sindicaliste Exilé'' No 38 de septembre 1952. Pp. 46.

BACZKOWSKI (W.). *Asia and the Western World.* Str. 10. Odbitka z ,,The Eastern Quarterly'', Vol. V., No 3/4, August-October, 1952, London).

DRACHKOVITCH (M. M.). *Lettre ouverte à MM. Paul-Henri Spaak et Max Buset.* Bruges 15.XII. 1952, Str. 13.

SIEBURG (F.). *Je passais au bord de la Seine.* Pp. 252. (Ed. ,,La Table Ronde'', Paris, 1952, fr. 510).

TCHAKNOTINE (S.). *Le viol des foules par la propagande politique.* Pp. 605. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, fr. 1.350).

RÓŻNE

JASPERS (K.). *La foi philosophique.* Traduit de l'allemand par Jeanne Hersch et Hélène Naef. Pp. 247. (Ed. Plon, Paris, 1953, fr. 480).

REGNIER (P.). *Journal.* Préface de Jacques Madaule. Pp. 293. (Ed. Plon, Paris, 1953, fr. 660).

BAILLY (R.). *Eaux Dormantes.* (Ed. Durassié et C-ie, Paris).

CIOŁKOSZOWA (L. dr.). *Generał Walery Wróblewski.* Str.32. (Wyd. T-wo Wydawnicze ,,Światło'', 1952).

Estonia 1918-1952. Lectures given by A. Torma and Dr V. Raud. Str. 48. (Wyd. The Free Course of Central-Eastern European Studies, Londyn, 1952).

Listy do Redakcji

Panie Redaktorze,

Do słusznych wypowiedzi ks. Majewskiego („Kultura" nr 11/61) chciałbym dorzucić kilka uwag.

Polska w granicach Odra — Zbrucz miałaby — zaokrąglając cyfry — 500 tys. km. kw. Podzielić to przez ludność wypadnie 50 mieszkańców na km. kw. Zróbmy to samo w Niemczech a będziemy mieć stosunek 1:4 na naszą niekorzyść. Wiem, że ziemie za Sanem i Bugiem nie są pustynią, ale mnie chodzi o Polaków, o potencjalną ilość, która zechce bronić granic i odpierać nacisk. Nawet biorąc pod uwagę nasz duży przyrost naturalny, to to zagadnienie można pominąć dopiero za 50 lat...

...Weźmy niezaprzeczalne zalety Niemców jak pracowitość, dokładność, wytrwałość, zdyscyplinowanie, a do tego „Drang nach Osten" i „niemiecką misję na wschodzie", to każdy chyba widzi przed jakim ogromnym naciskiem ludnościowym, gospodarczym i organizacyjnym na nasze Ziemie Zachodnie stoimy. Czyż nasi politycy nie rozumieją tak prostej prawdy, że — powtarzam za Osmańczykiem — w czasach zacierania się wielkich granic zasada naczyń połączonych działa tak samo w stosunkach międzynarodowych jak i w fizyce.

Od polityków i przywódców narodu przeciętny obywatel żąda trzeźwości, kierowania się rozumem a nie uczuciem, uczciwości i dalekowzroczności.

Rozumowo biorąc obszaru Odra — Zbrucz nie utrzymamy. Nie mamy ani warunków ani siły po temu. Nie pomogą tu żadne federacje. Nikt nie zechce brać na swe barki obrony naszych żądań. Przeciwnie, żądanie granic Odra — Nisa Łużycka a Zbrucz zniechęca do nas i izoluje nas, robi z nas maniaków politycznych, chorujących na wielkość, i przeszkadza w tworzeniu federacji środkowo-wschodnio-europejskiej.

Musimy wybierać. Albo Lwów i Wilno, albo Wrocław i Szczecin.

Jeżeli prawdą jest — a chyba w to nikt nie wątpi — że układ stosunków międzynarodowych i granice były przed wojną złe ; że Polska może się utrzymać, być czynnikiem równowagi i utrzymania pokoju w Europie tylko wtedy, gdy Niemcy pozostaną bez Prus a Rosja bez Ukrainy i jeżeli przy Polsce pozostanie potencjał gospodarczy Ziem Zachodnich ; innymi słowy, że utrzymanie granicy na Odrze i Nisie to nasze być albo nie być — to musimy zrezygnować z Ziem Wschodnich.

Nie rozwiązują sprawy kombinacje jakiegoś condominium. Po pierwsze żadne condominium zgody nie przyniosło, po drugie wyskoczą znowu „politycy" i będą znowu „wzmacniać żywioł polski" i realizować jakąś — tym razem polską — „misję na wschodzie", co doprowadzi do nowych zadrażnień z sąsiadami i rozbicia naszej energii narodowej, którą w całości i tylko w jednym kierunku musimy skierować : na zachód.

...Zdaję sobie sprawę z nieodpowiedniej formy i tonu mych wypowiedzi. Od 13 lat żyję w surowych i prostych warunkach, a przez ten czas można się od wielu rzeczy odzwyczaić, a do wielu przyzwyczaić. Nawet do robienia błędów ortograficznych. Zresztą nie byłem nigdy zwyczajny pisania.

...Zdaje mi się, że tak jak ja myślą tysiące z mego pokolenia. Przebywałem w Kraju do 1949 r. Wraz z całym narodem brałem udział we wszystkich formach walki przeciw najeźdźcy sowieckiemu i niemieckiemu. I zdaje mi się, że wraz z całym narodem podlegałem przemianom myślowym i światopoglądowym. Widzę to spoglądając na „starą" emigrację, która nie

tylko nie spostrzega rewolucyjnych zmian zaszłych na każdym polu w kraju, ale nawet straciła poczucie własnej śmieszności. Przecież przedmioty, które są powodem ciągnących się latami sporów, kłótni i rozbicia nie są dla kraju warte ani funta kłaków.

Jakąż głęboką i tragiczną prawdę wypowiedział Miłosz w przecudnym wierszu „Na śmierć T. Borowskiego". Tak. Tam rozbijaliśmy się o „gładką ścianę Wschodu" a tu o „mury polskie Ciemnogrodu".

Na zakończenie prośba : aby prowadził Pan dalej „Kulturę" w tym kierunku i duchu jak dotychczas. Należy ona do tych kilku światełek — aby je policzyć, za dużo palców u jednej ręki — które jeszcze błyszczą w bardzo ciemnej i smutnej nocy emigracyjnej.

Łączę wyrazy poważania.

Karol PISŻCZEK
Curitiba, Parana
rua Bispo de Jose 2674

P.S. Na zarzuty : 1) Ukrainiec, 2) niezwiązany z Ziemiami Wschodnimi, 3) reżimowiec-komunista, 4) nie orientujący się w polityce ani w stosunkach w kraju — odpowiadam :

ad. 1. Urodzony rzym.-kat., podchor. przedwojenny, żołnierz A. K. — Lwów, gdzie dochodziło czasem do nieprzyjemnych incydentów z Ukraińcami.

ad. 2. Urodził się, wychowywał i przebywał do 1944 — Lwów i okolice. Wszystko co miałem najdroższego zabrała mi wojna i pochowała po tamtej stronie.

ad. 3. Za pierwszej okupacji sowieckiej aresztowany i skazany na karę śmierci, w 1944 powtórnie aresztowany za A. K., przed trzecim aresztowaniem już przez U. B. uciekł za granicę.

ad. 4. Nie jestem politykiem i w polityce się nie orientuję. Jeżeli chodzi o kraj, to nieraz spotykaliśmy się (Śląsk) sami „lwowiacy". Gdy pewnego razu ktoś powiedział, że w przyszłości powrócimy do Lwowa, usłyszał odpowiedź stuprocentowego lwowianina i endeka przedwojennego : „Czyś Ty z byka spadł czy z Londynu. A to tu komu zostawisz ?"

K. P.



Szanowny Panie Redaktorze,

„*Polaków nikt nie zdoła zadowolić*"
W. S. Churchill w „The Closing Ring"

Czytając echa, jakie znalazły wyraz w styczniowym numerze „Kultury" na tle wypowiedzi ks. Majewskiego o polskich uprawnieniach do przedwojennych Kresów Wschodnich, trudno jest uniknąć przykrych dla Polaka refleksyj.

Czy pojęcia takie, jak rozum polityczny, racja stanu, realistyczny stosunek do otaczającej Polskę rzeczywistości, umiar, zdrowy stosunek do politycznego kompromisu, znajdą kiedykolwiek dostęp do polskiej jaźni ?

Czy Polacy — mam na myśli już nie szerszy ogół, a tylko przodującą elitę — nabędą kiedykolwiek zdolność uczenia się z doświadczeń, tak niezmiennie i systematycznie w historii Polski przybierających znamiona katastrof narodowych ?

Katastrofy te spadały na polskie głowy pomimo sentymentalnego i pobudliwego patriotyzmu naszych przodków, pomimo ich dużych ofiar z życia i mienia składanych na ołtarzu ojczyzny. Te same ofiary złożone ponownie

i tak szczodrze przez nasze pokolenie przyniosły w wyniku te same katastrofalne dla Polski wyniki.

Czyż z doświadczeń tych żadnych lekcyj na przyszłość nie zdołamy wyciągnąć ? Czyż będziemy brnąć w tradycyjnych błędach wywołujących tradycyjne klęski ; przybierać rejtanowskie postawy ; skakać do Elstery ; całopalić się w powstaniach rozpoczynanych w warunkach, gdy nie mogą przynieść niczego prócz klęski ?

Porywają polską wyobraźnię wspomnienia szarż spod Somosierry i Rokitnej, „krwawe maki'' na Monte Cassino, a całunem zapomnienia okrywane są dokonania działaczy polityczno-gospodarczych typu księcia Lubeckiego i Władysława Grabskiego, o których to dokonaniach — gdyby byli Anglikami — każde dziecko w Anglii dowiadywało by się w szkole.

Czy nie czas skończyć z romantyczną i śmieszną pozą, głoszącą, że nie damy sobie oderwać nawet guzika od sukmany, gdy — w rzeczywistości — nie stać nas na powstrzymanie przeciwników od spuszczenia nam porciąt i wymierzenia tęgiego lania. Klęskę wrześniową określił ktoś złośliwie „przekłuciem polskiej purchawki''.

Przyjmujemy za rzecz normalną i naturalną, że inne narody musiały egzystować w ramach terytorialnych, ulegających ciągłym zmianom i przesunięciom. Uważalibyśmy to za szaleństwo i nonsens, gdyby Anglia kłóciła się ze Stanami Zjednoczonymi na tle sporów z przeszłości, a Francja odmawiała uznania Kanady, jako dominium angielskiego. Widocznie rozsądek obowiązuje innych, ale nie Polaków.

Złowróżbnie dla przyszłości Polski brzmią słowa poety, że Polak przed szkodą i po szkodzie głupi.

Quo deus perdere vult, dementat prius.

Z poważaniem

J. DZIEWANOWSKI
Halstead, Essex



Szanowny Panie Redaktorze,

To co Londyńczyk pisze w „Kronice Angielskiej'' styczniowego numeru „Kultury'' o emigracyjnej neurozie, znajduje pełny wyraz w listach protestujących przeciwko umieszczeniu „zdradzieckich'' uwag ks. Majewskiego.

Reakcje autorów listów są wymowne. W imieniu własnym, lub jak p. Nowara w imieniu młodego pokolenia (!), odwołują się do historii, do pamięci tych co zginęli, grożą kodeksem karnym za zdradę, albo, w najlepszym wypadku, przypominają, że istnieje „tabu'' i w pewnych sprawach nie można mieć odmiennych opinii. Pan Relidzyński z Antokola podkreśla, że umierać warto dla rzeczy wielkich.

Nie ma mowy o nieporozumieniu, a to co „Kultura'' próbuje określić jako tani patriotyzm jest wyrazem klimatu duchowego, który nie wróży różowej przyszłości. Spory graniczne i kwestie mniejszościowe załatwiać się będzie wypróbowanymi metodami lat ubiegłych, bo tylko te wydają się znajdować posłuch i zrozumienie nawet wśród ludzi zdawałoby się inteligentnych.

No cóż — stać nas na to. Dziewięć milionów Polaków mniej czy więcej, nie stanowi różnicy. Grunt, żeby była Polska od morza do morza i żeby ginąć dla „wielkich rzeczy".

Tadeusz CHRUSCIEL
17, Ritherdon Rd.,
London, S.W. 17

Szanowny Panie Redaktorze,

Pozwalam sobie zabrać głos w sprawie artykułu p. Z. Nagórskiego w listopadowym numerze „Kultury". Autor poruszył w nim sprawy niezmiernie doniosłe dla naszej emigracji politycznej i jak największa ilość wypowiedzi jest w tym wypadku konieczna.

P. Nagórski postawił przed sobą zadanie bardzo trudne, chcąc w krótkim artykule omówić zagadnienia wymagające wielostronnego naświetlenia i wyczerpującego omówienia. Stąd w artykule tym znajduje się wiele niedomówień, wiele skrótów myślowych ; dla uproszczenia operuje p. Nagórski przykładami, niezawsze szczęśliwie dobranymi. Powstało na tym tle wiele nieporozumień.

Wydaje mi się, że główna teza p. Nagórskiego streszczająca się do zdania, że sprawa polska nie jest poważnie postawiona na terenie amerykańskim przez polską emigrację polityczną, jest słuszna. Występuje ona głównie w postaci negatywnej, przez przypominanie sytuacji, w jakiej się znajduje Kraj. Sporadycznie przeprowadzane są akcje w tym czy innym zagadnieniu aktualnym. Nie ma natomiast śladów tego, aby problematyka polska na dzień dzisiejszy, na wypadek międzynarodowego kryzysu politycznego, na okres po uwolnieniu była systematycznie przedstawiana czy to w miejscach takimi zagadnieniami politycznymi się zajmującymi czy też przez publikacje dostępne dla szerszej publiczności amerykańskiej. O istnieniu polskich ośrodków politycznych wie naprawdę niewielkie grono wtajemniczonych.

Nie sądzę natomiast, aby odpowiedzialność za ten stan rzeczy spadała wyłącznie na polityków polskich. Do niedawna temat był tak tutaj niepopularny, że większość drzwi zamykała się przed szukającymi poważnych kontaktów. Rozwój wewnętrznej polityki amerykańskiej usuwa coraz więcej zasłon milczenia z kruszejącej konstrukcji jałtańskiej i to powinno stworzyć zupełnie nową koniunkturę dla działań polskich.

Winę w dużym stopniu przesunąć należy na stan rozbicia emigracji polskiej. Nie będę jednak tymi znanymi wszystkim sprawami zabierał miejsca w mym liście. Chcę natomiast na zakończenie zwrócić uwagę na inną szkodliwą stronę polskiego życia politycznego na emigracji, na moment geograficzny. Podczas gdy jest jasne, że punkt ciężkości w polityce światowej jest dziś w Waszyngtonie a nie w Londynie, gdy wszystkie inne emigracje polityczne naszego rejonu tutaj posiadają swe centrale, polska emigracja wciąż jeszcze z przyczyn rozwoju wypadków w innym zupełnie okresie, wojennym, trzyma się kurczowo Anglii. Na terenie W. Brytanii sprawa polska nie istnieje prawie wcale w sensie politycznym, jest to tam raczej problemat społeczny. Przyjeżdżający z Anglii opowiadają, że kontakty polityczne Polaków zbudowane w czasie wojny, wygasły całkowicie. Życie polityczne polskie koncentruje się na rozgrywkach wewnętrznych, czyli toczy się na wolnych obrotach. Przesunięcie punktu ciężkości działania polskiej emigracji politycznej na tę stronę oceanu jest rzeczą pilną i konieczną.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy poważania

Adam RUDZKI
66 - 34 108 Street Forest Hills, L, I, N, Y.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze !

Pragnę podzielić się z Redakcją oraz Czytelnikami KULTURY kilkoma uwagami, jakie mi nasunęła rozpisana ostatnio ankieta. Tak się składa, że od dwóch lat bez mała pracuję zawodowo w dziedzinie badania opinii publicznej, a podobnego typu studia i ankiety stanowią moje codzienne zajęcie.

Przede wszystkim chciałbym podkreślić, iż uważam urządzenie ankiety na temat ,,naszego życia na emigracji'' za inicjatywę nad wszelki wyraz aktualną, a nawet stanowiącą już nieodzowną niemal potrzebę społeczną ze względów tak trafnie ujętych we wstępie do kwestionariusza. Dlatego też inicjatywie tej można tylko entuzjastycznie przyklasnąć. Życzyć też sobie najgoręcej wypada, aby dała ona jak najlepsze rezultaty. Inna sprawa, czy i w jakim stopniu tak pomyślana i opracowana ankieta może dostarczyć miarodajnych informacji, a w szczególności czy jest w stanie dać odpowiadający choć z grubsza rzeczywistości przekrój opinii naszego uchodźstwa, a nawet jako tako wierny obraz jego egzystencji. Osobiście mam jak najpoważniejsze co do tego wątpliwości.

Najważniejsza z nich dotyczy samych uczestników ankiety, czyli tzw. respondentów. Nawet przy założeniu, iż ankieta zwraca się jedynie do emigrantów wojennych i powojennych, liczba ich jest zbyt wielka, a zakres oddziaływania KULTURY zbyt ograniczony, aby można było liczyć na objęcie ich wszystkich ankietą. Oczywiście ankieta ograniczy się do stosunkowo niewielkiej części uchodźstwa. I tu pojawia się problem pierwszej wielkości, a mianowicie problem reprezentatywności tych respondentów, od których nadejdą wypełnione kwestionariusze. Ponieważ udział w ankiecie jest całkowicie ochotniczy, a rozprowadzenie kwestionariuszy w najlepszym razie nierównomierne i przypadkowe (oraz, o ile mnie moje obserwacje na terenie N. Jorku nie mylą, bardzo ograniczone), jest rzeczą jasną, że nie próbowano nawet zastosować jakiejkolwiek ze znanych metod wyłonienia reprezentatywnej grupy respondentów (tzw. representative sample), która by przynajmniej w pewnych zasadniczych cechach (jak np. płeć, wiek, zawód, wykształcenie, miejsce zamieszkania, itd.) wykazywała proporcje, jakie wykazuje cała społeczność emigracyjna, na temat której pragnie się uzyskać informacje. Rzecz prosta, nie można było tego zrobić, bo nikt prawdopodobnie takich danych o naszym uchodźstwie nie posiada, a ,,ultra posse nemo tenetur''. Tym niemniej wypływa z tego b. poważna konsekwencja : wszelkie dane liczbowe i wszelkie opinie oparte na tej ankiecie będą reprezentatywne wyłącznie w odniesieniu do osób, które ich dostarczyły, czyli do samych respondentów. W żadnym razie nie mogą one być generalizowane i przenoszone na tę część emigracji, która w ankiecie nie bierze udziału. Wszelkie zaś wnioski, jakie by chciano wysuwać z tego materiału muszą się rozumieć z tym zastrzeżeniem podstawowym. Gdyby się zaś chciało traktować sprawę rygorystycznie i naukowo, to w ogóle żadnych wniosków z tego wyciągać by nie należało. Co najwyżej można stwierdzić istnienie wśród naszych emigrantów pewnych poglądów i opinii, których rozpowszechnienie, a nawet obecność, wśród pozostałych uchodźców pozostanie nadal wielką niewiadomą. I tak, dla przykładu, jeżeli 60 % respondentów wypowie się za przyjmowaniem przez emigrantów obcego obywatelstwa (pytanie Nr 29), to wcale nie oznacza to, iż jakakolwiek podobna do tego proporcja całego uchodźtwa tak samo się na ten problem zapatruje. Oznacza to jedynie i wyłącznie, że spośród danej liczby osób, które odpowiedziały na ankietę, taki procent tę opinię posiada.

Z drugiej strony, nawet cyfry oparte jedynie na samej ankiecie mogą całkiem niedokładnie ujmować stan opinii jej uczestników, a to z powodu niedość starannego opracowania kwestionariusza. Ten bowiem zdaje się

opierać na założeniu, iż każdy uczestnik ma na każdy poruszony w ankiecie temat jasno i jednoznacznie określony pogląd. Takie wrażenie wywołuje całkowite pominięcie wśród możliwych odpowiedzi po każdym pytaniu (tzw. check list) pewnych niezbędnych i zawsze używanych pozycji. Weźmy np. pytanie Nr 32 : ,,Czy Pan jest za czy przeciwko stworzeniu Federacji Europejskiej ?'' Lista możliwych odpowiedzi powinna według wszelkich reguł brzmieć następująco :

a. za ....
b. przeciwko ....
c. inne zdanie (tj. określona opinia, nie pokrywająca się ani z a. ani z b.) ....
d. brak zdania, opinia nieskrystalizowana ....

Przez pominięcie dwóch ostatnich wariantów z góry zniekształca się rezultat ankiety, gdyż respondent, mając do wyboru jedynie dwie pierwsze możliwości, znajdzie się w kłopocie, jeżeli żadna z nich nie pokrywa się w pełni z jego poglądem. W rezultacie albo wybierze jedną z nich, aby nie pozostawić pytania bez odpowiedzi, a wówczas będzie to odpowiedź całkowicie lub częściowo niezgodna z jego prawdziwą na ten temat opinią ; albo pozostawi całe pytanie bez odpowiedzi, co nie pozwoli analiście odróżnić go od respondenta, który nie chciał na to pytanie odpowiedzieć. Zwłaszcza w odniesieniu do osób, które mogłyby użyć proponowanej wyżej odpowiedzi typu c., uzyskany wynik będzie zupełnie problematyczny. Nawiasem dodać wypada, że tego rodzaju sformułowanie kwestionariusza może dość łatwo prowadzić do wniosku, że myśl zasugerowania respondentom pewnych wypowiedzi niecałkiem zgodnych z ich poglądami była autorom ankiety nieobca. Jestem pewien, że taki wniosek byłby zupełnie krzywdzący, ale niedobrze się stało, że niedostateczna staranność w opracowaniu kwestionariusza może budzić wątpliwości. Najlepszym przykładem wadliwości jest pytanie Nr 28 : ,,Gdzie chciałby Pan mieszkać w przyszłości ?'' Pomijając już ponowne pominięcie wspomnianych wariantów, zwróćmy uwagę na sformułowanie pkt. c. ,,W Polsce o ustroju takim jak przed 1939 r.'' Trudno o bardziej niejasne i bałamutne ujęcie. Albo znaczy ono : ,,W Polsce niepodległej i wolnej'', albo : ,,W Polsce o ustroju opartym na konstytucji kwietniowej, ustroju niedemokratycznym, w Polsce sanacyjnej''. Jeżeli respondent przyjmie pierwszą interpretację, to będzie znacznie skłonniejszy do wybrania tej właśnie odpowiedzi. Jeżeli zaś wzbudzi się w jego umyśle interpretację drugą, to prawdopodobieństwo wyboru tej odpowiedzi stanie się znikome. Jakże łatwo zarzucić autorom ankiety na tej podstawie, że sformułowanie to jest nieprzypadkowe ! Zwłaszcza, że i tak kwestionariusz wydaje się nieproporcjonalnie przeładowany tematyką federacyjną. Można było temu niesłychanie łatwo zaradzić przez wprowadzenie np. otwartego pytania jaki, zdaniem respondenta, jest naczelny problem polityczny stojący przed uchodźtwem. W ten sposób proporcja i równowaga wewnętrzna kwestionariusza byłaby przywrócona.

Na zakończenie parę uwag o mniejszym znaczeniu. Powszechnie stosowana jest metoda grupowania pytań o charakterze osobistym (dane personalne) albo na początku, albo na końcu kwestionariusza, w sposób jasny czyniąc rozdział między informacjami faktycznymi, jakie się pragnie uzyskać, a częścią przeznaczoną na formułowanie opinii i poglądów.

Wydaje się również, iż pomimo swego tytułu, ankieta stanowczo zbyt mało miejsca poświęca zebraniu danych o naszym życiu na emigracji. Obawy co do długości ankiety nie powinny tu wchodzić w grę, jeżeli się zważy, że nieprędko podobna impreza będzie mogła być powtórzona w warunkach rozproszenia uchodźtwa i dlatego należało dopilnować, aby dała jak najpełniejszy materiał. Można i trzeba było dorzucić cały szereg pytań dotyczących naszych doświadczeń emigracyjnych, porównania ich z ocze-

kiwanymi warunkami życia i pracy, powodów jakie zadecydowały o emigracji do danego właśnie kraju, stopnia zadomowienia, asymilacji, stosunków z miejscową ludnością w pracy i poza pracą, stosunków ze starą emigracją, osiągniętego poziomu ekonomicznego, możliwości zużytkowania posiadanych kwalifikacji (np. pytanie Nr 3 jest zbyt ogólnikowe), oraz w ogóle wszelkich trudności, bolączek, ale i sukcesów i jaśniejszych stron życia emigracyjnego. Jednym słowem, szkoda wielka, że ankieta pozostawiła na uboczu wiele spraw, które każdemu uchodźcy najbardziej leżą na sercu. W zestawieniu z tym brakiem, z pewnym zdziwieniem przyjmuje się obecność w kwestionariuszu pewnych pytań, które bądź to wydają się zdecydowanie trzeciorzędne, bądź niefortunnie sformułowane, bądź też całkiem niepotrzebne (np. pytania Nr 4, 5, 6, 7, 11, 27, 33).

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Dr Jan St. Dutkowski
International Public Opinion
Research, Inc.
350 Fifth Avenue
New York 1, N. Y.

◆

Szanowny Panie,

W artykule o *Głosach Milczenia* Malraux, w numerze grudniowym „Kultury", pan Jan Ulatowski zapytuje — wprawdzie w nawiasie — ale z emfazą : „kiedyż napisany zostanie malarski odpowiednik dzieła wybitnego husserlisty lwowskiego, Romana Z. (?) Ingardena „Das Litterarische Kunstwerk" ?

Odpowiedź na to pytanie brzmi, że „odpowiednik" ów został już napisany przez samego profesora Ingardena. (R. Ingarden *O Budowie Obrazu, Kraków : 1946*, nakładem Polskiej Akademii Umiejętności). Zastosowania teorii przedstawionych przez Ingardena w *Das Litterarische Kunstwerk* (1931), w *O poznawaniu dzieła literackiego* (1937), i w *Szkicach z filozofii literatury* (1947) — do malarstwa, muzyki i architektury były przedmiotem wykładów Ingardena od wielu lat. Rozważania te miały nawet wejść do *Das Litterarische Kunstwerk*, ale z różnych względów zostały pominięte w ostatecznej redakcji tej książki. Można je natomiast znaleźć w wymienionej wyżej rozprawie o malarstwie, oraz w dwóch artykułach : „Zagadnienie tożsamości dzieła muzycznego", *Przegląd Filozoficzny*, 1933 ; „O dziele architektury", *Nauka i Sztuka*, 1946, Nr 1 i 2.

Przekonanie p. Ulatowskiego, że jedynym godnym uwagi współczesnym podejściem do filozofii sztuki jest husserlizm — wyrażone jest w formie tak apodyktycznej, że niesplamiony zawodową filozofią czytelnik gotów jest naprawdę w to uwierzyć. Z tego względu — bez pomniejszania zasług Husserla i jego uczniów — warto zwrócić uwagę, że fenomenologia nie zajmuje bynajmniej w filozofii współczesnej tak bezspornego miejsca, jakie zdaje się jej przypisywać p. Ulatowski. Między innymi dlatego, że jest stosunkowo mało znana poza kręgami „zawodowców".

W szczególności odnoszę wrażenie, że jest ona stosunkowo mało znana p. Ulatowskiemu, o ile dobrze zrozumiałem jego artykuł. Pan Ulatowski głosi tezę, że rozwiązanie *zagadki twórczości* artystycznej winno należeć do filozofii. Twierdzenie to samo przez się budzi duże wątpliwości. W ustach autora zaś, który w następnym zdaniu oznajmia, że filozofia sztuki wymaga „metod i terminologii" husserlowskich — brzmi ono co najmniej niepokojąco. A brzmi ono niepokojąco dlatego, że zarówno Husserl jak i Ingarden włożyli dużo wysiłku w wykazanie, że teza głoszona przez

p. Ulatowskiego jest fałszywa. Ten błąd każe mi wątpić czy autor artykułu w ogóle zna towar, który nam tak gorąco i bez wahania poleca. Sprawa o której mówię jest bowiem niedwuznacznie wyjaśniona z punktu widzenia Ingardena w rozdziale drugim *Das Litterarische Kunstwerk*, książki którą p. Ulatowski tak pozytywnie ocenia.

Jakkolwiek ostatnio moda na Husserla, lub raczej moda na powoływanie się na Husserla, przekroczyła Ren, można mieć uzasadnione wątpliwości czy mocno spóźnione wołanie o husserlowskiego Mesjasza w teorii sztuki może coś tej teorii pomóc. I dlatego zarzutu pod adresem Malraux nie można brać poważnie. Co więcej, z uwagi na rodzaj książki Malraux wydaje mi się, że liczni jego czytelnicy winni być wdzięczni, iż nie spełnił on postulatu p. Ulatowskiego i że nie używa on „husserlowskiej terminologii". Każdy kto przedzierał się przez gąszcz terminologiczny Husserla i jego uczniów zrozumie łatwo co mam na myśli.

W każdym razie, niezależnie od tego co kto myśli o fenomenologii, wydaje się rzeczą niewątpliwą, że p. Ulatowski powołuje się na nią bez powodu i uzasadnienia. Ponieważ zaś ani Husserl ani Ingarden — z różnych powodów — nie mogą zaprotestować przeciw wzywaniu ich imienia na daremno, pozwoliłem sobie napisać ten list.

Łączę wyrazy szacunku,

Jerzy KRZYWICKI

◆

ODPOWIEDŹ P. KRZYWICKIEMU

P. Krzywicki stanowczo zbytnio mi pochlebia zakładając, że lektura mojej recenzji zastąpi mu lekturę książki Malraux. Łowcy nieścisłości zawsze poruszają się po śliskim terenie i p. Krzywicki nie stanowi, niestety, wyjątku. Zwykła ostrożność nakazywałaby przed stawianiem zarzutów recenzentowi zapoznać się z książką, w której obronie p. Krzywicki tak daleko się posuwa. P. Krzywicki nie uczynił nic, by zachwiać przekonanie, jakiemu dałem wyraz w inkryminowanym zdaniu, że Malraux słusznie próbuje rozwiązać zagadkę twórczości artystycznej środkami filozoficznymi, ale że estetyka romantyczna, którą się posługuje, nie zadowala wymagań, jakie dziś stawiamy filozofii sztuki. P. Krzywicki wątpi, czy nadzieje, jakie w tym względzie wiążę z fenomenologią, są uzasadnione. Mam nadzieję, że redaktor „Kultury" da mi jeszcze sposobność rozwiania jego wątpliwości, czego oczywiście w tej krótkiej odpowiedzi zrobić nie mogę.

Można, jak p. Krzywicki, mieć wstręt do husserlowskiej terminologii czy w ogóle do fenomenologii, ale — skoro już poświęca się cały list jednemu zdaniu recenzji — trzeba wobec myśli, wyrażonej w tym zdaniu, zająć jasne stanowisko, a nie poprzestawać na inwektywach i mętnych aluzjach. Wybaczy mi więc p. Krzywicki, że jego zarzutów nie odczuję jako zbyt poważne.

Za wskazanie mi na powojenne prace prof. Ingardena, których nie znałem, składam p. Krzywickiemu uprzejme dzięki. Nie miałem zaszczytu słuchać wykładów prof. Ingardena przed wojną i to tłumaczy, że nie wiedziałem o zamierzonym a poniechanym włączeniu do książki rozważań o malarstwie.

Jan ULATOWSKI

(W nast. n-rze „Kultury" ukaże się artykuł J. Ulatowskiego pt.: „O budowie obrazu", który nie pomieścił się w n-rze bieżącym. — RED.)

RÉSUMÉ DES PRINCIPAUX ARTICLES PARUS DANS CE NUMÉRO

« Kultura » publie le dernier chapitre du livre de James BURNHAM *Containment or Liberation*, qui paraitra bientôt simultanément en anglais chez John Day Co., New York, et en traduction polonaise, édité par « Kultura ».

Stanislaw SWIANIEWICZ étudie le « Développement Economique en Orient et à l'Occident ». L'article établit une comparaison entre le développmement économique des pays industrialisés, et celui des pays sous-développés des pays d'Europe Centrale et Orientale. Dans les pays industrialisés l'initiative privée constitue un élément de progrès économique, tandis que dans les pays sous-développés la propriété privée des moyens de production est liée, selon Swianiewicz, à une stagnation sinon à une régression de la vie économique.

Dans « l'Occident et le Communisme », Wlodzimierz BACZKOWSKI analyse les fluctuations de l'opinion publique et de la politique des pays occidentaux envers le communisme entre les années 1917-1952. « L'Apocalypse de Christopher Dawson » par Tymon TERLECKI est une étude de l'œuvre de l'historien libéral catholique anglais, basée en premier lieu sur son livre « Understanding Europe ».

« La philosophie des petites gens », c'est, selon Juliusz MIEROSZEWSKI, l'ensemble des idées reçues formant l'image de l'univers vu par « l'homme moyen ». Cette image, longtemps basée sur les conceptions matérialistes que nous a légué le XIX siècle, a été ébranlée par ce qui nous est parvenu des découvertes de la physique contemporaine. Mieroszewski voit un lien entre cet ébranlement et la crise de la pensée libérale. L'homme contemporain serait-t-il placé devant le choix entre « une métaphysique des barbares et une métaphysique de gens civilisés » ?.

Suivent des poésies de Kazimierz WIERZYNSKI et de Jozef BUJNOWSKI ; des nouvelles de Jozef MACKIEWICZ et de Tadeusz NOWAKOWSKI.

Dans la « Chronique culturelle », Jan ULATOWSKI (« Le Faune et le Saint ») étudie deux aspects de la peinture abstraite, en marge des expositions de Caziel et de Manessier ; Jean COLIN pose le problème de l'attitude de l'artiste envers la nature (en marge d'une exposition de desseins de Duerer au Musée du Louvre).

« Les archives politiques » contiennent dans ce numéro une suite de la discussion soulevée par « Kultura » sur la « Radio de l'Europe Libre », une « Lettre d'Allemagne » de Jerzy PRADZYNSKI, et une « Chronique Ukrainienne ».

Dans la section consacrée à la plus récente histoire de Pologne « Kultura » publie dans le présent cahier un compte-rendu de Tadeusz FELSZTYN sur les armements polonais avant 1939.

La chronique des livres contient une revue de l'« Histoire des Démocracies Populaires » de François Fejto, une étude de livres américains traitant de la politique étrangère, des notes sur « Le Métier d'Ecrivain » de Charles Braibant, « La Face de la Méduse du Communisme » de Thierry Maulnier, etc.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA".
12, rue St-Louis en l'Ile, Paris (IVe).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 1er trimestre 1953

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

◆

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vandrekindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Walery Bader,** Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo; **Julia Barcińska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Parana	15 cruz.	90 cruz.	150 cruz.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-IVe	150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **Stan. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; **Stanisław Zybała,** 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec"** (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; **St. Mikiciuk,** Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lausanne, Genève. Tel. 2-23-58.	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** «Gryf Publ.», 808 Wager St., Utica, N.Y.; **L. Dudarew-Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; **Christian M. Kretowicz,** 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; **Andrzej Pleszczyński,** P.O. Box 750, Santa Barbara, California; **M. Szyprowski,** 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; **Kazimierz Trojanowski,** 8805 Neal St., Detroit 14 Michigan; **S. Sokołowski,** 4856 E. Stiles St Philadelphia 37, Pa.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11 ..	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

◆

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.
Koszta przesyłki pojedyńczego numeru: 30 fr. fr.

◆

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: **Jerzy GIEDROYC**, 1, Av. Corneille, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; 1/2 strony 6.000 fr. fr.

IMPRIMERIE RICHARD. Paris-18e

Cena 250 frs.